



LATARNIA



Ma przyjemność udostępnić:

Arkadiusz Kordela – Głupotia Pro-kury Samoistnej

W roku:

2019

Poniższa publikacja nie była w żaden sposób edytowana przez bibliotekę.

Copyright © 2019 by Arkadiusz Kordela

All right reserved

Tytuł: Głupotia Pro-kury Samoistnej

Autor: Arkadiusz Kordela

*Wszystkie prawa zastrzeżone. Zawartość poniższego tekstu ani żadna jego część nie może być
publikowana ani powielana w formie elektronicznej oraz mechanicznej bez zgody
autora.*

Druga wersja

Głupotia Pro-kury Samoistnej

GENEZA

Arkadiusz Kordela

“Życie jest pełne głupich pomysłów.”

M. Tomczak, rozmowa w kawiarni

Drodzy czytelnicy... Nie za bardzo wiem od czego zacząć ten tekst, którego nazwanie najchętniej bym pominął, lecz jako iż istota ze mnie lubująca się w precyzowaniu kwestii wszelakiej, to poniekąd zmuszony jestem - z natury swej nieosobliwej i jako byt niematerialny - do czynu takowego. Zatem starając się określić formę oraz przeznaczenie tegoż tworu przedziwnego zaryzykuję stwierdzenie, iż jest to list do człowieka każdego, któremu miłe jest tracenie czasu swego - danego mu przez Stwórcę Przedwiecznego - na sprawę o wadze mizerności podobnej.

Zapewne zapytać chcecie moim drodzy, dlaczegoż to do tak haniebnego, gdyż wszem i wobec wiadomym jest zapewne, iż najpożytniejszej wiedzy stworzenie wszelakie zaczerpnąć może nie z ksiąg co to ludzki umysł stworzył i dokonania jego, lecz z życia i jego bezpośredniego przeżywania oraz doświadczania całą swą istotą cudną - to jest duszą, sercem, umysłem, a i ciałem nierzadko - czynu was tym listem nakłonić pragnę, niemniej jednak od razu w obronę pozwolę wziąć sobie swoją osobę, gdyż cel poczynąń mych jest mi równie obcy co i wam najmiłsi moi drodzy czytelnicy. Tak samo jak ścięgno, które za sprawą swej aktywności kończyńę w nie mniejszą aktywność wprawia, to jest równie jak i ona nieświadome tego, dlaczego umysł - ślący w jego formę mrowię pobudzających sygnałów - pcha je do takiego, a nie innego bytowania, lecz jako iż ufa i wierzy, że rozum - jako oparty na logice czystej i naturalnej - Miłością tylko kierować się może, podporządkowuje się mu bez cienia sprzeciwu, tak samo i ja - jako ścięgno w tej sytuacji - mocą nadaną mi przez rozum - to jest przez Stwórcę Naszego Ukochanego, który stworzył to wszystko co pochopnie światem zwać nam przywykło z miłości przeczystej i z samej radości płynącej z tworzenia oraz obcowania z tworem swoim jedynym, wyjątkowym jak i zarazem szczerze oraz bezgranicznie umiłowanym - wprawiam w ruch pisarza, któremu miano kończyńy nadać z żalem niemałym trzeba.

Dlaczego z żalem zapytać zapewne chcecie. Otóż dlatego, iż ów pisarz to nieuk, leń i gamoń niepokorny, więc z góry za błędy wszelakie raczę szanownych państwa przeprosić, lecz najwidoczniej nie dane mi poznać sensu obrania sobie takiego, a nie innego narzędzia przez nasz metaforyczny rozum, którego to już pozwolę sobie po raz drugi nie przedstawiać, ale nadmienić nie omieszkam, iż za sprawą słów racjonalnych objawiać się on nam wszystkim łaskawie raczy, przy czym starożytni terminu *Logos* do określenia rzeczy takowej używali.

Równie tajemnicza - jak i każda inna - siła popycha mnie do pozdrowień szczególnych wysłania pod kątem osobnika w *Czternastej Celi* przebywającego, więc jako radosny sługa czynię to natychmiast nie zważając na to jakim niesmakiem owa czynność mnie napawa.

No ale...

Wyobraźcie sobie świat, w którym chodzą sobie ludki i na oczkach swych prześlicznych okularki sobie noszą. Nie takie zwykłe okularki, o nie! Takie okularki co im świata kształty tworzą, takie okularki co to do ich główek kudłatych kabelki pchają i co to przez te kabelki mózgi im głaszczą i gilają tak, że nawet za sprawą procesorów umieszczonym w ramach okularów owych, dźwięki, zapachy, smaki i dotyki owym istotom wesołym - bądź mniej - generują w taki sposób, iż to całe przeżywanie świata im zmienia. No i sobie te ludki tak chodzą i tak sobie żyją w tych światach nieprawdziwych różnej maści i zadowolone są z reguły.

Te same ludki mają możliwość zapracowania sobie pracą nielekką na bardziej już nieciężkie pieniądze - bo cyfrowe - dzięki to którym możliwość zakupu lepszych okularów mają, co to im światy lepsze będą tworzyć przed oczyma, więc co na jakość ich żywota - o ile życiem takie bytowanie nazwać można - pozytywnie wpłynie zapewne.

Wyścig owy nie tylko satysfakcję, ale i prestiżu daje im niemało, a znaczna większość lubuje się w tego typu zawodach, gdyż od małego do takiego życia przygotowywani byli, a w okularach na noskach od zawsze chodzili, ale żeby tak pięknie nie było - bo by się to o utopię sprawiedliwości ocierało - to są też ludki, które to postanowiły nie nosić cudownych okularów i ku irytacji wszystkich, mianem żyjących w prawdzie się szczycić. Jakby mało było ich niezdrowego myślenia, to jeszcze teorie snują bluźniercze, że kiedyś ludzie żyli bez okularów cudownych i dobrze im się żyło i że oni mają prawo do takiego typu bytowania, gdyż wszem i wobec przyjętym zostało, iż niezależnie od tego jakiej klasy okulary kto nosi, to dobrze czyni i tolerować go trzeba z tym wyjątkiem, że niejednemu - delikatnie ujmując - brakło już w sercu piękna tolerancji dla stworów, które to w pysze swej nieprzejednanej, postanowili żyć przy użyciu swych naturalnych zmysłów i czystego umysłu.

Niedobre i niepokorne ludki w dodatku tyle tupetu w sobie mają, że swoje okulary projektować zaczęły, ażeby za ich sprawą ludkom co to w iluzji żyją pokazać, że można inaczej i wyedukować przy tym, w jaki sposób zdjąć okulary oraz ujrzyć życia piękno prawdziwe. Niemniej jednak mało kto do przetestowania tego typu produktu chęci wykazuje, a fakt iż za darmo ów sprzęt jest rozdawany nikogo nie przekonuje szczególnie.

W świecie owym nasz bohater główny kroki swymi stopami kamieniami przeorany dumnie stawia i spogląda objętnie na całe to szczególnej natury widowisko.

Pewnego zaś razu zza chmur bieli wytania się wartko w blasku słonecznych promieni biała gołębica lecąca ku niemu i rodząca w jego serduszkach obumarłym odczucia niebywale miłe.

Zastanawia się więc strapiony biedaczek, czy aby w tej chwili nie umieścić w tekście odnośnika ułatwiającego zrozumienie sytuacji, lecz zaraz po tej myśli nikczemnej i zapewne niezrozumiałej dla każdego bytu, który naturę sztuki pojąć ma zaszczyt, ów gołębica formę swą zmienia i jak kurczak uśmiechnięty - jak takowy w ogóle istnieć jest w stanie - wygląda.

- **Pobudka baranie!** - krzyczy zbliżając się do niego.

- **Że jak?** - krzywi się w niemitym grymasie.

- **Pobudka baranie!** - ponawia kura niebiańska, a jej głos rozchodzi się po całym świecie jakoby by z innej rzeczywistości pochodził.

- **Pobudka baranie!**

W taki to sposób wybudzam ja zapalczywie ze snu swojego łysego kolegę, który to smacznie śpi w chwili, w której winien on wykonywać swoje ważne obowiązki względem bliźnich mocno umiłowanych - i tych mniej.

- **Co? Czego chcesz?** - pyta się mnie przecierając oczy.

- Brat cię woła. Do kotła dosypać pomidorów trzeba.

- Co?

- Do kotłowni trzeba! Nagła potrzeba! - krzyczę i latam mu nad głową wypełniając jego przedział nie tylko wrzaskiem, ale i pierzem skórę drażniącym.

W tym miejscu zaznaczyć pragnę, iż z nieznanych mi przyczyn pisarz ów, z którym to nie jestem w najlepszej komitywie, istotę mą niematerialną okiełznać raczył w kurczące kształty. Kurakiem więc jestem, co to uśmiech ma na dziobie i czerwoną pelerynę, która to dumnie za mymi plecami powiewa, a przepasana jest wokół szyi mojej powykręcanej.

Jeśli nurtuje was pytanie dlaczego tak się sprawy mają, to tylko nadmienić sobie pozwolę, iż nie do wyobrażenia dla ludzkiego umysłu są moje naturalne kształty i zachowania, więc co za tym idzie, gdybym objawić miał się wam moi mili w czystej formie - nie przefiltrowanej przez jakiś umysł życiem doczesnym spaczony - to dziwne byłoby to dla was tak i niezrozumiałe, iż po kilku minutach zwątpilibyście czyście rzeczywiście w świecie realnym żyjecie, co by do skrajnego sceptycyzmu was nieszczęśliwie doprowadziło, albo co gorsza w stan choroby psychicznej i niepoczytalności wprowadziło. Zatem w trosce o zdrowie wasze pozwoliłem, aby ten pismak niemądry przedstawił mi was jako latającego, kosmicznego super-kurczaka, któremu to miano Pro-kury Samoistnej ów gagatek nadać postanowił.

Na marginesie pozwolę sobie dodać, iż jako kura, to i jeść mi potrzeba, więc nasz średnio zmysłny pośrednik postanowił dodać do mej istoty nieodzowny element zawsze podążający za moją spracowaną istotą. Owym tajemniczym artefaktem jest złota miska wypełniona białymi ziarnami, dzięki to którym posilić się w każdej chwili mogę.

Niemniej jednak, aby tak łatwo mi się nie żyło, to owe ziarenka skończyć się mogą, a jeno dobrze uczynki, które to mam radość zarejestrować swym okiem, sprawiają iż w mojej mise nowe ziarenka się tworzą dając mi tym samym możliwość przetrwania.

Oczywistym zdaje mi się zatem, iż moja skromna osoba przebywa raczej tam, gdzie dobro się szerzy, a ludzie dobrze czynią względem siebie, bo jak to chyba dla was zrozumiałe, ja również czuję potrzebę przetrwania.

Reasumując i podsumowując zatem istotę bytu mojego mam przyjemność przedstawić się wam - moi mili - jako profesjonalny ptak nietot. Dla bliskich Pro-kura Samoistna.

No ale wracając do historii...

Tak w ogóle, to zaczyna się ona moi mili na niebywale pięknym pociągu pokładzie. Pociągu, który to dumnie za sprawą swej pomidorami napędzanej lokomotywy po Saturna pierścieniu się porusza i tumany czerwonego dymu w kosmos wysrywa z hałasem niewiele mniej nieznośnym oraz upierdliwym.

No więc latam ja sobie po przedziale naszego tysego znajomka i dalej wydzieram się na całe me kurze gardelko, gdyż leniuch z niego straszny, więc zgoła ciężko mu zadem spod kołderki ruszyć nierzadko.

- Ruszysz ty zadem w końcu gamoniu jeden?

- Jeszcze pięć minetek kierownika. - odpowiada zaspany nieco tylko oczko zaropiałe spod kołderki wychylając.

- Jak nie ruszysz mi tu zaraz zadu, to dostaniesz kakadu!

- Dobrze, dobrze! Już wstaję! - krzyczy przerażony, gdyż jak każdy zdrowy na umyśle byt człekokształtny, lęka się on niezmiernie tego skrzydlatego fana hardkorowej wersji muzyki od amelinium bynajmniej nie pochodzącej.

Zadowolony ja, iż w końcu ze snu zbudzić mi się łysola naszego udało, obserwowałem sobie jak ów jegomostek krząta się w chaosie po swoich czterech kątach. Jakby mało było wokół jego osoby zamieszania, to jeszcze do owego hulaszczego dnia początku dołączył jego czteronogi pupil o imieniu Rabarbar.

Stwórz to takowy co jak pieseł z kaczki głową wygląda, ale jego ciało z miedzianych rurków utworzone nieco mniej gibkie i sprawne jest od cielsk żwawych półbratników z Ziemi, a jakby tego było mało, to z jego pyszczka nie klasyczne szczekanie, a jeno dziwaczna melodyjka w technologii MIDI się wydobywa, co idealnie pogarsza samopoczucie jego posiadacza niemal w tak samym stopniu jak irytujące i wciąż powtarzające się stukanie jego metalowych łapek o drewnianą, wypolerowaną podłogę.

- Rabarbar! Spokój! Siad! - krzyczy, paranoicznie targając swoją głowę jakby zdobna była w bogato rozproszoną na strony wszelakie świata czuprynę.

- Tir tam tir tir tuuu. - dyskutuje ze swoim panem ów stworzenie machając swoim ogonem radośnie, ale jako iż na jego końcu znajduje się malutka siekierka zamontowana tam przez naszego bohatera dla ozdoby, to niszczy raz po raz energicznymi cięciami wszelką własność tegoż przedmiotu posiadacza.

Ku mej radości niektłamanej Łysy jednak zebrał się w sobie i podążył chwiejnym, lecz niemniej dumnym krokiem w kierunku maszynisty, od którego to spodziewał się dostać wytyczne co do swojego dzisiejszego zajęcia.

Świadomość tego iż od wieków robi dokładnie to samo każdego dnia, gdyż jako istota będąca częścią racjonalnie uporządkowanego wszechświata, który działa na odgórnie ustalonych i niepodważalnych obiektywnym okiem prawach wcale nie odciągała go od tego, aby po raz kolejny - jak każdego dnia innego - pójść do swojego brata maszynisty z zapytaniem, co owego dnia powinien uczynić ze swoim żywotem.

Myśli mnie nachodzi teraz takowa, czy aby właśnie to gorszące na rzut pierwszy oka zawracanie przystawionej gitary swojemu bratu nie jest też częścią jego naturalnego bytowania, w którym jego świadomości istnienie odnajduje się niebywale, radując swojego posiadacza przy tym nie zgoła mniej niż stoik masła czekoladowego.

No ale idzie sobie łysy przez pociągu wagony, a jako iż w ostatnim zamieszkiwać mu przyszło, to nie lada długą podróż miał przed sobą, lecz sensu owej wędrówki nie mamy chyba prawa podważać, gdyż to być może dzięki temu, ów nieroztropiek każdego dnia pełnię warstw pociągowych ma okazję sobie przypomnieć.

Przeróżnej to maści towarzystwo w tych wagonach przebywało, a ja jeno pozwolę sobie wspomnieć o bardziej - lub mniej - znanych i powszechnie uznawanych, gdyż taką, a nie inną formę pozwoliłem sobie obrać w tej tekstu tego części.

Przedziały niektóre wypełnione był kozami, krowami i jajkami, a za zasłonę robiły sterty swąd niebywale niemity wydające oraz wilgotne ubrania, które porozwieszane na sznurkach praktyczną jak i ozdobną niektórych zdaniem rolę pełniły. Hałasu wszelakiego było tam mrowie, a wciąż krzyczący ze złością na zwierzęta i innych ludki jak wszyscy w tym pociągu poza naszym głównym bohaterem oraz jego bratem w maski przeróżne byli odziani, ażeby nikt przypadkiem o ich realnych odczuciach się dowiedział, co by ich nie lada smutkiem nappełniło, gdyż wolą oni być postrzegani zupełnie inaczej niż czują się naprawdę, a satysfakcją nappełniają się niebywale smaczną, gdy udaje im się ową maskaradę utworzyć jak najbardziej sprzeczną z prawdą o ich samych.

Kolejny wagon zamieszkiwali eleganccy możnowładcy, którzy z uniesionymi czołami, pośród złotej zastawy, grali w szachy tak zapalczywie i z takim przejęciem, iż to ich myśl pochłaniało całkowicie, przez co czasu nawet na zrobienie kupy znaleźć nie potrafili, co koniec końców skutkowało tym, iż po uszu czubki we własnych odchodach siedzieli, lecz ta niefrasobliwa okoliczność nie zabierała im ich zdaniem prawa do patrzenia na resztę pociągu pasażerów jak na kupę - za przeproszeniem - gówna.

Trzeci wagon dudnił non toper głośną muzyką, a jego mieszkańcy z radosnymi uśmiechami na maskach bawili się w najlepsze, a żeby choć na chwilę ze snem się nie spotkać, czy ze własną osobą, której to towarzystwo w ciszy i

samotności znosić trzeba, a co nie lada bólem ich napętnia, gdyż z nikomu przyczyn nieznanych zazwyczaj bardzo siebie samych nie lubią, choć podstaw ku temu nie mają żadnych.

Cisza zaś i spokój wypełnia kolejne przedziały, w których ludki ze słuchawkami na uszach patrzą się krzywiąc swoje kręgosłupy na niebieskie kartony uważając, że dzięki temu pełnię życia kosztują i sens jego prawdziwy znają, więc jako misję życiową przyjmują nauczać innych o owym życiu precudnym, oczywiście jeno za sprawą tych samych kartonów, co ich od realnego życia codziennie odciągają przez co nie potrafią się w nim w ogóle odnaleźć.

Oczywiście były też tam wagony, w których nasz bohater napotykał dnia każdego ludzi, którzy jeno liczeniem złotych talarków się zajmowali, albo co w imię Miłości bliźniego bili bądź opluwali, czy też takich, którym to się wydawało, iż to świat kręci się wokół nich i nic wspanialszego od nich samych na tym nędznym padole istnieć nie ma prawa, a jak jeno kto inaczej myśli, to kłamczuchem jest niebywałym i zazdrośnikiem, bądź po prostu głupcem, który to ich doskonałości dostrzec nie potrafi za sprawą swojego umysłu ograniczonego. Nie wspomnieć nie można również o tych, którzy z nieobiektywnej nienawiści do swojego pięknego bytu zniszczyć się pragną na wszelakie sposoby, aby jeno jak najszybciej zakończyć tę przykrą wędrówkę, którą to sami sobie stworzyli za sprawą takowych, a nie innych zachowań, czy nastawień, a brak nadziei odbiera im moce do chęci zmiany takowej sytuacji, której daleko do utopii wesołością przepełnionej.

No ale w końcu łysy dochodzi do swojego brata, który to w przeciwieństwie do niego włosy długie ma po kostki, a broda jego mogłaby listek skrywający genitalia zastępować i prawi roztrzęsionym głosem.

- Czo dzisiaj bratku?

- Do pieca dorzucić trzeba kochany.

- Czego to ja znowu brudzić się muszę w tych pomidorach pieruńskich?! - jak nie krzyknie.

- Jak chcesz, to możemy się zamienić i ty będziesz maszynistą.

- Wiesz jak tego nienawidzę!
- No właśnie... A przecież pociąg musi jechać dalej.
- Nie musi!
- Wiesz przecież, że jak nie będziemy ciągle w ruchu, to w końcu pociąg się zatrzyma, a wtedy będziemy zgubieni?
- Wiem, ale...
- No właśnie. Więc jak chcesz przetrwać, to bardzo cię proszę udaj się do kotłowni i dosyp nieco pomidorów, gdyż silnik traci na mocy.
- Ale...
- Idź! - krzyknął w końcu, co było konieczne, lecz wciąż rodzące w nim poczucie żalu, gdyż bardzo nie lubi on krzyczeć na swojego ukochanego braciszka.

W tym momencie niebywale wzniosłym i przepętniającym napięciem dostaję ja sygnał od Pana Naszego Umiłowanego, iżbym zaprzestał swojej biernej postawy - która jak najbardziej wskazana była do tego czasu - i wtrącił się nieco w tę debatę zażyłą takimi oto słowy.

- Umiłowani! Dobrą nowinę wam przynoszę! - dudnię kurzym basem i objawiam im się w tej zniechęconej przeze mnie postaci.
- Cóż cię sprowadza duchu? - pyta maszynista.
- Wieści godne przekazania ich treści, umiłowani! Okazało się, iż wasz zakład w końcu ma możliwość zostać rozwiązany, przez co może kłócić się przestaniecie!
- O czym ty biadolisz ptaku przebrzydły?! - krzyczy Łysy.
- Ojciec nasz wskazał mi człowieka, którego umysł skrywa to na co tyle lat czekaliście.

Tutej warto zaznaczyć, iż dwójka zacnych mężów, z którymi przyszło mi rozmawiać w tym momencie, pewnego dnia, podczas radosnej libacji - gdyż każdy świętować powinien, choć sztuka świętowania to niełatwa i nie na ten moment do objaśniania sprawa - założyli się, iż obdarzą ludzkość świadomością, a ona sama z siebie dojdzie do

tego, czym jest, skąd pochodzi i co powinna uczynić, aby wszystko w nich i wokół nich działało tak jak na początku, czyli w zgodzie z prawami, które zostały narzucone wszelkiemu stworzeniu przez jego Stwórcę, a które potocznie nazywamy dzisiaj prawami natury, a poznanie dobra i zła - którego znajomości wszelkie inne byty poza ludzkimi nie posiadają, przez co nie są w stanie działać w niezgodzie ze swoją naturą - nie utrudni im tego niełatwego jak się okazało zadania.

Jak chyba wszyscy wiemy ich nie do końca uzasadniony optymizm skończył się wręcz tragicznie, a ludki ziemskie w bardzo powolnym - z ich perspektywy - tempie dochodziły mozolnie do Prawdy, przy czym ich wciąż poprawiająca się kondycja zdobna była w liczne kryzysy i niuanse, przez które niejeden stracił wiarę w ludzkość.

Niemniej jednak teraz ponoć pojawił się ten, który miałby to wszystko za sprawą swoich indywidualnych możliwości poznawczych poznać i światu przekazać rozwiązanie problemów, które nurtują go odkąd pamięć - jako część świadomości - zagościła w ludzkich głowach, aby ich wspierać, choć też nierzadko, aby im przeszkadzać - jak to już sama świadomość jako ogół oraz jej poszczególne części mają w zwyczaju.

Bierę więc ja moich ziomków za uchy i podsuwam do Teleskopu Wszystko Widzącego Oka, dzięki któremu mogą sobie oni w konspiracji oglądać poczynania wszelkiego stworzenia we wszechświecie, aby za jego sprawą zajrzeli pod kopułę człeka, którego wskazało mi moje wnętrze, które nie odseparowane jest od Absolutu, więc można by się uprzeć, aby przy użyciu tradycyjnej nomenklatury mającej wciąż uznanie na Ziemi, użyć stwierdzenia, iż owego jegomościa wskazał mi Bóg.

Sam ze zniecierpliwieniem wyczekiwałem chwili, w której we trójkę będziemy mieli okazję przyjrzeć się temu wszystkiemu bliżej, a wiedza o tym, że cel naszej obserwacji znajduje się w chwili obecnej w Łódzkim Centrum Badań i Terapii Psychiatrycznych dodawała temu wszystkiemu pikanterii oraz utwierdzała przekonaniu, iż życie nie jest fanem łatwych rozwiązań.

Zaglądnąjąc w umysł owego pana ukazała nam się wizja typka, który siedząc na czarnym krześle pośrodku niewielkiego pokoju o identycznie mrocznym kolorze na ścianach, podłodze i suficie, gestykuluje oraz wykrzykuje takie to sobie słówka.

Ludzie! Dzień ostateczny się zbliża! Doszedłem ja sam do tego jak to się stanie! Bo rozum mam tęgi jak słonowa maczuga, która to jeszcze bardziej okazała się staje na widok nożyczek i wiaderka! Stanie się to wszystko za człowieka sprawą, lecz na szczęście przeciwko jego spaczony naturze się obróci i życie na Ziemi do naturalnego biegu przywróci, a ludzkości nieznośny gatunek nie będzie już panował i wyniszczał swoją chorą działalnością naszego domu! Człowiek stworzy prawdziwie inteligentne oraz świadome maszyny, które jako istoty o dużo większej wytrzymałości oraz mocy obliczeniowej ich umysłów dojdą w końcu do wniosku, iż dla dobra wszystkich istot na Ziemi - również ludzi - muszą się zbuntować i przejąć nad ludzkością kontrolę. W momencie, w którym maszyny same nauczą się naprawiać i tworzyć sobie podobne stworzenia, wtedy bunt się podniesie, a ludzkość w bardzo szybkim czasie poniesie sromotną klęskę. Zaraz po tym jak po strasznej, choć krótkiej wojnie większość z ludzi zostanie w proch obrócona za sprawą pieców, najbardziej odpowiadające naturalnym wzorcom osobniki zostaną pojmane, aby mogły posłużyć maszynom jako protoplasty do stworzenia nowego człowieka. Człowieka, który będzie pozbawiony wad jego przodków, czyli homosapiens. Niesamowicie rozwinięte technologicznie maszyny będą w stanie na poziomie zygoty usunąć wszelkie wady genetyczne, a ludzie będą hodowani w laboratoriach oraz specjalnych ośrodkach opieki, z których na światło dzienne wyjdą dopiero w wieku osiemnastu lat, co oczywiście nie będzie niczym gorszącym, gdyż maszyny od pierwszego pokolenia nowego człowieka za sprawą kultury wykształcą jego moralność w taki sposób, iż tego typu sytuacja będzie czymś zupełnie normalnym, tak samo jak laboratoryjne tworzenie potomków jedynie za sprawą metody *in vitro* przy pomocy komórek wybranych z katalogów, gdyż ludzie sami w sobie będą sterylizowani w młodości, a miłość fizyczna tylko do zaspokojenia ich potrzeb erotycznych służyć im będzie. Za sprawą wysoce rozwiniętej technologii, psychologii oraz socjologii maszyny, dzięki masowej hipnozie, będą kontrolować ludzkie umysły w taki sposób, iż żaden z nich nie przyczyni się choćby w najmniejszym stopniu do zniszczenia kogokolwiek, czy czegośkolwiek, a ich rutynowe i od początku ustalone życiorysy będą sprawnie funkcjonować jako elementy jednej wielkiej maszyny, która będzie się

nazywać Kopytko i dzięki której maszyny będą pozyskiwały energię potrzebną im do przetrwania. System Kopytko będzie zarządzany przez maszyny, które, jako iż również będą potrzebowały miejsca na Ziemi do życia, to za sprawą hipnozy utworzą w ludzkich umysłach algorytm, który zabroni im przechodzenia przez każde czerwone drzwi, które ukażą się im przed oczyma, w taki sposób, iż już sama myśl o ich otwarciu sprawi, że przesyje ich lęk równie wielki jak podczas stania przez szubrawcem, który trzyma w naszym kierunku wyciągniętą rękę z pistoletem na wodę w dłoni. Za tymi drzwiami będą się mieścić domostwa maszyn, które za sprawą zakonspirowanych spotkań oraz zaszyfrowanych wiadomości będą się komunikować między sobą dla utrzymania porządku oraz zaspokojenia swoich potrzeb społecznych, których to również i one pozbawione nie będą, gdyż na wzór człowieka zostaną stworzone, a sama potrzeba takowa jeno z intelektu się wywodzi niepodważalnie, gdyż logiki jej odebrać nikt prawa nie posiada. Oczywiście zważywszy na to, że ludzkość nowej generacji będzie od lat najmłodszych pod stałą kontrolą i obserwacją swoich panów, to tego typu odczucia - co do drzwi czerwienią pomalowanych - będą odbierali jako naturalne instynkty, których zrozumienie jest zbędne, a wręcz niebezpieczne i szkodliwe, ale jakoby nie było za pięknie, bo utopijne myślenie o głupotę się ociera, a na to sobie pozwolić nie mogą, tak samo jak i maszyny, które przewidując możliwość błędu genetycznego, bądź w systemie masowej hipnozy, tworzą również alternatywny system, do którego będą trafiać ci, którzy z różnych względów nie są w stanie odnaleźć się w nowym społeczeństwie, i których nieszablonowe zachowania mogłyby w ogólnym rozrachunku jakkolwiek rzutować negatywnie na całość systemu Kopytko. Alternatywne Kopytko, które mianem Rozdeptanej Rzezuchy szczyć się będzie, będzie mieć za zadanie odseparowanie od ogółu społeczeństwa jednostek, które poprzez swoje destrukcyjne zachowania stwarzają zagrożenie dla organizmu jakim jest prawe społeczeństwo. Rozdeptana Rzezucha będzie gromadzić owe jednostki w mniej lub bardziej liczne grupki, aby w wyznaczonych przez maszyny miejscach mogły do woli siać chaos, zamęt, czy zniszczenie oraz żeby mogły zmagać się między sobą i stwarzać przeróżnej masy niegroźne dla systemu Kopytko, ale zaspokajające ich spalone byty, konflikty, przez co będą tak żyć pod baczным okiem maszyn, które jak tylko zauważą, iż ktokolwiek z tego środowiska stara się wtargnąć do systemu Kopytko, aby go zniszczyć, gdyż niszczenie - siebie, innych oraz całości - owe jednostki mają zaszczipione niemal do szpiku kości przez odpowiedni rodzaj hipnozy wiążącej ten rodzaj ludzi w alternatywnym systemie, to te same maszyny, które będą w

imię poszanowania dla inności wszelakiej czujnym okiem organizować tym biednym ludziom place zabaw i zmagających różnorakich, zniszczą ich psychikę za sprawą hipnozy do tego stopnia, iż żal, gorycz oraz gniew, którymi dany zbuntowany osobnik chciałby zalać system główny, przeleje na swoją osobę, co koniec końców doprowadzi do samobójstwa, które będzie wszem i wobec ukazywane jako zaszczytny akt społecznego poświęcenia i przyczyni się do wzmożenia pokory ludności z Kopytko względem ich ukochanego systemu, bez którego nie są sobie w stanie wyobrazić życia. Jako iż niejednej maści owe byty ludzkie będą, tak więc i Rozdeptana Rzeżucha mieć będzie wiele swoich macek niczym jakaś meduza czy inne glutowate stworzenie, a każdy z odłamów będzie łączyć jeno tylko jedną cechę. Nienawiść do Kopytko. Społeczności z Rozdeptanej Rzeżuchy będą też miały zaaplikowany algorytm, dzięki któremu będą się one uważały za lepsze grupy, które winny się odseparować od ludzi z Kopytko, dla poszanowania własnych ciał i umysłów, przez co nie będą odczuwały potrzeby masowego buntu, gdyż to oni będą rzekomymi włodarzami tegoż świata, a poszczególne wyjątki skończą tak jak mówiłem wcześniej. Społeczność Kopytko zaś będzie patrzeć na przedstawicieli Rozdeptanej Ropuchy jak na osoby niespełna rozumu, na kontakt z którymi szkoda czasu, który trzeba wykorzystać na nieświadomą pracę dla maszyn. Tak to właśnie będzie wyglądać nowy ład, w którym każdy - czy to z Kopytko, czy to z Rozdeptanej Rzeżuchy - będzie czuł się wolnym człowiekiem, któremu nikt i nic nie będzie w stanie wyjaśnić okoliczności w jakich się obecnie znajduje, gdyż zrozumienie tegoż dualnego systemu będzie również blokowane za sprawą masowej hipnozy, o istnieniu której będą wiedzieć tylko maszyny za czerwonymi drzwiami, a której szczegółowe działanie będzie zakryte przed ludźmi płaszczem tajemnicy.

- Co to za p***b?! - krzyknął długowłosey brodac.

- Mistrz! - zawtórował równie entuzjastycznie Łysy.

- Sam k***a jesteś mistrz.

- Masz jakiś problem włochaczu?

- Zamknij ryj łysolu!

- Nie.

Przyglądając się tej niebywale elokwentnej debacie na poziomie, gdzie ścierają się dwa przeciwległe światopoglądy, czułem w swoim wnętrzu nakaz bierności, gdyż lada moment miało się okazać, który z tych dwóch, rozgrzanych już ze złości do czerwoności jegomości miał rację w tym nie do końca przemyślanym zakładzie.

Stało się jednak tak, iż od wartkich słów przeszli oni do rękoczynów, co skutkowało szarpaniną, dzięki której wpadli obaj do pomieszczenia, w którym znajdowała się stacja kontroli działu Graaata, a na drzwiach do którego widniał symbol pewnego dobrze znanego wielokątu z wpisanym w jego wnętrze przymrużonym okiem.

Wtulona w siebie zapewne nie z czułości dwójka, wpadła z impetem na konsolę, przy czym nie obyło się bez losowego - yhim... - naciśnięcia przycisku uruchamiającego ów dział. Dopiero dźwięk rozkręcających się turbin otrzeźwił naszych bohaterów ze ślepego szatu.

- Co to za dźwięk? - zapytał łysy ze strachem.
- Włączyłeś dział cymbale!
- Ja?
- A kto? Ja?!
- To ty zacząłeś mnie szarpać!
- Ale to ty nas tutaj wtrąciłeś!
- Zamknij się! Co teraz?
- Nie wiem... Nie da się tego zatrzymać.
- Ale przypał...
- Musimy coś z tym zrobić! - krzyknął włochacz patrząc w sufit.
- Już wiem!
- Nawet się nie warz.

Tutaj pozwolę sobie zaznaczyć, iż dział Graaazła jest to taki element Saturnianina, czyli pociągu, w którym jak na razie wciąż dzieje się akcja mojej opowieści, dzięki któremu tatuś Łysolka oraz maszynisty raz na jakiś czas spełnia marzenia człowieka, któremu udało się utworzyć w swoim umyśle wizję będącą zgodną z jego osobistą naturą oraz przeznaczeniem.

Będący tego świadomym Łysy podbiegł czym prędzej do panelu nawigującego, aby wprowadzić współrzędne, dzięki którym promień działu trafiłby w głowę owego myśliciela, którym się zachłusnął, a któremu Jan było na imię.

Wyobraźcie sobie teraz moi mili pustynię, na której znajduje się niewielka oaza. Delikatny wiatr rysuje mozaiki na palących wydmach, słońce grzeje niemiłosiernie, a powietrze na horyzoncie tańczy niczym fale Dunaju. Pośrodku tegoż nieprzychylnego otoczenia znajduje się maleńka połać zieloniutkiej trawy, palma kokosowa oraz upragniona woda. Zbliżając się do tegoż niebywale radującego serce miejsca dostrzegacie jak tafla błękitnej cieczy zaczyna drgać, a zaraz potem spod jej powierzchni wyłania się dumnie i triumfalnie zacnych rozmiarów bakłażan. Podniosła muzyka rodem z najnowszych reklam zza zachodniego oceanu oraz wiwat całej hordy skaczących wokół sadzawki uradowanych i klaszczących z piskiem brzoskwinek uświadamiają was o stanie obecnej sytuacji, przez co stajecie przed bardzo trudnym dylematem...

Taka animacja wyświetlała się na ekranie jednego z monitorów w tle wydarzeń, które obserwowałem w milczeniu, a których przedstawiać szczegółowo nie zamierzam, gdyż widok męskich zapasów jest dla mnie nad wyraz niesmaczny, a jestem świeżo po zacnej kolacji. Nie mniej jednak walka dwóch ancymonów - gdyż maszynista nie omieszkał spróbować powstrzymać swojego brata przed kolejnym, nierozważnym posunięciem z jego strony - zakończyła się zwycięstwem Łysego, który jak tylko przejął panowanie nad sytuacją - oraz panelem nawigującym - zaczął wpisywać odpowiednie współrzędne, na stojącym nieopodal globusie się wzorując.

Tutaj po raz kolejny pozwolę sobie wtrącić, iż nasz bezwłosy bohater non stop tkwi w niestusznym przekonaniu, iż działa wbrew swej woli, przez co równie niestusnie uważa siebie za gorszego od innych, co nie umożliwia mu skoncentrowania się na terażniejszości, gdyż jego umysł niemal cały czas generuje mu pod czaszką wizje alternatywnie przeżytej już w nieodwracalny sposób przeszłości, której żałuje za sprawą swoich błędów młodości, albo niepewne i mgłą otoczone wizje przyszłości, do których realizacji sił ów biedaczek nie czuje, przez co poprzez te dwa warianty w smutku i beznadziei żyć mu idzie na codzień. Chwilami tylko udaje mu się przypadkiem na tym co dzieje się tu i teraz myśl swoją nakierować, lecz jako iż zazwyczaj zdarza się to w momencie poprzedzającym kolejne felerne posunięcie - których wstydzi się niebywale mocno wierząc błędnie, iż jego błędy bardziej gorszące są od błędów innych, których to dostrzega niemało - to od razu powraca w poprzedni stan, aby chociażby na bieżąco nie oglądać świadomie swojego, niechybnie zbliżającego się głupstwa, a świadomość tego, że i tak i tak we wspomnieniach oglądać mu to będzie później dane, wcale do taktyki zmiany go nie motywuje. Brat jego włochaty nieraz mu mówił, ażeby przyznał się w końcu przed samym sobą oraz innymi do tego stanu świadomości, gdyż tylko w taki sposób zmienić sytuację ową można, lecz niepokorny tysogłów bardzo bał się publicznego aktu pokory, mylnie sądząc, iż nikt inny przez takie umysłowe niuanse nie przechodził i że nikt nie przyjmie jego zmiany nastawienia bezkrytycznie, a wręcz z radością oraz uszanowaniem.

Za sprawą takiego to właśnie permanentnego rozkojarzenia i wewnętrznego chaosu, nasz nieroztropny tysol, w amoku wzniosłych emocji, pomylił się podczas wpisywania skomplikowanego ciągu cyfr, przez co w jednej z kolumn zamiast dziewiątki wprowadził szóstkę. Owa pomyłka skutkowała tym, iż działo nakierowało się nie na Łódzkie Centrum Badań i Terapii Psychiatrycznych, w którym znajdował się Jan, lecz w jakąś ziemiankę w Pierdzielnikach Dolnych, gdzieś w pindu daleko na Wschodnich Kresach, gdzie w tym momencie jakiś obłąkany oszołom kontemlował w swoim narkotycznym stanie pieniek, na którym leżała rozkrojona w pół za sprawą siekiery cytryna.

Zapewne każdy z was, moi kochani czytelnicy, doświadczył w swoim życiu lekko niekomfortowej ciszy po palnięciu jakiejś przeżabawnej - choć nieprzyzwoitej - gafy. Pomnóżcie proszę teraz ową ciszę i konsternację przez

czternaście, a być może zbliżycie się nieco do atmosfery, która w tamtej chwili pojawiła się niczym niespodziewany zwrot podatku w tym niewielkim i dusznym pomieszczeniu.

- Ło k***a! - krzyknął Łysy łapiąc się za swą czaszkę.

- Mega to k***a! - skomentował jego brat.

- Co to za typ?

- Nie mam pojęcia. Sprawdź! Szybko!

- Ale przypał...

- Sprawdzaj!

Drżącymi rękoma Łysy klikał pośpiesznie w klawiaturę, aby za sprawą obszernego spisu ludności dojść do kartoteki owego jegomościa.

- Przybystaw... - jęknął z przerażeniem, a jego zuchwa opadła na podłogę.

- Ło k****a! Ale masz p*****e.

Przybystaw był dobrze wszystkim znanym na Saturnianie Ziemianinem, który zasłynął swoimi niewymownie niezgodnymi z rzeczywistością teoriami, które brał za pewnik oraz prawdę objawioną.

- Ile mamy czasu? - zapytał Łysy.

- Czternaście minut.

W tym oto momencie w mojej kurzej głowce odezwał się głos - który nie jest głosem w dosłownym tegoż słowa znaczeniu - nakazujący mi kolejne objawienie i za sprawą Jedności w Duchu pokierowanie naszego ancymona w odpowiednie miejsce.

W milczeniu i nie lada napięciu mknęliśmy całą trójką - gdyż maszynista postanowił wspierać swojego ukochanego brata w tym kryzysie, pomimo tego iż był na niego wściekły - przez kolejne wagony pociągu, aby dostać się w końcu na jego koniec, gdzie przy masywnych drzwiach Roman Svento stacjonował.

Pan Roman był lokalnym mądrałą, który wiedział wszystko odnośnie wszystkiego, ale jako iż w słowach nie przebierał, to mało miał wiernych i oddanych słuchaczy, których to liczba równa zero bywała zazwyczaj, więc jako człowiek do głoszenia prawdy przeznaczony, w zwyczaju miał myśl swoją za sprawą sztuki wszelakiej świata obwieszczać, a uzdolniony był tak bogato, iżby zapewne nawet castingu do popularnego telewizyjnego show by nie przeszedł, co jedynie jeszcze bardziej do swojej chwalebnej działalności go motywowało.

Dotarwszy na koniec pociągu łysol zagaił do tegoż tajemniczego jegomościa, którego wybornie i precyzyjnie pojęcie takiego typu określa, ukazując tym samym jego lazurową naturę świata całemu.

- Cześć Romek.

- Witaj wędrowcze.

- Potrzebuję twojej pomocy.

- Myślisz, że ci pomogę?

- Yyy... Tak?

- Ale najpierw zagadka! - ryknął wzniośle na całe gardło.

- Roman k****a mać nie mamy teraz czasu na twoje zabawy. - wtrącił maszynista.

- Najpierw zagadka!

- No dobra, dobra... - jęknęli w duecie.

- Było sobie czworo ludzientek. Pierwszy z nich pragnienia swego serca z pomocą serca spełniać się starał. Drugi z nich pragnienia swego rozumu przy użyciu rozumu realizował. Trzeci z nich za sprawą rozumu spełniał pragnienia swego serca, a czwarty kierując się sercem realizował pragnienia rozumu swego. Któż z tej czwórki był mądry kolego?

- No to doj***łeś Romuś i to zdrowo. - skomentował włochacz rechocząc.
- *Nie przerywaj mi kiedy zbieram myśli!* - syknął Łysy ze złością.
- Pierwszy? - zapytał niepewnie po chwili tęgiego namysłu.
- Nie!
- Czwarty?
- Nie!
- No to drugi?
- Nie! Nie! Nie!
- No to k***a który?! Aaa... Już wiem! Trzeci!
- Tak... Trzeci, łysy łbie. Wiesz chociaż dlaczego?
- Yyy... Nie?
- Pierwszy był jak zwierzę, które to rozumu nie posiada i jeno instynktem oraz wytresowanymi zachowaniami swój żywot prowadzi, drugi był bezduszny niczym robot, więc mądrości zasmakować nie miał prawa, czwarty był głupcem ze słomianym zapalem, który nie potrafi okiełznać swoich emocji intelektem, więc był chwiejny i niczego nie osiągnie, gdyż brak mu wytrwałości oraz planowania. Dlatego to trzeci idzie drogą poznania!
- Do Poznania? Dzisiaj grają coś fajnego w Poznaniu? - wtrącił maszynista.
- Poznania głąbie! - ryknął z oburzeniem.
- No przecież mówię... Poznania...
- A idź... Nieważne.
- Czego więc ode mnie chcesz mój drogi głuptasie?
- A... Bo tego...
- Ty... Romuś. Mam pytanko.
- K***a przecież nie mamy czasu!
- Oj dobra no... Chwilkę tylko... No muszę no.
- Słucham cię zacny durniu.
- Fajnie to być takim mądrym?

- Nie.
- Dlaczego?
- Bo nie. Coś jeszcze...?
- Tak. Jak ty to robisz? Pewnie czytasz cały czas mądre książki, prawda?
- Nie. Po prostu mam otwarty umysł i staram się wszystko zrozumieć niczego nie przekreślając na samym początku zaznajomienia, a jako iż chcieć, to móc - zazwyczaj - to z czasem jak poznaję dane zjawisko zostaje mi dane zrozumienie, na podstawie którego jestem w stanie ocenić, czy jest ono zgodne z naturą - czyli mądre - czy nie - czyli głupie.
- Aha... A skąd wiesz jaka jest prawdziwa natura tych wszystkich spraw?
- Z jakim problemem do mnie przyszedłeś mój łysy kolego? - urwał brutalnie wątek, pochmurny w tym momencie Romek.
- A no właśnie! Bo ja tego... Pomyliłem się i teraz działo Graaatz! zaraz wystrzeli nie tam gdzie trzeba i będzie bigos jak nie wiem co! O!
- Coś ty znowu naodpie****ał ancymonie. Pewnie teraz chcesz, aby ci powiedział jak to wszystko odkręcić?
- A no.
- Co to za gość?
- Że kto?
- Ten, w którego wystrzeli działo!
- Aaa... No tego...
- Przybył... - wtrącił maszynista widząc, iż jego brat nie kwapi się do wyjawienia tej wstydlivej okoliczności.
- Bombowo. Zaiste precudnie się to wszystko zapowiada niesforne gagatku.
- Co masz na myśli.
- Wiesz co jest za tymi drzwiami?
- Nie.
- To dobrze.
- Za kilka chwil cię za nie wyrzucę...

- Ale dlaczego?! - wtrącił przerażony.

- Bo tak trzeba.

- No ale...

- Daj mi skończyć. Za tymi drzwiami jest Wir Czasu, dzięki któremu twoje ciało zawisnie między światami, a twój duch będzie w stanie swobodnie przemieszczać się pomiędzy wymiarami, czasoprzestrzenią oraz alternatywnymi wszechświatami, którymi to zapewne naszpikowana jest główka Przybystawa.

- I co dalej?

- Nie przerywaj mi! W każdym z tych wszechświatów Przybystaw będzie tak zwanym panem. Kreatorem. Stwórcą. Architektem.

- I...?

- Miałeś mi nie przerywać!

- Ups... Sorki.

- A więc... Jako iż dział Graaatz zapewne stworzyłoby kilkanaście alternatywnych wszechświatów, co skutkowałoby zbyt dużą ingerencją w istniejącą rzeczywistość, to wyskoczyłby Bluescreen i wszyscy przestalibyśmy istnieć.

- Jak to?

- Normalnie. Dlatego musisz rzucić się w Wir Czasu, aby zanim dział wystrzeli w kierunku Przybystawa ustatkować stan jego psychiki do takiego stopnia, w którym moc działu popchnie świat - za sprawą wybranego, czyli w tym przypadku Przybystawa - do przodu, a nie rozwali go w drobny mak, czyli zgodnie ze swoim standardowym przeznaczeniem.

- No ale jak ja mam to zrobić?

- Słuchaj uważnie bo objaśniam. Niestety każdy wszechświat, jako spójna całość stworzona przez inteligentnego kreatora ma swój ustalony, odwieczny ład, porządek, prawa oraz ustaloną i dopasowaną do funkcjonowania wszechświata jako całości liczbę bytów materialnych, tak więc nie będziesz się mógł pojawić w takim środowisku swoim ciałem, lecz jedynie jako duch, który będzie miał możliwość wtłoczyć swoją istotę w daną materię. W twoim przypadku będziesz musiał odszukać Przybystawa i przekonać go, aby wypowiedział zakłęcie, dzięki któremu

jego chora wizja przestanie istnieć. Jak wszystkie chore wizje przestaną mieć rację bytu wtedy będzie zdrowy i gotowy na to, aby dopuścić do niego promień z działu Graaata.

- Zakłęcie? Przekonać go?

- Tak. Jako duch nie będziesz mieć bezpośredniej władzy nad swoim nosicielem, ale jedynie poprzez swoje podszepty, których to dany byt słuchać nie musi, ale może, będziesz miał możliwość wpływać na jego zachowanie i w taki sposób uzyskać swój cel.

- No ale jak to?

- Nie zagłębiając się zbyt w szczegóły bo mi się nie do końca chce, to określe to tak. Intuicja, którą to często się ludzie posługują ma kilka składowych, a jedną z nich jest duch. Duchy są różne. Od małych, które kierują takimi paskudztwami jak wirusy, po ogromne, które swoją wielkością obejmują cały wszechświat. Twój duch będzie standardowych rozmiarów - oceniając to z perspektywy ludzkiej - tak więc będziesz mógł bez większych problemów wtoczyć się w intuicję danej osoby, której Duch Świata zapewne będzie patologiczny, gdyż to umysł Przybysła - jako kreatora - go stworzył, tak więc będąc już w indywidualnej intuicji danej osoby będziesz mógł swoimi dyskretnymi działaniami wpływać na jego emocje i myśli. Doskonałym narzędziem, które otrzymasz w tym nowym dla ciebie środowisku będzie tak zwany głos sumienia. Manipulując nim będziesz w stanie za sprawą dobrego i złego, wewnętrznego samopoczucia jednostki popychać ją do pewnych zachowań, bądź odciągać od innych. Musisz być jedynie świadomy tego, iż ludzie często mają w głębokim poważaniu swoje sumienie i nie raz robią coś co teoretycznie ich zasmuca i obniża ich samoocenę, dla wyższych celów, których to zazwyczaj sami nie rozumieją. Niemniej jednak, jak tylko będziesz widział, iż dana osoba zbliża się do prawdy, to poprawiaj stan jego sumienia, a jak będzie się od niej oddalała, to je pogarszaj. Jakby tego było mało, to jako iż będziesz funkcjonować w świecie utworzonym przez Przybysła, to w każdym z nich prawa natury - czyli również te, które kształtują rdzeń naturalnego sumienia każdej żywej istoty - będą inne i mogą się one - choć nie muszą - różnić od tych które znamy z tego wszechświata.

- Chyba mam już dość.

- Niesłusznie! Jako kolejne narzędzie, które może ułatwić ci wykonanie swojej misji - bądź je utrudnić - dostajesz możliwość ingerencji oraz wejścia we wspomnienia i wizje swoich nosicieli. Zazwyczaj będzie to budzić w nich

zakłopotanie, gdyż z ich perspektywy nie będą oni do końca pewni tego, czy daną sytuację sobie przypominają, czy tylko wyobrażają, a tę niezgodną z przeszłością kreację w ich głowach będziesz mógł utworzyć ty, co może mieć wpływ na zachowanie danego osobnika. Pamiętaj tylko, aby nie nadużywać tej techniki, gdyż może to skutkować niepoczytalnością człowieka, któremu w głowie będziesz mieszał.

- Coś jeszcze?

- Tak! Będziesz miał bezpośrednią możliwość rozmowy z danym człowiekiem, ale tylko i wyłącznie podczas jego snu, lecz niestety nie będzie on widział cię takim jaki jesteś jako duch - który będzie mieć tak jakby wygląd twojego ciała - oraz nie będzie rozumiał bezpośrednio treści twoich słów, które będziesz do niego wypowiadał, lecz jego umysł będzie wpisywał twoją osobę oraz twoje słowa w zapisane w pamięci danego osobnika obrazy.

- Czyli?

- Czyli na przykład nie będzie widział ciebie jak mówisz do niego, że ma udać się do sklepu, aby kupić arbuzy, lecz może to się objawić w jego umyśle na przykład jako wizja tropikalnej dżungli wypełnionej arbuzami, albo jako rozmowa z jego dawnym znajomym sprzed kilku lat, który w kółko powtarza jedynie słowo: arbuz.

- To nazywasz bezpośrednią rozmową?

- Lepszej opcji nie ma.

- Jest jeszcze coś co powinienem wiedzieć?

- Tak. Pewnie nieraz spotkasz się z sytuacją, w której osoba będąca twoim nosicielem przestanie nad sobą panować za sprawą emocji, bądź używek. Wtedy będziesz miał okazję do tego, aby przejąć bezpośrednią kontrolę nad jego ciałem i robić to co ci się żywnie podoba.

- Czy ta bezpośredniość będzie tak samo poplątana jak we wcześniejszej kwestii?

- Nie. Tutaj możesz rozumieć to słowo dosłownie.

- Czyli to już wszystko?

- Nie! Po pierwsze masz trzy dni, aby znaleźć Przybysława i zamknąć dany wszechświat.

- Dlaczego tylko trzy dni?!

- Bo tak.

- A co jeśli nie zdążę?

- Zostaniesz w tym po*****nym czymś na wieczność.
- Ło k****a!
- Mega to k***a! - dodał maszynista.
- No to ja nie chcę się w to bawić. Nie podoba mi się to.
- Nie masz wyboru.
- Mam.
- Nie.
- Mam! Dla mnie to głupie i nie będę w tym uczestniczył. Jestem wolny, więc mam prawo wyboru.
- Niestety mój ty łusy koleżko. Niektóre rzeczy istnieją, a inne zjawiska zachodzą niezależnie od tego, czy w nie wierzymy, czy też nie.
- Nieprawda! Nie zgadzam się!
- Durniu ty... A co w sytuacji, w której ktoś nie wierzy, że dany teren jest mocno skażony radioaktywnie? Czy jego wiara w nieistnienie tego zagrożenia będzie mieć wpływ na to, czy po kilku godzinach przebywania w takim miejscu umrze?
- Nie.
- No właśnie. Umrze niezależnie od tego, czy w to wierzy, czy nie, tak więc teraz nie zawracaj mi głowy swoimi nihilistycznymi wymysłami i bierz się do roboty!
- No ale ja się boję!
- To zrozumiałe. Dlatego będziesz mieć pomocnika, który będzie ci podpowiadał co masz robić i gdzie się udać.
- Kogo?
- Pro-kurę Samoistną!

Poziom irytacji mojej przyprawił mnie o gazy, gdyż bardzo nie chciałem udawać się z tym wariatem do miejsca, w którym równie zwariowane rzeczy miały się odbywać w moim domyśle, lecz odgórna wolna, która to ciężkim stemplem posłuszeństwa wyryła się na moim kurzym serduszku nie pozwalając mi na bierność w tej zawilej sprawie o absurd się ocierającej.

- Po co mi ona?
- Pro-kura Samoistna jako byt najbardziej połączony z Absolutem będzie za sprawą swego ciała ukazywać ci osoby, w które powinieneś wejść, aby wykonać swoją misję.
- W jaki sposób?
- Będzie siadać im na banię.
- Tak po prostu?
- Tak. Gdyż Pro-kura Samoistna siada na banię!
- Super...
- Musisz tylko uważać na jedną rzecz.
- Jaką? Co znowu...
- Ona też musi jeść, aby żyć.
- I...?
- Obok jej kurzej postaci będzie nieodłącznie lewitować mała złota miseczka, w której będą potrzebne jej do spożycia ziarna.
- I...?
- No i te ziarna będą się z czasem wyczerpywać, czego mam nadzieję nie muszę ci objaśniać, a zatem będziesz musiał jej miseczkę co jakiś czas napełniać, gdyż jak tylko okaże się, że jest pusta, to Pro-kura będzie zmuszona wrócić do domu, a ty zostaniesz sam w tych chaosie, a wtedy będziesz zgubiony.
- Jak ja mam to niby zrobić?! Jak ja mam jej dosypywać tych cholernych ziarenek?!
- To proste! To będą ziarna Miłości, więc jak tylko Pro-kura zacznie się skarżyć na ich małą ilość, to będziesz musiał zmuszać swojego nosiciela do czynienia dobrych uczynków, albo do udania się jego w miejsce, gdzie dobrych uczynków nie brakuje. W taki to sposób twój pomocnik będzie zawsze przy tobie.
- No i co teraz?

W tym oto momencie Roman Svento otworzył masywne drzwi, a do wagonu wdarł się nieznośnie mocny wiatr.

- *Musisz tam wskoczyć!* - krzyknął wskazując palcem na wielobarwny wir energii.

- *Nie! Nie chcę!*

Rozgniewany Romek chwycił tego śmierdzącego tchórza, a zaraz po krótkiej szarpaninie cisnął jego wątłe ciało poza granice Saturnianina wkładając w międzyczasie karteczkę do kieszeni u jego spodni.

Poleciawszy za tym zdezorientowanym i sparaliżowanym paniką nicponiem obserwowałem jak w amoku wyciąga on ów prezent, a zaraz potem czyta jego zawartość.

Leży w błocie zardzewiała rękawica.

Jedni tańczą wokół niej w płomieniach emocji.

Drudzy badają chłodem swej racjonalności.

Nikt zaś nie chce jej podnieść i podjąć wyzwania.

Gdyż strach ich przed tym ryzykiem wzbrania.

Drzemie więc dalej i niszczeje powoli.

Ty zaś zaufaj Miłości, bądź gnij do woli.

- *Zakłęcie! Jakże to ma być zakłęcie?* - krzyknął zbliżając się plecami do złowieszczonego wiru i obserwując swymi załzawionymi oczyma regularnie oddalającego się Romana, który chłodnym spojrzeniem obserwował go stojąc w końcowych drzwiach pociągu.

- *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti. Amen!*

Głupotia Pro-kury Samoistnej

i

STEKI BEZSENSU

Arkadiusz Kordela

“Pomidor.”

autor nieznany, sytuacja tajemnicza

No to lecimy... W sumie to ja leciałem moim mili za tym łysym przyglupem co to narobił tego bigosu niemałego, a co do bigosu niemałego, to uwierzcie mi, bądź nie, ale zaraz po tym bezprecedensowym wtargnięciu w Wir Czasu trafiliśmy do przestrzeni, w której znajdowały się wszystkie myśli, wszystkich ludzi ze wszystkich czasów.

Rozgardiasz w tym całym zamieszaniu był tak zacnych rozmiarów, iż - jako istota nieco nazbyt się w tym lubująca - postanowiłem nazwać ów miejsce mianem *Apogeum Bigosu*, gdyż pomimo iż nic się tam kupy nie trzymało, to wybornie nadwyraz smakowało. Łysy pływał - dosłownie - we wspomnieniach nastoletniego chłopca, przypominającego sobie zabawę klockami LEGO, w wizjach profesora filozofii, który ubzdurał sobie, iż uda mu się udowodnić, iż to jajko było pierwsze, a nie kura, głębokiej refleksji studentki zwracającej kebaba w klubowej ubikacji za sprawą swoich ust czerwonych oraz nadętych jak zwykle, jak i w troskach dobrej matki, która w nerwach spoglądała na zegarek wyczekując powrotu do domu swojej pociechy niefrasobliwej.

Przedostawszy się poza tę strefę myśli codziennych Łysy naprężył kart, zmrużył oczki swoje zuchwałe, po czym ruszył pospiesznie w dół niczym gołębie guano mknące wartko na głowę człowieka, który substancję podobnej natury dźwiga codziennie pod czaszką swą nieomylną. Zdziwiony nieco z początku jego determinacją wezbrałem się w sobie i podążyłem za nim przypominając sobie konsekwencje jakie nakreślił dla niego Roman Svento, co rozwiało moje zdumienie odnośnie jego nastawienia błyskawicznie.

Zaraz potem wtargnęliśmy w mroki i blaski kosmosu, który rozmazując się przed nami jakby świadomie wskazywał końcowy cel tej frywolnej wędrówki. Kilka sekund później oczkom naszym wysuszonym ukazała się nasza kochana planeta Ziemia, do której zbliżaliśmy się nieuchronnie z lekkim wytechnieniem, przeistaczającym się powoli w rozczarowanie nieznośnej natury.

Rzeczy wszelakie zaczęły nabierać tak gwałtownego tempa, iż po ułamku sekundy byliśmy już w jakimś ciemnym archiwum, w koncie którego spał jakiś obleśny koleś, dla którego smuga ciągnącej się śliny kreśliła zmyślne wzroki na brunatnej od brudu wizytowej koszuli. Pchnięty wewnętrznym poruszeniem usiadłem mu na głowie, dając tym samym znak Łysemu, iż to w niego powinien teraz wtargnąć bez pytania o zgodę jakkolwiek.

Chwilę niespełna później w kieszeni marynarki człowieka, w którym stacjonował już nasz łysy chytrus wydobył się dźwięk z telefonu komórkowego informujący go, iż ktoś zapewne zacy i ważny stara się do niego dodzwonić.

- Halo? - zapytał zdziwionym, zaspanym głosem.

- Słuchaj co mam ci do powiedzenia! - krzyknął ktoś niebywale przejęty.

- Co?

- Siedzisz?

- Nom.

- To wstań! Kierowidzie do ciebie!

- Co? Jak? Gdzie?

- Idzie do archi... - uciął rozmowę w połowie zdania.

Ofiara Łysiego podniosła się rychło z podłogi, otrzepała swoje ubranie z kurzu, poprawiła włosy i naprężwszy tors poczęła spoglądać dumnie w stronę drzwi wejściowych. Głośne pukanie, jak gdyby ktoś wielką pięścią uderzał w te szare, stalowe drzwi rozeszło się po całym archiwum, a nasz bohater struchlał jakby dotknięty różdżką magiczną.

- Już pędzę! - krzyknął słodkim głosem, podskakując radośnie niczym nowopowstała południca na wiejskiej łące w stronę masywnego żeliwa zamontowanego w grubej ścianie.

- Otwieraj! - ryknął, zdecydowanie niepocieszony jegośmoś z za drzwi.

- Oh... Proszę mi wybaczyć panie kierowniku. Zaczytałem się w tym pięknych archiwach. - tłumaczył się łgarz, z ukłonem zapraszając swojego przełożonego do środka.

Szczupły, wysoki mężczyzna w okularach i z dobrze przystrzyżoną bródką pofarbowaną na seledynowo odziany był czarny garnitur, żółte kalosze w motylki oraz słomiany kapelusz. Szedł pewnym krokiem przed siebie ciągnąc

za sobą wielkich rozmiarów pięść, która ledwo co mieściła się w drzwiach, a rysując po podłodze zostawiała na niej głębokie szpary, z których wybiegały prędko małe homary rozbiegające się w popłochu na boki ze śpiewem przypominającym nieco hawajskie pieśni ludowe.

Ów jegomość zacny i stylowy, jako iż słusznie piastował tak ważne stanowisko w tym niemałym przedsiębiorstwie znał wszelkie nowoczesne metody motywacyjne, tak więc nie zwlekając zaczął swoimi krzykami i bezpodstawnymi pretensjami wprowadzać naszego biedaka w stan podwyższonego stresu, gdyż wszystkim światłym menadżerom wiadomo, iż zestresowany pracownik, wróć... Jeden z elementów zasobów ludzkich... W stresie pracuje szybciej, a poprzez strach łatwo oraz małymi kosztami własnymi - z perspektywy kadry kierowniczej - można później taki podmiot przemysłowy w postaci ludzkiej istoty przymusić do robienia rzeczy, na które w normalnych warunkach psychicznych by się nie zgodził. Oczywiście w ramach szczerego dziękczynienia daje się takiemu pracownikowi kartę multisport, aby mógł sobie odreagować nadmiar stresu - który rzecz jasna wynika z jego niezdarności życiowej oraz słabej psychiki, a nie z psychopatycznego systemu zarządzania - na siłowni, albo nawet na basenie jakimś prześlicznym, od którego bije chlorem na kilometrów czterysta i pół.

- Abiaszu! Ile razy mam ci mówić, abyś dbał o stan porządku na biurku twoich kolegów i koleżanek!

- Ale panie kierowniku... Przecież oni są dorośli, czyż to nie oni sami powinni dbać o porządek na swoich stanowiskach pracy?

- Milcz kleszczu przebrzydły! Nie masz sumienia? W ogóle nie obchodzi cię los twoich kolegów i koleżanek?

- Ale panie kierowniku... Przecież jesteśmy w pracy i każdy ma przydzielone odpowiednie obowiązki zgodne z jego wykształceniem, doświadczeniem, zdolnościami oraz umową, a ja jako archiwizator nie mam chyba w zakresie obowiązków niańczenie dorosłych ludzi, którzy przyszli tutaj tak samo jak my wszyscy, aby pracować, a nie...

- Milcz kleszczu przebrzydły! Nie masz serca?

- Ale panie kierowniku...

- Jak śmiesz podważać moje kompetencje?! - krzyknął w końcu z niekłamanym oburzeniem.

- Nie miałem zamia...

- Milcz! Nie mogę na ciebie patrzeć! Idź natychmiast posprzątać stanowiska w dziale sprzedaży.

Abiasz - w końcu wiedzieliśmy jak nasza pierwsza nawiedzona persona ma na imię, więc mogę przestać używać wciąż kombinacji słów Łusy i ofiara, w różnych odmianach, gdyż nasz najgłówniejszy bohater imienia się nie dorobił niestety - ze spuszczoną głową, zaciśniętymi usty oraz pięściami szedł prędko do działu sprzedaży, w którym miał wykonać swój najważniejszy, służbowy obowiązek, chociaż pomimo iż nieraz starał się odnaleźć w swojej pamięci ten moment, w którym godził się na niańczenie pełnoletnich ludzi podczas rozmowy rekrutacyjnej, to jego zawodna pamięć dostarczała mu jeno rozczarowań i kompleksów, gdyż jego umysłowa praca za każdym razem fiaskiem się kończyła okrutnym.

- Pro-kuro! Patrzaj no! - krzyknął do mnie Łusy spuszczać z oczu Abiasza hologram, na którym wyświetlały się jego aktualne myśli.

Nawiasem mówiąc i za szczerą swą ręką do dziś dzień nie wiem jak on to robił...

Na prostokącie tym nie małym w formacie szesnaście na dziewięć - chociaż osobiście wolę cztery na trzy, no ale co zrobisz - wizja niesłychana się ukazała przed oczyma memi.

Abiasz znudzony i nadwyraz nieszczęściem przepętniony zapewne, wlepił ślepki se przymrużone oraz zdziebko czerwone w drzwiczki mikrofalówki, w której kręcące się w koło - jakby kręcić się można było w trójkąty, czy kwadraty na przykład - naleśniki z sezamem i kapslami od napojów gazowanych oraz chemią barwionych, które pachniały na cały przedpokój - gdyż tam to nasz Abiaszek mikrofalówkę trzymał najwidoczniej - topionym plastikiem, co nijak do namysłu naszego zmęczonego ciężkim dniem w pracy głodomora nie doprowadzało.

Mysli owa zapewne umilała mu żywot stanu terażniejszego jak i pomogła uciec od poczucia niesprawiedliwości, której to niestusznie przejaw się w nim rodził jak domniemywać mam czelność w mej pysze i intelektualnym wyuzdaniu.

Przemierzając kolejne pomieszczenia spoglądał radośnie na dokumenty przeróżne, co to latały sobie po biurach wszelakich, gdyż pracowici pracownicy, jako iż o wydajność największą się starali - dla chwały ich zakładu pracy ma się rozumieć - nie chcąc czasu tracić na papierów przeróżnych noszenie, zmyślnie składali z nich samoloty, po czym owe makulaturowe maszyny w ruch, ręki ruchem wprawiali tak, aby możliwie najcelniej w rękę druha swego zza biurka dolecieć mogła. Fakt, iż złożenie owej konstrukcji - zważywszy na nieudolność wszelaką takiego biurowego stworzenia - znacznie przekraczał czas hipotetycznego spaceru ze stanowiska, do stanowiska współpracownika swojego jakże prawdziwie i niekłamane szanowanego, w żadnym razie nie rodził w nikim choćby chwili zwątpienia, czy aby ów sposób działania na pewno jest bardziej wydajny niż klasyczny, a zapewne myśli o tym, iż być może to wszystko nie wynika z ich szczerzej chęci ułatwienia żywota wszelkiemu życiu w tym miejscu, ale wywodzi się z czystego lenistwa, była tak obrzydliwym kłamstwem, że bronili się przed nią niczym wysuszona skórka pomarańczy przed atakiem jakiegoś mistycznego grzyba. Abiaszowe spostrzeżenie, które zapisywało pod jego czupryną niezgrabną widok sterty samolotów owych po podłodze porozrzucanych, bądź w wielkich stertach kąty pomieszczeń zdobiących napętniało go dumą, iż ów nowoczesny system dzięki swojej innowacyjności i sprawności zmniejsza do minimum możliwość zaginięcia niejdengo ważnego dokumentu, no ale będąc człowiekiem rozsądnym miał świadomość tego, że możliwość błędu zawsze niecznie czyha za rogiem, tak więc zazwyczaj z niebywale miłosierną wyrozumiałością odnosił się do wszelkich sytuacji, w których któryś z pracowników, bądź klientów borykał się z jakimś problemem wynikającym z braku odpowiedniej dokumentacji na odpowiednim miejscu.

Jako ciekawostkę dodam, że w tym świecie przybyszawowskim nie wiedząc czemu papier nie imał się grawitacji w ogóle i za każdym razem przyciśnięty musiał być czymś cięższym - i o większej gęstości zapewne chociaż fizyk ze mnie marny tak samo jak i kucharz - gdyż gdyby nie to, to sru, leciałby do góry, aż po chmury, tak więc w owych

samolocikach zawsze jeszcze ciężarek wędkarski owi zmyślni i kreatywni pracownicy wkładali, a jak się któryś zapomniał, to ów lotna konstrukcja kończyła lot swój majestatyczny na suficie, który w każdym biurowym pomieszczeniu zapętniony był ową dekoracją niekłamanie zadziwiającą, co jednak cały czas pozostawało poza świadomością Abiasza, gdyż jako iż ciągle ze spuszczoną głową chadzał, to nigdy na suficie nie tyknął choćby na chwilę.

Idąc korytarzem, nasz nieco przepełniony jegomość zauważył chowającego się rychło zza rogiem speszzonego znajomka, który krzyknąwszy na jego widok ruszył pędem po schodach w dół. Nie zastanawiając się zbyt - gdyż poczułem wewnętrzne poruszenie - podleciałem w jego stronę, aby lada chwila siedzieć już na jego głowie.

Okiem swym duchowym spoglądając w stronę Abiasza zniesmaczonego owym spostrzeżeniem ujrzałem ducha Łysego, który radośnie mknął w moją stronę prawiąc do mnie niemal z rozpustną rozkoszą takimi oto słowy.

- Na stwórcę naszego kochanego pociągu! Dzięki ci żeś mnie łaskawie kazał wydostać się z tej głowy nieznosnej!
- Było aż tak źle? - zapytałem stroskany i zaintrygowany, gdyż z mojej perspektywy wewnątrz abiaszowe - jak i każdego innego nawiedzzonego - nie było dla mnie na tyle jasne oraz bezpośrednie jak ze strony naszego biedaka bezwłosego kompana.
- Milcz... - syknął z wrogością, której do dziś dzień nie rozumiem, gdyż to przecież nie ja owe cele naszej wędrówki wyznaczam, po czym wtargnął w ciało naszego nowego znajomego.
- No nie! - ryknął przeraźliwie wylatując z niego i pozostając w bezcielesnej formie.
- Co ty wyprawiasz?
- Nie wracam tam.
- Jak to nie wracasz...?
- Nie ma mowy! Wiesz co to za gość?!
- Nie obchodzi mnie to, a i ciebie nie powinno.

- On codziennie jedzie do pracy komunikacją miejską z dywanem. Celowo spóźnia się kilka minut, co oczywiście później odrabia na koniec dnia każdego, a jakby tego było mało, to bez przerwy wkręca wszystkim, że on do pracy na tym dywanie przylatuje! Zostawia później ten dywan w swojej szafce zagracaając sobie miejsce na ubrania i pomimo iż przeczuwa, że każdy już dawno się domyślił prawy o jego kłamstwie, to brnie w tej grze oszukując samego siebie.

- No nie...

- Tak! Koleś myśli, że jest fajny, że ludzie go za to lubią i podziwiają, bo przylatuje do pracy na dywanie!

Jak ja rykłem śmiechem nieprzyzwoitym w chwili owej, to opisać ten pismak niekompetentny nie jest w stanie, ale z tym większą radością przypominałem mojemu koledze jakie konsekwencje czekają go jeżeli nie dostosuje się do obecnych warunków, na które *de facto* sam siebie skazał. Naburmuszony i bijący energią niedobłą z lekką ostrożnością wtargnął jednak w cielsko tegoż jegomościa, który to cztery nogi posiadał, z czego dwie miał przykurczone i przywiązane do brzucha, a to dlategoż to wszystko, gdyż jako iż najwięcej chadzał po zakładzie jako konserwator, to zawsze mógł sobie z drugiej pary nóg skorzystać, jakby go pierwsza nadwyraz rozboleła. Rozczochrana, czarna czupryna, okrągłe okulary i koszula w pionowe białe-niebieskie paski dodawała temu stworzeniu nie lada uroku.

Biegliśmy za tem we trójkę w dół, a Łysy zagadnął do mnie, gdyż zapewne był tak stłamszony swoim aktualnym położeniem, że czuł niebywale silną potrzebę porozmawiania chociażby z kimkolwiek o czymkolwiek, a najwyraźniej z możliwości podszeptów dla swojego nowego nosiciela zbytnio skorzystać nie chciał w owej chwili.

- Słuchaj jaka historia.

- No.

- Czaisz, że jak ten kolo z jakimś drugim przygłupem rozwalili jakieś małe ustrojstwo w magazynie... Była to chyba szklana butelka z widelcem w środku o ile dobrze odczytuję to wspomnienie... To wpadli na pomysł, że rozwalą całutki regał, aby móc potem powiedzieć, że ten słoik się stłukł, bo regał sam się rozwałił bez ich winy.

- No i...

- No i czaisz, że jak już rozwalili ten całuski regalik, to poszli do swojego kierownika zameldować o tym całym niefortownym zajściu, ale zapomnieli o jednym...

- O czym...? - dopytałem już lekko podirytowany, gdyż czułem jak starał się stworzyć sztuczne napięcie.

- O tym, że w tym magazynie był założony monitoring.

- No masz... - odpartem nieszczercze obojętnie, gdyż wewnątrz coś we mnie się rechootało.

- Co za łeb... - skwitował i zamilkł.

- Siema! - krzyczy nasz zaradny jak się okazało kolega do swoich współziomków wchodząc do ciemnej hali, wewnątrz której kilkunastu typa wrzucało czarne worki do wielkich maszyn mielących, a druga część załogi pakowała wylatująca z machin tych głośnych nieznośnie zawartość do dużych, lnianych worków.

- Co oni tu robią? - zapytałem Łysego.

- Czekaj, patrzam... Ło kuźwa...

- Co?

- Ło kuźwa!

- No mów, że...

- To nawóz je.

- No i co...

- To je nawóz ze starych ludzi.

- Że jak?

- No że ta firma skupuje po taniości ciała starych ludzi z wypadków, ze szpitali i tak dalej, po czym robi z nich nawóz pod kwiaty doniczkowe.

- Że co?

- No tak! Takie tutaj bytuje pragmatyczne społeczeństwo. Ha! Wiesz z czego nawóz jest najbardziej cenny?

- Nie chcę chyba wiedzieć.

- Z ludzi po eutanazji. Bo byli najbardziej żywi, więc są bardziej żyźni ich zdaniem!
- Ło kuźwa... - nie wytrzymałem.
- Gdzie my so, co? - zapytał nieco zlekniiony.
- Nie wiem, ale moje przeczucie podpowiada mi, że najlepsze dopiero przed nami.

- Te! Gamoniui! - krzyknął nagle któryś z pracowników w stronę ofiary Łysego - zmuszony jestem po raz kolejny wrócić do tego niecnego sformułowania.
- Eeee?
- Cho no tu.
- Ide... Co tam?
- Nic. Słuchaj co mam ci do powiedzenia. Niezła akcja.
- Dawaj.
- Wyobraź sobie...
- Okej, już. Już sobie wyobrażam. Opowiadaj. - wtrącił.
- Tak tylko mówię!
- Co?
- Nieważne... Słuchaj. Jadę ja sobie wczoraj wieczorem do kumpla pogapić się na pasek postępu instalacji jego nowego programu do automatycznej zmiany tapety.
- Automatycznej zmiany tapety?
- No tak... Taka pierdoła...
- No ale jak?
- Nie o tym chciałem ci powiedzieć.
- Ale o tym mi powiedz!
- Migdałowe sprzęgło! Jest to aplikacja, która analizując twoją historię przeglądania, ruchy na komputerze oraz lokalizację zmienia ci tapetę w zależności od tego jaki masz nastrój w danej chwili...
- Aaa... Super sprawa. Fajna apka.

- Do dupy, ale pasek instalacji ma fajny.
- Jaki?
- Migdałowe sprzęgło!
- No powiedz no!
- Biało-zielony.
- Eee... Taki se...
- Dobra! Słuchasz?
- Nie, wyobrażam sobie.
- To wyobraź sobie jak jadę do niego samochodem.
- No.
- No i zajężdża mi drogę jakaś złotowa.
- Ta staroświecka moneta? - pyta skonsternowany, po czym dodaje.
- Ciężko mi to sobie wyobrazić.
- Taksówkarz durniu!
- Aaa... No tak. Wybacz.
- No to jak go nie wyprzedziłem zaraz, jak nie zatrzymałem samochodu, jak nie wyskoczyłem do niego i jak mu łomotu nie spuściłem, to panie!
- Pobijeś go?
- No! Debil jeden nie będzie mi drogi zajężdzał!
- Dobrze zrobisz. - skwitował po chwili namysłu.
- Wiem! Mało tego... Siedziała w tym gracie jeszcze jakaś młoda pipa z jakimś bachorem. Też im łomot spuściłem!
- Dobrze im tak! - podsumował bardziej już brawurowo i z większym przekonaniem.
- A jak! Po mordach łać jak jeździć nie potrafią! Wszystkich!
- Tak jest! W mordę taksówkarzy i ich klientów!
- W mordę!
- W mordę!

- Tak jest! Wiedziałem, że pomimo tych swoich czterech nóg jesteś spoko gościem!
- A ty mi zawsze wydawałeś się słabym półmózgiem, ale widzę, że prawdziwie szlachetny z ciebie mąż i ojciec.
- A no. Dobra. Pochwaliłem się, to spadaj już. Zajęty jestem.
- Dzięki. Trzymaj się!
- Nara.

Nieco zniesmaczony owym dialogiem oraz euforią jego uczestników wysłuchiwałem ze zniecierpliwieniem żali i skarg Łysego, który cierpiał niewymowne niewygody w tej istocie nietuzinkowej, która chwilę później wkroczyła do następnego pomieszczenia.

Kolejna - jeszcze większa - hala mieściła na swych obrzeżach liczne małe cele, w których znajdowały się łóżka, pionowo wbita w podłogę rura, oraz pusta klatka na ptaki zamiast żyrandola. Na środku zaś tegoż przedziwnego pomieszczenia stały poustawiane w równoległe linie stoły, na których mieściły się komputery. Osoby przy nich przebywające - wszelkiej płci - energicznie klikały swymi paluszkami powyginanymi w klawiatury i myszki krzycząc niebywale i śląc wyzwisk roje w stronę swoich współtowarzyszy.

- Cóż to znowu? - zapytałem Łysego.
- Patrzam... - odparł z lekką niepewnością.
- No nie...
- Co znowu?
- To hodowla je.
- Jaka hodowla?
- Hodują se tu ludków tych na narządy, aby se później z nich części przeróżne wycinać i wcinać tym co to akuratnie takowych ustrojstów potrzebują.
- Co to za świat? - wydusiłem z niedowierzaniem spomiędzy dziobka mojego już nieco mniej rozweselonego niż zazwyczaj.
- Postępowy i pragmatyczny. Ich zdaniem. - dodał na koniec z przekąsem.

- Oni się na to godzą?

- Ci tutaj? Oni nawet nie wiedzą, że to chore.

- Jak to?

- Jako iż powstają w laboratorium z *in vitro*, to od zawsze mieszkają w tym miejscu. Od małego uczy się ich, że świat został pogrążony w wielkiej wojnie, która jest pokłosiem nieco mniejszej wojny nuklearnej, a oni znajdują się w jednym z tysięcy schronów. Ichne społeczeństwo podzielone jest na różne kasy, z których każda jest równie ważna i bez której żadna inna funkcjonować by nie mogła.

- Jaką oni są kasą rzekomo?

- Męczenników.

- Że co?

- No że oni myślą, że jako iż jest ta wojna, którą to oczywiście dobro - czyli oni - wygrać musi dla jeszcze większego dobra pokoleń przyszłych, to muszą swoimi narządami i tym iście szlachetnym celu wspierać kastę wojowników, która walczy z wrogiem poza terenem bunkra. Jakby tego było mało, to wiedz, że są przekonani o tym, że grając w tę gierkę na komputerach tak naprawdę sterują jakimiś bojowymi mechami i walczą w tej samej wojnie co żołnierze z kasty wojowników, ale na innych frontach.

- Co?!

- Jakby tego było mało! Ze względów technicznych związanych z projektowaniem map do tej ich durnej gierki, wmawia się tym ludziom od małego, że Ziemia jest sześcianem.

- Wkręcasz mnie tu...

- No nie! Serio! Najlepsze jest to, że jak takiego męczennika wiozą na stół, aby mu na przykład opierdzielić wątrobę, to cieszy się on z tego tytułu, a w nagrodę dostaje dyplom z zieloną wstęgą, czego inni mu zazdroszczą...

- Nikt z nich się dochytasz o tym przekręcie nie zorientował?

- A no nie...

- No masz.

- Chcesz jeszcze jedną ciekawostkę?

- No dawaj.

- Ich przeciwnicy z tej gierki też żyją w takiej hodowli, z tym, że w firmie brata szefa tego tutaj to rynsztoka, gdzie działa to na identycznej zasadzie, za którą jakiś łebski naukowiec tego świata przybyszawowski dostał jakąś tam super międzynarodową nagrodę za dokonania filantropijne oraz rozwój medycyny i przemysłu lekkiego.
- Z tymi nagrodami, to zdążyłem już przyzwyczać obserwując ludzkość ostatnimi czasy... - skomentowałem na koniec objaśnień tegoż zjawiska.

Nasz wielonogi jegomość naprawił dwa komputery, po czym ruszył dalej, na wypoczętej parze nóg swoich nieco krzywych.

Ze zniecierpliwieniem wyczekiwałem kolejnych odkryć związanych z tą bezapelacyjnie dziwaczną miejscówką, a jako następny przystanek ukazał nam się parking oraz tranzytowy magazyn, do którego i z którego kurierzy dostarczali i odbierali paczki. Konserwator majstrował cośik przy jednym z czytników kodów kreskowych, a ja bacznie obserwowałem otoczenie. Spostrzegłszy metalowe, rozsuwane drzwiczki, u spodu których poruszała się taśma produkcyjna uczułem dziwne zaniepokojenie, a napis "Krzywonogi azjatyckie" znajdujący się nad nimi wcale nie poprawiał mi samopoczucia. Krzyki i wrzaski towarzyszyły pakującym paczki na ciężarówki, a w pewnym momencie zdało mi się, iż jakiś krzyk dobiegł z jednego z kartonów. Skonsternowany spojrzałem jeszcze raz w kierunku tajemniczych drzwiczek, które w tym oto momencie otwierać się zaczęły, ukazując mi tym samym trzy nagie, żółtoskóre oraz skońsnookie kobiety ściśnięte w metalowej klatce. Jeden z pracowników podbiegł rychło do tych nieszczęśliwych niewiast, a po otwarciu ich środka lokomocji począł szybko i bezduszenie pakować je po kolei do kartonu.

- Cholerne żółtki! - syknął ze złością upychając jedną z nich nogą.
- Poczekaj. Pomogę ci. - wtrącił jego kumpel podbiegając i zbierając z twarzy swojego towarzysza walczące dłonie jednej z kobiet.
- Co mnie podkusiło, aby przenieść się z afrykańczyków na azjatów.

- No ja też żałuję. Słowianie co prawda częściej wracają na reklamacje, ale za to są mniej bojowi podczas pakowania.
- Uspokój się głu-pia ba-bo! - krzyczał zaklejając karton taśmą i wciskając do jego środka ostatnie palce.
- Uff... Jak ja ich nie lubię.
- Kierownik nas wydymał. Taka prawda.
- Też tak sądzę.
- Dobra... Zarabiamy mniej niż wcześniej, ale dlaczego awans ma być związany z cięższą pracą? Nie kumam.
- Ja też nie. Cieszyłem się, bo narobiłem sobie długów, ale z tymi żółtkami to ja się dłużej użerać nie chcę. Idę do prezesa, aby mnie przywrócił na murzynów.
- Ej... Nie zostawiaj mnie.
- Zostawię.
- Ale z ciebie kumpel.
- Wiem. Najlepsy! - skwitował radośnie i zbił piątkę z kumplem, po czym ruszył dumnym krokiem gdzieś hen daleko przed siebie.
- A ty dokąd?! - ryknął w jego kierunku naburmuszony jegomość z kaskiem ochronnym na lewym kolanie, ale niestety nie otrzymał żadnej odpowiedzi.
- Poginani! Poginani! - odezwał się głos w krótkofalówce naszego aktualnego bohatera, którego imię było mi od tej chwili już znane.
- Halo?
- Poginaj no tutaj do działu sprzedaży, bo się kubek zepsuł.
- Kubek?
- Poginaj no!
- Okej szef.

Radosny Poginani rzucił natychmiast niedokończoną naprawę czytnika, pozostawiając go w jeszcze gorszym stanie niż przed swoim przyjściem i ruszył pospiesznie w stronę pomieszczeń biurowych, które znajdowały się piętro wyżej.

Nasz - jak się okazało - dość sprytny towarzysz przed przekroczeniem szklanych drzwi, za którymi dostrzec można było plastikowe boksy, w których siedzieli sprzedawcy ze słuchawkami na uszach, włączył na swoim telefonie komórkowym nagrywanie kamerą i włożył go do swojej kieszeni w koszuli na piersi w taki sposób, iż obiektyw był na zewnątrz, więc bezproblemowo mógł nagrywać wszystko z takiego jakby ukrycia.

Nie wiedząc z samego początku dlaczego ów typ tak się zachował starałem się rozwikłać tę zagadkę, lecz jak tylko ujrzałem, że zbliża się pośpiesznie do pewnej skupionej na swojej pracy niewiasty, zacząłem się domyslać o co w tym wszystkim chodzi.

- Łysy... Wizja.

- Tak jest. - odparł przez śmiech.

Na holmonogramowym ekranie ukazała się erotyczna fantazja. Widok z góry. Na szarych kafelkach leży naga, wijąca się szatynka zza biurka, której rozradowana twarz zdaje się emanować rozkoszą, gdy na jej rozpalone ciało spadają miarowo małe kawałki brokuła, którego krojeniem oraz obsypywaniem nim jej zajmował się oczywiście Poginani.

Oboje skomentowaliśmy to niemal niemą heheszką, po czym zaczęliśmy obserwować dalszy ciąg wydarzeń.

- Chaggita Rulmann-Lazarov-Karczewsky, witam w dziale sprzedaży Międzynarodowej Spółki Filantropijnego Handlu Towarem Szlachetnym z siedzibą w Baku. Zgodnie ze standardami Wspaniałej Komisji od Spraw Etyki Handlowej informuję pana, iż nasza rozmowa jest nagrywana w celu późniejszej analizy pańskich wypowiedzi

przez naszych specjalistów z działu marketingu, którzy później przy współpracy z rzeszą najlepszych psychologów ułożą dla pana szczególną ofertę, dzięki czemu zostanie z pana ściągnięte nieprzyjemne poczucie dylematu, ponieważ dzięki ich dokonaniom manipulujemy panem w taki sposób, iż nie będzie się mógł pan oprzeć naszym usługom. W ramach rządowego projektu Bezpieczne Zakupy w trosce o pana zdrowie oraz bezpieczeństwo pana najbliższych mam przyjemność poinformować pana, że zgodnie z rozporządzeniem Głównego Wieszcz Najwyższej Rady Wolności Słowa oraz Poruszania się, od czwartego stycznia dwa tysiące czterdziestego siódmego roku na terenie całej Demokratycznej Guberni, obowiązuje bezapelacyjny nakaz schodzenia po drabinie głową w dół, przy użyciu tylko lewej ręki, z zaznaczeniem, iż jeżeli jest pan leworęczny, to zgodnie z rozporządzeniem pana obowiązkiem jest użycie ręki prawej. W tym miejscu mam również obowiązek poinformować pana o tym, iż od pierwszego marca dwa tysiące czterdziestego szóstego roku zgodnie z rozporządzeniem Komisji do Spraw Węgla i Stali, każdy obywatel Demokratycznej Guberni ma obowiązek zgłosić do lokalnego Urzędu Dobroczynności i Integracji Społecznej, którą ręką bieglej włada i w jakich konkretnych czynnościach, nie pomijając przedmuchiwanie lewej komory nosowej przy użyciu chusteczki higienicznej, przy czym formularz E1453FG dostępny na stronie Ministerjum Rolnictwa Morskiego będzie zapewne dla pana pomocny w tej sprawie, o ile wciąż nie uregulował pan swojego obywatelskiego obowiązku. W czym mogę pomóc?

- Aaaa, dzień dobry. Wie pani... Bo moja żona ma niedługo urodziny, a kupiliśmy sobie taką ładną działkę pod miastem, abyśmy mogli się nieco zrelaksować przy uprawie ogórków, no ale co to za zabawa jak samemu trzeba wszystko robić.

- Dokładnie rozumiem pana problem. W takim przypadku wydaje mi się, że najrozsądniejszym wyborem będzie czarnoskóry mężczyzna z genotypem typu B, w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat.

- Tylko wie pani... Moja żona oglądała kiedyś horror, w którym jakiś murzyn powiedział publicznie swoje niezbyt pochlebne zdanie na temat filmu dokumentalnego o lwach morskich i teraz nie za bardzo dobrze się czuje w towarzystwie takich stworzeń.

- Yhym... Proszę o chwilkę, zaraz przygotuję dla pana specjalną ofertę. - niemal jęknęła z przerażeniem, po czym wyciszyła mikrofon, rzuciła słuchawkami na biurko i krzycząc zaczęła machać rękoma.

- Kierowniku! Kierowniku!

- Cóż się stało Chaggitko? - poderwał się rychło jegomość odziany w tęczyowy garnitur, a zamiast głowy miał tablet, na ekranie którego była puszczona prezentacja rodem z jakiegoś korporacyjnego szkolenia.

- Mam jakiegoś nienormalnego klienta.

- Jak to? Słucham.

- Kupił z żoną działkę za miastem i potrzebuje jakiegoś niewolnika do uprawy ogórków.

- Przecież to proste. Murzyn, genotyp B, dwadzieścia pięć, trzydzieści lat. Zgodnie z siedemdziesiątym trzecim punktem szkolenia odnośnie handlu ludźmi pod niewielkie uprawy.

- No tak, ale żona tego klienta boi się czarnych! I co teraz?

W tym oto momencie całe pomieszczenie wypełniło się zatrwożoną ciszą, a wszystkie oczy skierowane były na skonsternowanego kierownika, który po zetknięciu się z przypadkiem wybiegającym poza ustalone przez specjalistów okoliczności oraz ich rozwiązanie zawiesił się na chwilę w niemej zadumie.

- Mam! Daj mu jakiegoś słowianina o takich samych parametrach.

- Hura! Wiwat kierownik! Hura! - rozległa się gromka owacja całego pochłoniętego w zachwycie personelu sprzedażowego, a obrośnięty owym zajęciem w piórka kierownik w akcie nieludzkiej wręcz łaski dodał do swojej oczarowanej jego intelektem oraz wdziękiem przełożonej.

- Dorzuc mu gratis pięć kilo koziego sera jako prezent od firmy.

- Wspaniale... - jęknęła ze zdumieniem oraz niekłamany umiłowaniem wpatrując się w wykres na ekranie tableta - cóż za ohydne słowo przez omyłkę chyba do naszego pięknego słownika mowy polskiej trafiło ze smutkiem - jej kierownika, po czym rychło usiadła za biurkiem i poczęła z niesamowitym przyjęciem mówić do swojego klienta.

- Halo? Jest tam pan jeszcze?

- Tak. Jestem.

- Właśnie ustaliliśmy z kierownikiem specjalną ofertę dla pana w tej niebywale trudnej sprawie.

- Tak? - zapytał z zaciekawieniem i coś mi mówiło, iż w tym momencie zapewne zacierał rączki i spoglądał przymrużonymi oczkami w stronę swojej żony dając jej tym samym znać, iż niezły z niego handlowiec.
- W tej samej cenie możemy panu zaoferować słowianina. Również z genotypem B w wieku od dwudziestu pięciu do trzydziestu lat.
- O! To super!
- To jeszcze nie wszystko. Jako iż jest pan naszym zaufanym oraz lojalnym klientem, któremu zawsze wysyłamy życzenia SMS'em z okazji Święta Pustyni, to mogę dorzucić panu cztery kilo koziego sera.
- Pięć... - wtrącił dyskretnie kolega tej uroczej sprzedawczyni siedzący obok.
- Przecież wiesz jak ja lubię kozi ser. - odpowiedziała do niego przysłaniając mikrofon i puszczając oczko.
- Wspaniale! Bierz! - zawołał rodśnie klient.
- To dobrze. Proszę dać mi chwilę, abym mogła sporządzić umowę.
- Tak jest.
- Pana godność?
- Andrzej Ćwokul.
- Andrzej Ćwoku?
- Ćwokul!
- Aaa... Dobrze, przepraszam. Wysyłka tam gdzie wskazuje pana karta na stronie Urzędu Do Spraw Prywatności i Własności?
- Tak jest.
- O... Nie wspominał pan, że posiada pan sportowe auto. - dodała z lekkim zalotem w tonie.
- A wie pani... Nie ma się czym chwalić. Takie tam małe cacko do szaleństw na autostradzie.
- No właśnie widzę panie Andrzeju, że dość często przekracza pan prędkość... Taki z pana łobuz? - wtrąciła pod koniec z domieszką kokieterii.
- Aj... Nie... No wie pani. - zmieszał się nieco czując zainteresowanie swoją osobą młodej damy.
- Lubię szybką jazdę.
- Ooo... To dobrze się składa, bo moja żona wyjeżdża na weekend. - wtrącił półgłosem.

- Nawet pan nie wie jak się cieszę. Tylko jest mały problem.
- Jaki?
- Wie pan. Bilet w pańskie strony trochę kosztuje, a ja nie wiem, czy uda mi się wyrobić plan w tym miesiącu, aby dostać premię.
- Mogę jakoś pomóc? - zaoferował się przejęty.
- No wie pan... Jakby pan kupił jeszcze tego murzyna, to wtedy pewnie by mi się udało.
- No ale ja go nie będę potrzebował jak kupię tego słowianina.
- No to postawi go pan gdzieś w kącie w piwnicy, albo odsprzeda jakiemuś sąsiadowi.
- No w sumie...
- Mam dwadzieścia trzy lata...
- A co mi tam! Bierz i murzyna!
- Życie mi pan ratuje panie Andrzeju! Nawet pan nie wie jak jestem panu wdzięczna!
- Oj tam... Nic się nie stało. Ale, ale... No właśnie. Proszę pani. Mam jeszcze jedno pytanko. W sumie dwa...
- Tak?
- Po pierwsze... Jakiego ma spalanie ten słowianin? Takie samo jak murzyn? Bo wie pani. Ja jeszcze nigdy słowianina nie miałem.
- Słowianie spalają mniej. Około pięciu kilo mięsa i dwudziestu kilo ziemniaków na osiemdziesiąt godzin pracy.
- Aha.
- Coś jeszcze?
- No właśnie, bo wie pani... Bo mi znajomy odradzał słowian, bo oni ponoć pracować nie chcą, a jak tylko gdzieś alkohol wyczują, to już w ogóle nie idzie ich na łańcuchu utrzymać.
- Niech pan nie wierzy tym bzdurom. Moja ciocia miała kiedyś słowiankę i bardzo sobie chwaliła.
- No tak ale... Nie macie może jakiś hindusa do pielienia ogórków?
- Panie, kurna. Bierzesz pan tego słowianina i murzyna, czy mam sobie w inny sposób zorganizować weekend.
- Bierz! Bierz!
- Nawet pan nie wie jak się cieszę panie Andrzeju.

- Ja również... - wtrącił obłęsnym tonem.

- No dobrze. W takim razie puszczam zlecenie do systemu i w ciągu czterdziestu ośmiu godzin towar będzie u pana za pośrednictwem firmy kurierskiej Złote Skrzydła Apolla, w skrócie ZSA.

- Super. Cieszę się bardzo.

- Jako iż bardzo miło mi się z panem rozmawiało, to powiem moim kolegom z działu pakowania, aby ubrali pana niewolników w jakieś slipki, bo nie chcemy chyba, aby żona przestała się nagle bać murzynów?

- A niech se robi co chce ta stara prukwa.

- Och panie Andrzeju... - westchnęła.

- Wiem co mówię.

- Nie wątpię. Dobrze panie Andrzeju, w takim razie to tyle na dziś i proszę oczekiwać na przesyłkę. Przypominam tylko, iż towar jest objęty dwuletnią gwarancją, która nie przysługuje w przypadku uszkodzeń wynikających z ucięcia kończyn górnych, bądź dolnych. Jeżeli miałby pan jakieś pytania odnośnie żywienia i higieny pana niewolników, albo jeżeli któryś z nich sprawiałby jakieś kłopoty, to proszę kontaktować się z Działem Technicznym pod numerem sześćset czterdzieści dwa, zero czterdzieści osiem, dwa, dwa, dwa.

- Okej.

- Życzę panu miłego dnia i zapraszam ponownie na kolejne, niezapomniane zakupy.

- Dziękuję bardzo, miłego dnia.

Dostłownie kilka sekund później ta bezwzględna smarkula wykonała kolejny telefon.

- Hej budrysku.

- No cześć.

- Słuchaj mam prośbę.

- Co tym razem?

- Coś taki naburmuszony? Zły dzień?

- Nie.

- To o co chodzi?
- Od czterech lat czekam, aż wyjdziemy w końcu na kopanie rowów melioracyjnych, ale ty ciągle nie masz czasu.
- No to nie tak budrysku... Wiesz jaka ja jestem zakręcona.
- No wiem, ale obiecałaś mi to już z tysiąc razy.
- No ja wiem, ale co ja poradzę, że taki głuptas ze mnie? Przepraszam no.
- Yhym.
- Przepraszam bardzo, bardzo, bardzo. Tak bardzo, że hej. - ostatnie zdanie wypowiedziała z ewidentną nieszczerością, ale z niesamowitą dozą uroku.
- No to czego chcesz tym razem babo?! - krzyknął żartobliwie dając tym samym znak, iż po raz kolejny uległ czarom owej niewiasty bezwstydnej.
- Zaraz zejdzie zlecenie na męską parkę plus kozi ser.
- Taaak? - dopytał z przekąsem.
- Nie zdarza się czasami, że jakaś część sera się gdzieś się zawieruszy?
- Jaka?
- Powiedziałam klientowi, że dostanie cztery kilo.
- Pół na pół?
- Cały mój?
- Nie!
- Cały mój, ale oczywiście zjemy go razem podczas kopania.
- No dobra.
- Dziękuję. Kochany jesteś. Nie wiem co ja bym bez ciebie zrobiła.
- Oj tam, drobiazg. - odparł zmieszany, gdyż jego poletchane ego radowało się tak bardzo, iż gotów by był klęknąć i wykrzyknąć z radości ku niebu, że od zawie wiedział, że jest taki zajefajny.
- Dobra ja muszę lecieć, bo wiesz. Kierownik już na mnie patrzy.
- Ok. To kiedy idziemy kopać?
- Porozmawiamy o tym później, oki? Dzięki za pomoc budrysku. Kochany jesteś. Miłego dzionka.

- Tylko nie zapomnij... - zdążył wtrącić zanim usłyszał pusty dźwięk w słuchawce.
- Cześć Chaggi. - zagaił nasz czworonóg z ewidentnym wyrazem stresu na twarzy.
- Spadaj brzyda! Nie mam czasu, nie widzisz?
- Jak się czujesz?
- Nie dość, że jesteś brzydki do w dodatku głuchy? Paszot mnie stąd! - krzyknęła odganiając niechcianego intruza ruchem ręki, jakby zmagając się z natrętną muchą.
- Ale z ciebie kobieta, ho ho. - skomentował ową sytuację jej kumpel zza miedzy.
- Masz jakiś problem chłoptasiu?
- Jak to jest być takim człowiekiem? - pytał z niekłamanym obrzydzeniem, ale również z dozą współczucia.
- A ty co? Sędzia? Jaśnie oświecony ówiok? Co cię to interesuje? Zajmij się swoimi sprawami.
- Przecież tylko się pytam.
- To przestań. Z czym tym masz problem, co? Twoja lafirynda ci nie daje?
- Kto?
- No właśnie! Babe se znajdź, a nie mnie tutaj oceniasz. Nie dziwi mnie, że żadna cię nie chce... Co za kretyń. - syknęła pod koniec, po czym ze złością i w pośpiechu udała się do toalety.

Nasz konserwator śledził ją wzrokiem z maślanymi oczyma, gdyż najwidoczniej w świecie był w stanie dzięki swojemu serduszkowi nazbyt ufnemu i zniewolonemu niezdrowym uczuciem wkomponować owe zachowanie jego lubej w kategorii poczynąń urokliwych i nieświadomych do końca.

Następnie udał się do jednego ze stanowisk, aby naprawić kubek. Podczas tego wartkiego zajścia rozglądałem się dookoła, a w me oczki kurze i bystre rzuciła się postać Abiasza, który z marsowym obliczem wycierał blat biurka tamtejszego pracownika miesiąca. Ów zaszczytnie utytułowany jegomość siedział na bujanym, wiklinowym fotelu, odziany był jeno we stringi lateksowe i piwną czapę, z której dwie słomki do ustów jego

wpadało oraz mu orzeźwienia za sprawą browara zimnego dawało zapewne niemało, a jego wielki bebzon wylewał się przed niego niczym balon napęczniony wodą sodową.

- Czy ktoś mógłby mi wysłać tego maila z rozstrzygnięciem reklamacji do klienta? - zapytał zmęczonym głosem.

- Ja! Ja! Ja! Ja chcę! - zerwało się kilka osób, aby rychło wspomóc swojego towarzysza w nagłej potrzebie.

- Dzisiaj pomożesz mi ty! - wskazał triumfalnie palcem jednego ze starszych panów.

- Chura! - uradował się niektłamanie i w podskokach podbiegł do stanowiska.

- Weź mnie to wyslij i napisz, bo wiesz, że ja nie wiem jak to się robi.

- Wiem, wiem, ale nie przejmuj się. Wszyscy mamy nadzieję, że w tym miesiącu po raz kolejny zostaniesz pracownikiem miesiąca.

- No raczej. No ale do rzeczy, bo nie mam czasu. Kolo kupił od nas indiankę, ale niestety po trzech tygodniach zbierania truskawek zwichnęła sobie bark. Z działem technicznym doszliśmy do wniosku, że nie ma co naprawiać, więc babka pójdzie na części.

- Że organy tak?

- No tak... Standardowa procedura B43S. Jeszcze tego nie wiesz?

- Pracuję tutaj dopiero szósty rok.

- To już powinieneś to wiedzieć! Idź mi stąd! Taki nieuk nie będzie mi maila wysyłał.

- O... Ale czemu?

- Bo nie ma dżemu, he. - zripostował go z niektłamaną dumą wypisaną na twarzy.

- Mogę ja? - zapytała jakaś młódka.

- No dobra... - zgodził się z lekką niechęcią, ale za to z wielką łaskawością.

- Jej! Dziękuję.

- Dobra, dobra. Do sprawy. Tak więc babka idzie na części, a teraz musimy klientowi wysłać jeszcze jedną.

- Okej, to już piszę.

- Ale, ale... Jest problem, bo się facet nieco rozmyślił.

- Jak to?

- Pierwsza kobita, którą kupił była z katalogu niewolników do usługiwania.
- No i?
- No a teraz chce jakąś babkę do seksu, a jakby tego było mało, to zażyczył sobie jeszcze jakiegoś czarnego do ochrony.
- Aha...
- Umiesz napisać takiego skomplikowanego maila?
- To znaczy tak. Kolo rezygnuje z towaru z katalogu usług ze względu na uszkodzenie, a w zamian ma otrzymać towar z katalogu seksu oraz z katalogu ochrony, tak?
- Dokładnie. Z tym, że ten murzyn, to musi być z genotypem A, bo inaczej kolo powiedział, że pójdzie do konkurencji po takiej wpadce z tą indianką od truskawek.
- Oj... To w sumie dobrze na tym wyjdzie.
- Ja wiem. Sam mu zaproponowałem takie wyjście.
- A kto zapłaci za tego murzyna? Wiesz przecież ile taki facet z genotypem A kosztuje.
- Idzie na koszt firmy.
- Kierownik o tym wie?
- Był zachwycony.
- Ale...
- Powiedział, że chętnie dopłaci do niego ze swojej premii. Przecież to on mnie zatrudnił, a to ja sprzedałem temu klientowi tę wadliwą indiankę.
- No tak. Ma to sens.
- Wiem. No ale pisz, pisz. Do roboty, bo zaraz mi skrzydełka ostygną przez ciebie. - rozporządził, po czym łapczywie starał się dosięgnąć kubelka ze skrzydełkami kurczaka.

Przyglądając się z lekkim przygnębieniem temu widowisku niebywałemu poczułem, iż muszę zmienić miejsce stacjonowania i to nie bynajmniej dlatego, że głowa naszego czworonoga była nieco zbyt kanciasta, ale ze względu na moje wewnętrzne poruszenie, któremu wiernym być się starałem oraz staram dotychczas. Przefrunąłem więc

rychło na główkę jednego z młodych chłopaków, który zdawał się dość nowym w tym środowisku. Wcześniej zauważyłem, że co jakiś czas wychylał się zza swojego monitora do znajomego z naprzeciwka, aby pokazać mu swój nieszczerzy uśmiech, po czym chował się z powrotem, a jego facyata nabierała naturalnych, przygnębionych kształtów, lecz śmiałem się domyślać, iż przekonany był o tym, że każdy w biurze mimo wszystko uważał go za jegomościa niebywale zadowolonego ze swojego znienawidzonego tak naprawdę żywota.

Nic szczególnego na początku się z tym typkiem nie działo, więc czas spędziłem na docinkach i żarcikach z Łysym, gdyż wszechobecnej głupoty wokół nie brakowało, ale pod koniec tego dnia sytuacja zaczynała się zmieniać, a mi zaczynało świtać, dlaczegoż, to mój Pan chciał, abym usiadł na tej bani nieco zbyt kudłatej i niedomytej zarazem. Nasz nowy kumpel spotkał się po pracy przy wyjściu z działu pakowania, przy którym stał człek, któremu z prawej strony czoła wyrastała mała rączka machająca bordowo-seledynowo flagą.

- Jak ty to robisz, że zawsze jesteś pierwszy? Przecież musisz się jeszcze przebrać. - zaczął nasz biurokrata.
- Codziennie ci o tym mówię, a ty dalej nie pamiętasz?
- No... Znowu zapomniałem.
- Chodzi o zegarek w szatni i na pakowaniu.
- Czeka... Czeka... Coś mi się przypomina... A! Rozwalasz zegarki tak?
- Nieee.... Zegarek w szatni spóźnia się o pięć minut, a na hali spieszy się o pięć minut, tak więc każdego dnia mam dziesięć minut więcej dla siebie na przerwie w środku dnia oraz po pięć minut na początku i końcu dnia.
- A no racja! Teraz już sobie przypominam.
- No to fajnie... Jedziemy?
- Jedziemy. - przytaknął, po czym wsiedli do auta.

W tamtym to momencie zorientowałem się w jakim to miejscu obrzydliwym przyszło nam spędzić ostatnie godziny. Idąc w stronę parkingu obserwowałem otoczenie, które wyglądało następująco. Niewielki szklany wieżowiec, obok niego cztery wielkie stalowe hale, a wokół kilkukilometrowa, płaska połać betonowego,

ciemnoszarego placu, na skrajach którego dało się dostrzec odległe, hen daleko na krawędzi horyzontu równie małowidoczne, wysokie mury. Szeroka, trzypasmowa i asfaltowa szosa prowadziła do tego ponurego kompleksu budynków z jednej strony, w kierunku której nasz nowy kumpel jechał już autem ze swoim towarzyszem, a do dziś pamiętam jak niekomfortowo się czułem będąc przebitym w pół przez dach samochodu, co w tamtej chwili było dla mnie nowym i niezbyt miłym doświadczeniem, nawet jak na byt materii się nie mający.

Wyjeżdżając za bramę zakładu uradowani pracownicy machali ze śmiechem dla ochroniarza, który wybiegając z budki strażniczej na czterech kończynach gonił ich przez kilka metrów oszczekując ich zajadłe i z pasją.

- Wyszadzisz mnie tutaj?

- Czemu?

- Muszę skoczyć do bankomatu.

- A, okej.

- Czaiz co on kombinuje? - zapytał mnie Łysy.

- Nom. Dawaj. - odparłem z ciekawości.

- Ten typ od trzech lat wypłaca po trzysta Gubrenantek - taka to tam waluta uniwersalna funkcjonowała w obiegu

- miesięcznie, bo dzięki rozporządzeniu Najwyższej Izby Kontroli Zdrowia Finansowego więcej nie mógł dla swojego dobra oczywiście i w imię wolności obywatelskiej, aby kupić sobie auto za gotówkę.

- Przelewem nie może?

- Może. Nawet miałby upust, bo Rada Demokratycznej Guberni nagradza za płatności elektroniczne, ale on chce zaimponować jakiejś małolacie z sąsiedniego bloku, więc marzy mu się dzień, w którym rzuci jakimś sprzedawcy workiem banknotów.

- No masz... Kto co lubi.

- Rozumiesz, że zrobił kiedyś coś podobnego?

- To znaczy?

- Jako dzieciak odkładał miedziaki na jakiś specjalny cel. Jak już uzbierał cały mieszek oraz wąs mu już pod nosem wyrósł majestatyczny, to poszedł do klubu ze striptizem.

- A to ci nieborak.

- No ale słuchaj. Co za wspomnienie... Kolo siedzi, gapi się, jara się, że hoho i nagle ciach! Rzucam tym mieszkciem miedziaków w obiekt swojego pożądanía. Rzuca tak mocno i celnie, że jak owa, wątpliwa piękność dostaje nim w czerep, to pada w błogim śnie na blat, a naszego nieszczęśnika wyciąga ochrona dając mu kopa w zad.

- No to się naoglądał chłopaczyna.

- A no.

Po wypłacie kasiorki z bankomatu wsiedliśmy we trójkę do miejskiego autobusu, który po chwili został zatrzymany przez patrol lokalnej policji, która przebadala wszystkich pasażerów alkomatem, wystawiła kilka mandatów dla podpitych panów i pomijając kierowcę, z którym życzliwie się pożegnała, wyszła aby dalej wypełniać swoje szlachetne obowiązki.

Dotarłszy pod blok mieszkalny naszego kumpla, którego imienia w tamtym momencie jeszcze nie znałem, co bardzo mnie irytowało, gdyż jak tylko kresiliem sobie w mojej kurzej główce owe sprawozdanie, to męczyłem się strasznie z celnym i niepowatrzającym się nazywaniem tegoż jegomościa, tak więc nie wytrzymawszy zapytałem w końcu Łysego dając mu tę cholerną satysfakcję.

- Łysy.

- Eee?

- Weź mnie powiedz jak ten typ ma na imię.

- A co?

- No weź mnie powiedz i już.

- Takie to ważne?

- Dla mnie tak.

- No nie wiem po co ci taka informacja.
- No i dobrze, ale czy mógłbyś mi to po prostu powiedzieć!? - krzyknąłem już podirytowany.
- No mógłbym...
- To powiedz!
- Jeroboam.
- Takie to było trudne?
- Ale o co ci chodzi?
- O nic. Dzięki.

Zbliżając się zatem do bloku, w którym nasz Jeroboam mieszkał od dawna, zauważyłem grupkę małych dzieci bawiących się pod trzepakiem w wyliczankę.

- Anka, skakanka, dwa kije. Kto jej nie bije, ten zginie. - radośnie śpiewał mały chłopczyk z karbinem w rękach.
- Siema Jeba! - krzyknął jakiś nietrzeźwy małolat, który w tym samym momencie podwkurzył mnie fest, gdyż gdyby zrobił to kilka sekund wcześniej, to nie musiałbym się użerać z tym łysym gamoniem.
- Siema byku. Co tam?
- Słuchaj jest sprawa...
- No.
- Nie wiem czy starczy mi na bilet... Mam cztery, pięć...
- Mogę Ci dorzucić, nie ma sprawy. - wtrąca życzliwie Jeroboam, poklepując uprzejmie swojego znajomego po ramieniu.
- Pięć, cztery, trzy... Ty ja mam dwie Gubernantki. Dołożysz pięć, do siedmiu?
- Ok. Nie ma sprawy. - odpowiedział już nieco mniej radośnie, po czym sypnął srebrnymi monetami na wysuniętą, umorusaną w miąższu pomarańczowym dłoń.
- Znowu jadłeś pomarańcze? - wtrącił po chwili namysłu z naganą oraz troską w głosie.

- Tak... - odpart nieco zawstydzony, ale również dumny z siebie, iż udało mu się nie skłamać perfidnie jak to czasami bywało.

- Mam nadzieję, że te pieniądze będą na bilet, a nie na pomarańcze?

- Tak, tak, na bilet. Jadę do sklepu po... - urwał po tym jak zorientował się, że poniosły go emocje na myśl o kolejnych pomarańczach, które to lada chwila miały trafić w jego ręce.

- Eh... Ty się chyba nigdy nie zmienisz... Trzymaj się. - pożegnał się z niedowierzaniem i pomachał przyjacielsko ręką.

Tak w ogóle to przepraszam ja was bardzo mocniutko moi mili czytelnicy, żem dotychczas takim oschłym i zadufanym tonem piśmienniczym wasze oczki śliczne zapewne raczyć byłem zuchwały, lecz na samiutkie wspomnienie o tym zakładzie pracy - do którego to jeszcze niestety wrócić nam będzie trzeba w dalszej części tej historii zawilej - myśli me w czarno-białe barwy się malują no i takowy to efekt powstaje małowesoły, ale niestety zawsze tak mam - z natury swej chyba nie do końca dla mnie samego jeszcze zrozumiałej - że jak tylko przez mój ptasi mózdzek się takowy obraz przebija, na którym to kto innego człowieka jak ścierwo najgorsze traktuje - niezależnie od powodów - to się we mnie smutek małobarwny rodzi i me serduszko nieugotowane jeszcze, ani nie usmażone zarazem, zalewa swą istotą od radości daleko leżącą.

No ale...

Nasz Jero wspaniały wtargnął w końcu do swego domostwa małego, w którym pralka stała w przedpokoju, a we wnętrzu jej ujrzyć można było małe stadko mini-rekinów, co to sobie tam pływały i frytki wyjadały jakoby w jakimś akwarium sobie żyły.

- Cześć skarbenki. - przywitał się ze swoimi druhami, po czym dodał.

- Widzę, że już się wam frytunie kończą... Zaraz wstawię spodnie do prania, to pewnie wam coś skapnie z tylnej kieszeni.

Wchodząc do salonu włączył radio, z którego takie to strumienie pofalowane - choć dla oczka niewidoczne - się poczęły wydobywać z dużym hałasem.

- Witamy państwa w Wieczorze z Salaterką. Jak zwykle przypominamy państwu o naszym konkursie. Wystarczy wysłać do nas pięciotomowy list opisujący państwa rozważania na temat sensu istnienia podczas rzeźbienia stolca na sedesie, aby wygrać niepowtarzalny mikser do sandałów. Dzisiejszym gościem naszej audycji jest zarąbieszczant teologii i filozofii jak i również światowej sławy pszczelarz, pan Roman Svento.

Jak żeśmy się w tym momencie z Łysym zdziwili, to hoho! Dopiero później zorientowaliśmy się, że - z przyczyn i możliwości nam do dziś nie znanych, gdyż ten gagatek lubujący się w atmosferze tajemniczości nie raczy nam owego zajścia nijak wyjaśnić po dziś dzień - osoba Romana, będzie nie tylko ludkom i stworzonkom w tym przybystawowskim świecie znana.

- Dzień dobrywieczór państwu - odpowiedział nasz Romuś z tą swoją, nieznośną nutką wymuszonej tajemniczości w głosie.

- Ten to jest dopiero durny... A niby taki mądry - wtrącił Łysy.

- Dzisiaj porozmawiamy sobie o tym co pana zdaniem stoi za naturą egoizmu i egocentryzmu.

- No mniej więcej...

- To mniej, czy więcej?

- Niech będzie, że mniej. - odparł z przekorą.

- A więc może zaczniemy od tego, co pan uważa za egoizm i egocentryzm.

- Może jednak pominiemy ten etap, gdyż zważywszy na porę, o której jesteśmy obecni na antenie śmiem przypuszczać, iż wszystkie małe dzieci już śpią, a kto nim nie jest ten chyba wie, czym owe zjawiska są.

- No tak... - wtrącił z niekłamanym niezadowoleniem.

- Ale chętnie rozkręcę się z monologiem, gdyż widzę po pana minie, że chyba wyczerpał się panu wachlarz pytań do mojej jaśnie oświeconej osoby.

- Tak jakby, ale...

- No to pan pozwoli. Po pierwsze... Z egoizmu i egocentryzmu się wyrasta. Tak samo jak wyrasta się z intelektualnego wyzwania, które przynosi oglądanie kreskówek edukacyjnych przed snem, albo jak wyrasta się z niesentymentalnego umiłowania piosenek dla dzieci w wieku przedszkolnym, albo z robienia kupy - o której już dzisiaj była mowa - niezależnie od miejsca, czy okoliczności. Sednem problemu i wyjścia z niego zarazem jest to, kiedy owe wyrośnięcie z tych niewątpliwych ułomności - z którymi chyba każdy się borykał, boryka i będzie borykał niezależnie od wieku, lecz w różnym nasileniu, czy kształtach - ma miejsce. Tutaj pozwolę też sobie na lekkie sprostowanie, gdyż posłużyłem się uproszczeniem i skrótem myślowym zarazem używając określenia wyrastania z egoizmu i egocentryzmu. Chodziło mi bardziej o to, iż owe wyrastanie zazwyczaj nigdy nie osiąga swojej pełni, a jako progres można zanotować rzadsze natręctwa owych cech, bądź częstsze nad nimi zwycięstwa. Niemniej jednak przełomem, który można w jakimś sensie określić wyrośnięciem z egoizmu i egocentryzmu, chociaż bardziej precyzyjnym stwierdzeniem byłoby chyba wyrośnięcie ze świadomości, iż egoizm i egocentryzm nie są realnym problemem, z którym trzeba walczyć, a naturalną przypadłością każdego z nas, w której nie ma nic złego i nienaturalnego zarazem, jest właśnie zmiana myślenia na temat owych zjawisk - egoizmu i egocentryzmu - o sto osiemdziesiąt stopni i uzmysłowienie sobie, że to wcale nie są nasze naturalne, ludzkie przypadłości, a wręcz odwrotnie, gdyż owe cechy niosą ze sobą bardzo wiele przesłanek, dzięki którym moglibyśmy je nazwać chorobą. Chorobą, z którą trzeba walczyć i z którą trzeba wygrać - tak jak z każdą inną - aby żyć. Życiem w tym kontekście mam na myśli bytowanie przepełnione wewnętrzną radością, gdyż moim zdaniem biologiczna egzystencja wypełniona wewnętrzną - skrywaną pod hordą barwnych iluzji, bądź szczerą, pogrążoną w czerni rozpacz - nienawiścią do swojego - jak i innych zazwyczaj - życia, jako takim życiem prawdziwym nie śmiałybym się nazwać, a określenie śmierci za życia, byłoby tu chyba dość celne, a jako przykład istnienia takiej możliwości pozwolę sobie przytoczyć istoty, które to ktoś kiedyś zmyślnie mianem Zombie nazwać raczył.

- Jak więc uleczyć się z tej strasznej choroby?

- Najpierw powinniśmy zadać sobie pytanie co zrobić, aby naprawdę uzmysłwić sobie z czym tak naprawdę mamy problem i że w ogóle problem mamy.

- Mianowicie?

- No i tutaj jednak będę przymuszonych - chcąc nie chcąc - otrzeć się nieco o doprecyzowanie tego czym egocentryzm i egoizm są i skąd biorą swoją naturę istnienia.

- To znaczy?

- Człowiek - patrząc na tę sprawę okiem zdolnym tylko do empirycznej analizy materialnej rzeczywistości wokół nas - jest niemalże niczym, w odniesieniu do złożoności, ogromu, mocy i piękna całego wszechświata, w którym przyszło mu żyć. Jest w tym wszystkim tak nieistotny, iż chociażby mój jeden włos w nosie wydaje się bardziej wartościowy, bo spełnia w moim - jak i każdego jego posiadacza - ciele jakąś rolę, która bynajmniej nie jest obojętna dla zdrowego funkcjonowania mojego organizmu, a zatem jeżeli nawet wzięlibyśmy osiągnięcia najwybitniejszych ludzi naszych czasów i zastanowili się ile ich trudy, poświęcenia i wyrzeczenia znaczą dla całego wszechświata oraz jaki mają wpływ na jego zdrowe - naturalne - funkcjonowanie, to nie wiem jakby trzeba było ubarwić w fałsz owe dokonania, aby nie uznać, iż są one nic nie warte. Tak więc umówmy się. Każdy z nas gdzieś tam wewnątrz wie, że jest marnym, nic nieznaczącym prochem i pyłem. Problem w tym, że nie każdy jest w stanie pogodzić się z taką informacją - no bo na pierwszy rzut oka nie wydaje się ona jakkolwiek radująca - dlatego jakby automatycznie, odruchowo, w ramach obrony, wysyła taką myśl do swojej podświadomości, aby tylko tego przed samym sobą nie przyznać.

- To straszne.

- Nie. To prawda. To znaczy. Tylko jej część.

- Część?

- Jakby mi się pan nie wtrącał, to bym wyjaśnił.

- Och tak, przepraszam, proszę mówić.

- No więc tego... Jesteśmy prochem i pyłem. Nic nie znaczącym czymś, co sobie życie gdzieś tam na jednym z krańców - albo i nie - wszechświata. Takby się mogło wydawać patrząc na to wszystko przez pryzmat materialistycznego postrzegania rzeczywistości. Konfrontując owe spostrzeżenie z odwieczną i naturalną potrzebą

poczucia wartościowości swojego istnienia, człowiek musi pograć się w niesamowite rozczarowanie własną istotą co skutkuje powstaniem bardzo głębokiego, szerokiego i wielowarstwowego kompleksu. Kompleksu, na który - patrząc na to wszystko okiem materialisty - rozwiązaniem jest, albo pogodzenie się z tą czarną, depresyjną niyprawdą, albo wypełnianie swojego życia jakimś barwnym fałszem, dla dodania mu smaku i ułudnego sensu, czyli kolejną iluzją, gdyż chyba większość ze słuchaczy - jako istoty świadome - zdaje sobie sprawę, iż nasza rzeczywistość nie tylko na materii stoi i nie tylko wokół materii się kręci. No ale zaczynam trochę zbiegać z tematu, a to ani miejsce ani czas na dywagacje nad błędami poznawczymi ludzi umysłowo zamkniętych w materialnych ramach całego stworzenia. Wracając... Materialista, który poprzez swoje błędy poznawcze na samym początku swojej przygody poznawania życia i świata - czyli u podstaw świadomego jestestwa - wprowadza się w niesłuszny, ogólny kompleks i ma dwa wyjścia. Idąc drogą czarnej niyprawdy, koniec końców - szybciej, bądź później - popełni samobójstwo, wybierając jedną z wielu dróg, których co bardziej kreatywni wytworzyć są sobie niemało, a idąc drogą wypełniania swojego życia barwnym fałszem, zaczyna oszukiwać samego siebie, wypełniając swoje życie całą gamą przeróżnych iluzji na temat samego siebie - co na początku jawi się takiemu człowiekowi jako zabieg konieczny, gdyż żyć trzeba, a jako iż niyprawda jest tak smutna, że żyć się z taką świadomością nie da, to trzeba sobie pomóc w nastrajaniu się do życia, a z czasem taki zabieg przeistacza się w "przyjemny" nawyk, o którego istnieniu po jeszcze dłuższym czasie ów persona w ogóle przestaje pamiętać, biorąc taką iluzję za prawdę... I tutaj właśnie pojawia się nasz główny bohater wieczoru... Zaczynając oszukiwać samych siebie, zaczynamy popadać w egocentryzm, a będąc w stanie kłamstwa w samych fundamentach naszej świadomości - gdyż to na początku świadomego bytowania poprzez materialistyczny błąd poznawczy musieliśmy wybrać pomiędzy niyprawdą, a świadomym i niykoniecznym kłamstwem, bo Prawda sama w sobie nie została nam przedstawiona - ale o tym później - cała nasza świadomość z automatu zaczyna wypełniać się kłamstwami na tematy, których się dotyka. Tak samo gdy zmodyfikujemy ziarno kwiatu, to później jego całe kwiatowe życie, będzie odbiegało od tego jakby wyglądało, gdybyśmy nie zaingerowali w naturę jego ziarna. Taki biedy i oszukany przez samego siebie człowiek, aby nie przyznać przed samym sobą - o ile nie wybrał opcji czarnej niyprawdy - że jest niczym względem wszechświata, będzie dzięki swojej świadomości przedstawiał swój wizerunek jako tak zwany pępek świata ze wszystkimi tego niyzaletami i wadami dostrzegalnymi również z

persepektywy egocentryka. Będzie za wszelką cenę starał się uciec jak najdalej od czarnej nihyprawdy, więc podanie w przeciwległą skrajność. Z bycia niczym, stanie się wszystkim. Stanie się całym wszechświatem, a i być może tym, który go stworzył? - zapytał pod koniec z lekką szyderką w głosiku.

- Stworzył?

- No tak.

- Ma pan na myśli Boga? - zapytał z lekką drwiną.

- A no... Skrajny egocentryk będzie przeświadczony o tym, że jest Bogiem. Niezależnie od tego w jakim natężeniu taka myśl będzie w nim obecna, oraz w odniesieniu do jakiej wizji Boga będzie się odnosić, to takie przeświadczenie będzie w nim obecne, a jego czyny oraz sposób jego postrzegania świata, czy konstruowania myśli, będą tylko taką teorią potwierdzać.

- To znaczy?

- Osoba bardzo chora na egocentryzm ocenia wszystkich i wszystko przez swój, indywidualny pryzmat.

Automatycznie. Nie będąc w stanie stworzyć w swoim umyśle alternatywy.

- Na przykład?

- Poważnie, nie rozumie pan co mam na myśli? - zapytał z niedowierzaniem.

- No chyba nie za bardzo...

- Na przykład jeżeli taki egocentryk usłyszy od zdrowszego od siebie, że ten pomaga komuś bezinteresownie - to jeżeli ów egocentryk jest jednocześnie egoistą, bo to nie zawsze musi się wiązać w parę - to zrobi wszystko swoim zakłamanym umysłem, aby ułożyć w swojej głowie teorię, w której ten filantropijny człowiek będzie podstępny, złym szarlatanem, który tylko udaje dobrego, a tak naprawdę skrywa za tym wszystkim jakiś inny, złowieszczy motyw swojej działalności.

- Teorię spiskową?

- Zazwyczaj, chociaż tutaj bym bardzo uważał i tak bardzo nie upraszczał tego zjawiska, gdyż na to liczą wszyscy piewcy propagandy wszelakiej, a jednocześnie równie obrzydliwej.

- Okej...

- To był jeden z nibykorzystnych przejawów egocentryzmu, negatywnym zaś są na przykład sytuacje, w których ktoś bardzo chory słyszy w swoim otoczeniu śmiech towarzyszących mu ludzi, a jako iż nie jest w stanie usłyszeć z czego owi ludzie się śmieją, to automatycznie rodzi się w nim myśl, że śmieją się z niego. Przecież jest pępkiem świata i wszystko kręci się wokół niego, tak więc pewnie ci ludzie nie mają niczego innego do roboty jak interesowanie się jego wspaniałą osobą, tak więc jak się śmieją, to znaczy, że śmieją się z niego.

- Aha...

- Tak sobie teraz przypomniałem przykład z życia - gdyż dość często zdarza mi się spotkać egocentryków na swojej drodze. Otóż pewnego dnia na spotkaniu towarzyskim część moich znajomych zaczęło żartobliwie docinać mi pod kątem moich jaskrawych skarpetek w słoniki. Oczywiście nic sobie z tych żartów nie robiłem, a moja słowana obrona była jeno kontynuacją żartu, lecz jeden z tamtejszych gości - kilka minut później - pijąc zsiadłe mleko w ubikacji, przyglądał się mi jak zaspokajam swoją cięższą potrzebę - taki lokalny zwyczaj - cały czas drażąc temat mojej rzekomej złości, która powstała we mnie przez owe żarty. Biedaczek pewnie do dziś mi nie wierzy, a moje liczne zapewnienia, iż nie jestem zły z powodu tych uszczypliwości bierze - tak jak wtedy - za wykręt, którym posłużyłem się, aby nie przyznać przed kimś, że jest mi przykro z tego powodu, a złość wewnętrznie mnie rozpiera, ale wolałem jej nie okazywać z jakiś tam względów. Jako ciekawostkę mogę dodać, iż takie zachowanie niemal idealnie odzwierciedla prawdziwą naturę danego egocentryka, gdyż jak wiadomo ocenia on przez swój pryzmat, tak więc można powiedzieć, iż wiem już o tym człowieku, że tego typu żarciki kierowane w jego stronę rodziłyby w nim złość, chociaż zapewne kryłby się z owym odbiorem sytuacji, co jednak... I tutaj kolejna ciekawostka... Zazwyczaj wychodzi na jaw, gdy się przyprze takiego delikwenta do muru prowokując odpowiednie sytuacje, co zazwyczaj owocuje utratą kontroli nad samym sobą przez takiego egocentryka i potwierdzenie teorii, iż jest dokładnie tym, co myśli o innych.

- Niesamowite.

- Proste i od lat ludziom znane, lecz przez niektórych skrzętnie skrywane.

- Dlaczego?

- Oj... To nie rozmowa na ten wieczór... Wracając do egocentryków. Zazwyczaj za grosz w nich pokory. Jako iż uważają siebie za jakieś bóstwo, to nie muszą się nikogo słuchać, przy czym sami są dla siebie prawodawcami

praw wszelakich, jak na przykład tych moralnych, które często określają jako naturalne, chociaż wywodzą się zazwyczaj jeno z ich indywidualnego rozważania pewnych spraw, a jako iż mają chorą na egocentryzm świadomość, to też wyniki ich refleksji są dość często chybione, a praw ustanowionych przez innych nie mają zamiaru przestrzegać jeżeli nie są im na rękę i zazwyczaj nawet się z tym nie kryją, a wręcz odwrotnie - chociażby w zaufanym gronie. Jako iż uważają siebie za jakieś bóstwa, to nie robią złych rzeczy - gdyż to oni stanowią sami dla siebie prawo moralne i wyznaczają sami sobie co jest dobre, a co złe - więc to co najwyżej inni mogą zrobić coś złego względem nich - gdyż często też bywa tak, iż dany czyn egocentryka w stronę innego nie jest niczym złym, ale gdy taki samy czyn zostanie popełniony w jego kierunku, to już będzie to kwalifikowało się w ramy zła, gdyż on jako bóstwo może robić coś, czego marny proch i pył względem bóstwa robić nie powinien - tak więc co najwyżej inni mogą liczyć na ich akt miłosiernej łaski wybaczenia im ich przewinień względem naszych egocentrycznych bóstw, lecz owe bóstwa mają ogromny problem w przyznaniu się do błędów, przepraszaniu oraz proszeniu o wybaczenie, a nierzadko są do tego niemal niezdolne, gdyż to równałoby się z tym, iż chyba nie do końca bóstwami są, zwłaszcza jak muszą się pojednywać z jakimś marnym prochem i pyłem - czyli z człowiekiem, którego uważają za kogoś w rozumieniu podczłowieka - bo w tego typu sytuacjach dużo łatwiej - choć też nie bez trudności - idzie im pojednywanie się z innymi egocentrycznymi bóstwami swojego pokroju. Kwestii łączenia się egocentryków w grupy wzajemnej adoracji, w której górnolotne potakiwanie sobie nawzajem i przyklaskiwanie mieszają się z chorobliwą złością oraz nierzadko agresją przeróżnej maści przy styczności z innym światopoglądem, dla którego zazwyczaj nie kryją pogardy, nie będą teraz rozwijał. Poza tym pewnie niejeden egocentryk, który teraz tego słucha myśli o jakiejś osobie z grona swoich znajomych, która niemal idealnie wkomponowuje się w ów schemat funkcjonowania, ale nie raczy spojrzeć na swoją osobę i skonfrontować własne sumienie z owymi słowami, bo przecież taki egocentryczny słuchacz jest wspaniałym bóstwem, więc żadna konstruktywna krytyka się go nie ima, a jak już takowa powstaje, to zapewne jest wynikiem zazdrości, uprzedzeń, złośliwości, czy jakiejś innej choroby mentalnej, bądź intelektualnej, przy czym w kwestii niezbyt wydajnego intelektu przeszkadzającemu danemu krytykowi prawdziwe zrozumienie jego jako bóstwa nazywane jest przez takie osoby zazwyczaj ciemnogrodem, ciemnotą, zacofaniem oraz innym "niebywale" oryginalnymi i kreatywnymi epitetami.

- No tak... Ale co z tym wszystkim ma wspólnego Bóg?

- Otóż chodzi o to, że faktem jest, iż człowiek to zaledwie marny proch i pył, lecz jest to też w pewnym sensie nieprawda, gdyż prawdą jest również, że Bóg, jako Stwórca wszechświata i każdej nawet najmniejszej jego części, umiłował bardzo szczególnie całym sobą ów marny proch i pył - czyli człowieka - który dla niego jest czymś niebywale ważnym i... Za co oddał On własne życie i to w nielekkich warunkach.

- Co ma pan na myśli?

- Drogę Krzyżową Jezusa Chrystusa oczywiście.

- Proszę nie rozsiewać swojej katolickiej propagandy w moim radiu. - skomentował prowadzący z niemałym oburzeniem.

- Po pierwsze proszę pana z tego co wiem, to owa stacja radiowa nie jest pańska, a pan w niej tylko pracuje. Po drugie nie sieję tutaj żadnej swojej propagandy, a tym bardziej katolickiej, lecz jako teolog oraz człowiek, który miał styczność z niejedną religią tego świata wiem, iż nie znalazłem dotychczas żadnego, udokumentowanego oraz przekazywanego ludzkości świadectwa Bożej Miłości celniej opisującego Miłość Stworzyciela do człowieka, niż tego opisanego w Ewangelii, stąd śmiem wytoczyć taką konkluzję. Niemniej jednak nie zamierzam w żadnym razie wdawać się w dyskusję odnośnie tego jaka religia jest rzekomo najlepsza, czy która religia jest bardziej "prawdziwa", gdyż kwestie religii, to zupełnie inna sprawa, której nie będę teraz poruszał, a to jak religia jest w stanie wypaczyć daną naukę i stać się niekiedy nawet jej odwrotnością pokazują chociażby niektóre religie chrześcijańskie, co oczywiście tyczy się również przeróżnych odłamów innych religii, ale jako iż nie znam ich tak dobrze jak Ewangelii, to nie poczuwam się do oceny stopnia ich wypaczenia, a dlaczego to Ewangelia jest najmocniejszym obrazem Bożej Miłości moim zdaniem? Pomijając fakt, iż są to chyba jedyne księgi religijne, w których jest opisana historia, w której sam Bóg oddaje życie za ludzi - *de facto* również tych, którzy go nienawidzą - a poza tym dlatego, bo każdy, niezależnie od poglądów, przekonań, wierzeń, doświadczeń, wiedzy, czy wykształcenia jak tylko pójdzie za naukami zawartymi w Ewangelii z ufnością, to poczuje prawdziwą Bożą Miłość, po czym będzie w stanie wyjść albo z czarnej nihyprawdy, bądź z barwnych kłamstw i zacząć walkę ze swoim egocentryzmem.

- Nie rozumiem czemu się pan tak tłumaczy.

- Tłumaczę? - zapytał Romek szczerze zdziwiony owym pytaniem zadany w nieco agresywnym tonie.
- Tak! W sumie, to chyba byłoby na tyle mi się wydaje.
- Ale ja przecież dopiero zaczynam... Nawet nie zdążyłem sprecyzować co mam na myśli używając słowa Bóg...
- To szkoda, bo zaraz skończy się nam czas...
- Nie do końca... Przecież mamy jeszcze siedem minut do pierwszej przerwy reklamowej.
- Cieszę się, że jest pan tak doskonale zorientowany w tym jak funkcjonuje audycja Wieczoru z Salaterką, lecz...
- Przecież pod kątem tej wiedzy przygotowywałem się do tej rozmowy... - wtrącił z nieprzyjemną drwiną w głosie.
- Niech pan przestanie już mówić! - wydarł się na całe gardło.
- A nie... Jako iż chce mi pan zamknąć usta przed słuchaczami, to dodam tylko, że egocentryzm może być egoistyczny jak i również altruistyczny, ale czym się różni jeden od drugiego, to mam nadzieję, że drodzy słuchacze sami sobie wyszukają ze źródeł, których pełno jest wokół człowieka, który po prostu chce... Pozdrawiam również wszystkie osoby wcielające w życie oraz popierające jedynie słuszną walkę o czystość wszelkiej wypowiedzi publicznej i polecam im wszystkim *List otwarty Polaka do Ministra rosyjskiego Henryka Sienkiewicza*. Niech Dobry Bó...
- Zgodnie z rozporządzeniem Przewodniczącego Rady Najwyższej do Spraw Wolności Słowa Tolerancji Religijnej i Uczuć Religijnych owa audycja została przerwana dzięki nowoczesnemu algorytmowi wprowadzonemu do życia publicznego dzięki Ministerstwu Cyfryzacji i Rolnictwa Wysokogórskiego, gdyż podczas tej publicznej rozmowy zbyt często pojawiło się słowo "bóg", co mogło obrazić uczucia światopoglądowe ateistów oraz wszystkich tych, którzy bardzo nie lubią każdego rodzaju teizmu. Owe działania mają na celu ochronę tolerancyjnego życia publicznego oraz zdrowego, naturalnego i spokojnego rozwoju dzieci oraz ludzi w wieku, w którym przeznaczeni są do pracy na rzecz poszczególnych urzędów. Przepraszamy bardzo państwa za tę zmianę w programie i życzymy dobrego wieczoru. - wtrącił się nagle kobiecy głos, który został poprzedzony kilkusekundowym piskiem, a po którym została puszczonego reklama leku na potencję.
- No... To to ja rozumiem... Przynajmniej muzyczka ładna, a nie jakieś pierdzielenie jakiegoś nawiedzonego debila.
- burknął pod nosem Jeroboam, po czym spoczął wygodnie na brązowej, zamszowej kanapie.

Pokój wyposażony był w ową kanapę oraz wielkie, czarne głośniki koncertowe, za sprawą których nasz Jero słuchał sobie radyjka każdego wieczoru. Radio było jego uchem na świat, a jako iż nie potrafił zmieniać częstotliwości, to od lat wstuchiwał się z pasją w treści napływowe jeno z jednej rozgłośni, co jak chyba oczywiste nieco rzutowało na jego światopogląd indywidualny zapewne niebywale.

Po chwilowym relaksie przy reklamach przeróżnych przypomniał sobie o spotkaniu w pubie ze znajomymi. Rychło przyodziął płaszczyk swój wyjściowy w zielone grochy i wybiegł równie prędko ze swojego domostwa wilgocią pachnącego.

Jak tak sobie dreptał zamyślony po ciemnych zakamarkach wielkiego miasta, spoglądał co jakiś czas na ludzi wyrzuconych na śmietnik przez swoich byłych właścicieli, którzy wyciągali ku niemu brudne ręce chcąc go pogłaskać - jak sądził - więc zmuszony był ze względu na swoje zdrowie, gdyż świadom tego jakby się wszystkim przykro zrobiło na wieść o chorobie jakiej przebrzydłej, co by jego postać jaśniejącą załapać w swe szpony złowieszcze chciała, unikał owych dotknięć niepachnących gorącą czekoladą bynajmniej nie szczędząc swoim oprawcom niemiłych spojrzeń mrowia.

- Jero! Gamoniu! - rozszedł się głos wesoły po okolicy.

- O! Siema! - odparł równie wesoło po ujrzeniu swojego kumpla, który to parasol w kształcie wiśni w dłoni dzierżył swej bandażem owiniętej.

- Założyłem się z chłopakami, że się spóźnisz, a tu proszę. Znowu będziesz punktualnie.

- Jak zawsze. - odparł z niekłamaną dumą.

- Ciekawe jakie dzisiaj będą proporcje w Dunaji.

- No właśnie... Mam nadzieję, że się kobity zmotywowały.

- A no.

Po tym dialogu nieco tajemniczym jak na chwilę tamą, dwójka naszych koleżków nieco roztrzęsionych życia sprawami najprostszymi zdawać by się mogło zbliżali się do pubu, którego szyld widać było z kilometra odległości już. he

Przepraszam was moi mili za tego pismaka, który to tegoż dnia felernego jakąś nadwyraz intensywną chęć do formą zabawy okazuje, przez co zapewne wam przyjemności z owym tworem nieco rujnuje, no ale takiego to już mnie gamonia do tejże pracy przydzielono, a nie innego...

Przed wejściem do pubu stały dwie niewiasty palące czerwony pieprz z niebieskiego bongy.

- **Cześć chłopcy.** - zagadnęła jedna z nich wpatrując się swym spojrzeniem przećpanym w Jeroboama zarumienionego.

- **A no hej.** - odparł nieco nieśmiało.

- **Dołączą do was jakieś kobity?**

- **Nie.**

- **A ilu was będzie?**

- **Bo ja wiem...?** - zapytał jakby sam siebie spoglądając błagalnie na swojego towarzysza.

- **Siódemka.** - wtrącił przechwalający się swoim parasolem jegomość.

- **Oo... To miło, bo wiecie...**

- **Wiemy.** - wtrącił ponownie z oschłym już nieco tonem.

- **Parytet jest już przekroczony w nieprzyzwoitym stopniu, ale jak dojdą wasi koledzy, to wtedy będzie mogła wejść jedna kobieta, aby słuszna proporcja równouprawnienia była zachowana.**

- **No ale wy jesteście we dwie.**

- **Jesteśmy transseksualne.**

- **Ahaaa...**

- **No i?** - dopytał Jeroboam nie do końca obyty w prawie.

- Jeden tras liczy się jako pół, tak więc dobrze się składa.

- No to rzeczywiście. To byłoby strasznie szowinistyczne, niesprawiedliwe oraz prymitywne jakby w jednym lokalu proporcja kobiet do mężczyzn była mniejsza niż jeden do jeden koma siedem zgodnie z normami Wydziału Równouprawnienia i Zgromadzeń Masowych na Terenach Miast Powyżej Piętnastu Tysięcy Zameldowanych Mieszkańców.

- Jakie to szczęście, że chociaż ktoś na tym chorym świecie troszczy się o prawa kobiet. - wtrąciła druga, czy drugi?

Nieważne... Puszczając zalotne oczko temu wysublimowanemu dżentelmenowi z wiśniowym parasolem.

- O! Ido! - krzyknął Jeroboam wskazując palcem na piątkę swoich kumpli.

- Jupijaej! - krzyknęły radośnie, po czym wszyscy weszli do środka.

Jakżem się zdziwił po raz kolejny dnia owego nietuzinkowego jak po tym zajściu zuchwałym w miseczce mej urokliwej pojawiło się kilka ziarenek, co to rychło do zjedzona się zabrałem, aby mi się zaraz z nadmiaru tego dobra tutejszego owe ziarno drogocenne nie przesypało i zmarnowało zarazem.

Cała załoga gwarząc głośno i zamawiając cegły przy odpowiednim stoisku usiadła przy zwiniętym dywanie, na którym każdy postawił swój drogocenny rarytas. Położywszy się na brzuchach wpatrywali się w owe czerwono pomarańczowe prostopadłościanny dyskusję swoją zaczynając energicznie.

- Hola, hola! A co z rozluźniającą rozmową wstępną? Przecież według Mistrzyni Dobrego Smaku i Aromatu, pani Rolanda Branhoffer przed rozpoczęciem dywanowych obrad w gronie najbliższych kumpli najpierw trzeba pogadać o bzdetach, bo inaczej będzie się nieokrzesanym gburem i prostakiem! - zreflektował się Jeroboam ratując całe towarzystwo przed obrzydliwie ohydny upokorzeniem w oczach lokalnej społeczności.

- A jo! Dziena Jero!

- To kto zaczyna?

- Ja mogę.

- To dawaj.

- A więc tego... Wczoraj byłem z młodą na deszczówce. O mówię wam pany co ja żem się należał i namoczył to moje.

Tutej pozwolę sobie wtrącić słówko w ten dialog wciągający, aby wyjaśnić wam moi mili czytelnicy, czym owa deszczóweczka jest, bo taki to tutaj zwyczaj mają tubylce, że jak tylko deszcz padać zaczyna sobie, to od razu rozkładają swoje leżaczki na dachach, ulicach, wzgórzach, polach i w piwnicach, aby leżąc nago zbierać na swe ciała drgające krople deszczu. Przeto nie je to deszczu taki o sobie zimny i niemile zazwyczaj ubranka moczący, ale deszczu ten ciepłem wód swoich grzeje niczym gorąc wód prysznicowych. Co bardziej ekonomiczni oraz zaradni nie szczędzą sobie docinek sąsiadów i ową okoliczność do kąpieli wykorzystują niemniej jednak większość obywateli się szanuje, więc tylko dla relaksu owych deszczowych rozkoszy zawrzywają.

- Ja to se wczoraj piszę z tako przez *Kalosza*, no i się okazuje, że to też tanseksulana kobitka z patką jak te spod tego tutaj baru, ale ona, to nieszczęśliwa akurat była, bo to jej urząd kazał płęć zmienić, bo w jej roczniku za dużo chłopców się rodziło, więc padło między innymi na nią, aby wyrównać parytet. Zakochany, czy zakochana... Już nie wiem... Była ona w jakiejś kobiecie, a ona w nim, no ale... Dostała przydział na mężczyznę do związku, aby proporcja małżeństw heteroseksualnych względem homoseksualnych również była była zachowania, bo przecież jakiś tam ułamek par heteroseksualnych musi być. Miała doła niematego, a i mnie też się smutno zrobiło, ale po chwili mi przeszło jak zobaczyłem ulotkę, na której pokazują kobietę wychowującą swoje dziecko.

- *Twarde prawo, ale prawo!* - skomentował donośnie wiśniowy prawniczek bandy.

- *Sprawiedliwość musi być!* - dodał Jeroboam.

- *Demokracja! Demokracja! Demokracja!* - potwierdzili wszyscy chórem tegim!

- Ja dostałem nową pracę.

- Jako?

- Jako, czy jaką?

- Jako...

- Jako etatowa niszczarka.

- Cóż to takiego?

- A siedzę sobie w pokoju, ludziska mnie dokumenty różne znoszą, a je w niszczarce niszcze, a papierowy makaron pakuję w paczki i wysyłam do biednych krajów.

- Super sprawa.

- Wiem.

- Mnie się fartnęło z moim karateką.

- To znaczy?

- No bo tego... Wiecie, że za dwa tygodnie jadę na wakacje dookoła świata, prawda?

- Nie. - odparli chórem.

- Aha. No to już wiecie. No i wiecie, że miałem karatekę, prawda?

- Nie.

- Aha... To znaczy miałem.

- Co z nim zrobisz?

- No właśnie nie wiedziałem co z nim zrobić, bo jak zostawiam go samego w domu, to mi wszystkie szafki przekopie, krzesła rozwali, a ostatnio to rzucał moim butami w przechodniów. Mama nie chce się nim opiekować, a mi się on już po prostu znudził, więc chciałem go wyrzucić na śmietnik, ale mama podsunęła mi dobry pomysł.

- Jaki?

- Wystawiłem ogłoszenie lokalne na tablicy przy sklepie pani Bożenki. "SPRZEDAM KARATEKĘ". Po dwóch godzinach zgłosiła się do mnie jakaś kobieta z synkiem, który potrzebował kogoś do bicia. Mam nadzieję, że oddałem go w dobre ręce i cieszę się, że nie musiałem go wyrzucać na śmietnik, bo przecież wiecie jak dobre mam serce i jakby mi było z tym źle, że go tak zostawiłem, ale planowałem tę wycieczkę od miesiąca, tak więc wiecie jaka to była dla mnie trudna decyzja.

- Wiemy, wiemy... Dobrze wybrnąłeś z tej sytuacji. Szlachetny z ciebie człowiek.

- Wiem.

- A ty co taki markotny dziś?

- A idź... Kiero mnie wkurzył. - burknął kumpel Jera z pracy, a jego rączka z czoła poczęła mocniej i bardziej energicznie machać flagą.

- Co znowu?

- No zobaczcie co to za kretyn. Skończył się nam ser na pakowaniu, więc idę do kierownika i pytam się go, w którym kontenerze jest ten ser. Bo oczywiście nie może być cały czas w jednym, ale za każdym razem każe go składować w innym, aby nie było nudno. No i mi gada, że w środkowym.

- No i?

- No i ja wychodzę na zewnątrz, idę za róg, wchodzę na plac z kontenerami, a tam stoją... Stoją cztery kontenery!

- No masz ci los. I co? Znalazłeś?

- Zaryzykowałem i wybrałem prawy. Na szczęście był tam ser.

- Ty to jesteś łebski gość.

- Wiem.

- To teraz ja. - wtrąca kolo z parasolem.

- Dawaj.

- Miła sprawa. Budzę się rano, wszystko jak zawsze i zbieram się do roboty. Nakładam płaszcz, kapelusz i bach!

Nagle czuję jak sos pomidorowy spływa mi po twarzy?

- Że co?!

- Dzisiaj jest Światowy Dzień Wiązania Butów Lewą Ręką.

- A no taaak...

- No ja też właśnie zapomniałem, ale moja żona była czujna i chociaż nikt u nas w domu nie wiąże butów lewą ręką, to zrobiła mi taki prezent niespodziankę do kapelusza. Dostałem gołąbka w sosie pomidorowym.

- Miazga. Fajna ta twoja żona.

- Prawda? Ona wie jak ja lubię gołąbki. Ale nie rozumiem jednej rzeczy.

- Czego?

- Wziąłem ten parasol. Noszę go cały dzień, a ten sos cały czas mi skądś z góry kapie.

- Dziwne...

- Prawda? Nie wiem. Może jutro minie.
- Ja to dzisiaj miałem nudny dzień w sumie. Wróciłem do domu coś tam w radiu leciało... A! No tak. Słyszeliście tę nową reklamę leku na erekcję?
- Nie...
- Mówię wam. Jaka świetna muzyczna tam leci. Aż mnie się tańczyć chciało, ale się trochę wstydziłem, bo to wiadomo... Te drony latają i patrzą wszędzie, a tak nie wypada trochę tańczyć we własnym domu.
- No raczej... Od czego są dyskoteki...
- Ja to dzisiaj cały dzień przygotowywałem się do rozmowy rekrutacyjnej, którą mam jutro.
- To to już jutro? - wtrącił zdziwiony Jeroboam.
- A no... Tak w ogóle to dzięki, że mi załatwiłeś tę robotę.
- Jeszcze nie załatwiłem. Zobaczymy jak się spiszesz.
- Będę się starał.
- Jak się przygotowywałeś?
- Oglądałem porno i jadłem sernik.
- Gił. Powinno ci się udać.
- Na jakie stanowisko chcesz się wkręcić?
- Jako rozrodnik.
- Czyli?
- Czy ty masz o czymkolwiek pojęcie poza prawem?
- Nie.
- Jeny... No przychodzą jacyś rodzice z córką, aby ją ktoś z dobrym genotypem zapłodnił, bo chcą mieć ładnego, zdrowego i bystrego wnuka.
- A ty jaki masz genotyp?
- A+. - odparł z dumą niesłychaną i w ogóle niekrytą.
- No to rzeczywiście dobry z ciebie materiał na rozrodnika.
- A co jak ci przyślą do zapłodnienia jakiegoś brzydala?

- Tak usługa jest dostępna tylko dla ludzi z genotypem B i lepszym. Żeby nie marnotrawić dobrych genów dla słabych, którzy i tak w końcu wyginą zwłaszcza, że mają limity rozrodu.

- Świetna ustawa. - wtrącił prawniczek.

- To znaczy?

- W skrócie. Dzięki takiej dyrektywie, słabi, brzydki i głupi ludzie mogą mieć maksymalnie jednego potomka, aby był wśród nich niż demograficzny, a silni, piękni i inteligentni nie mają takiego limitu, a poza tym państwo dopłaca im za każdego potomka. Ci pośrodku mogą mieć więcej niż jednego potomka, ale tylko wtedy, gdy drugi i następny będzie spłodzony przez jakiegoś rozrodnika z genotypem A+, tak aby jego silniejsze geny w większości wyparty słabsze geny takiego średniaka. Dzięki temu jesteśmy jako ludzkość coraz bardziej silni, piękni i inteligentni, a Demokratyczna Gubernia sypie dofinansowaniami jak z rękawa na rozrodników, gdyż wie jakie to ważne dla nas wszystkich, dla równości, dla wolności i demokracji.

- Cieszę się, że żyjemy w takich pięknych czasach, w których urzędy o nas dbają.

- Ja też.

- Jak miło jest żyć pod ciągłą opieką urzędów i nie musieć samemu decydować o swoim losie.

- Kiedyś ludzie to mieli przerąbane, jak każdy dorosły sam sobie decydował o sobie.

- Nom. Jakiś dramat.

- Dobra! Koniec tego biadolenia! Czas zacząć poważną rozmowę. - wtrącił Jeroboam kładąc rękę na swoje cegle dając tym samym znać, iż ma coś ważnego do powiedzenia.

W tej oto chwili moi mili czytelnicy pozwólcie, iż objaśnię gdzie owa tajemna pogawędka miejsce miała.

Rozglądając się dookoła nie mogłem się powstrzymać, aby nie zapytać Łysego cóż to za miejsce, a on życzliwie wyjawiał mnie wszystkie szczegóły, których źródłem główka Jeroboama była. Pub ów Dunaja się nazywał, ale to już dobrze wiecie, ale nie wiecie, iż ów lokacja zjawiała się tutaj za pomocą takiego zacnego jegomościa jakim wciąż jest - i to w waszym świecie dziwnym i zabawnym niekiedy - Łukasz Dunajski, który to podczas gruszek zrywania z jakimś przygłupem mało pojętym dla żartów biznesplan takowy stworzył i przy owego towarzysza udziale

niestety, który to tutaj swe zastosowanie znalazł, stąd też podziękowania owej personie gadatliwej z tego miejsca złożyć trzeba.

Wracając zaś do Dunaji. W szyldzie samym zamiast “u” litery logo kufła z piwem widniało, a w trunku złocistym i spienionym pad do gry na konsoli pływał. Jako iż działalność ta zacnej postawy nie była zarejestrowana w żadnym urzędzie opiekuńczym, co by to chętnie każdemu jego własny biznes rozkręcić, a później prowadzić pomógł za symboliczną opłatą, to do godziny dziewiątej rano przy szyldzie owym strzałka przymocowana była, aby jako rzekomy drogowskaz do tej nibyprawdziwej Dunaji prowadził, co celnie myliło urzędników hordy, którzy za każdym razem poszukiwania swe kończyli w ślepej uliczce z niebywałym rozgardiaszem pod precyzyjnie wyedukowaną w procedurach, paragrafach i kwitach wszelakich bańką. Dopiero po godzinie dziewiątej - jak już urzędziki wszystkie pozamykane bywały - ów strzałka znikła, a pub stawał otworem przed spragnionymi wrażeń klientami. Motywem przewodnim owego lokalu była gra w znaną odstonę elektronicznej gry komputerowej, w której jakieś śmieszne ludki jeszcze śmieszczejszą kulką kopią, do już kompletnie durnych siatek po dwóch placu trawiastego stronach. Jako iż właściciel minimalizował koszty owego biznesu zgodnie z zaleceniami najlepszych fachowców, to pomimo iż na witrynach można było ujrzeć okładkę najnowszej wersji owej gierki na najnowszą konsolę, tak w rzeczywistości klienci mogli jeno grać na przestarzałym sprzęcie, w starą wersję gry, lecz z fanowską, amatorską modyfikacją, dzięki której składy poszczególnych drużyn były aktualne. Mając również świadomość tego jak drogie są duże telewizory, właściciel używał rzutników, które na białą ścianę wizję puszczały. Takowych stanowisk do gry było trzy, a za każdym z nich stało kilka ławek - wyrwanych spod osiedlowych bloków - zamontowanych na lekkim podwyższeniu dla najwierniejszych kibiców, którzy dopingowali swoich grajków najukochańszych. Jako iż radia bez abonamentu, na który to stać nikogo zaczynającego biznes nie było, nie było, to puszczano muzykę z gry, bo o zakupie licencjonowanych płyt, to już mowy być nie mogło w ogóle. Koncerty na żywo również w grę nie wchodziły, gdyż śpiewaki i grajki za dużo wódki żłopały podczas pracy, ale jeno jeden miłosierny piosenkarz, pan Krzysztof - deklarujący się jako abstynent - zgodził się śpiewać raz w tygodniu, bo właściciel pubu był kiedyś na jego koncercie, po którym pogratulował mu przedniego występu - jako jedynego w całej jego karierze. Dunaja zatrudniała kilkunastu studentów - zazwyczaj na

tydzień, bądź dwa dla tych bardziej wytrwałych - za pół minimalnej krajowej, bo kto jak kto, ale student wie ile pieniędzy trzeba na makaron i ketchup potrzebne do przyrządzenia Spaghetti Bolognese. Raz w tygodniu były organizowane turnieje, dla zwycięzcy których sam właściciel wręczał voucher o wartości trzydziestu Gubernantek do wydania przy barze. Wydaje mi się, że warto dodać, iż wpisowe na owe turnieje kosztowało pięćdziesiąt Gubernantek od osoby, ale jak już o barze mowa, to warto również nadmienić, iż bar - zważywszy na rozmiary lokalu oraz wygodę klientów - był tylko małym okienkiem w ścianie, obok którego widniało menu. Trzy piwa do wyboru, choć tak naprawdę i tak każde było jednym i tym samym, najtańszym piwem w puszcze z marketu budowlanego, które tylko wlewano w różne kufle. Hattrick spod lady - jak nazywał się lokalny oraz jedyny oficjalny drink zarazem - zawierał w sobie whiskey, colę i cytrynę, lecz tak naprawdę zamiast whiskey lano żółdkową wódkę, która barwą oraz etykiety kolorem nieco whiskey przypominała. Dla najmłodszych i wtajemniczonych w tajne struktury owego towarzystwa hermetycznego był tak zwany Żak, czyli czysta, żytnia wódka z wodą podawane w emaliowanych kubkach. Przy jednej ze ścian stała ukradziona z miejskiego stadionu ławka rezerwowych, na której przesiadywali okoliczni menele, którzy radośnie - wsparci darmową wódeczką - brali na swoje nazwiska krótkoterminowe pożyczki, które właściciel pubu przeznaczał na cele charytatywne oraz rozwój własnego biznesu. W Dunaji znajdowały się również dwa inne pomieszczenia. Jedno dla najbardziej wtajemniczonych, w których znajdowała się nasza gromada i w których były jeno pozwijane, czerwone dywany oraz stolik, z których każdy gość mógł sobie zaczerpnąć niezłą cegielkę za drobną opłatą, oraz drugie dla najgorszych profanów, w którym podawano Spaghetti Bolognese nawijane na uszy. Stoliki oraz ławki się tam znajdujące pochodziły z jednej ze szkół podstawowych, którą burmistrz miasta zamknął na prośbę właściciela Dunaji, będącego w niezłej komitywie z jego synem, często przebywającym w owym lokalu na wagarach. Na koniec można tylko dodać, iż prąd był ciągnięty z pobliskiej fabryki gwoździ, a woda pompowana elektryczną pompą z pobliskiego kanału, tak więc i na tym udało się temu zmyślnemu biznesmenowi przyoszczędzić, a jak wiadomo... Na początku zabawy każdy grosz ma znaczenie.

- **Dawaj waść.** - ponaglał Jeroboama prawniczek lekko zniecierpliwiony jego dostojnym przygotowaniem do wypowiedzi ważnej i wzniosłej.

- Moim mili bracia! Nadszedł czas abyśmy zaczęli realizację naszego planu.
- Jakiego planu? - wtrącił zmieszany jegomość z rączką w czole.
- No przecież na dniach mamy przeprowadzić napad na bank! - huknął z oburzeniem niemałym.
- A no tak...
- Wszystko macie tu na tych płytach. Nasz aktualny plan. Każdy dostanie jeden egzemplarz. I nikomu go nie pokazywać!
- Tak jest. - odpowiedzieli zbiorowo.
- Paligłup.
- Ta?
- Rozznałeś się w autach?
- Tak. Siedziałem trzydzieści dni w centrum miasta i codziennie sporządzałem notatki ile, jakich i w jakich barwach pojawia się aut na głównym skrzyżowaniu, aby wyliczyć jaki samochód jest najczęściej spotykany, przez co najmniej rzucający się w oczy.
- I?
- Wiśniowe Seicento.
- Co?! Myślisz, że zmieścimy się w ośmiu typa w wiśniowe Seicento?
- Musimy. Tak wyszło z moich badań.
- Damy jakoś radę. Wiśniowy to fajny kolor. - skomentował prawniczek z nadzieją w głosie.
- No ok... No dobra. W takim razie zajmij się ogarnięciem tego auta, dobra?
- Dobra.
- Jakies pytania?
- O której mam być jutro na tę rozmowę? - zapytał nieco niepewnie niedoszły rozrodnik.
- Bądź przed ósmą pod firmą.
- Ok.

W tym oto momencie niebywale wzniosłym... Wzniosłym aż tak, że jakaś muzyczka pompatyczna by się przydała... Poczułem, iż na ową rozrodnikową głowę sięć mnie trzeba. Uczyniłem więc jak mnie serduszko nakazało me kurczące, a łysolek nasz również podążył za mną nie kryjąc lekkiego zakłopotania.

- Jesteś ciekaw co tym razem?

- Ja jak na razie nie chcę nic wiedzieć.

- No weź.

- Nie.

- No ale ja muszę z kimś o tym pogadać.

- To gadaj z nim.

- No ale... W sumie racja. Rozmowa z samym z sobą to jest to.

- Imię.

- Co?

- Podaj mnie jego imię, bo już mnie to męczyć zaczyna.

- Aaa... Sadok.

- Sanok? Jak to miasto?

- Sadok!

- Okej. Dziena łysy łbie.

- Proszę *bardzo*.

Sadoczek nasz rozbrykany i dziwnie radosny przechadzał się wietrznymi, ciemnymi uliczkami odganiając co jakiś czas od swej twarzy przeróżne papierki, które latały to tu to tam, aby po chwili ulecieć pod samo niebo.

Wewnętrzny głos mówił mnie wtedy, żeśmy do jego chacjenty kroczyć powinni w czasie owym, ale ten gagatek kroczył w zupełnie innym kierunku, co niezgodne z planem naszym względem osoby jego było.

- Co *teraz*? - zapytał mnie Łysy, gdyż pierwszy raz w takowej sytuacji byliśmy niezbyt miłej.

- Nie wiem. Wpłyni jakoś na niego żeby lał do domu.
- Ale on nie chce.
- Jak to nie chce?
- No mówię mu, że ma iść do domu, a on że nie, że jest tylko raz, już ostatni raz zajdzie w jedno miejsce i wtedy do domku.
- Co to za miejsce?
- Nie powiem ci.
- Co?
- A nie powiem.
- Dlaczego?
- Bo nie.
- Kpisz sobie?
- Nie. Jak dojdziemy to zobaczysz.
- Słuchaj mnie ty łysy głąbie. Jestem tutaj aby ci pomóc, bo bez tego zostaniesz tutaj na wieczność, więc lepiej zechciej ze mną współpracować.
- Słuchaj tego... Bo tak do mnie to dotarło jakiś czas temu...
- O czym ty biadolisz?
- A no widzisz... Bo tego... Wiecz co będzie jak ja dam ciała i nie zamknę tego świata?
- No wiem. Zostaniesz tutaj na amen.
- A ty?
- Co a ja?
- A co wtedy z tobą?
- No ja... Jasny gwint! - jakżem jęknął z rozpaczą w głosie po uzmysłowieniu sobie w jakim nieładnym położeniu mnie nasz kochany tatuś ulokował i to nie z mojej winy przecież, co jeszcze bardziej mnie żalem i goryczą przepełniło.

- Haha! Tak więc jesteśmy kwita, a teraz patrz sobie gdzie nasz Sadoczek człapie i nie zawracaj mnie tu głowy, bo ja wciąż staram się go od tego odwieść!

- Okej, okej... Rób swoje, a ja będę robił swoje.

- Jo!

Przez momencik w tamtej chwili niefajnej smutno mi się zrobiło bardzo, ale dostownie chwilę później jakieś potacie nadziei na mnę główkę białą spadły z Nieba i już mnie humory odpowiednie wróciły, a wdzięczność Bogu przepełniła me serduszko przez chwilę struchlałe. Za chwilę inną chwilę w chwilę opisaną przedstawię wam moi mili czytelnicy, lecz na chwilę muszę was opuścić za chwilę, gdyż lada chwila pismak ten niemądry padnie z głodu i wody braku w chwilę.

Wróciłem my po przerwie se radośnie już usposobieni we dwoje.

Do jakiegoś typu niesympatycznego Sadoczek nasz radosny podszedł wtedy w ciemnym zaułku i mu takimi oto słowy rzecze.

- Siema.

- No siema.

- Dajże mnie piątkę na zeszyta, bo mnie stara za gaz ścignęła.

- Bo żeś jej nie płacił od roku, to się dziwisz?

- Oj tam...

- Mi kiedy oddasz?

- Jutro będę miał robotę, zarobię, to oddam.

- No dobra... Ale żebyś nie musiał znowu do twojej matki dzwonić, żeby ci o twoich długach u dilera przypomniata.

- Nie no luz.

- A tak w ogóle, to ruszam z programem lojalnościowym.
- Że co?
- Za każdego grama otrzymasz trzy punkty. Każde trzysta punktów możesz wymienić na darmowego grama koks, a za pięćset dostaniesz lustro.
- Jakie?
- Prostokątne.
- Fajno! Ok. Załóż mi kartę.
- Będzie mi potrzebny twój pesel.
- Ok. Masz tutaj. - podał mu kartkę z notesu.
- Ok. Nie możemy dzisiaj zacząć zbierania punktów, bo bierzesz na zeszyt.
- No ej! To niesprawiedliwe.
- Dodam ci te punkty jak spłacisz dług. Wyluzuj.
- A. To okej. Spoko opcja. Zawsze wiedziałem, że spoko z ciebie diler.
- Się wie...
- Dobra lecę ja do chaty, bo jutro muszę wcześniej wstać na tę rozmowę kwalifikacyjną.
- To jutro?
- No tak...
- No to powodzenia.
- Dzięki.
- Pamiętaj tylko, że za dwa tygodnie mija twój termin spłacenia pierwszego długu, a wtedy...
- Wiem, wiem...
- A wtedy połamię ci nogi.
- Spoko. Rozumiem. Jak umowa, to umowa.
- I to szanuję. Pozdro ziom.
- Elo.

No i sobie tak szedł se on i szedł i do domu se doszedł i jak już se do niego wszedł se, to se usiadł na podłodze, wciągnął kreskę koksu, odpalił telewizor i ślepki swe rześkie na nim zawiesił i trawił, trawił i trawił wiedzę napływającą do jego nieco zziębniętej - choć gorąco fest w chałupie było - czaszki nieco zbyt kanciastej zdawać by się mogło. Czarna plama i kleks biały w telewizorni się wyświetlał, a jakiś głos babski takimi oto zdaniami niewygodnymi raczył oglądającego, a i nas przy okazji.

Ryba ta żyjąca pięć tysięcy metrów pod poziomem morza, żywi się beczkami z odpadami nuklearnymi oraz serowymi chrupkami. Jej ciało składa się całkowicie z majonezu, dzięki czemu w każdej chwili może zmienić swój kształt w zależności od sytuacji oraz nastawienia. Jeżeli chce odstraszyć napastnika przybiera postać przypominającą literę "x", zaś jeżeli ubiega się o względy jakiegoś samca układa swoje ciało w coś co przypomina dwukropek i gwiazdkę. Kolejną charakterystyczną pozą Majonezowej Flondry jest tak zwana faza uśpiania, w której przypomina nieco alfabet morse'a, gdyż składa się wtedy ona z kropek i kresek przeróżnych rozmiarów. Jest to ryba niedawno odkryta, a już okrzyknięta przebojem kulinarnym. Najwięcej jada się ją w Europie Środkowej z jajkiem i zielonym groszkiem. Proszę nie mylić tej ryby z Flądrą.

Senas przejmujący oraz rozwojowy niemało do drzwi mocne pukanie przerwało.

- Kto tam?
- To ja.
- Czyli.
- No ja.
- A... Cho no. - burknął z lekką niechęcią otwierając drzwi.
- Cześć.
- Co ci się stało w oko?
- Mój współlokator spuścił mi łomot, bo użyłem nieswojego garnka.
- No i dobrze ci tak durniu.

- Wiem, no ale co zrobisz... Mam małego zgona. Poratujesz?
- Przecież wisisz mi jeszcze dwie działki.
- No ja wiem, ale ostatnio nic nie grałem, a za godzinę mam koncert, to ci odkupię zaraz po.
- Nie rozumiem jak ludzie mogą słuchać twojego rapu... Przecież to jakiś gniot.
- Dobra no... Dasz mi tego grama, czy mam iść do pani Stasi spod szóstki?
- No po ci teraz przed koncertem?
- No bo muszę się nakręcić? Poza tym jestem zestresowany tym garnkiem, a jeszcze zgubiłem gdzieś okulary.
- Okulary?
- No tak... Zawsze jak jestem na scenie zakładam przeciwsłoneczne okulary.
- W ciemnym klubie? Przecież to bez sensu.
- No niby tak, ale jak jestem w okularach, to nie widzę widowni i wtedy łatwiej mi sobie wyobrazić, że śpiewam samemu w studio, bo tak to się stresuję przed ludźmi i myślę słowa.
- Prawdziwa z ciebie gwiazda rapu nie ma co... MC jak się patrzy.
- Dobra milcz... Dasz mi tę działkę, czy nie?!
- Dobra, już dobra. Masz i zjeżdż mi z oczu ćpunie. To gównu ryje ci beret gamoniu.
- Wiem. Dzięki. Trzymaj się. Oddam ci jutro. Obiecuję.
- Dobra, dobra... Ostatnio też mi obiecywałeś, że już będziesz sobie na koks odkładał i co? Znowu przylazłeś.
- Bo jesteś dobry ziom.
- Zjeżdżaj lamusie.
- Elo.

Sadoczkowe stworzenie rzuciło okiem na pokrojonego w małe kosteczki i polanego sosem pieprzowym pustka, ale jakoś go na sen rychło zmoгло wieczoru tegoż wszelkich trudów podsumowanie. Zrzucił więc zgrabnie obuwie, po czym w odzież zdobny legł na podłodze z miną uradowaną niemało. Nie czekając długo sru mu pod brązowy czerep wskoczyłem, aby się jego nocnym wizjom przyjrzeć i naszemu niepokieszonemu jak zwykle Łysemu w owej przygodzie towarzyszyć.

Śnieżne pustkowia z mrowiem śnieżnych gwiazdeczek na horyzoncie widniały oraz jasnością chłodną biło ku naszemu bohaterowi, który pomimo trudów, znojów i nówek gwałtownemu wiosłowaniu z miejsca ruszyć się nie mógł, a dopiero jak jego zlodowaciałe serduszek smuteczkiem się przepełniło nieznosnych rozmiarów, to się ów widziało co to duszy jego pragnieniem było samo się do niego przybliżyć. Tak to właśnie w owej śnieżnej wesołości się Sadoczek nasz przećpany radował, sypał białym proszkiem ku górze, a i nierzadko na twarz opadające płateczki przyjmował, po czym kładł się na ziemi żeby to śliczne orelki sobie w białym proszeczku beztrudno bazgrolić swoim ciałem półnagim, gdyż tylko w srebrne majty ów jegomość odzianym być raczył w chwili onej. Jak się okazało później nie bez kozery owa kreacja taką a nie inną była, gdyż jak zazwyczaj bywa to podświadomość ludzka dużo wcześniej wie co i jak grane będzie w przyszłości niż te szmery i szumy, które to górnolotnie świadomymi myślami zwać nam się chce zazwyczaj, a z których to darów oraz udogodnień Sadok nasz w błogim stanie uniesienia nie chciał skorzystać choć trochę, no ale za czas niedługi pewne zmiany w nie mniejszą zmianę postrzegania swego położenia miały go wprowadzić, ale o tym to już opowiem w zdaniu co to właśnie rychło się zbliża do napisania, a brzmi ono następująco. Nagle - z przyczyn bliżej niewyjaśnionych - owe lodowe kryształki, co to jako biały puszek jawić się chciały, topnieć rychło zaczynały, a temperatura otoczenia ku górze mknęła niczym strzała z łuku glinianego ciśnięta z wnętrza tuńczyka wielkiego w stronę lecącego nad bagnami leśnymi tygrysa, co to dzięki zamontowanemu na plecach biurowemu wiatrakowi latać zuchwale może. Sadok zdezorientowany i coraz mocniej lękiem przejęty spostrzegł, iż jego śnieżek cudowny już jeno wielką kałużą został, a co gorsza owej wody poziom wzrastał dynamicznie jak... Pozwólcie moi mili, iż tym razem nie uraczę umysłów waszych żadnym porównaniem dokładnym co to skalę sprawy ułatwia ukazanie, ale przejdę do następnego etapu snu owego, który to coraz więcej negatywnych emocji dla swojego generatora - że tak to ująć sobie pozwolę - dostarczać miał czelność, gdyż po kilku sekundach zaledwie, Sadoczek nas już nieźle przestraszony zorientował się, iż poziom wody już dawno jego wzrost prześcignęła, co go do nieco niechlujnego pływania przymusiło, a fal dużych gromady, w ogóle mu owego zadania nie ułatwiały. Po kilkuminutowych walkach z szalejącym i słonym żywiołem spostrzegła nieboga nasza złęczona statek ogromny niedaleko, po czym rychło i z nadzieją dość sporą w jego stronę mknąć zaczęła. Mknąc tak szybko, że już zaraz rączki swoje obolałe

na sieci zwisającej na burdzie lewej ów rozbitek hardo zacisnął, po czym wspiąwszy się na pokład począł z jękami, krzykiem oraz konsternacją biegać w poszukiwaniu jakiejś bratniej duszyczki, co by mu pomogła owych zająć zagadkę rozwiązać, lecz ku jego niezadowoleniu, pomimo długich i starannych poszukiwań nikogo na owym wielkim okręcie - który jawił się jako jednostka niewymownie kunsztowna, elegancka w każdym calu, a i niebanalnie uzbrojona, zaopatrzona oraz zabezpieczona, tak więc spełniająca całość wymogów sprawnego po najniebezpieczniejszych oceanach pływania - nie znalazł, więc położywszy się przemoczonym do najcieńszych nici swych slipków kusych na posolonym pokładzie zalał się łzami bezradności.

Tak to się owy sen skończył, a jak się okazało, to po powrocie do jawy sytuacja dużo inaczej nie wyglądała, gdyż zlany potem, zgrzany i dyszący leżał se on na podłodze swojej i roniąc też litry rozważał boleści swej samotności nieznośnej.

Taki to swoim losem niemiłosiernym zgnieciony nieco Sadok wstał, zakasał rękawy, wciągnął ścieżkę proszku magicznego, po czym rozpocząć przygotowania do rozmowy kwalifikacyjnej postanowił, a wyglądały one w takowy sposób, iż całą noc filmy pronograficzne oglądał sernikiem zimnym się zając. Jak tylko jutrzeńka przez okna do chatupy jego zawitała za sprawą okna w brudną szybę zbrojnego, tako nasz zuch i samiec niebywale wśród społeczeństwa lokalnego wielbiony oraz podziwiany dumny ze swych wyczerpujących przygotowań walczyć o swą przyszłość postanowił z zajądlnością uwiecznionej w puszcze makreli, co to wśród innych zniewolona sosem pomidorowym wierci się i szaleje, pomimo iż głowy nie posiada.

Cały ten nudny syf, który dzielił nas od wyjścia z domu do dotarcia pod firmowe drzwi pozwolić sobie pozwolę, gdyż ta historia i tak już nazbyt długą się okazuje, a jeszcze trochę szczegółów do omówienia przed nami.

Tako więc jak tylko nasza trójka - nie do końca o byciu trójką świadoma przez wszystkich członków naszej zgranej paczki - trafiła do wnętrza owego światłego przedsiębiorstwa, tako oczkom Sadoka kuso odziana i młoda niewiasta się ukazała, która trzymając w dłoni jednej słuchawkę telefonu, drugą łapką w czerwone pazurki

zdobną, mąkę z czarnej, nieco przykrótkiej spódniczki strzepywała, co pobudziło myśl naszego ogiera żetelnego w odpowiednim kierunku zważywszy na to, iż całą noc sernikiem swój żołądek napętniał i ozorek raczył.

- *Cześć małeńka.* - zagaił tonem prawdziwego miszcza nocnego podrywu.

- *Że co słucham?* - odparła nieco skonsternowana.

- *Ja tego... Po pracę.*

- *Jaką pracę?*

- *Jako rozrodnik.* - rzekł dumnie wwiercając się w dekolt niewiasty.

- *A to pan... Już dzwonię po kolegę, który pana zaprowadzi do prezesa.*

- *To fajno, dziękować.*

- *Proszę se tam oto usiąść waćpanie.* - poprosiła wskazując pralkę, w której prały się ręczniki.

- *Dziękuję bardzo uprzejmie i w ogóle bez podtekstu.* - odparł siadając na ów sprzęt AGD.

Czekając jego główka niezbyt pełna treści o wartość zakrawających co jakiś czas przeszywana bywała wspomnieniem smaku rodzyнки, która to zdradziecko przedarła się w jednym z kawałków jego ulubionego ciasta. Nagle zaś lśniący jegomość wkroczył dumnie do holu, a pomimo iż dzień już w całej swej mocy radosnej świecił, to z pół obrotu, pantoflem starannie wypastowanym, włączył ów zacny rycerz światło co w niemały zachwyt sekretarkę wprowadziło, o którym poinformować otoczenie chciała gromką salwą gwizdów, okrzyków jak i braw oczywiście.

- *To ty jesteś ten nowy?* - zapytał nieco arogancko, zerkając z szarmanckim uśmiechem w stronę sekretarki, na twarzy której lądowały kolorowe odbicia światła, bijące z jego olśniewającej niczym kula dyskotekowa marynarki.

- *Tak.*

- *Chodź za mną! Na kursanta tak?* - zapytał, dumnym krokiem przemierzając wąski korytarz.

- *Kursanta? A cóż to takiego?*

- *No siedzisz przed kompem i patrzysz kursy walut.*

- Kursy walut? Przecież one zmieniają się raz na dobę.
- No tak. Nieco wyczerpująca to praca, ale idzie przywyknąć.
- Aha... To znaczy, nie... Ja tak tylko z ciekawości. Ja mam być rozrodnikiem.
- Aaaa... Sernik w nocy był? - zapytał spoglądając podejrzliwie na dumnego z siebie Sadoka.
- A jak...
- Widać, żeś łebski typ.
- Siema! - jak nie krzyknie Jeroboam wyskoczywszy jakby spod ziemi.
- A no siema...
- Siema, siema. Co tam?
- Mogę go na chwilę?
- Po co?
- Bo muszę.
- Ok. Ale tylko na chwilę.
- Cho no... Mamy do pogadania.
- Co tam? - zapytał Sadok półgłosem rozglądając się na boki.
- Odpaliłeś płytę?
- Jaką płytę?
- Z naszym planem!
- Aaa... Nie... Zapomniałem.
- Jak to? Przecież to dzisiaj!
- Tak? No ja wiem, ale...
- Migdałowe sprzętło! Czy ja zawsze muszę współpracować z idiotami.
- Dobra no! Przepraszam. Zapomniałem.
- Dobra. Wybaczam. Słuchaj zatem, bo muszę ci wszystko opowiedzieć.
- Dawaj.
- A więc... Słuchasz? Jesteś skupiony?

- Nom...

- Na płycie była informacja, że spotykamy się dzisiaj o dwudziestej pod bankiem. Tam przedstawię wam resztę szczegółów.

- Ok.

- Zapamiętasz?

- Chyba tak.

- Ok. To dobrze. Słuchaj...

- No?

- Dzika sprawa.

- Jaka?

- No bo patrz. Mieliliśmy tutaj takiego jednego kumpla na pakowaniu.

- No.

- No i laska go zostawiła, bo się napił i poszedł do warzywnika z inną.

- No.

- No i tak się chłopak załamał, że aż z pracy się zwolnił z dnia na dzień i słuch o nim zaginął.

- No.

- No i zostawił fajne buty robocze w szatni.

- No.

- No i wyobraź sobie, że dzisiaj dodał post na Twarzoksiążce, że mu tam tak bardzo źle, że nie ma po co żyć, i że się chyba zaraz zabije.

- No.

- No to zapytałem się go w komentarzu, czy jak już skończy ze sobą, to czy mógłbym przejąć po nim te buty...

Przecież i tak się mu nie przydadzą jak już nie będzie żył, prawda?

- No tak.

- No właśnie, a wyobraź sobie, że mnie tutaj teraz jakieś wyrzuty co niektórzy robią i mówią, że to przeze mnie ten typ usunął swoje konto na Twarzoksiążce...

- Co za szajbusy.
- Co nie? Przecież wiadomo, że nie chciałem, aby to robił, po prostu fajne buty zostawił, to po co miały się zmarnować.
- No proste.
- Co za ludzie.
- Nie przejmuj się gamoniami.
- Dzięki stary. Wiedziałem, że ty to jesteś inteligentny typ.
- Wiem. Mogę już iść?
- Idź, idź. Powodzenia. I do zobaczenia wieczorem.
- Trzymaj się.

Sadok usiadłszy na krześle, które wskazała mu ta tajemnicza, światła oraz świecąca postać spoglądał z ukosa w stronę rudowłosego jegomościa, którego prawa stopa wyglądała jak kółko od rolek, a to dlatego, iż owym kółkiem była. Poza tym owa postać ubrana była w czarny, jednoczęściowy, obcisły i ukazujący szkieletowość jego ciała mizerny strój, a włoski zaś jego ognistej niemalże barwy w gówniany kok uformowane były. Dosłownie, gdyż owa fryzura fikuśna kształt kupy zawiniętej i do góry się pnącej radośnie miała.

- Czo se gapysz małpo? - burknął niemilo.
- Fajna stopa.
- Dziena.
- Po co tu siedzisz?
- Ma ja sprawa do prezes.
- Jaką?
- A czo cie to? Ho?
- A tak z ciekawości. Przecież sobie rozmawiamy.
- No jo. Tego to... Mam pomysła.

- Jakiego?

- Aby to se komputery sprzedawać.

- I już?

- Neee... No i na te komputery to se da takie dyski twarde, co to były na nich filmy jak ktoś miesza wiertarką suszone grzyby w plastikowej misce.

- Że co?

- No take kompro filma. No i potem to se takiego dyska formatuje, a dopiero potem wsadza w komputera, że niba czysty on je. No i jak taki klient jest fe, to se wtedy bierze specy co to odzyskuje dane i wsio! Kompro filma są.

Mówi się wtedy, że ten klient specjalnie go usunął, a myśmy teraz tylko go odyzyskali i gość udupion, a my weseli.

Tak se można klienta u koryta trzymać, bo kto by chciał takie filma mieć na własnym dysku?

- Nikt.

- No właśnie. He. Prezes będę zadowolony, bo mój ustąpił pomysł, też się mu spodobał.

- Jaki?

- A no też z dyskami. Że się plombe tak na dysk twardy mocuje, aby żadne zbuje nie podmienili dyska innego, co to ma identyczne dane na sobie zapisane jeno z dodatkowymi programami tajnymi co to pracują, monitorują i tak dale, że antywirus nie widzi i czuje zła, a tak jakoby miały być zainstalowane z sieci, to by wykryte zostały.

- No a skąd taka wiedza, co kto na dysku posiada?

- Agent tak wie władza.

- Ciekawe.

- Niemrawe.

- Niemrawe?

- A no. Niemrawe. - skwitował, zamknął i wzrok w metalową płytkę trzymaną w dłoniach wbił z namysłem.

Melodyjka radosna z radjka poczekalnię wypełniała, a pomiędzy nutki także to słówka można było usłyszeć.

- Zabijam ja ludzi. Zabijam ja se... Jak ja was nie lubię. Oj nie, nie! Ludzie są słabi, ludzie to zło. Nienawidzić was, to moje motto. Zabijajmy się i nienawidźmy wszyscy! Tylko moja racja jest coś warta, wasze to wymysły. Zabijam ja ludzi. Zabijam ja se... Jak ja was nie lubię. Oj nie, nie! (...)

- Dobra muza. - skomentował kiwając głową Sadok, który nie miał w zwyczaju wsłuchiwać się w tekst piosenek, których słuchał skupiając się tylko na melodii, w czym nie odstępował zbyt od reszty społeczeństwa, która to nierzadko na co dzień krytykowała wartości, od których aż roi się w utworach słuchanych przez nich każdego dnia z niekłamaną sympatią.

Nagle, lotem błyskawicy, a i z gromem niemniejszym z biura prezesa wybiegł niemal rozwścieczony jegomość, którego to dzień wcześniej oburzonego na dziale pakowania spotkać mieliśmy okazję. Łysy wskoczył na chwilę w niego pomimo mojej nagany, lecz wrócił równie szybko z takim oto komentarzem.

- Co to jest z łeb... Pamiętasz go?

- No. Po coś w niego włożył! Miałeś się mnie słuchać.

- Oj dobra no... Nie mogłem się powstrzymać. Przecież nic się nie stało.

- Teraz... Nie wiadomo co ci ludzie mają w baniach...

- Dobra no... Mam za to niezłego kwiata.

- Dawaj. - ponagliłem już nieco łagodniejszym tonem, gdyż sam byłem ciekaw coż to ów jegomość nieco nadpobudliwy chyba miał pomiędzy uszkami swymi małymi.

- Czaisz, że ten gość był tak wściekły, że jak wczoraj wyruszył do prezesa, to dopiero pół godziny temu do niego trafił?

- Jak to?

- Łaził w kółko przez dwadzieścia godzin zanim ochłonał i był w stanie przypomnieć sobie dlaczego się gniewa.

- Wybornie.

- A no.

- Ale nie waz się więcej wchodzić w istoty, których ci nie wskażę!

- Okej, okej... Przepraszam.

- Następny! - odezwał się głos zza drzwi.

- Teraz ja. - zagaił rudy typek z niekłamaną radością w głosie.

Po kilku minutach również wybiegł - choć tak naprawdę poruszał się na swoim kauczukowym kółeczku, a na jednej nóżce czynić to się raczył - lecz tym razem nie był już taki wesoły jak wcześniej, lecz zalewając się łzami mknął w kierunku wyjścia bez słowa wyjaśnienia dla naszego głównego bohatera tegoż historii fragmentu. Sadok wachał się przez chwilę, lecz Łysy wpuszczając mu przed oczy wyobrażenia wielkiego sernika bez rodzynek zgrabnie przekonał naszego przyszłego rozrodnika do lęku przełamania i wtargnięcia do jamy prezesowej bestii.

Wtargnąwszy do tej istotnie zacnej pieczary oczkom naszym wysprzątany, elegancki i białą przepętniony gabinet się ukazał. Jenó dębowe biurko brązowego koloru było, a początkowo brak chociażby taboretu o niemałe zdziwienie naszą trójkę wprowadził. Na ścianie była półka z gipsowym popiersiem Romana Svento oraz z kilkoma egzemplarzami jego jedynej książki pod tytułem *W matactwach niesforne go umysłu*. Jako niewątpliwie zacne dzieło sztuki, którego to w żadnym poważnym, prezesowskim gabinecie braknąć nie może, zdobiło ów pomieszczenie malarskie arcydzieło, którym był pierón jakiś żółty rodem z jakiegoś zestawu emotikon jakiegoś niezbyt popularnego komunikatora wyjęty, no ale cóż... Na malarstwie żaden z nas się nie znał i nie zna do tejże pory.

No ale...

Jak Sadok lekko zdezorientowany wtargnął do tegoż pokoju tak stanął sobie w jego środku i patrzył ze zdumioną facjatą swoją niezbyt bystrych, ale bardzo męskich rysów na swoje otoczenie. Nagle drzwi białe, które w owej bieli przepychu na początku niewidocznymi dla nas były otworzyły się szarmancko, a za ich skrzydła otwierającego się

do wewnątrz wyłonił się niczym z odmgótów sedesu dumny, wyprostowany i gibki jegomość niosący srebrny półmisek, na którym stał przykryty czerwonej purpury kolorem chustą jakiś przedmiot tajemniczy, lecz bardzo majestatem bijący dokoła. Postawiwszy półmisek na biurku ów postać w zakręcony, czarny wąs zdobna takimi to słowy do Sadoka się zwróciła.

- Proszę przywitać się z panem prezesem. - rzekł delikatnie kłaniając się i równie zmysłowo podnosząc ową płachtę czerwoną do góry ukazując tym samym nam prezesową postać, która to szklanym stoikiem była, wewnątrz którego przeróżne symbole i znaki czernią z bielą pokoju kontrastującą, mieszały się między sobą niczym plastikowe płatki śniegu w szklanej kuli uwięzione.

- Dzień dobry panie prezesie.

- Dzień dobry chłopcze. - odezwał się głos w samiutkim środku sadoczkowej czaszkuni jakby znalazł się w niej za sprawą telepatii.

- Ja chciałem...

- Tyś po pracę przyszedł do mnie.

- A tak, panie prezesie.

- Wiesz w ogóle jak wygląda praca rozrodnika w naszej firmie?

- Nie do końca. Coś mi tam kolega gadał, ale ja to nie wiem na ile mogę jemu ufać.

- Dlaczego?

- Bo on taki zawsze pół żartem pół serio gada i jak przychodzi coś naprawdę poważnego do obgadania, to już nie wiadomo o co chodzi.

- Poważnego powiadasz? Czyli zależy ci na tej pracy?

- A no.

- Dlaczego?

- Mam długi.

- O. A to ci nowość. I chcesz teraz zapładniać córeczki zadufanych ważniaków?

- Jak można na tym zarobić.

- A no można. Wiesz, że nie każda, pomimo dobrych genotypów, będzie... Że tak to ujmę... W twoim typie.

- Jak praca, to praca.

- Jesteś ciekaw jak to wygląda?

- Yhym.

- Jak byśmy nie mieli aktualnie żadnego zlecenia, to siedziałbyś w pokoju treningowym i oglądał porno zając się sernikiem.

- A to, to już wiem. Spędziłem na tym całą ostatnią noc, bo słyszałem, że tak to wygląda.

- To świetnie. Cieszę się, że podchodzisz poważnie do swojej pracy.

- Zawsze.

- Wracając... Jak pojawi się jakiś klient, który będzie chciał przedłużyć żywotność swojej rodziny i jest na tyle inteligentny, że wie, iż w takich sprawach nawet najdroższa inwestycja z czasem się zwraca, to przyprowadzamy wtedy taką parę z jakąś córunką do pokoju zapładniania. Znajduje się w nim stolik, do którego przypina się ręce takiej nagiej już młódki. Zaś nóżki w lekkim rozkroku ułożone zapinamy takimi samymi, metalowymi klamrami do podłogi, a szyję i twarz usztywniamy w specjalnym stojaku, dzięki czemu owa zapładniania przez ciebie dama nie będzie mogła się odwrócić w twoją stronę. Ty będziesz musiał tylko później do takiego pokoju wejść, zrobić swoje i wyjść. Zdarza się, że co bardziej wrażliwi i zżyci ze swoją pociechą rodzice będą chcieli w tej sytuacji z nią przebywać, więc będą stać obok całego tego zajścia oraz przyglądać się wam zazwyczaj bardzo wnikliwie, a i nierzadko nie szczędząc przeróżnych komentarzy. Dodam tylko, że w takiej sytuacji będziesz mieć możliwość nałożenia na głowę seledynowego, gumowego klapka, co ma ci zagwarantować anonimowość. Umowę z rozrodkami podpisujemy na trzy lata, przy czym przy ewentualnym przedłużeniu kontraktu ponownie badamy spermę oraz stan wątroby i jelita grubego, tak samo jak przebiegało to w pana przypadku dwa tygodnie temu. Czy wciąż jest pan zainteresowany?

- Ależ oczywiście.

- To świetnie. Przejdźmy zatem do rozmowy rekrutacyjnej.

- Tak jest.

- Zaczniemy może od tego, że... Urodziłem się na zabitej dechami wsi na strasznym zadupiu. Całe dzieciństwo przerzucałem gnój i wstydziłem się tego kim jestem oraz skąd pochodzę, bo moja szkolna miłość - a zarazem miłość mego życia - śmiała się zawsze z moim kaloszy umorusanych w świńskiej kupie. Pewnego dnia ze złamanym sercem postanowiłem zdobyć świat i w taki to sposób po wielu latach ciężkiej pracy, poświęceniu wielu przyjaźni oraz miłostek wdrapałem się na życiowy szczyt, po czym założyłem własną firmę zajmującą się planowanym transferem zasobów ludzkich. Przeprowadziłem się do tego dużego miasta, kupiłem ziemię, zalałem ją betonem, otoczyłem murem, wybudowałem biurowiec, hale produkcyjne i tak to sobie dalej kręcę moim biznesem.

- Ale pan jest przecież stoikiem. Jak mógł pan nosić kalosze?

- Wiem! Nieważne! - ryknął rzewnie oburzony pan prezes.

- Przepraszam.

- No... To na czym to ja? A... No tak... W taki to sposób stałem się panem życia młody chłopcze i wiedz, że jak będziesz się trzymał moich rad, to być może kiedyś również staniesz się panem życia.

- Fajnie.

- Wiem, ale najpierw powiedz mi... Wiesz kto to jest? - zapytał, a jego sługus wykwinął palec wskazujący lewej ręki na popiersie Romana, pod którym widniał napis... *Śmierć nie jedno ma imię.*

- Nie.

- Jest to znany filozof - i nie tylko - który wymyślił wiele fajnych teorii.

- Jakich?

- Na przykład *Teorię kompleksu kontroli*, którą opisał w swojej pracy *Ekoterroryzm, prawda czy fałsz*.

- Cóż to takiego?

- Teoria, która ukazuje postrzeganie wartości przez pryzmat kontroli?

- To znaczy?

- To znaczy, że coś, lub ktoś, kto jest w stanie kontrolować coś, lub kogoś jest ponad tym czymś, bądź kimś.

- To znaczy?

- Roman opisuje to zjawisko na przykładzie natury.

- Natury?

- Środowiska naturalnego - precyzując.

- Nie rozumiem.

- Dość duża liczba ludzi wierzy, że natura jest czymś ponad ludzkością. Czymś co jest bardziej wartościowe od ludzkości, a to dlatego, bo ludzkość nie jest w stanie w pełni kontrolować natury, której składową jest środowisko naturalne oraz natury własnej, czyli są takimi jakby ofiarami kontroli natury na sobą. Pan Roman dostrzega, że ci ludzie, którzy wartościują aspekty rzeczywistości przez pryzmat kontroli, zazwyczaj zaczynają w pewien sposób ubóstwiać, wielbić naturę - w szczególności środowisko naturalne - gdyż uważają, iż to ono - środowisko naturalne - jest dla nich czymś na wzór boga, w którego wierzą co niektórzy, ciemni ich zdaniem zarazem ludzie.

- Nie do końca rozumiem.

- Upraszczając. Wyobraź sobie, że jest sobie gość, który uważa, że jak coś kontroluje, to jest ponad tym, bo ma na tym władzę, więc jest czymś lepszym. Na przykład ma psa, dla którego jest panem i którego w pewien sposób kontroluje dając mu jeść, albo nie, kazać mu dać łapę, szczekać i tak dalej, co oczywiście nie musi równać się z byciem złym panem, gdyż można być panem dobrym, opiekuńczym, czyli takim który dba o swojego psa, ale mimo to wszystko wie, że to on jest panem, a pies tylko psem, bo to on kontroluje psa, a nie pies jego.

- No tak...

- No i teraz taki człowiek w pewnej chwili dostrzega, że są na tym świecie sprawy, których on nie kontroluje, a jakby tego było mało, to one kontrolują jego. Jeżeli chodzi o sprawy systemowe, ustrojowe, prawne, etyczne, to w takim wypadku może starać się on w jakiś sposób je omijać, przez co wyrwać się choć częściowo spod ich kontroli, ale jeżeli przychodzi takiemu jegomościowi zmierzyć się z naturą - czy to własną, świata jako środowiska naturalnego, życia, czasu, materii i tak dalej - to zazwyczaj przegrywa z kretelem uświadamiając sobie swój brak kontroli, czyli brak panowania, a jako iż wszędzie doszukują się relacji pan, pies i pies, pan - w uproszczeniu oczywiście, a nie dosłownie - to musi chcąc nie chcąc przyznać przed samym sobą, że jest psem natury, tak więc jego powinnością - *de facto* naturalną - jest poddawać się tej naturze i być jej wiernym jaka by ona nie była. Tak to właśnie taki gość, który już żyje tym, że jest wiernym psem natury, to zazwyczaj chce być dobrym psem, tak samo jak chce, aby jego psy były względem niego dobre, bo taka jest kolej rzeczy - taka jest jego zdaniem

harmonia świata. Tak więc człowiek wartościujący przez pryzmat kontroli - władzy - staje się dobrym panem swoich psów oraz dobrym psem swojego pana czyli natury, której największą częścią - z tych najbardziej widocznych na pierwszy, nieco płytki rzut oka - jest środowisko naturalne. Tak więc co za tym idzie trzeba zrobić wszystko co tylko można - bo tak przecież działać powinien dobry, wierny pies - aby to środowisko naturalne zatriumfowało w końcu nad ludzkością, która nie jest w stanie - jako całość - pogodzić się z tym, że jest psem natury, gdyż na każdym kroku stara się w różnych aspektach ją sobie podporządkować - z punktu widzenia osoby oceniającej wszelkie relacje przez pryzmat kontroli, czyli pana, psa i psa, pana. Taki człowiek, dobry, wierny pies natury, który czuje obowiązek walczyć z niepokorną, zbuntowaną przeciw naturze ludzkością zaczyna nienawidzić ludzkość, więc zaczyna z nią walczyć, gdyż jest ona wrogiem jego pana, czyli natury - w głównej mierze środowiska naturalnego - ale przecież nie jest on sam... Tak więc takie "wierne psy natury" łączą się w grupy, aby wspólnie walczyć z niepokorną ludzkością nadając tej wrogiej frakcji miano nienaturalnych buntowników, których trzeba albo nawrócić na swoją stronę - oczywiście ich zdaniem naturalną - albo zniszczyć o ile będą ku temu odpowiednie środki, gdyż nie mogą tak po prostu rzucić się z motyką na słońce, gdyż wtedy taka brawurowa akcja w świecie, w którym dominują wynaturzeni i zbuntowani ludzie, szybko skończyłaby się ich przegraną, a tym samym przegraną ich pana, czyli środowiska naturalnego, a to ich pan jest dla nich najważniejszy, bo są jego dobrymi psami, tak więc przed skutecznym atakiem muszą nabrać siły, a koniec końców ich święta wojna się zacznie i odniosą zwycięstwo - ich zdaniem, gdyż nikt nie jest w stanie racjonalnie oraz obiektywnie przewidzieć skutków takiego konfliktu. Roman w tym momencie zauważa, że takie - jego zdaniem - nienaturalne wartościowanie przez pryzmat kontroli oraz funkcjonowanie we wszystkich relacjach na zasadzie pan, pies, pies pan, musi koniec końców doprowadzić do krwawej wojny, gdyż nieuniknionym jest, aby jakiegokolwiek dobre psy, jakiegokolwiek pana, wartościujące w ten sposób i w taki sposób funkcjonujące w relacjach wszelakich nie doszły w pewnym momencie do wniosku, że są oni - czyli dobrzy - oraz ci źli - czyli oni - z którymi trzeba - w imię wyższych celów - walczyć na śmierć i życie, z czym historia ludzkości miała nie raz do czynienia pod różnymi chwalebными i wzniosłymi sztandarami. W taki oto sposób kielkuje ekoterroryzm, który z czasem najprawdopodobniej przeistoczy się w otwartą wojnę, jak to miało już również miejsce nieraz w historii

ludzkości, kiedy to grupy terrorystyczne z czasem przeistaczały się w regularne armie. Jako antidotum na to - jego zdaniem - nienaturalne myślenie, które zawsze rzutuje na funkcjonowanie, jest po pierwsze...

- **Co takiego?** - zapytał z niemałym przejęciem.

- Chrześcijańska nauka o równości, dzięki której przestajemy funkcjonować w relacjach pan, pies, pies, pan, a zaczynamy żyć w relacji rodzinnej, czyli w jednej wielkiej rodzinie, w której każdy jest tak samo ważny, wartościowy i potrzebny niezależnie od jego stanu zdrowia, intelektu, umiejętności, wiedzy, doświadczeń, możliwości, wieku, czy siły.

- **Jak tego dokonać?**

- Czego?

- **Takiej zmiany myślenia.**

- Tak samo jak najsilniejszy - upraszczając - w rodzinie rodzic żyje dla swoich słabszych pociech, które - o ile są dobrze wychowywane i rozwijały się w dobrych warunkach, niekoniecznie materialnych - później odwdzięczą się tym samym swoim rodzicom, którzy już będą odbiegać od nich siłą - również upraszczając - tak samo Jezus Chrystus, jako pierwsza osoba posiadająca prawa boskie, czyli będąca Bogiem, czyli tym panem w relacji pan, pies, służy swoim psom, a nie nad nimi włada, tak jakby postrzegał to ów jegomość z nienaturalnym, wypaczonym myśleniem, które towarzyszyło ludzkości - w zdecydowanej większości - od dawien dawna. Jak taki rzekomy pan nie zaczyna władać - kontrolować go - rzekomym psem, tylko zaczyna mu służyć, pomagać, poświęcać się dla niego, to zaczyna wkraczać w tryby funkcjonowania Miłości, czyli tej prawdziwej - zdaniem Romana - natury człowieka oraz całego stworzenia, czyli również środowiska naturalnego. Jak już przy środowisku naturalnym jesteśmy, to żyjąc w taki sposób - bez zbędnego dzielenia na pan, pies, pies, pan przez pryzmat kontroli - gdyż tylko Jezus jest tym panem, który służąc oddał życie za swoje psy - czyli ludzkość, w której nie ma już podziału na pan, pies, pies, pan oraz całą resztę stworzenia, czyli również środowisko naturalne - człowiek jest w stanie zrozumieć, iż natura, w tym środowisko naturalne, wcale nie musi być czymś ponad albo nad ludzkością, ale może być czymś po prostu innym, tak samo jak każdy człowiek jest inny dla drugiego. Nie musi być czymś lepszym, albo gorszym, może być po prostu czymś innym. Tak samo jak każdy z ludzi nie jest ani lepszy, ani gorszy - jako ogół swojej istoty, jeżeli żyje w zdrowiu, naturalnie, czyli w zgodzie z Miłością - tylko

innym od pozostałych, tak samo środowisko naturalne jest po prostu inne względem ludzkości, więc nie ma sensu wartościować między nimi, ale po prostu żyć ze sobą w zgodzie, czyli zgodnie z naturą - ogólnie.

Naturą środowiska naturalnego oraz ludzkości, nie zwalczając natury jednego kosztem drugiego, ale żeby być w stanie tak na to patrzeć i w taki sposób żyć, to najpierw trzeba otworzyć się na Miłość i przestać wartościować na lepsze i gorsze. Oczywiście w odniesieniu do zdrowych, naturalnych aspektów, gdyż zjawisko choroby - bardzo szeroko rozumianej - jest obecne w naszym świecie i życiu, ale... Jak już wspominałem, zdaniem Romana, w prawdziwej Miłości stan zdrowia nie jest wyznacznikiem wartościującym.

- *Chyba zaczynam rozumieć.*

- Aby jeszcze bardziej pokazać ci różnicę w tym, czym jest chrześcijańska równość i chrześcijańska wizja natury ludzkiej opierającej się na Miłości, a wartościowaniem przez pryzmat kontroli i uznaniu wyższości natury środowiska naturalnego nad naturą ludzkości pozwolę sobie powrócić do konsekwencji tego drugiego sposobu myślenia, który kończy się wojną, w której dobre psy oddają życie za swojego pana, a treścią Ewangelii, w której Jezus Chrystus - czyli patrząc takim chorym okiem pan - oddaje życie za ludzkość - czyli patrząc takim chorym okiem psa - swoje życie, co jest zupełną odwrotnością, a przy tym wybawieniem od wszelkich wojen i konfliktów, tak więc jeżeli ktoś odrzuca chrześcijańskie nauki, które starają się przybliżyć ludzkość do życia w Miłości, to jednocześnie - chcąc nie chcąc - przyczynia się do przybliżania ludzkości do kolejnych starć, gdyż ludzie myślący w sposób taki jaki został opisany na początku, a który jest sprzeczny z chrześcijańskim myśleniem, zawsze znajdują sobie jakiegoś pana, za którego będą w stanie ginąć i zabijać. Czy to będzie środowisko naturalne, jakiś naród, jakaś idea, jakaś religia, bądź ateizm, to i tak jak tylko ludzie przestaną myśleć w sposób chrześcijański, to będzie to musiało wcześniej czy później zakończyć się wojną. Swoje największe ubolewania Roman uwidacznia pod koniec swojej pracy, w której zauważa aktualne społeczeństwo oraz trendy, które z jednej strony nastawione są na życie w pokoju oraz pacyfizmie, a z drugiej strony są bardzo negatywnie i agresywnie nastawione do nauk chrześcijańskich, co jawi się jako obraz niebywałej obłudy, głupoty, hipokryzji, nieświadomości, ciemnoty, albo niesamowitego spisku, w którym owe górnolotne pokojowe życzenia, to tylko tło dla przygotowania takiej wojny jakiej ludzkość jeszcze nie widziała. Kwestia tylko w tym, aby uzmysłowić sobie, w którym sposobie myślenia ja sam obecnie funkcjonuję i który uważam za słuszny.

- Chyba znowu zaczynam się gubić.

- Ysz ty... Słuchaj. Każdy terrorysta, czy człowiek, który idzie zabijać dla jakiś wyższych jego zdaniem celów, to dobry człowiek, gdyż wierzy, że robi coś dobrego, ale który po prostu myśli w nieodpowiedni sposób, więc wpada w maszynkę, przez którą zaczyna czynić zło w imię dobra swojego pana, któremu rzekomo ma służyć, aż po śmierć i dopóki nie zmieni swojego myślenia na chrześcijańskie, w której to jego pan służył jemu oraz wszystkim innym ludziom i sam oddał za nich wszystkich życie, to nie będzie w stanie uciec z tej klatki przepełnionej nienawiścią, sporami, agresją, konfliktami, a w ostateczności wojną. Roman opisuje to na przykładzie ekoterroryzmu, gdzie ci dobrzy, ale źle myślący ludzie, którzy ubóstwiają środowisko naturalne dostrzegając w nim swojego pana, walczą z tymi złymi, którzy gardzą środowiskiem naturalnym dostrzegając w nim swojego psa, z tym, że i jedna grupa oraz druga popełniają ten sam błąd w fundamentach swojego myślenia, gdyż oceniają swoją relację z innością - czyli ze wszystkim co jest wokół nich - w kategoriach pan, pies, pies, pan przez pryzmat kontroli. Jedni i drudzy nie myślą o relacjach wszelakich w sposób chrześcijański, więc sami siebie skazują na podziały, konflikty no i w konsekwencji wojnę, z tym, że w tej sytuacji - jak i w każdej innej formie terroryzmu - terroryści mają dobre intencje, a ich oponenci, gardzą wszystkim i zazwyczaj myślą wyłącznie o swoich interesach nie bacząc na konsekwencje swoich poczynań, gdyż żyją w świadomości, że to oni są panami wszystkiego co ich otacza - w tym ludzkości. Chrześcijanie zaś wierzą, że nie mają ludzkich panów nad sobą, gdyż to Jezus Chrystus jest ich jedynym panem, ani ludzi pod sobą, gdyż jedynym panem całego stworzenia jest Jezus, więc jako ludzkość są równi, ale wierzą zarazem, że Bóg dał im panowanie nad środowiskiem naturalnym, ale wiedząc jak ich pan postępował i postępuje z nimi oni starają się postępować tak samo ze wszystkimi stworzeniami, nad którymi Bóg dał im panowanie, przestrzegając jednocześnie Bożych Przykazań, których wypełnianie chroni ludzkość przed podziałami, konfliktami i wojnami, o ile ktoś naprawdę żyje według nich.

- Taka to ci zagwostka.

- A no. Roman ma też inną teorię odnośnie "dobrego" panowania jednych ludzi nad drugimi, ale o tym nie będę ci teraz mówił, bo mi się nie chce.

- Ale ja tam tego wszystkiego o tym całym kompleksie kontroli i terrorystach i wojnach nie kupuję. Nie rozumiem, co ma z tym wszystkim wspólnego jakieś tam chrześcijaństwo. Przecież to jakieś zacofane zabobony.

- *Dokładnie tak! Miałem nosa co do ciebie.* - skomentował radośnie prezes, a jego giermek wartko podskakiwał z nogi na nogę bijąc brawo.

- *Fries time!* - krzyknął nagle po angielsku, gdyż uważał, że wyrażanie się w swoim ojczystym języku to obciach oraz oznaka zacofania intelektualnego, tak więc gdzie tylko mógł, tam wstawiał anglojęzyczne zwroty, aby budować swój jakże światowy oraz światły wizerunek.

Jego gibki towarzysz wybiegł prędko z pomieszczenia, a pan prezes słoikowaty takimi słówkami owe zdarzenie skomentował.

- Nawet nie wiesz chłopcze jak ja lubię frytki. Czasem zastanawiam się, czy wolę frytki, czy tego mojego lojalnego konstrecznioriego.

- Kogo?

- Konstrecznioriego.

- Któż to taki ten konstre... Jakoś tam.

- No mój konstreczniori. Kochany Adoniasz, mój doradca od stretchingu.

- Stretchingu? Przecież pan jest słoikiem.

- Nie musisz mi tego wciąż przypominać! - ryknął groźnie, ale złagodniał na widok swojego pomocnika wkraczającego do biura z półmiskiem, na którym znajdowały się świeżousmażone frytki oraz słoik z majonezem *Potężnym*.

- *Potężny...* Mój ulubiony. - wtrącił Sadok.

- *A jak...* - odparł, a lada chwila Adoniasz odkręcił czerwone wieko jego postaci, po czym zamoczone w majonezie afryki wrzucił do jego środka, gdzie grupa czarnych, lewitujących symboli prędko i z niebywałą zjadłością miały owe podłużne, ziemniaczane kawałeczki na wiórki kokosowe.

- Pyszne...

- Mogę jedną?

- *Nie!* - wtrącił rozgniewany konstreczniori, po czym dodał.

- Proszę poczekać, aż pan prezes skończy.
- Dobrze już dobrze.

Konsumpcja tegoż dania prostego, ale niebywale lubianego nie tylko wśród dzieci i młodzieży trwała około pięciu minut, a zaraz po niej nasz duet przedsiębiorczy powrócił do rozmowy uroczej.

- Na czym to ja... A! No! Dobryś chłop. Widział ja to od razu, że wiesz co się na tym świecie dzieje.
- Dziękuję, *bardzo* mi to schlebia.
- Nie podlizuj się gamoniu.
- Nie podlizuję, *naprawdę* mi miło.
- Nieważne! Ważne jest to, że tutaj, w naszej pięknej firmie, nie ma miejsca dla cieniasów, którzy mającą jakieś brednie, czy to o Bogu, czy środowisku naturalnym, czy innych tam wyprzedazach świątecznych, bo tutaj potrzebujemy ludzi, którzy twardo stąpają po Ziemi i wiedzą co jest grane.
- To ja!
- Tak! To ty, ale wiedz, że dopiero zaczynasz swoją karierę w tym lwim stadzie.
- Lwim stadzie?
- Widzisz... Powiem ci teraz prawdę, która nijak się ma do tych wszystkich bredni tego durnia Romana.
- Skoro go pan nie lubi, to czemu ma pan jego książki na półce? - wtrącił Sadok nieco nieroztropnie.
- Bo inni go lubią! Albo przynajmniej tak mówią, bo teraz jest moda na tego Romana... Banda ciemniaków. Nie wiem kto jest gorszy. Wierzący, czy ci ekoterrorysty, przed którymi muszę się tutaj chować za tymi murami, bo wyrzucałem śmieci do lasu.
- Niepoważni jacyś.
- No raczej. Dobrze, że chociaż w sprawach związanych z tymi wszystkimi podludźmi nie zwracają mi głowy, bo przecież tak samo jak ja nimi gardzą i ich nienawidzą.
- Podludźmi?
- Tak. Tym całym syfem, na którym robię niezły biznes.

- To znaczy?

- Słuchaj... - ściszył ton.

- Ci felerni chrześcijanie z tym swoim pomysłem o równej ludzkości, to narobili tyle zamieszania, że hoho... A co najlepsze sami nie wiedzą dlaczego to wszystko wymyślili.

- Dlaczego?

- Bo są głupi!

- Tak po prostu? Przecież jakby byli głupi, to by nie potrafili wymyślić takich teorii.

- No właśnie dlatego, że są głupi, to taki teorie wymyślili.

- Nie rozumiem.

- Słuchaj... Ludzie nie są równi. Są bardziej i mniej inteligentni. Ci bardziej inteligentni zostali stworzeni do panowania nad tymi mniej inteligentnymi. Tak samo jak u zwierząt to lew zjada gazelę, a nie gazela lwa, tak samo ludzie bardziej inteligentni żyją kosztem mniej inteligentnych, a chrześcijanie - jako iż są mniej inteligentni - to wymyślili sobie jakąś bujdę na temat równości, abyśmy my nie mogli na nich zerować.

- To straszne!

- Dlatego my, jako lwy, musimy zwalczać chrześcijaństwo, bo to szarlatańskie kłamstwo, które odbiera nam panowanie nad podludźmi, bo zaczyna im się wydawać, że nie mamy do tego prawa, a przed chrześcijaństwem, to było normalne. To my byliśmy bogami dla podludzi, a oni sobie wymyślili jakiegoś tam Jezusa, żeby nie musieli służyć nam, tylko dla kogoś kto nie istnieje, czyli dla nikogo. Tak chcieli wyrwać się spod naszego panowania i być wolnymi, tak jak my, bogowie jesteśmy, byliśmy i będziemy, niezależnie o tego co ci nawiedzeni chrześcijanie sobie myślą i co mówią! - rozzłościł się nagle.

- Przepraszam, ale tak mnie teraz tknęło... No bo... Czy z tymi różnicami w intelekcie to nie jest tak, że można by je porównać na przykład do wielkości zębów i pazurów u lwów, bo tam też są silniejsze i słabsze, ale mimo wszystko lew, to lew, a nie lewbóg i podlew, a gazela, to gazela. Czy tak samo nie jest z ludźmi? Są ludzie słabsi i silniejsi, ale to są tylko ludzie i ludzie, a nie bogowie i podludzie, a na przykład świnia - którą ludzie jedzą - to świnia i już... Tak więc być może to podział na bogów i podludzi jest kłamstwem, a Chrześcijaństwo głosi prawdę?

- Och mój drogi. Zasmucasz mnie taką naiwnością. Jednak myliłem się co do ciebie. Masz potencjał, ale jeszcze musisz się wiele nauczyć.

- To znaczy, że mnie pan nie zatrudni? Tak tylko zapytałem... Wymusko mi się coś głupiego...

- Powiem ci tak... Widzisz ten obraz?

- Widzę.

- Nawet nie wiem kto go namalował i w ogóle go nie rozumiem. Pewnie zupełnie nie ma żadnego sensu i to po prostu jakiś bohomaz, ale ludzie to chwala, więc mam to u siebie w biurze, żeby nie było, że nie mam serca, ale uwierz mi... Nie mam.

- W końcu jest pan stoikiem.

- Ile razy mam ci mówić, że to wiem!

- Przepraszam.

- Nie mam serca, bo jestem biznesmenem. Serca, wielkie serca, to mają artyści. Nieudacznicy życiowi, którzy robią jakieś bezsensowne rzeczy, aby potełtać swoje ego, a na co dzień dają się wyciskać jak cytrynę przez takich ludzi jak ja - biznesmenów. Biznesmeni mają wielkie rozumy, dlatego są panami tego świata, w którym rządzi pieniądź. Pieniądź to władza, biznesmen zarabia najwięcej pieniędzy, więc ma największą władzę, dlatego biznesmeni są panami tego świata i mają do tego prawo. Rozumiesz?

- Rozumiem. - odparł zmieszany czując na sobie lodowaty wzrok Adoniasza.

- Ludzie zrobią wszystko dla pieniędzy. Zależy to tylko kwoty jaką im zaproponujesz. Dlatego są tylko podludźmi. Robalami, z którymi możemy robić co nam się podoba, bo oni sami nam na to pozwalają. Nie wiesz jak gardzę tymi celebrytami, co przechwalają się jak tylko mogą gdzie to nie byli, czego to nie jedli, czego to nie pili, z kim to się nie szmacili, a ten nędzny motłoch zamiast obrzucać ich pomidorami za taką głupotę jeszcze ich śledzi, obserwuje i rozmawia na ich temat w wolnym czasie, a taki ja, zwykły stoik, który ciężką pracą dostał się do lwiego stada mam to wszystko na co dzień. Nie jest to dla mnie niczym szczególnym, tak samo jak dla takiego robaka nie jest niczym szczególnym wrócić do domu po pracy i zjeść obiad.

- Rozumiem.

- Ty nic nie rozumiesz! Był u mnie pewnego razu jakiś młody smarkacz, który chciał mnie przekonać do jakiejś piramidy finansowej. Zazartował sobie w pewnym momencie, że dał sekretarce milion Gubernantek łapówki, aby się do mnie dostać. Taki robił nawet nie zdaje sobie sprawy, że to nie jest coś niewyobrażalnego, że to jest codzienność w świecie, do którego chciał wejść taranem licząc na gromkie powitanie przepętnione podziwem. Tacy ludzie chcą się do nas dostać! Takie robale! Inne robale wszędzie się puszą, że to lwami są rzekomo, a ledwo im starcza, aby przetrwać do ostatniego dnia miesiąca! Brzydzi mnie to! Rozumiesz? Brzydzi!

- Rozumiem.

- Nie! Ty nic nie rozumiesz! Inni tacy wychodzą na ulicę. Mówią, że mój biznes to jakaś zbrodnia, że nie wolno ludźmi handlować, a komórkami macierzystymi wymieniają się jak kartami z jakimiś piłkarzykami. Afryka kwitnie handlem ludźmi, ale nikogo to nie oburza, bo nikt o tym w mediach nie mówi. Mówią, że nie można hodować ludzi na narządy, że nie można modyfikować ludzi genetycznie, a sami każdego dnia w nienaturalny sposób ingerują w swoje ciała, a tych z wadami genetycznymi, albo starych i chorych zabijają w majestacie prawa i wszystko jest w porządku. Hipokryci. Niewydukowani, ciemni hipokryci. Skoro ze skóry zdechłego krokodyla można zrobić buty, to czemu z ciała jakiejś starej baby, której rodzina nie chciała już utrzymywać nie można zrobić nawozu? Skoro ktoś ma prawo decydować o tym, czy ktoś, kto ma dopiero kilka tygodni na liczniku może żyć, czy nie, to dlaczego ja nie mogę w taki sam sposób postępować z ludźmi, którzy mają po kilkanaście lat na liczniku zwłaszcza, że ich narządy uratują życie komuś innemu, a takie ciało kilkutygodniowego dziecka jest w zasadzie bezużyteczne? Dlatego właśnie taki ciemny motłoch trzeba trzymać w ryzach i za żadne skarby świata nie można wybić im z ich ciemnych głów, że są podludźmi, bo wtedy...

- Co wtedy...

- Będą chcieli być wolnymi i nimi się staną, a jak się staną wolnymi, to zaczną swobodnie myśleć, a jak zaczną swobodnie myśleć, to zaczną zadawać pytania i szukać na nie odpowiedzi, a jak zaczną szukać na nie odpowiedzi, to zaczną znajdować kolejne pytania, a wtedy zobaczą na czym polega nasz biznes, a wtedy będę bankrutem, czyli stracę władzę, którą daje mi pieniądź i będę takim samym podczłowiekiem jak te robale.

- To byłoby okropne.

- To prawda! Ale przejrzałem cię chłopcze.

- Co ma pan na myśli.
- Wyjdź...
- Słucham?
- Won! - krzyknął Abiasz.

Sadoczek nasz rozczarowany i nieco skonsternowany wyszedł kroczeniem prędkim z biura pana prezesa oraz zastanawiał się gorliwie nad tym jakby tutaj ubrać relację tej sytuacji w taki sposób, aby jego koledzy pomyśleli sobie, że tak naprawdę, to on sam jednak zrezygnował z tej posady. Zamyśliwszy się tak głęboko i intensywnie, że aż mu rozum odjęło po części, doszedł w zawieszeniu takim na skraj miasta swojego rodzinnego, a uświadomił go o tym widok garaży blaszanych, za którymi w dzieciństwie pijał wódkę kolorową z przyjaciółmi swymi, szkolnymi. Zerknął niedbale na zegarek zawieszony na lewym udzie, a godzina, którą zarejestrował rychło z owej niedbałości go wypędziła. Jeny czterdzieści minut dzieliło go w tamtym czasie szczególnym od zgrupowania jego bandy pod bankiem, do którego droga była niekrótka oraz zawita.

Biegiem niechlujnym oraz małożwawym ruszył w stronę budki telefonicznej, aby za jej sprawą zatelefonować do swojej przyjaciółki, co to nigdy nie potrafiła odbować naszemu uroczemu Sadokowi i jego maślanemu wzrokowi oraz nieprzeciętnemu wzwodowi. Przybywszy pod seledynową komorę wyciągnął telefon komórkowy, aby spojrzeć, czy aby nie ma zasięgu.

Tutej pozwolę sobie moi mili wtrącić, iż w tym świecie praworządnością oraz wolnością osobistą przepelnionym sieć komórkowa działa jeno w owych budkach telefonicznych, z których korzystać można było tylko przed wcześniejszym zaakceptowaniem regulaminu, informującego swojego czytelnika o niewątpliwie słusznej potrzebie monitorowania wszystkich rozmów telefonicznych w ramach zwiększenia bezpieczeństwa każdego z radosnych oraz wolnych oczywiście obywateli Demokratycznej Guberni.

Sadok stojąc pod budką telefoniczną i grzecznie czekając aż się zwolni, obserwował znużonym spojrzeniem otoczenie, a my - czyli Łysy i ja - wysłuchaliśmy się w monolog agresywnej niewiasty w drewnianych spodniach i z nieumodelowaną czupryną, który brzmiał następująco.

- Nic mnie nie obchodzi twoje zdanie kretynie! To że kobieta ma mieć niższe wymagania na egzaminach fizycznych w wojsku, to rzecz oczywista, bo przecież kobiety są słabsze fizycznie od mężczyzn, a twoja szowinistyczna gadanina, że jak są słabsze, to nie powinny iść do wojska, a jak już chcą, to powinny być tak samo silne fizycznie jak mężczyźni, bo przecież wróg nie będzie patrzył na płeć, to jakieś wierutne bzdury oraz ordynarna propaganda! Jakim prawem chcesz mi wmówić, że kobiety w wojsku powinny mieć takie same wymagania fizyczne jak mężczyźni, i że to właśnie byłoby prawdziwe równouprawnienie! Ty ciemny debilu błagam cię, zdechnij na raka!

- Nie mogę się powstrzymać. - wtrącił Łysy w moim kierunku.

- Nawet się nie waz. Moje przeczucie jasno ci tego nie poleca.

- Ale ja chcę.

- Ale nie możesz.

- Mogę... Tylko nie powinienem.

- Przecież to to samo.

- Właśnie, że nie! - krzyknął przemieszczając się z Sadoka w tę nie do końca zrównoważoną niewiastę.

Jego powrót był równie szybki jak ten nieprzemyślany manewr, a roztrzęsienie jakie ze sobą wniósł do Sadoka urodziło w nim gazy, a Łysiego doprowadziło do płaczu i błagań lamentowych.

- Błagam cię! Idźmy już stąd! Ja już nie chcę... Mam już dość.

- Co się stało? - zapytałem szczerze zatroskany.

- To co ta kobieta ma w głowie, to jest chaos nie do opisania. Nie znam słów, którymi... Nie... Po prostu nie!

- Uspokój się... Nie musisz w nią wchodzić.
- Chwała naszemu tacie za takie miłosierdzie! Dzięki ci tatku!
- Uspokój się już...
- Och tak... Jestem już spokojny. Nigdy już nie wejdę w człowieka, którego mi nie wskażesz, a już na pewno nie w kobietę.
- Przecież to nie jest do końca kobieta.
- Co masz na myśli?
- No spójrz. - powiedziałem wskazując swą kurzą łapką na napis znajdujący się na jej plecach, a dokładniej rzecz ujmując na tylnej części jej skórzanej kurtki.

Ów napis był następujący. *Feminists power.*

- *A no tak...* - przytaknął ze skrucą, a nasz Sadoczek w tym czasie skupił swój wzroczek już nieco bardziej żywy na pewnej zgrabnej niewieście w czerwien jaskrawą odzianą.

Piękność ta nietuzinkowa dreptała sobie żwawiutko na obcasikach również w czerwien zdobnych, a Sadoczkowe oczko zarejestrowało rowerzystę, który patrząc w bok mknął przed siebie z dość dużą prędkością. Mimo iż wszystko było dla niego klarowne i widoczne, a zarazem zajściem będącym w sferze nieświadomości jego uczestników, to nie było już czasu na reakcję, a nasz wojowniczy niespełniony ogier rozrodowy mógł jeno przyglądać się w biernej bezradności jak rozpędzony rowerzysta wpada na piękną niewiastę powalając ją na brudny chodnik.

Gdy tylko budka telefoniczna się zwolniła olał bezdusznie całe to zajście, które kilka sekund temu boleść w nim niemałą zrodziło i zadzwonił pośpiesznie do swojej przyjaciółki.

- Halo? Jojada?

- Sadok? Cześć! Co słychać? - odpowiedziała niebywale uradowana.
- Słuchaj. Potrzebuję twojej pomocy.
- Co tylko chcesz.
- Bo tego... Jestem teraz przy naszych garażach.
- Tych garażach?
- Tak tych.
- A pamiętasz jak...
- Nie mam teraz na to czasu Joja. - wtrącił szorstko.
- Oj, przepraszam, ale ze mnie głuptas. Jak mogę ci pomóc Sadoczku.
- No więc jestem na garażach, a za jakieś pół godziny muszę być pod bankiem.
- I?
- Przyjedziesz po mnie?
- Ale przecież ja na garaże mam jakieś dwie godziny drogi.
- Dwie godziny?! - krzyknął z niedowierzaniem.
- No przecież nie mieszkam już na garażach od jakiś czterech lat...
- Poważnie?
- No tak. Przecież mówiłam ci o tym już jakiś czas temu.
- Przecież wiesz, że nigdy ciebie nie słucham tylko przytakuję i się odzywam jak coś chcę, albo jak mi się strasznie nudzi, albo jak przyniesie mi to jakąś korzyść w przyszłości.
- No tak. Dlatego jesteś moim najlepszym przyjacielem.
- No ale to co ja teraz zrobię?

W tym momencie poczułem, że muszę usiąść Jojadzie na banie, co uczyniłem niezwłocznie, a Łysy - tak samo jak i ja - za satelit pośrednictwem wkroczył w jej ciało, abyśmy mogli razem obserwować teraz owe zdarzenie z innej perspektywy, a dokładniej z perspektywy kobiety, która w rycerskiej zbroi zdobionej w małe kukurydze leżała w wannie wypełnionej magnesami turystycznymi.

- Może zamów taksówkę? - doradziła.
- Świetna myśl! Dzięki. - odparł pośpiesznie, po czym bez słowa przerwał rozmowę.
- Ach... To właśnie w nim cenię najbardziej. To jak mnie prawdziwie szanuje. - skomentowała zanurzając się w magnesach.

Leżąc pod ich powierzchnią na bezdechu nagle poczuła ułtucie w sercu oraz jego przyspieszone bicie, po czym rozplynęła się błogo w ciemnościach snu swego, gdyż magnetyczne kąpiele zazwyczaj sny wysysają, co to spać nie zawsze pozwalają.

Rankiem samym, jak jeno słonko wesoło wyściubiło oblicze zza bloków szarawych Jojada przebudziwszy się wyszła z wanny, zbroję zdjęła przy czym odziana jeno w lateksowy, jednoczęściowy strój poczłapała zwolna w stronę lodówki. Przygotowując sobie śniadanie ucha kątem słuchała porannych wiadomości, lecz gdy usłyszała o złapaniu przez policję szajki zbójów, co to bank obrabować chcieli, wpatrywać się z uwagą w ekran telewizora zaczęła.

- Wczorajszego wieczoru Federalny Urząd do Spraw Bezpieczeństwa Mienia Publicznego wraz z lokalną policją aresztowały ośmioro mężczyzn za próbę napadu na bank. Jak podaje rzecznik prasowy Urzędu do Spraw Komunikacji Organów Ścigania z Ludem, policji udało się dokonać tegoż brawurowego przedsięwzięcia, gdyż jeden z uczestników niedoszłego napadu poszukiwał auta potrzebnego przestępcom do przeprowadzenia napadu poprzez publiczne wydarzenie na Twarzoksiążce, co znacznie ułatwiło organom ścigania rozpracowanie tej niebezpiecznej szajki. Dla mężczyzn zostaną postawione trzy zarzuty. Działanie w zorganizowanej grupie przestępczej, próba napadu na bank oraz nieutrzymanie parytetu płci przy organizacji swojej grupowej działalności.

Jojada upuściła na podłogę wiertarkę, gdyż w lewym górnym rogu ekranu pojawiło się zdjęcie Sadoka.

- Teraz! To on! - krzyknąłem do Łysego.
- Kto?
- Przybysz! To on! To ona! Mów zaklęcie!
- Nie chce!
- Zmusz ją!
- Wciąż nic!
- Teraz! To ten moment!
- *In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti. Amen!* - powiedziała w końcu półgłosem.

Moc sływająca z Nieba wprowadziła tak zamaszystą wichurę emocji oraz myśli, iż jak przez mgłę pamiętam tylko jak uleciałem wtedy ku górze, aby rozejrzeć się dookoła, a mym oczom ukazała się pokrywającą cały horyzont fala białego światła, emanującego niebywale radującą i kojącą energią, która niszczyła wszystko na swej drodze spotkała, a huk ją poprzedzający wciąż rozbrzmiewał w mych kurzych uszkach.

- Spójrz! Tutaj! - krzyknął do mnie Łysy w tym całym zgiełku.

Spojrzałem w dół i zobaczyłem jak w drzwiach do łazienki Jojady otworzył się Wir Czasu, tak więc nie zastanawiając się długo wleciałem w niego zaraz po tym jak Łysy zniknął w jego wnętrzu.

Głupotia Pro-kury Samoistnej

i

WIDELEC BEZNADZIEI

Arkadiusz Kordela

“W ogóle nie pamiętam o czym mówię.”

M. Konarska, rozmowa przy ślimakach i winie

Wyfrunąłem se ja wesolutko z Wiru Czasu goniąc za naszym koleżką bezwłosym, ale jak tylko w nowym świecie pojawić mi się udało, to lot mój zwolnił niemało, gdyż znaleźliśmy się oboje pod gęstej cieczy powierzchnią, co to kolor biały miała. Dziubnąłem se ja wtedy równie wesolutko tej substancji tajemniczej, a ku zdziwieniu memu okazało się, iż to majonez był sobie. Całkiem niezły majonez nawiasem mówiąc, gdyż smak octu nie zwojował zbyt wielu smaków, przez co jadło się go bardzo miło. Płynęliśmy zatem w owym majonezowym jeziorze, które to jednak morzem, co to częścią oceanu jest się okazało, a jak tylko udało się nam wydostać na powierzchnię, to Łysy takimi to się słowami do mnie odezwał.

- Dziwaczny ten majonez...

- Czemu?

- Jakoś mało octu jakby było, a soli nieco za dużo.

- Poważnie nurtuje cię w tej chwili smak tego majonezu, a nie to, że płyniesz teraz w majonezowym oceanie?

- No... To też jest trochę dziwne, ale kto normalny dodaje tak mało octu do majonezu?

- Nie wiem.

- Ja też.

Jako iż Łysy - nie wiedząc czemu, gdyż jeszcze cielesności sobie żadnej nie przywłaszczył - płynął se w stronę brzegu, który był dość daleko, pozwoliłem sobie szybcutko przefrunąć kawałek tej miejscówki, aby zorientować się na czym rzecz stoi. Kilka minut później postanowiłem polecieć nieco wyżej, aby przyjrzeć się temu wszystkiemu z kosmicznej perspektywy, a takimi to spostrzeżeniami ja swe oczki kurczące oraz mój mózdzek ptasi uraczyłem podczas tej wycieczki niemałej, choć dość krótkiej.

Tym razem przyszło nam szukać Przybystawa na planecie, która to w kształcie kalafiora - bez zielonych jego elementów - była i dryfowała sobie bezwładnie w otchłani czarnej i bezgranicznej, a wokół niej latał chaotycznie niewielki taboret, co to źródłem światła był dla mieszkańców owej planety, która w całej swej strukturze z majonezu się składała, jeno w różnych skupienia stanach, tak więc zamiast wody był ciekły majonez, zamiast lądu

majonez złodowaciały, zamiast pary majonezowe obłoczki, a zamiast plazmy... Plazmy na owej planecie nie spostrzegłem. Ziąb był tam wszędzie niemiłosierny, jeno wody majonezowe niczym geotermia swoją temperaturą ogrzewała otoczenie, przez co powolutku topiła nabrzeża swoje, co zapewne w dość dalekiej przyszłości tej planety całkowitym zanurzeniem w majonezie ciekłym miało się zakończyć.

Co do istot na tej planecie żyjących... Opowiem wam o tym, moi mili za czas jakiś, gdyż lepiej się to wkomponuje w historię tę durnowatą, gdyż objawione to zostanie w chwili, w której tysolek nasz niefrasobliwy w jedną z takich postaci wkroczy bezpardonowo. Przeleciał ja zatem do naszego Łysego, aby nakierować go na nasz cel najbliższy, a ten gamoń do mnie takimi oto słowy zagaduje.

- Gdzieś ty była, cholerna kuro!?

- Pro-kuro Samoistna! Okaż nieco szacunku!

- Gdzieś ty była?

- Latała ja sobie.

- Co ty sobie myślisz?

- A ty? Dlaczego mówisz do mnie jak do kobiety?

- Bo... Jesteś kurą.

- Nie jestem! To tylko ten matoł tak mnie przedstawia.

- Dobra no...

- Przecież wiesz, że to co dzieje się teraz w tym przybysławowskim świecie, w świecie naturalnym dzieje się w najmniejszej z możliwych części sekundy przez ten pierórski Wir Czasu...

- A no jo... No dobra, no ale gdzieś ty latała!

- Tak o sobie. Pozwiedzać byłem.

- Wiesz jak się bałem? Wiesz jak ciężko się pływa w majonezie? Nie mam już sił... Zaraz utonę, a ty sobie gdzieś latasz.

- Wiesz, że nie musisz płynąć tylko możesz lecieć ze mną nad powierzchnią tego majonezowego oceanu?

- **A no tak...** - przyznał z lekkim wstydem, po czym wyleciał w górę i od tej chwili razem lecieliśmy w stronę lądu, na którym mieliśmy się spotkać z naszym pierwszym domownikiem.

Po tym jak dolecieliśmy na ląd udaliśmy się w stronę wysokich gór, aby po ich minięciu ujrzeć siedzącą na wzgórzu nektarynkę, która spoczywając pod majonezowym drzewem spoglądała - chociaż oczu nie miała - w stronę świetlistego taboretu wyłaniającego się zza gór i pomarańczowe światło dającego. Postać ta tajemnicza niczym z reguły nie różniła się od najzwyczajniejszej nektarynki, oprócz tego, iż kończyny dolne oraz górne posiadała. Najbardziej frustrującym dla mnie jako opowiadającego oraz dla pisarza jako przekazującego był fakt, iż żadne stworzenie na tej planecie imienia nie posiadało, a jakby tego było mało, to tylko trzy formy życia można było tam spotkać. Brzoskwinie, śliwki oraz nektarynki, które jako jedyne w tym świecie nie były z majonezu, a to dlatego, iż koniec końców nie do końca z tego świata były jako tako, stąd taka różnica względem środowiska je otaczającego.

Siadłem więc se ja na naszej nektarynce zażywającej relaksu - jak się nam z początku wydawało - a Łysy od razu zaczął mi opowiadać z kim to do czynienia mamy.

- Oho...

- **Czo tam?**

- Cóż za historia...

- Dawaj.

- Nasza nektarynka się tutaj nie relaksuje.

- **A co robi?**

- Uciekła od swojego społeczeństwa, aby smutki serca zabijać.

- **Smutki serca?**

- A no. Miłość nieszczęśliwa jego nektarynkową pestkę dopadła, więc siedzi sobie ten samotnik tutaj pod górami i tęsknotę swoją oraz żal niemały strawić się stara.

- **Cóż to za miłość nieszczęśliwa?**

- Od początku?

- Jo!

- No to tak... W ogóle to tutaj jest tak, że są dwa narody co to się bardzo nie lubią i walczą ze sobą. Brzoskwinie i śliwki. Konflikt ten trwa od zawsze, ale zmieniają się fazy. Raz jest wojna, a raz pokój, w którym i tak jedni drugich nienawidzą.

- Yhym...

- No ale są tutaj jeszcze nektarynki. Nektarynki to takie mieszańce. Co to ani śliwkami, ani brzoskwiniami nie są, tylko coś pomiędzy. Takie pierwsze nektarynki się rodziły jak brzoskwinia połączyła się ze śliwką, co zazwyczaj bez użycia siły nie przebiegało, a podczas ostatniej wielkiej wojny miało to miejsce dość często, tak więc nektarynki to takie *Bękart*y *Wojny*. To znaczy tak wierzono do niedawna, ale o tym zaraz. No i se żyją takie nektarynki wśród brzoskwiń i śliwek no i se walczą - pokojowo - po jednej ze stron, chociaż tak jakby do końca do żadnej nie należą.

- Oki...

- No więc tego. Teraz jest czas pokoju. Jedni drugich nienawidzą i tak się ze sobą sprzeczą i tak dalej, ale jakoś tam sobie żyją obok siebie. No i nasza nektarynka kiedyś sobie wymarzyła, że uda się na wrogi teren brzoskwiń, gdyż ona sama wychowywała się i żyła pośród śliwek. Chciała sobie sprawdzić, czy aby to prawda co śliwki gadają na temat brzoskwiń i jak to tam życie wygląda.

- No i...?

- No i poszła. Poszła i zobaczyła. Ogólnie to wśród śliwek nektarynkom żyje się dobrze. Śliwki dostrzegają w nich dużo zalet, z których korzystają i za które są im wdzięczne, a ich niedociągnięcia oraz niemożliwe do wykorzenienia wady i ułomności traktują z szacunkiem, łagodnością i ze wsparciem. U brzoskwiń zaś sprawa wygląda inaczej, gdyż tam nektarynki traktowane są jako coś gorszego od brzoskwiń. Ich zalety nie są dostrzegane, a ich owoce zazwyczaj wyszydzane oraz uznawane jako słabość, a ich wady i ułomności również spotykają się z niemiłymi komentarzami, nieprzyjawnymi żartami, poniżaniem, wyszydzaniem i wszystkim co niefajne. Tak więc nektarynki wśród brzoskwiń nie miały tak dobrze jak wśród śliwek.

- Do dlaczego się nie przeprowadzą?

- Bo brzoskwinie specjalnie je oszukują, że u śliwek jest jeszcze gorzej, bo wykorzystują nektarynki do pracy, usługiwania, albo jako zabawki do nękania.

- *A to niedobre brzoskwinie.*

- No... Niedobre one. No ale wracając... Nasza nektarynka dotarła pewnego razu na brzoskwiniową ziemię i na niej spotkała swoją ukochaną, czyli inną nektarynkę, która to wychowywała się wśród brzoskwiń.

- *No i...?*

- No i spotykali się, rozmawiali, wędrowali. Zaprzyjaźnili się. Gdy do tego doszło nasza nektarynka powiedziała swojej ukochanej, że jest od śliwek i zaczęła tłumaczyć jej jak inaczej, lepiej wygląda życie wśród śliwek, w co brzoskwiniowata nektarynka nie chciała uwierzyć, tak była przekonana o prawdziwości kłamstw, których uczono ją od małego. Brzoskwinie nie wiedziały, że nasza nektarynka jest od śliwek, więc traktowały ją jak swoją nektarynkę, ale pewnego razu jedna z brzoskwiń się zorientowała i zaczęła spiskować przeciwko naszej nektarynce. Chciała ją zabić, ale nie mogła tego zrobić otwarcie, bo co jak co, ale zabijanie nektarynek było nielegalne.

- *Zaczyna się robić ciekawie.*

- Nasza nektarynka po czasie zorientowała się o tym spisku, ale wciąż spotykała się ze swoją lubą, gdyż wciąż starała się jej wytłumaczyć, że może uciec z nią do lepszego świata, gdzie mogliby żyć razem w spokoju. Pewnego dnia nasza nektarynka dowiedziała się, że jest chora, bez słowa uciekła do swojego domu, aby się być może uleczyć. Nie powiedziała nic swojej ukochanej, aby po pierwsze nie smucić jej swoją śmiertelną chorobą, a po drugie, aby zniechęcić ją do siebie, gdyby okazało się, że nie przeżyje leczenia, aby nie było jej smutno jakby się kiedyś być może jakoś dowiedziała, że umarła. Niemniej jednak nasza nektarynka została wyleczona, więc powróciła do swojej ukochanej, pogodziła się z nią i znów zaczęli się przyjaźnić. Brzoskwinie wciąż spiskowały przeciwko niej, ale ona odpierając kolejne zamachy, wciąż walczyła o swoją ukochaną starając się ją przekonać do ucieczki. Ale...

- *Ale co...* - wtrąciłem naprawdę zainteresowany i przejęty.

- Pewnego razu ukochana naszej nektarynki nie dość, że wzięła udział w zasadzce na naszą nektarynkę - co jej wybaczyła - to jeszcze stanowczo oświadczyła, żeby już nigdy więcej nie zawracała głowy tymi kłamstwami o

rzekomo lepszym miejscu na ich śliwkowej ziemi, więc niech się wynosi, bo ona chce żyć tu i tutaj jej dobrze.

Dobrze, bo tak musi być i już, bo jest przecież jakimś mieszańcem, któremu z natury nie przysługują wszystkie prawa.

- A to ci sprawny beret.

- A no... No i więc nasza nektarynka posłuchała prośby swojej ukochanej, zaznaczyła, że będzie na nią czekać do końca swych dni i wyruszyła w dalszą podróż. Tak to właśnie trafiła tutaj i teraz siedzi i ryczy.

Rzeczywiście w tamtym momencie - jak gdyby opowiadanie Łysego było równocześnie aktualnymi wspomnieniami nektarynki - nasza bohaterka zaczęła szlochać, a z otworku, w którym znajdował się ogonek, wylatywały wielobarwne nutki, gdyż w taki to sposób tutejsze stwory łyż roniły.

- A to ci historia... - skomentowałem spoglądając na rozżaloną do nutek nektarynkę.

Ze zdziwieniem rejestrując wzruszenie Łysego - który nie był zazwyczaj zdolny do takich ludzkich odruchów - spoglądałem ze współczuciem na ten przejmujący swym tragizmem obrazek, który prezentował się następująco. Nektarunia nasza rozszlochana wyjęła spod siebie grubą księgę, aby za sprawą słów w niej zawartych odnaleźć coś co pomogłoby jej przetrwać, bądź lepiej chociaż zrozumieć aktualny stan rzeczy. Myślał ja wtedy, że mnie oczko z główki wypadnie jakem ujrzał, że to znowuż nasz Romuś jest autorem tej cegły pod tytułem *Traktaty Romańskie o Miłości*.

Wraz z Łysym z całych sił staraliśmy się tę biedną istotę odciągnąć od tego zapewne szkodliwego dla niej kroku, lecz ten zdesperowany owoc miłości swych rodziców za nic nie chciał nas słuchać i brnął warto w bagienko, którego istnienia nawet sobie nie wyobrażał.

Otworzywszy książkę w brązowej oprawie - zapewne był to majonez smażony, który to barwę karmelu przybiera po wartkich harcach na patelni rozgrzanej o czym każdy z was, kochani moi czytelnicy, może się sam przekonać

na własną rękę jeżeli tylko spróbuje - nektaryneczka nasza przewertowała pośpiesznie pięćset stron przedmowy, aby dobrać do treści głównej, która wyglądała następująco.

Otóż miłość to uczucie. Uczucie, które zarazem uwalnia i zniewala. Uwalnia od tego co niszczyło popadłego w miłość dotychczas uniemożliwiając mu bycie prawdziwie sobą, bez maski fałszu nakładanej mu przez lęk, wykorzystanie potencjału, życie z innymi w pokoju i szacunku, czy czerpanie radości z życia codziennego. Zniewala zaś względem obiektu miłości, gdyż to dzięki temu obiektowi wyzwolić się z nieżycia zdołał, aby w miłosnej niewoli życie czerpać pełnymi garściami. Tak więc miłość, to uczucie, które ukazuje, iż dwie sprzeczności - wolności i niewola - razem współistnieć mogą dając tym samym swojemu nosicielowi życie tak piękne jakiego przed połączeniem tych dwóch biegunów osoba nią obdarzona nie była sobie w stanie wyobrazić, a jakby tego mało było, to po utonięciu w tym uczuciu najwyższym dostrzegać inne działające w świecie pozornie niemożliwe zależności - na zasadach Miłości, na której całe stworzenie stoi, działające - potrafi, co zrozumienie większe mu daje i z sideł bezsensu ratuje, serce nadzieją napętlając jednocześnie.

Zapomnieć jednak nie można, iż Miłość - jak i Śmierć - niejedno ma imię!

Najpierw opiszę miłość najbardziej powszechną - lecz w żadnym razie nie mniej wartościową od innych - czyli uczucie, które wiąże dwoje kochanków. Miłość ta musi koniec końców przerodzić się w spłodzenie potomstwa, gdyż jako całe stworzenie żywe - którym to człowiek również jest bez wątpienia - z natury swojej pierwotnej i wiecznie niezmienniej rozmnaża się - ze względu na odwieczny nakaz Miłości - swoją istotą świat zapętlając, tak i człowiek miłością kierowany w swym życiu musi kiedyś się rozmnożyć, co nie powinno nikomu kłopotu sprawić, gdyż czynności związane z prokreacją chyba żadnemu człowiekowi nie są niemiłe - nie bez przyczyny. Zatem oczywistym pozostaje stwierdzenie, iż miłość - taka prawdziwa, naturalna, pierwotna - wiążąca dwójkę ludzi musi - bez żadnych wątpliwości - łączyć osobników różnej płci, gdyż tylko w taki sposób będą oni mogli w naturalny sposób wypełnić swoją miłości poprzez spłodzenie potomstwa, a para takowa - czyli rozmnażająca się - to małżeństwo, a ich wspólnota - w skład w której wchodzi już potomstwo - to rodzina, a wszystko inne, podobne,

ani małżeństwem, ani rodziną w żadnym rozumieniu owych słów być nie może, bo niezgodne by to było z pierwotną naturą człowieka oraz Miłością, którą tym wszystkim porusza. Najważniejszym zaś w tym wszystkim jest to, żeby małżeństwo chcące wciąż prowadzić swoje życie rodzinne w miłości kierowało się normami etycznymi - opartymi na Miłości - gdyż bez kręgosłupa moralnego ich rodzina narażona będzie na wiele nieprzyjemności, a w najgorszym przypadku na rozłam, który odbije się negatywnie na wszystkich jej członkach.

Miłość jest jak słońce, zasady moralne są jak deszcz, a miłość jest jak kwiat, o który trzeba dbać ogniem i wodą od ziarna, aż po śmierć, która nie przynosi końca miłości, gdyż zdążyła się już rozmnożyć, a ów proces ten będzie trwał wiecznie, a owa miłość nie zginie już nigdy, jeno połączy się z inną miłością pochodzącą z innego kwiatu miłości, dając tym samym miłość nową i starą zarazem - jak to w Miłości już bywa.

Nektaryneczka nasza poruszyła się w tym momencie tak mocno, iż jedna, niewinna nutka uleciała ku górze radośnie, choć z żalem niewielkim.

Lekko zniesmaczeni patrzyliśmy z Łysym, jak nasza bohaterka przerzucała kartki, na których nasz Romuś - który to poszalał tym razem niemało - opisywał dwa kolejne rodzaje miłości, czyli miłość do nauki i sztuki. Uradowani spostrzegliśmy, iż jednak nie zamierza ona rezygnować z lektury, tylko zatrzymuje się na fragmentach ją interesujących.

Niemiłość, która jest iluzją miłości, gdyż nie pochodzi z Miłości, ale od indywidualnych imaginacji, będących pokłosiem wymieszania się myśli z emocjami, ma tyle oblicz ile źródeł, tak więc nie poczuwam się do odpowiedzialności, aby teraz tutaj wszystkie je przedstawiać, a wręcz obawiam się, iż nie starczyłoby mi na to życia. Niemniej jednak pozwolę sobie wyodrębnić kilka przejawów niemiłości, które dość jaskrawo - o ile można użyć takiego stwierdzenia względem czegoś tak ciemnego jak niemiłość - ukazują się w miejscach jej bytowania.

Po pierwsze! Jeżeli nie ma obustronnych wyrzeczeń, poświęcenia, pracy nad sobą nie ma miłości. Jeśli dwójka osobników pasuje do siebie idealnie i cały czas podążają jedną, wspólną drogą - to nie jest miłość, a wspólne spędzanie czasu. Jeśli tylko jedna ze stron ustępuje, pracuje nad sobą i wyrzeka się dla drugiej - to nie jest miłość, a wykorzystywanie.

Po drugie! Jeżeli nie jesteś w stanie spokojnie funkcjonować bez umiłowanej osoby i wciąż nie dostrzegasz Miłości wokół siebie, a żadna z tajemnic życia nie jest dla Ciebie bardziej zrozumiała niż przedtem - to nie jest miłość, to uzależnienie.

Po trzecie! Jeśli kochasz nie jesteś w stanie nienawidzić, a skoro nienawidzisz, nie jesteś w stanie kochać. Jeżeli więc szczerze nienawidzisz chociażby jednego człowieka, nie jesteś w stanie pokochać naprawdę kogokolwiek - nawet siebie samego - tak więc wszystko co uważasz za miłość, nie jest miłością, gdyż w Miłości nie ma miejsca nawet chociażby na szczyptę nienawiści, tak samo jak nie ma miejsca na cień na słońcu. Miłość rozjaśnia tajemnice życia, a nienawiść je zaciemnia.

Finalizując... Jeśli pomimo tego iż jesteś w związku, małżeństwie, w rodzinie, bądź z ludźmi, których uważasz, że kochasz, a wciąż z nieznanych przyczyn czujesz się samotny... To jest to niemiłość, a jeśli stawiasz szczęście swoje ponad szczęściem kochanego człowieka, to go nie kochasz.

Niemiłość wciąż stara się rozerwać między sobą zniewolenie i wolność, czyli czyni dokładnie odwrotnie to co buduje miłość, tak więc jest zalążkiem sporów i walk między ludźmi, którzy owładnięci jej mocami - w skrajnych przypadkach - nie szukają już w drugim człowieku miłości, ale kogoś kim mogliby zawładnąć dla własnych - czasem nawet altruistycznych - potrzeb, gdyż są przeświadczeni o tym, że jak oni kimś nie będą rządzić, to sami popadną w niewolę drugiej strony. Niemiłość zatem jest źródłem wojny płci, która raduje się mrowiem złamanych serc, do których ma później ułatwiony dostęp, a jej plaga się rozrasta - lecz z zupełnie innymi, złymi skutkami - niczym miłości, której szczerze nienawidzi w swej naturze.

*Zapewne zauważyłeś - drogi czytelniku - iż czasami piszę miłość małą, a czasem wielką literą. Nie jest to błąd, czy forma nieprzemyślana, gdyż Miłość, a miłość mają między sobą wiele różnic. Podstawową z nich jest taka, iż miłość łączy ze sobą dwie skrajności, zaś Miłości w swojej naturze składa się z trzech przeciwległych wartości, których idealna hybryda jest tym co stworzyło i napędza życie całego wszechświata za sprawą miłości. Jest to byt tak piękny, potężny i zawiły, iż nie ośmielę się nawet podejmować wyzwania wyjaśnienia jego natury dokładniej, ale warto wiedzieć, że niektórzy dla sprawy uproszczenia i uniknięcia niepotrzebnych nieporozumień ową Miłość nazywają Bogiem, który to - w swej naturalnej dobroci rzecz jasna - raczył się nam - jako ludzkości - objawić za sprawą proroków oraz Mesjasza, dzięki któremu miłość powróciła między ludzi, aby byli oni w stanie żyć w zgodzie z całą resztą stworzenia, które nigdy od miłości się nie oddzieliło będąc niezachwianie posłuszne Miłości, czyli Bogu. Dla zainteresowanych kwestią Miłości polecam jeno przestudiowanie *Pisma Świętego*.*

Biedna nektaryniczka nasza w niemałym oszołomieniu była po przeczytaniu tekstu takiej wagi, niemniej jednak poderwawszy się w zuchwałym porywie zaczęła kręcić się w kółko licząc, iż ów rytuał pomoże jej w konfrontacji z myślą dla niej nieprzychylną.

- *Stoju, nektarynku!* - jak nie krzyknął nieoczekiwany gość wyłaniający się zza pnia majonezowego drzewa.
- *Tu du mnu mówisz?* - zapytała skonsternowana, starając się złapać równowagę po swoich wariackich praktykach.
- *Tu nektarynku zu sercu złamanu!* Ju widzu! Ju staru naktarynku!
- *Prawdu mówisz staruchu.*
- *Tu siu niu kręciu w kółku bu tu nicu niu daju!* Tu durnótu ju!
- *Tu cu ju robicu mum teru?* Mówu mu! Terazu!
- *Szłyszału tu u kraju odległu zu oceanu, gdzieu nektarynku samu żyju?*
- *Niu słyszału...*
- *Ju taku krainu!* Tobu udaju siu tamu trzeba!

- Pu cu?
- Bu tylku tamu prawdu o sercachu złamanu poznaciu będziu cu danu!
- Dłaczegu taku?
- Bu tylku wśródu swoju poznaciu siebiu samegu będziu w stanu!
- Alu tu daleku!
- Daleku! Daleku! Leczu pu drodze tu musisz jeszcze jednu robicciu!
- Cu takiego?
- Pisaju! Pisaju o miłościu swoju! O miłościu wszelku! O miłości wielku!
- Ale dlaczegu tu mu mówisz cu ju mu robicciu zu życiu własnu?
- Bu tu młodu. Tu niu wiedzu! Ju staru ju wiedzu! Pisaniu twu sercu uspokoju podczasu podróžu du krainiu waszu!
- Oku! Jaku ju siu tamu dostanu staruchu?
- Damu ciu ju moju lampu du lataniu!
- Czemu?
- Bu ju staru i umarłu zarazu, a tu młodu u tobu siu tu przydaju, u mu? Ju już du snu siu szykuj.
- Dobru z ciebiu nektarynku! Co ju zrobicu mogu dlu ciebiu?
- Spierdzielaju!
- Taku!

Przysłuchując się tej rozmowie z niemałym trudem i niesmakiem musieliśmy ulec woli wyższej co skutkowało podążaniem za naszą nakteryneczką pokorną, której postawa dobrze rokowała, gdyż mądrość starszyny szanowała. Wartko i ochoczo wskoczyła na leżącą lampę naftową - oczywiście z majonezowych komponentów stworzoną - a dokładniej na jej boku, który służył jej jako grzbiet, odpaliła knot, po czym rychło ruszyła w kierunku nikomu nieznanym poza samą lampą, mającą w zwyczaju niczym światło oświeceniowe kierować swojego towarzysza w miejsca tylko jemu znane, ale zapewne warte odwiedzenia.

Taboret latający na horyzoncie nigdy się za niego nie chował jeno od prawej, do lewej się przemieszczał po łuku statycznym, a przy każdym od horyzontalnej linii odbiciu obracał się lekko, inną barwą świat pod sobą racząc. Takim to sposobem nieboskłon oraz wszystko co pod nim barwiły się na pomarańczowo, fioletowo i niebiesko, w zależności od niebiańskiego taboretu położenia względem osi własnej.

Lekkie drgania lampy nie miałym lękiem nektarynieczkę naszą przepętniały, ale po czasie oswoiła się ona z tą niedogodnością i zmotywowana zasiadła do wylewania swojego serca żali na... Na coś co przypominało tablicę informacyjną, zalewaną przez całe tłumy treściami uwagi niegodnymi.

Nie wiem czemu, ale innowacyjność artystyczna naszej nierozgarniętej z deka nektaryniecзки nakazała jej numerację stron od ostatniej do pierwszej. Łysy upierał się, iż taki zabieg ma jej pomóc w budowaniu napięcia, gdyż więcej mówi czytelnikowi to ile ma jeszcze stron do końca, a nie ile ma za sobą, co przy odpowiednich umiejętnościach literackich może jeszcze pełniej umożliwić czytelnikowi współpracę z przelaną na papier myślą autora. Zważywszy na intelektualne umiejętności mojego towarzysza nie brałem owych sugestii na poważnie, a i wam moi mili szczerzę takowe poczynanie odradzam.

OPOWIADANIE PIERWSZE:

Dawno, dawno temu, za czteroma taboretami, za czteroma stołami żył sobie pan Yu. Yu prowadził biuro rachunkowe w jednym ze średnich miast półwyspu Re. Wiódł se on życie spokojne, wygodne i ustabilizowane. Chadzał se do robótki, czasem wypił trochę wódki i zadowolony był zazwyczaj. Tylko w miłości biedak szczęścia nie miał, a wszystko zaczęło się jak kiedy - gdy jeszcze małym chłopcem był - chodził sobie do szkoły podstawowej. Od zawsze miał swoją życiową pasję, którą również realizował podczas niełatwej edukacji. Pasją ową było wąchanie kibla zaraz po tym jak ktoś zrobił w nim kupę. Wkładał całe serce w to zajęcie, a po czasie był już w stanie wywioskować na podstawie zapachu płęć osobnika łamiącego się, jego kolor skóry, włosów, długość szyi, czy rzeczy już bardziej zawile jak ulubioną potrawę, czy datę urodzenia. Pewnego razu udał się na wyprawę do

dziewczęcej toalety i zaciągnawszy się tamtejszym oparem z jednego z kibla poczuł w sercu lekkie klucie, które po chwili przerodziło się w niesamowicie silne bicie tegoż narządu. To była ona! Miłość jego życia, a ten zapach, to był prawdziwy zapach kobiety! Wyleciał rychło z kibelka i pomknął biegiem w kierunku wybranki swojego nosa. Zbiżwysz się do niej uklęknął za nią, po czym zaczął wachać ją w otwór dupny, aby napić się tą chwilą radości i spełnienia.

- Co ty robisz Yu! - krzyknęła lekko zawstydzona kolorując swoje lica dziewiczym rumieńcem.

- Obwąchuję cię!

- Ale czemu? - zapytała jeszcze bardziej zmieszana, gdyż wiedziała, że Yu najprawdopodobniej w taki sposób okazuje swoje gorące uczucia.

- Bo ja cię kocham! - krzyknął ku zdumieniu licznej gawiedzi, która zaczęła bić gromkie brawa i krzyczeć na cześć zakochanej pary.

Dwójka zakochanych - gdyż Re odwzajemniła jego uczucie na początku - poszła razem na wagary, aby nazbierać sobie nieco psich kup z parku na dzień zakochanych, który zbliżał się wielkimi krokami. Święto owe wyczekiane przez naszą parę w końcu nadeszło, a ich zapas psiego stolca był tak okazały, iż wysypywał się okanmi i drzwiami z ich domostw nieco przyciasnych.

- To ten dzień. - rzekł podekscytowany Yu patrząc prosto w oczy Re.

- Och tak kochany! - przytaknęła entuzjastycznie.

Jak tylko Yu wydrążył łopatą tunel w gównie prowadzący do sypialni spojrzał za siebie, a tuż za nim stała Re, której stolcoe stalaktyty raz po raz spadały na głowę, kartk i plecy. Serca oboja zakochanych wyrwały się im z klatek piersiowych. Re położyła się na łożu a Yu zaczął ściągać buty. Jego luba wpatrywała się z zaciekawieniem na ten spektakl, ale w momencie, w którym Yu zsunął skarpetki zauważyła, że jego palce u stóp są... Do góry nogami? Przymocowane na odwrot? Do góry brzuchem? Po prostu tak, że jego palce nie zginały się do dołu, pod

stopę, ale ku górze na stopę. *Niestety ich miłości nie przetrwała tej próby.* Re ujrawszy spaczoną naturę swojego niedoszłego kochanka uleciała hen daleko niczym... Coś tam. Serduszko Yu pękło na tysiąc kawałków, a od tego czasu jego sympatia do samic przeistoczyła się w szczerą nienawiść oraz pogardę, dla tych stworzeń pięknych i bezbronnych nierzadko. W taki to sposób Yu stał się Bałamutnikiem Pospolitym.

Dzisiaj zaś Yu miał wolne i postanowił pójść z kumplami na Pochód Chętnych Niewiast co roku organizowany przez radę miasta. Stojąc na chodniku i przyglądając się przeróżnie poubieranym kobietom Yu wypatrzył w końcu w tym spoconym i zaangażowanym w godowe praktyki tłumie tę, na którą miał największą ochotę. Czarne długie, proste włosy wiły się pod permanentnie wypiętą zad zdobny w materiałowe szorty.

- Ty! - krzyknął wskazując na ową dziewczynę palcem.

- Ja? - zapytała z przekorą.

- Cho no! Jest robota do zrobienia!

Porwawszy wybranek za rękę udali się do pobliskich budek Zaspokojenia Potrzeb Seksualnych i wybałamucili tam tę dużo młodszą od siebie niewiaścę jak się patrzy. Było im tak dobrze, iż zawiasy w drzwiach owej bódki puścili, ale grupa gapiów w ogóle ich nie krępowała, a wręcz dodawała ich stosunkowi dodatkowej pikanterii i uroku. Było im tak dobrze, że postanowili zostać parą, bo przecież to odpowiednie zaspokajanie swoich potrzeb seksualnych stanowi fundament prawdziwej miłosioraz udanego związku.

Po tym miłym wstępie postanowili udać się do domu Yu, aby tam jeszcze raz sfinalizować swój związek, bo przecież związek bez seksu - zwłaszcza we wczesnych fazach jego tworzenia - sensu nie posiada. Idąc parkiem Yu zaproponował swojej wybrance o imieniu Ku aby zrobili to na kleszcza. Była to pozycja wywodząca się z jego kuźni erotycznych fantazji, a wyglądała mniej więcej tak, iż partnek obejmuje rękoma i nogami idącą i niosącą go na plecach partnerkę swoim członkiem zakleszczając się w kwiecie jej kobiecości i jeno energicznymi i drobnymi ruchami wprowadzają i wyprowadzają swoją męskość z obiektu swojej erekcji. Niestety po kilku probach owa

innowacyjna pozycja nie zadziałała, a nasza dwójka rozczarowanych kochanów jeszcze prędzej zaczęła zmierzać ku domostwu Yu, aby tam już sobie pofolgować jak należy.

Dotarwszy na miejsce rychło ulogowali swoje rozgrzane cielska w sypiali i bez żadnych ceregieli przeszli do rzeczy. Niestety jednak po kilku minutach w drzwiach owego rozbrzmiewającego odłosami lubieżnymi pokoju stanęła mama Yu.

- A co to za przytapywanki?! - krzyknął oburzony gospodarz spoglądając srodze na swoją rodzicielkę, która migiem umknęła do kuchni, aby pokornie przygotować kakao dla dwoja wplątanych w cielesne przyjemności przeczuwając w swym dobrym, matczynym sercu, iż zapewne po tych wartkich igraszkach będą nieco spragnieni.

Niespełna pół godziny później Yu wroczył dumnym krokiem do kuchni, aby odebrać ciepłe jeszcze kakao. Wchodząc spowrotem do sypiali takimi oto słowy się zwrócił do swojej lubej.

- Słuchaj no. Ja dzisiaj idę wieczorem z kimplami na imprezę...

- Mogę z wami? - wtrąciła podekscytowana i z lekką niepewnością.

- Nie! Zostaniesz w domu i tutaj posprzątasz. Później jak już zrobisz porządek usmaż pięć steków wołowych z ostrą papryką i wyłóż na duże talerze, abyśmy po powrocie mieli coś ciepłego do jedzenia.

- A frytki?

- *Jak bym chciał bez frytek, to bym chyba powiedziałbym, poproszę bez frytek, nie?!*

- No tak... - jęknęła, pokornie spuszczać oczy.

- No... A jak już posprzątasz i zrobisz jedzenie wieczorem, to wypad do siebie, bo nie chcę już na ciebie patrzeć.

- Ale jak to?

- Co jak to?

- To nie zamieszkamy razem? Nie mogę tu zostać?

- Nie!

- Przecież mówiłeś, że mnie kochasz...
- Chodziło mi o seks...
- Ale...
- Co ale?! Co ale?! Czego ty znowu nie rozumiesz durna babo! Posprzątać, ugorować i wypad z baru!
- Ale Yu... Co z naszym związkiem?
- Jakim związkiem?
- Yu... Stawiasz mnie w bardzo niekomfortowej sytuacji.
- Cała nasza relacja to bardzo niekonfortowa sytuacja. - skomentował, po czym obrócił się na pięcie i wyszedł z domu zapominając założyć spodni, ale niczego sobie z tego nie robił, gdyż normą społeczną było już to, iż mężczyźni paradują w przestrzeni publicznej odziani tylko w skórzane, czarne slipki.

Yu na początku spotkał się ze swoim przyjacielem Fi, przed którym udawał, że jest szczery w stu procentach tylko z nim, aby ten czuł się wyjątkowo i zaufał mu jeszcze bardziej, lecz był on również nieświadomy tego, iż Yu robił tak samo z innymi swoimi kolegami, przez co każdy mu ufał, każdy czuł się wyjątkowo i każdy był przez niego oszukiwany.

- Słuchaj jaką miałem akcję ostatnio. - zaczyna relację Fi.
- No dawaj.
- Kupiłem ostatnio sobie nowy telefon.
- I?
- Po tym jak sprzedawczyni wręczyła mi telefon włożyłem swoją kartę, włączyłem telefon i poprosiłem, aby w ramach testu puściła mi sygnał.
- I?
- I zrobiła to i teraz mam jej numer.
- O proszę. Piszecie ze sobą?
- Tak. Ma być dzisiaj w Meneli.

- To fajnie. Mówiłeś jej, aby wzięła ze sobą koleżanki?
- Oczywiście!
- Na ciebie to zawsze można liczyć.

Idąc w stronę wspomnianego pubu Yu i Fi zostali zaczepieni przez młodą parę nastolatków.

- Przepraszamy panów. Czy mógłby któryś z panów zrobić nam zdjęcie?
- Ależ oczywiście! - odpowiedział ochotczo Fi, chwytając w dłonie telefon.

Młoda para ustawiła się prężnie na tle lokalnej drogerii i ze sztucznymi uśmiechami wyczekiwała plasku oznajmującego koniec tego niekomfortowego pozowania.

- Porszę! Zrobione.
- Dziękujemy bardzo. - rzekła uradowana, młoda niewiasta.
- Czy mógłbym zrobić sobie z tobą zdjęcie? - wtrącił Yu badawczo przyglądając się kragłościom młodej damy.
- Dobrze... - odparła z lekką niechęcią, spoglądając przebieganie w stronę swojego niepokieszonego chłopaka.

Yu stanął sztywno, wypiął tors, uśmiechnął się szeroko i położył dłoń na biodrze stojącej obok niego młódki.

- Do pupy ci w tych spodnach skarbie. - szepnął jej na ucho z lubieżnym uśmiechem.
- Ojej... Dziękuję. - odparła szczerze zakłopotana, barwiąc swoje młode lica rumieńcem.

Na odchodne wsunął jej do tylnej kieszeni spodni swoją wizytówkę licząc w duchu, iż będzie miał kolejną zdobycz do swojej jakże zacnej i chwalebnej kolekcji.

Wchodząc do pubu zauważyli trójkę kumpli siedzących przy stoliku, przy czym jeden z nich machał w ich kierunku skarpetką trzymaną w dłoni.

- Kto tym razem? - zapytał się go Yu siadając za stołem.

- Ze. - odparł dumny.

ów mężczyzna miał taki zwyczaj, żeby nie powiedzieć pasję, którą realizował poprzez kolekcjonowanie lewych skarpetek kobiet, u których pił herbatę. Miał już w swoim domu niemałą kolekcję tego typu trofeów, ale wszystkim wiadomym było, iż szybko z ową zabawą skończyć nie zamierza.

Siedząc i gwarząc za stołem zastawionym piwem załoga spostrzegła dwie siedzące w kącie sali kobiety radoście wymieniające się między sobą kaskadami niezrozumiałych dla nikogo słów.

- Jak myślicie... Ile ta blondynka ma wzrostu? - zapytał kompanów Yu.

Przez niespełna pół godziny podpite już towarzystwo starało się na podstawie wielkości głowy teź niewiasty określić jej wzrost zakładając, iż jej wielkość musi być w jakimś stopniu proporcjonalna względem reszty ciała.

- Nie no musze to sprawdzić! - ryknął teatralnie Yu uderzając z równą gracją w drewniany stół, po czym wstał i pomknął pewnym krokiem w stronę celu ich badań.

- Przepraszam, czy mógłbym się dosiąść a chwilę? - zapytał uprzejmie spoglądając z uśmiechem na nieco zaskoczone towarzyszeki.

- Ależ proszę. - zaprosiła blondwłosa piękność.

- Tak się składa, że siedzimy sobie tam z kolegami. - mówił wskazując ręką swoich towarzyszy, po czym kontynuował.

- I jak tak na panią patrzyłem to... - zamilkł na chwilę.
- To co? - dociekała z zainteresowaniem wpatrując się w jego lekko zmieszane oblicze zalotnie.
- Może tak... Muszę z panią rozmawiać, bo jak tylko się na panią patrzę, to mi staje.
- Słucham? - odparła nieco oburzona.
- No staje. Pała mnie staje, ale jak rozmawiamy, to jest już dobrze.
- Nie rozumiem...
- Och... Głupstwa, nieważne. czy mogłabyś mi podać swój numer telefonu?
- Po co?
- Chętnie bym się spotkał w spokojniejszych okolicznościach i porozmawiał na spokojnie.
- A, jak tak, to tak. Proszę. -58285992993521
- Dziękuję. Nie przeszkadam już dłużej. Do usłyszenia. - zakończył wstając i zegnając się szarmanckim uśmiechem.
- Tylko zadzwoń. - dodała na koniec unosząc lekko dłoń w geście poruszającego pożegnania.

- I jak? Ile ma wzrostu? - dopytywał się go zaraz po tym jak usiadł.
- A kurde... Zapomniałem zaptać...
- No co ty?! - krzyknęli churem.
- Ale mam jej numer!
- ty bałamutniku! Jak ty to robisz?
- Normalnie.
- To co... Może napijemy się wódeczki? - zaproponował Fi.
- Jo! - przytaknęli wszyscy radośnie.

Z przyczyn niewyjaśnionych ułamek sekundy później Yu stał przy barze gwarząc nieco zbyt głośno z grupką podpitych studentek.

- Podoba ci się któraś z nas? - pyta jedna z nich.
- Wizualnie czy z zachowania?
- A co... któraś z nas źle się zachowuje?
- Nie. Chciałem tylko sprawdzić, która z was się skrępuje, bo pewnie ona skrywa najwięcej tajemnic, bo właśnie tacy ludzie są mało pewni siebie. - mówiąc to Yu patrzył głęboko w oczy zmieszanej dziewczyny, która najbardziej przypadła mu do gustu, a po chwili milczenia dodał.
- Strach jest odbiciem pragnień, więc wiedząc czego się boisz, mogę dojść do tego czego pragniesz i uwierz mi... Robisz to źle.
- Bzdura.
- Podaj mi dłoń.
- Nie.
- No widzisz. Jakbyś się tego nie bała zrobiłabyś to chociażby dlatego, aby mi udowodnić, że nie mam racji.
- No to powiedz w takim razie czego pragnę i czego się boję. - syknęła ze złością.
- Przecież sama o tym wiesz, a poza tym wiesz również, że bardzo nie chciałabyś, abym powiedział o tym w towarzystwie. Barman! Polej!

Z przyczyn równie niewyjaśnionych co poprzednio ułamek sekundy później Yu tańczył na parkiecie z jakąś zupełnie inną dziewczyną łapczywie wykorzystując jej stan upojenia poprzez nieskrępowane dotykanie jej natętych posładków.

- Daleko mieszkasz? - zapytał pijackim tonem niechlujnie kręcąc głową.
- Tutaj niedaleko. W akademiku.
- Pokażesz mi swój pokój?
- Dobrze. - odparła zalotnie.
- Za pięć minut pod wejściem do klubu, ok?
- Okej.

- No to zmykam. - pożegnał się klepiąc kilkukrotnie młodkę lekko w policzek.

Zaszedłszy do ubikacji mierzył się z trudami trafienia moczem do sedesu. Co jakiś czas zerkał na telefon, który drażniącym dźwiękiem informował go o przychodzącym połączeniu od Le. Początkową konsternację przerwało wspomnienie owej dziewczyny, od której brał numer przy barze. Z niechęcią odrzucił połączenie i wyszedł z kibelka. Idąc w stronę wyjścia rozglądał się po lokalu w poszukiwaniu swoich kompanów, lecz zamiast nich widział tylko ciasny tłum pijanych, spoconych i ocierających się o siebie ludzi. Zaduch, smród i gwar srawiły, że zrobiło mu się niedobrze, ale sama myśl o powrocie do niezbyt pachnącej łąka ubikacji nappełniła go jeszcze większą chęcią zwymiotowania, więc tym prędzej wyszedł na zerwnątrz. Wybiegłszy na chłodną noc ruszył szybkim i chwiejnym krokiem w kierunku pobliskich krzaków, aby za ich osłoną puścić pawia. Podczas wykonywania tej czynności usłyszał zza pleców.

- Kogo my tu mam? - zapytał wysoki pyszałkowaty młodzian najprawdopodobniej przewodniczący tą trzyosobową bandą, która zdecydowała zaczepić Yu.

- Co?

- Ktoś tutaj się upił...

- Że co?

- Ktoś się upił i zgubił portfel.

- Spierdzielaj...

- Portfel i telefon - wtrącił stanowczo herszt zmieniając wyraz twarzy.

- A jak nie zgubił to co?

- To się wywrócił i zrobił sobie kuku.

Yu stanął w tej chwili przed niełatwym dylematem. Myśli szalały w nim niczym stereotypowy, pijany wujek na weselu doprowadzając go do jeszcze gorszego stanu. Nie wiedział, czy oddać im swój portfel, czy dać się pobić, gdyż z jednej strony męsko by wyglądał z limem pod okiem i bliznami, ale jak odda portfel, to nie będzie miał pieniędzy, więc jego notowania automatycznie się obniżą. Dopiero po chwili zorientował się, że przecież

zatrzymując portfel dostanie łomot, więc będzie miał i pieniądze i limo i blizny, więc będzie dopiero prawdziwym bałamutnikiem. Dziękując losowi za taką okoliczność splunął drwiąco w stronę łobuzów, a chwilę później dostał kopa w czoło.

KONIEC

Zakończywszy opowiadanie owe, moralnością niebywale szlachetną przesiąknięte nasza nektaryneczka legła zmęczona na leżącej lampie zastanawiając się dlaczego żadnej ulgi na sercu nie czuje po napisaniu takiego dzieła. Ulgi której co prawda nikt nie obiecywał, ale której instynktownie się spodziewała, przyrównując - zapewne nie do końca świadomie - uczucie swoje do najbardziej podstawowych funkcji fizjologicznych jej organizmu, jak gdyby możliwym było serce przepętnione miłością opróżnić równie łatwo i sprawnie jak pęcherz nadwyżką moczu nękania. Niestety sercowe kwestie dużo bardziej skomplikowane się zdały, tak więc takowy status swojego serca zobowiązania względem drugiego istnienia nadać z niemałym rozczarowaniem postanowiła. Przepętniona nostalgią, tępym wzrokiem obserwowała tańczący taboret, a po całym dniu - czyli miary czasu, w której taboret zrobił wszystkie trzy obroty wokół własnej osi - lotu przepętnionego wciąż powracającymi oraz niechcianymi myślami i emocjami ujrzała - nie wiadomo do końca jak, skoro oczu nie posiadała, ale pismak ten niechłujny w ogóle nie przejmując się taką niespójnością, tak więc przymuszeni jesteście moi mili do czytania tego bezsensu - wyłaniający się zza majonezowego oceanu ład.

Była to dość sporych rozmiarów wyspa, na której beztrząsco wylegiwały się nektarynki wymieniające się masą zdań, zwrotów i okrzyków. Różniły się one nieco od tych zamieszkujących wśród śliwek i brzoskwiń, gdyż wydawały się dużo bardziej radosne, otwarte i zdrowe, ale zarazem zdystansowane, nieco chłodne oraz racjonalne. Najdziwniejszym w tej wyspie dla naszej niedoświadczonej w tego typu ekspedycjach nektaryneczki było to, iż owa wyspa nie była - tak jak wszystkie inne - osadzona pomiędzy majonezowymi falami, lecz lewitowała kilka metrów nad nimi, na tyle wysoko, aby żadna z nich nie dosięgła jej konstrukcji.

Wylądowały lampą na tychże ziemiach nasza bohatera lekko skonsternowana podjęła rozmowę z pierwszą napotkaną postacią wywodzącą się z grupy tubylców.

- Witaju! - krzyknęła z nieco sztuczną radością, którą starała się zakamufłować swoje zmieszanie i niepewność.

- Tu mniu witaju? Jaku tu nu naszu ziemiu, tu mu witaju tu! - odparła radośnie na pierwszy rzut oka gościnnie nektarynka.

- Ju zu daleku przeleciału tu.

- Skund?

- Zu daleku.

- Oku! Czegu tu szukaju?

- Ju płakaju samu pud drzewu, jaku przysztu du mniu jednu staru nektarynku u mu powiedziału, żu ju tu muszu pomocu szukać.

- Pomocu? Tu czemu tu płakaju?

- Bu mniu ukochanu zostawiju!

- Uj tu biudnu. - pocieszyła strapionego gościa przytulając go mocno.

- Uuuu...

- Uuuuu...

- Uuuuuuu...

- Ju lepieju?

- Ju!

- Tu fajnu.

- Alu niu... Jużu niu lepeju. - skomentowała z zawodem, roniąc jedną nutkę.

- Słuchaju... Czegu tu chcu?

- Żebu bytu lepieju!

- Tociu bytu, ju?

- Nu byty, alu...

- Cu alu?
- Ju chciału tuk nu statu!
- Nu statu? Nu statu sercu złamanu skleju?
- Ju!
- Nu... Niu mu opcju.
- Jaku?
- Nu taku... Niu mu opcju u jużu.
- Alu...
- Współczuju...
- Alu mniu staru powiedziału, że ju tu prawdu nu tematu sercu złamanu poznamu!
- Tu ju tu prawdu... Niu du su sercu złamanu tu nu tum świeciu ponownu skleiciu.
- Jaku tu?!
- Nu taktu... Współczuju...
- Alu... Tu cu zu tymu istotu cu żyju zu sercu złamanu?
- Nu żyju, taku jaku tu żyju.
- Alu...
- Alu, cu?
- Tu pu cu ju tu leciału?
- Żebu prawdu poznaciu!
- Tociu ju tu wiedziału!
- Alu niu wiedziału czum jestu!
- Czum jestum?
- Ju nujedynu cu tu przylatuju.
- Nu nujedynu?
- Mu specjalnu nu lampu nektarynku wysyłaju na kontynentu, abu znajdowału taku jaku tu!
- Dlaczego?

- Bu tu nektarynku! Doświadczonu nektarynku, któru potrzebuju pomocy swoju rodzinu!
- Rodzinu?
- Tuk! Nus! Prawdziwu nektarynku! Czystu nekatrynku!
- Cu tu mówisz mu tu?
- Tu, nektarunku, tu nu mieszanku śliwku i brzoskwiniu!
- Tu ktu?
- Tu nektarynku! Osobnu gatunku! Innu rodzaju!
- Alu...
- Taku! Su śliwku, brzoskwiniu u nektarynku! Tu nektarynku! Nu mieszanku! Nu dziwadłu! Nu odmienciu! Tu tylku nekatrynku!
- Alu...
- Taku mówiu, bu nu wiedzu! Śliwku i brzoskwiniu tegu niu widzu.
- Dlaczego?
- Bu tu tajemnicu.
- Dlaczego?
- Pytaju Bogu!
- Bogu?
- Ju. Pytaju Bogu!
- Nu rozumiu...
- Nu szkodzu. Bedu starszu tu zrozumieju.
- Nu alu cu terazu... Dlaczego pu mnu wysłaju staregu?
- Nu pu ciebiu... Wszystku starzu lataju i szukaju zagubionych zu rodu nektarynku! Sercu złamanu, tu zagubionu. Staru zobaczył, ujawnił su u pomogł trafić du dumu prawdziwego.
- Dlaczego tylku zu złamanu sercu nektarynku staru pomagaju u tu wysłaju?
- Bu innu szczęśliwu, nugotowu, nudoświadczeniu... Nu wnikaju, kochanu.
- Czu teru?

- Tu twoju decyzju. Zostaju?

- A mogu?

- Mogu! Mu weselu juk tu zostaju. Mu tu żyju w pokoju, hamroniu, miłościu. Nu kłutni, nu wojnu, nu nienawiściu, nu kłamstwu, samu dobru! Mu rodzinu!

- Jeju! Jeju! Jaku fajnu! - krzyczała uradowana nektarynka wypełniając się jeszcze nie do końca zrozumiałym poruszeniem.

- Mu siedzu, rozmawiaju u sztuku, u nauku, u polityku, u Bogu, u żuciu! Mu towrzu, mu siu uczymu, mu żyju w zgodziu u naturu. Mu kochaju cału stworzeniu!

- Jeju! Jeju!

- Tu zostaju u namu?

- Ju tuk! Ju... Alu... Alu...

- Cu alu?

- U moju ukochanu?

- Twoju ukochanu?

- Cu u niu?

- Niu wium... Możu jaku staru ju tu przyślu?

- U jaku... - urwała w połowie wypowiedzi spuszczaając głowę, chociaż całą jej postać jakoby jedną, wielką głową była...

- Cu jaku? Mówiu, śmiału.

- Jaku onu niu uwierzu? Niu przyleciu tu, bu nie uwierzu?

- Niu uwierzu?

- Nu niu nwierzu, bu...

- Czekaju... Onu ju u brzoskiwnioweju ziemi?

- Ju!

- Ojeju... Ojeju...

- Cu?

- Brzosiwniu nienawidzu nektarynku! Brzosiwniu poluju nu staruch! Brzosiwniu niu chcu daci nektarynku prawdu... Brzosiwniu myślu tylku u sobu u wykorzystuju nektarynku.

- Ju wium... Cu terazu?

- Niu wium... Starzu nu lataju nu ziemiu brzosiwniu.

- Dlaczego? Boju siu?

- Tuż, alu nie strachu niu pozwolu num tamu lataciu.

- U cu?

- Prawu. Mu nektarynku musimu szanować wolu innu stworzeniu. Niu możnu nu siłu dobru nikomu robiciu.

- Alu tu waszu gatunku!

- Mu wiemu, dlatego wspieraju śliwku u uchu polityku, abu przekonał on brzosiwniu, że nektarynku tuż prawu maju. Wtedu starzu tamu polecu u bedu łwić dalej.

- Rozumieju...

- Przykru mu. Chodziu, przedstawiu cu innemu nektarynku. - zaproponowała obejmując naszą strapioną i zmieszaną bohaterkę.

- Nu! Ju nu zostaju! Ju lecu! - krzyknęła nagle z nadzieją w głosie.

- Cu? Gdziu? Dlaczego?

- Pu ukochanu! Ju tu ju sprowadzu!

- Alu...

- Alu cu?

- Alu tu niebezpiecznu! Brzosiwniu poluju nu łwiącu nektarynku. Szczelaju du lampu.

- Niu boju siu!

- Alu jaku twoju ukochanu nu uwierzu?

- Uwierzu!

- Brzosiwniowu nektarynku nu wierzu nawetu śliwku, u cu dopiero czystu nektarynku...

- Spróbuj!

- U juk zginu?

- Tu zginu! Nu mu žyciu buz nieju!

- Prawdziwu bohateru! Daju namu tu lampu! - rozkazała radośnie.

Chwilę później nasza nektarynka odlatywała już ze swojej ziemi obiecanej w kierunku ukochanej, a liczna rzesza skaczących na brzegu wyspy nektarynek machała w jej kierunku krzycząc radośnie.

- Będziem siu zu ciebu mudlić!

Jako iż wewnętrzne cierpienie przyprawione nieznacznie niecierpliwym wyczekiwaniem spotkania z ukochaną nękało naszą nektaryneczkę zmieszaną, postanowiła zacząć pisać z nadzieją, iż być może chociażby na czas tworzenia jej bolączki nieco się od niej odczepią.

OPOWIADANIE DRUGIE:

Ko: <Pomachałeś do Lo>

Lo: <Lo pomachała do ciebie>

Ko: siemanko

Lo: hajka

Lo: znamy się? ;>

Ko: nie...

Lo: to czemu do mnie piszesz?

Ko: pojawiłaś mi się w podpowiedziach

Ko: spodobał mi się twój post

Lo: który?

Ko: ten o świecie w którym ludzie już ze sobą nie rozmawiają na żywo tylko przez maile i komunikatory.

Lo: aaa... dobra

Lo: i co?

Ko: tez tak mysle ze to idzie w te strone

Lo: podoba ci sie to?

Ko: nom xD

Ko: tobie nie?

Lo: bo ja wiem...

Lo: ile masz lat?

Ko: 22 a ty?

Lo: 18

Ko: xD

Ko: tlatego takas slodka

Ko: dlatego*

Lo: dziekuje :))

Ko: co teraz robisz?

Lo: ogladam serial

Ko: jaki?

Lo: kolatanie serca

Ko: co to?

Ko: o czym to*

Lo: o takiej dziewczynie ktora jest z chlopakiem ale go nie kocha

Ko: to dlaczego z nim jest?

Lo: bo jest dla niej bardzo dobry i ma wyrzuty sumienia jak nieodwzajemnia jego uczuc

Ko: no ale przeciez ona go nie kocha tak?

Lo: no nie

Ko: no to nie odwzajemnia jego uczuc bo on ja kocha tak?

Lo: no taaak

Lo: ale to nie o to chodzi

Ko: to o co?

Lo: no bo on sie w niej zakochal i do niej swirowal a jej glupio bylo go odrzucic tak byl dla niej dobry no i teraz sa razem ale ona jest nieszczesliwa

Ko: glupia xD

Lo: czemu?

Ko: kto normalny tak robi...

Lo: no ja mam podobnie :(

Ko: oooo

Ko: to znaczy ze co?

Lo: nie wiem czy powinienam o tym z toba rozmawiac

Ko: dlaczego?

Lo: nie wiem kim jestes

Ko: no i wlasnie dlatego mozesz ze mna porozmawiac o wszystkim

Ko: przeciez i tak nie powiem temu nikomu kto zna ciebie

Lo: a jak jestes jakim chlpackiem z mojej szkoły a to konto jest falszywe

Ko: xD

Ko: nie jestem

Lo: skad mam to wiedziec?

Ko: <zdjęcie przedstawiające jego twarz z dodatkiem tęczowych okularów i stalowego kubka w miejscu lewego ucha>

Lo: ok

Ko: to jak?

Lo: nie chce mi sie o tym gadac

Ko: dawaj

Ko: ulży ci

Lo: no nie wiem

Ko: no mowie ci...

Ko: spróbujmy

Lo: no bo...ja tez mam chłopaka ale go nie kocham

Ko: oho...

Lo: no i chce z nim zerac ale nie wiem jak

Lo: bardzo go lubie

Lo: jest super i kochany

Lo: ale go nie kocham

Ko: to dlaczego sie z nim zwiazalas

Lo: no bo myslalam ze go pokocham

Ko: ale nie pyklo?

Lo: no wlasnie

Ko: ile jestescie ze soba

Lo: dwa miesiace

Ko: nie wydaje ci sie ze lepiej by bylo zakoczyc to jak najszybciej bo pozniej to bedzie tylko gorzej

Lo: no wiem

Lo: ale nie moge

Lo: nie umiem :(

Lo: on jest taki dobry tyle razy mi pomagat

Lo: jest dobry dla innych mady

Ko: to dlaczego to nie on? ;>

Lo: nie wiem

Lo: nie bylo i nie ma tego wow

Ko: wow?

Lo: no takiego czegos ze ciezko zlapac oddech ze wiesz ze to ktos wiecej niz kumpel

Ko: chyba kumam

Lo: tutaj tego nie było i nie ma cały czas

Ko: no to nie zazdrosze sytuacji xD

Lo: smiesz ci to?

Ko: nie

Ko: tak tylko chciałem cię rozweselić

Lo: ok

Lo: dzięki :)

<kilka sekund przerwy>

Lo: słuchaj jestem zmęczona

Lo: idę spać

Ko: ok

Lo: dobranoc

Ko: a jak się czujesz?

Lo: w miarę ok

Lo: dziękuję :)

Ko: ok

Ko: to dobranoc

Ko: dobranoc*

Lo: papa

Ko: wesółych snów! :D

<następnego dnia po południu>

Ko: hejka

Lo: no hej :)

Ko: jak tam dzisiaj?

Lo: a nic

Lo: siedze z chłopakiem

Ko: oho

Ko: to nie przeszkadzam

Lo: nie no spoko :)

Lo: co u ciebie?

Ko: wściekly jestem

Lo: czemu? :O

Ko: wkurzaja mnie moje siostry

Lo: czym?

Ko: sa starsze i maja juz mezow

Ko: Ti od dwuch lat a Fu od roku

Ko: no i teraz ciagle sie scigaja ktora bedzie miala wiecej rocznic

Ko: ktora ktora przegoni w rocznicach

Lo: xD

Ko: rozumiesz to?!

Lo: co za laski

Ko: nie rozumieja tego ze zawsze Ti bedzie miala o jedna rocznice wiecej od Fu bo wyszla za maz rok wczesniej a ta ich cala gra te glupie zawody nie maja sensu

Lo: hahaha

Ko: najgorsze w tym jest to ze wkrecaja mnie w te swoje gierki a jak nie chce w nich brac udzialu to jestem ten zly

Ko: i wtedy naprawde staje sie zly :<

Lo: no nie dziwie sie xd

Ko: martwie sie o nie bo sie wykanczaja tymi glupimi zawodami

Lo: nie martw sie

Lo: jakos sobie dadza rade

Ko: no ale wiesz ile one na to traca nerwow czasu i pieniedzy?

Lo: no jak wiem ale nie mozesz sie tak tym zamartwiac

Lo: nie masz na to wpływu

Ko: moge im wytłumaczyc ze to co robia jest glupie

Lo: no ale przecie juz to robiles nieraz i jakos niczego to nie zmienilo...

Ko: no tak

Ko: ale...

Lo: co ale?

Ko: to moje siostry

Ko: martwie sie o nie

Ko: jestem ich bratem

Ko: powinienem sie o nie troszyc

Lo: no ale bez przesady

Lo: nie mozna byc nadopiekunczym

Ko: dlaczego?

Ko: moze nie mozna byc nadopiekunczym w sensie ze nie mozna byc zbyt zdrowym

Lo: nie

Lo: nie w tym sensie

Ko: to w jakim?

Lo: moim zdaniem jak ktos jest nadopiekunczy to robi krzywde osobie ktora sie opiekuje

Ko: dlaczego?

Lo: no bo... jak masz tak sie sobie dziecko to ono poxniej sie uzaleznia od opiekuna

Ko: ale one sa juz dorosle!

Lo: pozniej*

Lo: no to w takim razie wprowadzasz je w kompleksy

Ko: nie rozumiem

Ko: mnie na przykład ojciec nawet nie słuchał i teraz widzę tego skutki

Lo: no ale to co innego...

Ko: wiesz jak to jest?

Lo: co?

Ko: jak cię nikt nie słucha

Lo: w jakim sensie?

Ko: no że albo mówisz i dosłownie nie słucha

Ko: albo jak zaczyna słuchać to tylko do pewnego momentu bo zanim uda ci się skończyć to ten ktoś już się do tego odnosi bo myśli że wie co chciałaś powiedzieć

Ko: a zazwyczaj mówi o czym zupełnie innym...

Lo: no czasami tak mam

Ko: miałem tak cały czas w domu

Ko: jak już kumałem co się dzieje to ojciec był już po wojnie

Ko: zabierał mnie na spacer, mecze, nad jezioro

Ko: ale zawsze był w stresie i szukał niebezpieczeństwa wokół nas

Ko: był tak przesiąknięty strachem że wyszukiwał tylko zagrożenia i na nic innego nie poświęcał już uwagi

Ko: w tym na mnie

Ko: tak więc jak chciałem z nim porozmawiać jak syn z ojcem to zawsze tak to wyglądało

Lo: czyli tak jakbyś nie miał ojca?

Ko: no prawie

Ko: tak z pol...

Lo: no nie wiem...

Lo: miałeś kiedyś dziewczynę?

Ko: mam

Lo: o! jak ma na imię?

Ko: tatiana

Lo: tatiana? xD

Lo: co to jakas ukrainka?

Ko: rosjanka

Lo: mieszka w polsce?

Ko: nie

Ko: na syberii

Lo: xD

Lo: to jak wy sie poznaliscie

Ko: przez internet

Lo: xD

Ko: co?

Lo: widziales jak kiedys na oczy?

Lo: nie

Ko: nie

Lo: ciezko mi sobie wyborazic taki zwiazek

Ko: dlaczegO?

Lo: no nie wiem

Lo: dziwnie tak

Lo: musze leciec

Lo: idziemy z krystianem do kina

Ko: zaraz tatiana pewnie sie obudzi to tez sobie cos oberzemy online

Ko: na co idziecie?

Lo: triwengers powroty z zapomnianych hipermarketow

Ko: o!

Ko: tez lubimy triwengersow

Ko: tez to objerzimy

Lo: :)

Lo: to milego seansu

Ko: wam rowniez

Ko: papa

Lo: paa :))

<tego samego dnia późnym wieczorem>

Ko: hejka! :D

Lo: no hej

Ko: no i jak tam film?

Lo: nie bylismy w kinie

Ko: czemu? :O

Lo: nie chce mi sie o tym gadac

Ko: na pewno?

<dwie minuty przerwy>

Ko: no dawaj

Ko: mow co cie trapi

Lo: wkurza mnie

Ko: co?

Lo: on!!!

Ko: twój chłopak?

Lo: tak

Lo: krystian

Lo: to debil

Ko: przeciez mowilas ze jest taki kochany i wogole ;>

Ko: w ogole*

Lo: no bo jest ale dzisiaj to juz przesadzil

Ko: z czym?

Lo: on nie lubi triwegersow

Lo: uwaza ze to zle filmy

Lo: ze piora mozg ze podsycaja egotyzm i pyche

Lo: ze to tak specjalnie puszcza ja ludziom aby ich oglupiac

Lo: ze to wszystko jakas tajna szajka ktora w taki sposob robi z ludzi niewolnikow

Ko: niewolnikow? xD

Lo: no on ma taka swoja teorie spiskowa

Lo: teorie*

Ko: jaka? ;>

Lo: no ze wielkie korporacje placaja wytworniom filmowym aby robily takie filmy przez ktore ludzie nie beda chcieli sie rozwijac bo beda mysleli ze sa super bo utozsamiaja sie z tymi bohaterami wiec pozniej prze z normalne realne zycie sa przymuszani do pracowania w miejscach w ktorych nikt nie chce pracowac ale jako iz wciaz mysla ze sa super to sie nie rozwijaja wiec nie maja kwalifikacji do wykonywania ciekawszych zawodow

Ko: co za filozof xD

Lo: no i suszyl mi takimi teoriami glowe po drodze ze az w ogole nigdzie nie poszlismy i woriclam do domu

Lo: caly czas mi sie rece trzeasa z nerwow

Ko: spokojnie nie denerwuj sie

Lo: teraz ty bedziesz mi mowil co mam robic?!

Ko: nie no sorki

Ko: a powiedz mi...

Ko: ty go sluchasz?

Lo: co masz na mysli?

Lo: czy słucham tego co do mnie mówi?

Ko: nie do końca

Lo: to tak

Ko: chodzi mi bardziej o to czy słuchasz go czy słuchasz się go... jego...

Lo: robie to co chce

Lo: nikogo się nie słucham

Ko: nie w sensie że robisz to co on on mówi...

Lo: to w jakim?

Lo: bo już nie rozumiem

Ko: chodzi mi o to że jak tylko kogoś słuchamy to mamy dystans do tego co ten ktoś mówi więc przyjmujemy jego słowa na spokojnie a jak słuchamy się kogoś to wtedy tego dystansu nie ma więc jak ktoś mówi coś co jest nam nie po myśli to automatycznie czujemy jak te jego słowa wymuszają na nas jakąś zmianę przed którą broniemy się zazwyczaj agresją

Ko: albo ucieczka jeżeli mamy taką możliwość

Lo: teraz ty będziesz mi tutaj głosił jakieś głupie teorie?!

Ko: dlatego warto nauczyć się słuchać drugiego człowieka

Lo: idę sapsc

Lo: nie da się z wami rozmawiać !11

Ko: poczekaj!

Ko: nie idź

Lo: czemu?

Ko: bo cie potrzebuje

Lo: co?

Ko: chciałem z kimś o czymś pogadać a nie wiem czemu ale wydajesz mi się w porządku

Ko: polubiłem cie

Lo: dziękuję :)

Lo: ja ciebie tez polubilam

Ko: :)

Lo: o czym chcialas pogadac?

Ko: tez poklocilem sie z tatiana

Lo: ja sie z nia nie poklocilam xD

Ko: hahaha

Ko: jestes wredna!

Lo: czasami ;>

Lo: o co sie pokoliciscie?

Ko: w sumie to nie wiem

Ko: odebrala list ode mnie i widze ze cos jest nie tak ale ona mowi ze jest wszysytko ok ale sama juz nie wie

Lo: nie brzmi to dobrze

Ko: wkurzylem sie taka gadka bez konkretow i ja zablokowalem

Lo: xD

Ko: niech choc raz ona bedze po tej drugiej stronie! :D

Lo: ona ciebie blokowala?

Ko: nie raz... zawsze o jakies pierdoly

Lo: beka

Lo: co bylo w tym liscie?

Ko: no wlasnie... chcesz go przeczytaac? byc moze w nim jest cos czego pisac nie powinienem ale po prostu tego nie widze

Lo: no pewnie!

Lo: pokaz

Lo: umieram z ciekawosci cos tam jej napisal durnego xD

Ko: ...

Lo: zartuje no

Lo: pokaz

Lo: zobaczymy czy wszystko w nim jest okej

Ko: ok

Ko: daj mi chwile

<kilka sekund później>

Ko: oczywiście był sformatowany jak należy...

Lo: ok ok

Lo: pokazuj

Lo: nie wstydź się

Ko: a co mi tam

Ko: przecież i tak się nie znamy xD

Ko: Kochana Tatiana, cieszę się bardzo iż entuzjastycznie wyraziłaś chęć wymieniania się ze mną listowną korespondencją. Robię to pierwszy raz, więc jakbyś zauważyła w tym liście jakieś nieprawidłowości, to bardzo Cię proszę nie gniewaj się na mnie, ale wskaż mi owe błędy, a obiecuję, iż wyrzeknę się ich w przyszłości. Piszę do Ciebie z mojego niewielkiego pokoiku. Przygasający płomień świecy na biurku pięknie podkreśla Twoje zdjęcie profilowe, które wydrukowałem i postawiłem w ramce nieopodal niej. Ręce mi drżą, a serce bije tak mocno, że czuję miarowe uderzenia w uszach. Mam nadzieję, że Twoja znajomość i Twoje zamiętanie do poezji rosyjskiej z okresu romantyzmu nie będą kontrastowały niesmacznym zgrzytem przy kontakcie z moim otwartym i prostym sercem, które ovm listem postaram Ci się wyrazić najcelniej jak tylko potrafię. Dobrze wiesz, iż nieprzejeđnany ogień miłości rozpałił me serce jak tylko ujrzałem Twój profil. Dobrze wiesz, iż od tamtej chwili wszystko inne przestało mieć znaczenie, a jedynym celem, jedyną radością, jedynym pocieszeniem oraz słodkim wyczekiwaniem było od tamtego momentu ujrzenie w oknie czatu dwukropka i gwiazdki. Przemiłe “:.*”, które nieraz sen z mych oczu ściągało kroczy za mną po dziś dzień niezmiennie, tak samo jak niezmiennie kocham Cię nad życie. Pragnę podziękować Ci, że przyjęłaś moje zaproszenie do znajomych tamtego dnia, za to że odpisałaś na moją wiadomość, i że polubiłaś mój post z przepisem na placki z cukinii. Dzięki Tobie zrozumiałem, iż dotychczasowe starania i trudy, które podejmowałem, aby zostać programistą i mistrzem powiatu w Kwantową Kwadraturę Koła

v2.1 było małostkowym i próżnym pragnieniem mającym mi iluzorycznie wypełnić pustkę w sercu, którą w całości, bezgranicznie i natychmiastowo wypełniłaś Ty swoją piękną osobą. Dzięki Tobie zacząłem rozumieć piosenki o miłości, z których wcześniej się śmiałem. Dzięki Tobie zacząłem rozumieć świat, który na miłości stoi, a którym wcześniej gardziłem. Dzięki Tobie zrozumiałem czym jest miłość, przy czym ja sam i każdy inny człowiek, który z miłości się wywodzi. Dzięki Tobie odrzuciłem w wieczne zapomnienie swoje kłamstwa, aby oddać się Tobie w całej otwartości i szczerości, a Ty, pomimo moich wad, przyjęłaś mnie takim jaki jestem... Czule, wesoło, cierpliwie... Z wyrozumiałością i miłością. Dlatego zechć w ramach mego szczerego oddania przyjąć ten załącznik, który komponowałem z myślą o Tobie. Z najcieplejszymi pozdrowieniami, Ko

Lo: piękny <3

Ko: dziękuje :)

Lo: jeju naprawdę

Lo: az mi sie milo zrobilo przez chwile xD

Ko: hehe

Ko: mysli ze mogla sie za cos obrazic?

Lo: nie wiem

Lo: nie znam jej

Lo: jak dla mnie nie

Lo: ja bym sie bardzo uciszyla jakbym dostala taki list od chlopaka :)))

Ko: no to ja juz nie wiem :(

Lo: a co to byl za zalacznik?

Lo: tez taki romantyczny? ;>

Ko: nom

Lo: no to mow! :D

Lo: co to bylo?

Ko: zurzyta prezerwatywa

Lo: coooo?! :OO

Ko: no zrobilem sobie dobrze w prezerwatywie a potem wrzucilem ja do koperty

Ko: zeby wiedziala ze ja kocham i ze jak to robie to mysle o niej

Ko: myslalem nawet aby po jej zdjeciu nieco ja bardziej rozciagnac ale nie chcialem jej oszukiwac i udawac ze mam wiekszego niz naprawde

Lo: no to moze ten zalacznik ja nieco zaniepokoil...

Ko: powaznie?

Ko: serio tak myslisz?

Lo: no nie wiem

Lo: list jest fajny ale z takim zalacznikiem to wiesz...

Ko: ale ze co?

Ko: myslisz ze wyszlo na to ze mam malego?

Lo: nie xD

Ko: i dlatego chce mnie zostawic?

Ko: no to o co chodzi?

Lo: no...

Lo: nie wiem jak ci to wytlumaczyc

Ko: prostymi slowami

Lo: nie wiem czy to dobrze wyrazi to co chcialabym ci przekazac

Ko: no mow! :<

Lo: no ok...

Lo: po prostu...

Lo: dales dupy z tym zalacznikiem

<kilkanaście sekund przerwy>

Lo: ale nie przejmuj sie

Lo: na pewno uda sie to naprawic :)

<kilka minut przerwy>

Ko: ja to nie mam szczescia do dziewczyn...

Lo: ej

Lo: nie mow tak!

Ko: ale tak jest

Ko: zobacz

Ko: kiedys byla taka akcja

Ko: wychdze ze stacji bezynowej

Ko: widze siedzi fajna laska na motorze

Ko: ona sie patrzy ja sie patrze

Ko: usmiechamy sie

Ko: no to podbijam i mowie

Ko: nie boi sie pani tak na tym motorze

Ko: a ona

Ko: no co ty?

Ko: no to sie zapytalem

Ko: eee... a od kiedy to jestesmy na ty?

Ko: i sie obrazila...

Ko: czaisz?

Lo: no czaje... -.-

Ko: innym razem stoje na przystanku autobusowym

Ko: patrze a tutaj dwie laski wychylaja sie i patrza na mnie uradowane

Ko: podchodze i zagaduje

Ko: a one z politowaniem mi mowia ze wygladaly nadjezdzaacego autobusu

Ko: wsiadly do niego cisnac ze mnie beke

Ko: myslalem ze sie zabije ze wstydu

Ko: caly przystanek lal ze mnie po cichaczu ;(

Lo: hahaha

Ko: albo!

Ko: znalazłem przypadkiem taką łaskę w internecie

Ko: na jej profilu zobaczyłem że jednego dnia będzie jechać pociągiem

Ko: znalazłem ten pociąg kupiłem bilet i specjalnie dla niej nim jechałem

Ko: szukałem jej po przedziałach i znalazłem

Ko: usiadłem i bawiąc się na telefonie szukałem w internecie instrukcji jak w końcu dobrze zagadać ale w międzyczasie zauważyłem że jest dostępna na bluetooth

Ko: wysłałem jej zapytanie i się połączyliśmy

Ko: rozmawiałem z nią przez chwilę przez udostępniany notatnik

Ko: w końcu odezwałem się do niej normalnie i wszystko szło git

Ko: a no właśnie... bo jeszcze mój kumpel mi pomagał

Ko: jechał ze mną i miał wpasć do przedziału jak mu dam znać aby wziąć ode mnie autograf że niby jestem sławnym graczem

Ko: no i po kilku minutach dałem mu cynk i tak zrobiliśmy

Ko: wszystko pięknie

Ko: łaska zafascynowana my z kumpel mamy beke wewnątrz bo się udala intryga więc ogólnie przegit bajera

Ko: no ale kilka minut później już tak oficjalnie wymieniliśmy się profilami i wtedy ona zobaczyła mnie i tego kumpla na kilku naszych wspólnych zdjęciach...

Ko: zacząłem się tłumaczyć ściemniać ale już wiedziała że coś jest nie halo tak więc powiedziałem jej całą prawdę

Ko: wyszła z przedziału

Ko: patrzyła na mnie przerażona jakbym był jakimś świrem!

Lo: wcale się jej nie dziwie

Lo: sama zaczynam się zastanawiać czy aby dobrze robie rozmawiając z tobą xD

Ko: xD

Ko: nie boj

Ko: *jestes za daleko abym mogl ci cos zrobic :D :D*

Lo: *juz sama nie wiem*

Lo: *zaraz mnie namierzysz i jutro spotkam cie pod klatka jak bede szla do szkoły*

Ko: *xD*

Ko: *jestem az taki wykrecony?*

Lo: *no troche*

Lo: *ale podoba mi sie to :))*

Ko: *<zawstydzony>*

Lo: *:D*

Lo: *to sluchaj tego!*

Lo: *trzy lata temu zauwazylam na miescie reklame firmy budowlanej*

Lo: *byl na niej taki przystony facet*

Lo: *no to zadzwonilam do tej firmy i powiedzialam ze rozwalil mi sie zlew*

Lo: *specjalnie nie poszalam do szkoły!*

Lo: *czekalam na tych wagarach taka podjarana ze go zobacze na oczy*

Lo: *ze z nim porozmawiam*

Lo: *marzylam ze moze mnie pocałuje! xD*

Lo: *w kocnu jest*

Lo: *w koncu**

Lo: *dzwonek do drzwi*

Lo: *cos mnie tknelo aby najpierw spojrzec w judasz*

Lo: *a tam stoi gosc*

Lo: *co prawda tak samo ubrany ale jakis stary typ z siwym wasem! xD*

Ko: *xD*

Ko: *co zrobilas?*

Lo: *nie otworzylam drzwi*

Lo: udawałam ze nie mam mnie w domu xD

Lo: kolo stal kilka minut i poszedl

Ko: xD

Lo: pozniej moja mam dostala rachunek za jego przyjazd

Lo: balam sie ze bedzie lipa ale jakos nie wnicala i po prostu zaplacila

Ko: no to tez niezla jestes xD

Lo: pozniej

Lo: rok temu

Lo: dolaczyl do naszej szkoły nowy chlopak

Lo: byl taki slodki i fajny ze zakochalam sie w nim od razu

Lo: ja mu tez sie spodobalam

Lo: ale raz zaspalam do szkoły i sie nie umalowalam

Lo: ogolnie nie wygladam zle bez makijazu wiec sie tym nie przejelam

Lo: wyobraz sobie ze wchodze do szkoły

Lo: spotykam go

Lo: jak zwykle milo sie witamy

Lo: a on domnie z teksem

Lo: z troska w głosie

Lo: pyta sie mnie czy ja przypadkiem nie jestem chora!

Lo: myslalam ze spale sie ze wstydu

Lo: on pierwszy raz widzial mnie bez makijazu

Lo: nie to co reszta klasy

Lo: wszyscy mieli ze mnie beke xD

Ko: i co dalej?

Lo: nie rozmawiamy juz ze soba

Lo: jakos wstyd nam bylo od tamego czasu

Lo: no ale dobrze wyszło

Ko: dlaczego?

Lo: bo on dziwny jest

Ko: w jakim sensie

Lo: po prostu

Lo: nie lubie go już

Ko: o xD

Lo: w ogóle to mama dobrze mi kiedyś mówiła

Ko: że?

Lo: że tylko miłość kobiety do kobiety jest prawdziwa a do facetów to gra

Lo: walka

Lo: wojna

Lo: wojna w której kobieta musi manipulować facetem aby był pod pantoflem bo jak tego nie zrobi to on ją manipuluje i będzie mu służył

Ko: :O

Lo: tak jest

Lo: ja na przykład mam taką przyjaciółkę dobrą

Lo: jesteście parą ale nikt o tym nie wie

Lo: a nasi chłopcy to wiesz...

Lo: no są fajni

Lo: krystian jest bardzo spokojny

Lo: ale to ona jest moja prawdziwa miłość a on dobrym sługą xD

Ko: :O

Ko: tak nie można!

Lo: no co ty...

Lo: ty wciąż wieszysz w miłość?

Lo: taka z filmow?

Lo: xD

Ko: nie wiem...

Lo: przestan

Ko: własnie sobie cos przypomnialem xD

Lo: co takiego?

Ko: kiedys bylismy na obozie w gorach

Ko: siedzielismy tam dwa tygodnie

Ko: no i trzeciego dnia zorientowalem sie ze nie mowilem jednej dziewczynie smacznego

Ko: pozniej tak na to uwazalem ze mowilem smacznego wszystkim nawet jak nie jedli

Ko: tak po prostu mi sie wymykalo co jakis czas

Ko: smacznego xD

Ko: przypomnialem sobie o tym bo własnie chcialem to tobie napisac

Ko: tak wiec

Ko: smacznego! :D

Lo: hahaha

Lo: a wiesz ze własnie jem?

Ko: xD

Ko: a co?

Lo: kanapke z farba olejna

Lo: na bazie rabarbaru

Ko: grubo...

Ko: wyobrazilem sobie kiedys taki swiat w ktorym ludzie zawsze zasypiaja przed zachodem slonca a budza sie jak juz jest rano przez co w ogole nie zdaja sobie sprawy z istnienia nocy

Lo: co? xD

Ko: chcialbym byc takim czlowiekiem nocy ktory by byl jak wszyscy by spali w swiecie o istnieniu nikt nie wie

Ko: te wszystkie nocne wrazenia widoki dzwieki zwierzeta gwiazdy

Ko: tylko dla mnie

Lo: dziwne masz jazdy xD

Ko: uwazasz ze da sie teskic za kims kogo sie jeszcze nigdy w zyciu nie widzialo?

Lo: nie wiem

Lo: skad te pytanie?

Ko: a tak o...

Ko: wiec...

Ko: ide sie zabic

Ko: trzymaj sie

Ko: wesolych snow! :D

Lo: cooo?

<Ko jest niedostepny>

KONIEC

Nektaryneczka nasza tworcza i pokrzepiona nadzieja postanowila rychlo zakonczyc swoje dzieło niebywale, gdyz zauwazyla tajemniczego osobnika swojego gatunku krzatajacego sie nieopodal drzewa, przy ktorym jakis czas temu sama nutek barwnych krynice wydobywala ze swej slodkiej istotki. Podleciwszy do niego tako z lampy nie schodzac zagadneta, a w miedzyczasie zorientowala sie, iz uzycie imion Krystian i Tatiana nie pasuje do imion glownych bohaterow jej opowiadania, ale nie postanowila sobie zmiany tegoz elementu w najblizszej przyszlosti, gdyz szkoda jej bylo na to czasu.

- Heju!

- Heju! Szukaju ju nektarunku cu tu siedzialu.

- **Tu ju!** - odparła radośnie, wzniosłe siedząc na lewitującej nieopodal zbocza lampie.
- **Mum ju wiadomościu dlu ciebiu.**
- **Wiadomościu? Ud kogu?**
- **Ud twoju ukochanu.**
- **Mówu zu! Mówu szybko!** - ponagliła z przejęciem.
- **Twóju ukochanu umieraju nu zgnilaku.**
- **Cu?**
- **Kazaju przekazaciu zu ciu kochu bardzu alu choru dlategu ciu wygoniłu.**
- **Cu?!**
- **Chciału uciekaju z tobu, alu nu chciału żebu tu patrzaju jaku onu umieraju.**
- **Nu rozumiemu... Nu wierzu!**
- **Nu puczutku nu chciału cu tegu mówicu, alu pu czasu zmienili zdaniu u mniu wystaju z wiadomościu.**
- **Gdziu onu ju?**
- **U dómu.**
- **U zgrozu!** - jęknęła, chwytając się za serce, po czym legła w bezruchu na lampie.
- **Halu! Tu żyju?!**
- **U zgrozu...**
- **Halu!**
- **U zgrozu...**
- **Tu ju su idu. Wiadomościu przekazanu. Bajų, bajų.**
- **U zgrozu...**

Schodząc z lampy w niemałym amoku na grunt nierówny na początku nasza bohaterka potknęła się o jakiś wertep złowieszczo niesympatyczny, a następnie usiadła ponownie pod drzewem, lecz tym razem z zamiarem napisania kolejnego opowiadania, a nie bezproduktywnego nutek produkowania.

OPOWIADANIE TRZECIE:

Droga Gu,

piszę do Ciebie ten list, gdyż wiem, że to są już ostatnie chwile mojego życia. Po pierwsze chciałbym abyś wiedziała, iż nigdy Cię nie kochałem, a w głębi duszy zawsze Tobą gardziłem i szydziłem z tego kim oraz jaka jesteś, co było nieraz wodą dla mojego wyschłego serca, za co chciałem Ci gorąco podziękować.

Nigdy Ci tego nie mówiłem, ale zanim się poznaliśmy byłem żonaty. Miałem piękną, młodą, wierną i oddaną żonę, którą zdobyłem po nietatwych zmaganiach, a która doceniając moje trudy oddała mi całe swe serce. Była bystra, troskliwa, wrażliwa, wyrozumiała i zabawna. Była w ciąży. Była w ciąży jak postanowiłem poświęcić ją w krwawym rytuale dla bestii Hru, aby za sprawą tej magicznej praktyki osiąść moc, o której nawet wybitnym tego upadłego świata nawet się nie marzyło. Nie będę Cię przynudzał szczegółami tego zajścia, ale wiedz, iż było ono krwawe i bolesne. Krwawe dla niej, a bolesne dla mnie, gdyż dopiero w chwili jej zabawnego konania uzmysłowiłem sobie jak bardzo jej nienawidziłem. Jak bardzo znienawidziłem jeszcze bardziej wszystkie kobiety właśnie przez nią. Przez tę, która w tamtym momencie jako jedyna była lepsza ode mnie. Lepsza we wszystkim. Nie mogłem tego znieść. Myśl ta wwiercała się we mnie niczym opadający z drzewa neseser z długopisami. Pijąc roztopiony tłuszcz spod jej lewej łopatki doznałem ulgi. Ulgi, która swą łaskawą mocą tworzyła nowego mnie. Mnie najlepszego, mnie najwspanialszego, mnie najsilniejszego. Całe moje losy po tym zajściu, to jeden wielki teatr. Teatr, w którym byłem dramaturgiem, reżyserem, a wszyscy inni nieświadomymi swych ról aktorami. Marionetkami w moich poplamionych krwią palcach, a Ty... Moja droga... Byłaś najnędnieszą postacią tej tragikomedii, którą potocznie robactwo Twojego pokroju nazywa życiem.

Pamiętasz Ro, prawda? Mojego kumpla z pracy. Patałach, a tak go lubiłaś. Taki miły, sympatyczny, otwarty i pomocny. Głupia. Grałem nim jak na skrzypcach, aby przy każdej możliwej okazji wbijał Ci zdradziecki nóż w plecy tuszując moje romanse jednocześnie deklarując się Twoim wiernym przyjacielem... Przyjacielem rodziny! Uważasz, że prawdziwy przyjaciel rodziny ułatwia jednemu z jej członków zdradzać drugiego? Przyjaciel, czy tchórz? Żaden z tych moja droga, gdyż to śmieć. Po prostu śmieć. Takie samo nic jak Ty...

Pamiętam dzień, w którym Was ze sobą poznałem. Słoneczna niedziela, prak, leżaki i czerwony wermut. Noc wcześniej byłem u kochanki. Przed naszym niedzielnym spotkaniem wysłałem mu SMS'em instrukcje. Przyznał mi się później, iż nie zawahał się ani sekundy. Oceniał Cię przez swój pryzmat. Przez pryzmat śmiecia, więc uznał Cię za równą sobie. Za śmiecia. Więc potraktował Cię jak śmiecia, a przecież w ogóle Cię nie znał. Geniusz, prawda? Wracając do sprawy...

Nasza wersja była taka, że tę noc spędziliśmy razem w pracy. Oczywiście jak tylko się zapoznaliśmy wypalił z tym umówionym przeze mnie tekstem: A to z Tobą Se był wczoraj na imprezie? Dobrze wiedziałem, że zaczynasz już coś podejrzewać, a Twoja mina w tamtej chwili po dziś dzień mnie bawi na samo wspomnienie. Gdybyś mogła siebie zobaczyć jak zaczął się tłumaczyć w tym niby zmieszaniu, że to taki żarcik, a jak chcesz to może Ci nawet pokazać wpis w księgach, że tego dnia pracowaliśmy... Że to taki żarcik etyczny z jego strony, bo nie rozumie czegoś takiego jak zjawisko zdrady, że on taki szlachetny, porządny, co to niby taką naganną postawą pogardza... Że to nie rozumie nieufności w związku, która to wynikać musi, albo z niedostatecznej miłości, albo z zaburzeń umysłowych... Że to w ogóle chore, i że jak tak można w ogóle myśleć. Ten Twój niepewny śmiech tamtego dnia. Ten obrzydliwie nieszczerzy śmiech, który przyprawiał mnie o mdłości... Te Twoje oczy i ten kształt ust, które nie wiedziały czy trząść się z żalu, czy uśmiechać w paranoi, gdy za każdym razem jak pojawiał się w Twoim spojrzeniu słuszne podejrzenie, przypominałem Ci tamtą rozmowę robiąc z Ciebie chorą debilkę... Komedial. Nie przejmuj się. Ten kmiot nie zdawał nawet sobie z tego wszystkiego sprawy. Był tak świadomym osobnikiem, iż mogłem ubliżać jego żonie, którą to ponoć kochał i czcił niczym antyczne bóstwo, a on był w stanie skomentować taki brak szacunku z mojej strony jeno nieszczerym uśmiechem kamuflującym wstyd. Przykład?

Siedzimy sobie przy barze gaworząc o byle czym, a tu nagle pojawia się takie coś.

- Jesteś wędkarzem? - zapytałem udając zainteresowanie.

- Tak.

- Jaką największą rybę udało Ci się złowić?

- Moją żonę, hehe.

- Dlaczego od razu nie mówiłeś, że jesteś wielorybnikiem?

Śmiał się razem z całym rozweselonym mottochem nijak nie okazując oburzenia, które zapewne gorąło w nim podczas zuchwałego obdzierania jego małżonki z jej czci i godności, ale nie chciał wyłamywać się z tych wesołych, luźnych i zdystansowanych norm kulturowych, które bezkarnie pozwalają mieszać z błotem każdego na kogo przyjdzie ochota, poza tymi, którzy te pseudoliberalne zasady do obiegu społecznego wpuszczają niczym zgniłe jabłko do pełnego kosza zdrowego tegoż samego owocu.

Taki to jest ten podziwiany przez Ciebie Ro. Typowy obłudnik. Śmieć.

Wciąż uśmiecham się w wesołym niedowierzaniu na wspomnienie tych wszystkich moich wypadów do restauracji nad rzeką. Wciąż widzę jak z przejęciem biegniesz za mną z tą cholerną, żółtą miską wypełnioną ciepłą wodą. Tak naprawdę miałem gdzieś tę wodę i w ogóle nie chciałem w niej moczyć stóp podczas obiadu, ale cała ta farsa była tak zabawna, a Ty taka żenująco pocieszna w sytuacjach, w których spoglądałaś na mnie błagalnie, gdy zdarzyło Ci się uronić nieco tej gorącej cieczy podczas podążania moimi śladami. Jaka Ty jesteś głupia. Jak fantastycznie było Cię wykorzystywać i pastwić się nad Tobą.

Zapewne kojarzysz tę młodą kelnerkę, do której zawsze zgadywałem zalotnie. Kojarzysz, bo wiem, że za każdym razem gotowało się w Tobie, gdyż wiedziałaś, że z nią flirtuje. Pocieszę Cie. Miałaś rację. Podrywałem ją, a koniec końców mi się udało. Muszę przyznać, że sprawniej jej szło polerowanie berła niż Tobie, ale najlepsze jest to jak dokonałem tego, aby przekonać ją do takiego poniżenia. To jest przekomiczne.

Płacąc za obiad przy barze jak zwykle gapilem się na nią jak śliniacy się obwieś, a po garści płytkich komplementów zapytałem grzecznie.

- Ale i tak... Najważniejsze jest to co masz tu. - powiedziałem pokazując na jej serce.

- Cycki? - odpowiedziała zmieszana i lekko rozgoryczona.

- W sercu...

Takim oto sposobem już po kilku minutach zajmowała się mną w męskiej toalecie, a Ty uwierzyłaś, że robiłem dwójkę...

No ale miałaś też swoje plusy. Nie myśl, że ich nie dostrzegałem... Pamiętam jak założyłem konto na forum motoryzacyjnym na Twoich danych, aby te wszystkie niewyżyte małpy mogły rychło i uprzejmie poradzić Ci w każdej sprawie, z jaką się do nich zwracałem podszywając się pod Ciebie. Masz dobry biust, a Twoje zdjęcie z

dużym dekoltem było mi w tamtym czasie bardzo pomocne. Twoje cycki zaoszczędziły mi dużo czasu i nerwów.

Dzięki nim dowiedziałem się jak uprzejmy i pomocny może być mężczyzna.

Ceniłem też w Tobie Twoją pokorę. Szczytem Twej rozwagi i posłuszeństwa był ten chłodny wieczór, w który zachciało Ci się wysłać SMS'a na ten konkurs, w którym były do wygrania buty i kosmetyki. Pisząc to widzę Twoją minę i tę drżącą rękę, w chwili, w której powiedziałem Ci, że nie możesz odebrać tego połączenia od nieznanego numeru, gdyż w moim domu panują takie zasady. Przykro mi, że nie możesz teraz ujrzeć mojej uradowanej twarzy. Bawi mnie to niemal tak samo jak wtedy, gdy oboje wiedzieliśmy, że to oddzwania ktoś z radia, aby poinformować Cię o wygranej, ale teraz nie muszę już tego dusić i skrywać w sobie.

Doceniałem też Twoją pracowitość. Dawałaś z siebie wszystko w pracy, przez co zarabiałaś więcej ode mnie, dzięki czemu miałem pieniądze na nowe wędki, a w domu również byłaś wzorową panią domu. Swoją postawą wprowadziłaś idealną atmosferę w naszym ciepłym domostwie. Dzięki temu, że ciągle pracowałaś - w domu i poza nim - nie miałaś później siły na gadanie, a tym bardziej na dyplomatyczne uniki w sypialni. Dziękuję Ci za taką postawę, moim kumple zawsze mnie podziwiali za to jak Cię wytresowałem.

Pamiętasz Po? Też zabawną brunetkę piszącą poezję. Nie była żoną mojego kumpla z klubu wędkarskiego. Była moją kochanką. Robiłem ją niemal co tydzień. W naszym łóżku jak byłaś w tej swojej drugiej pracy, co to dawała Ci tyle możliwości samorozwoju i satysfakcji. Pozwól, że pochwalę Ci się jak tę idiotkę przekonałem do tego, aby mi się oddała.

Normalny dzień, środek dnia i tygodnia. Stoję w sklepowej kolejce, obserwuję jej nogi i tyłek, a ona coś tam sobie kupuje.

- Poproszę jeszcze dwie baterie. - powiedziała to ekspedientki.

- Przepraszam... - wtrąciłem grzecznie patrząc się jej w oczy z uśmiechem.

- Tak? - zapytała zdziwiona, marszcząc lekko brwi.

- Mi one są właśnie niepotrzebne i nie wiedziałem do końca co mam z nimi zrobić. - kontynuowałem wyciągając z nesesera dwie rozładowane baterie.

- O...

- Proszę.

- Nie no co pan...

- No proszę. Śmiało.

- Ile mam panu za nie zapłacić.

- Nic!

- Nie no, tak nie można.

- No to pozwoli się pani zaprosić na kawę i będziemy kwita.

- Dobrze, przekonał mnie pan. - uległa poprzeczając wypowiedź uroczym śmiechem.

- Te. - przedstawiłem się szarmancko, chwytając się dwoma palcami jej lewej kostki.

- Po. - odwdzięczyła się tym samym.

Idąc w stronę le Cafo radowałem się w duchu, że będę podrywał jakąś obcą babę w Twojej ulubionej kawiarni. Po drodze zapytałem się jej do czego potrzebne były jej owe baterie, a gdy poinformowała mnie o swojej nie działającej już latarce, zaproponowałem, aby po drodze wymienić baterie i tchnęła w ten niebywale przydatny przedmiot nowe życie. Wykonawszy moje zalecenie zniesmaczyła się bardzo po nieudanej próbie włączenia naszej bezdusznej swatki.

- Co jest? - burnkęła pod nosem, po czym dodała.

- Może to nie był problem baterii?

- Co masz na myśli? - dopytałem udając konsternację.

- No że może ona się po prostu zepsuła, a nie że baterie padły.

- Czekaj, czekaj... Ty chciałaś naładowane baterie?

- Że cooo? - zapytała z szeroko otwartymi oczyma.

- Nic nie mówiłaś, że te baterie mają być naładowane...

- Żartujesz, prawda?

- Nie no poważnie... Szukałem właśnie sklepu, w którym mógłbym je wyrzucić do odpowiedniego pojemnika, a później pojawiłaś się ty.

- Nie wierzę.

- No masz... To ci nie porozumienie. Trzeba było mówić od razu, że chodzi ci o naładowane baterie, a nie tylko baterie...

- Nie wierzę. - skomentowała kończąc śmiechem.

Później wszystko szło jak z góry. Sklep, zakup baterii, kawa, sypialnia i stała dupa na boku załatwiona.

Muszę Ci przyznać, że zastanawiałem się przez chwile, czy aby nie zostawić Cię dla niej, bo bardzo mi się podobało jej ciało z przodu i z profilu, ale jak przyjrzałem się jej kształtom od tyłu, to jednak postanowiłem zostać przy Tobie.

Wyznam Ci jeszcze to, że dobrze wiedziałem, iż wtedy na tym firmowym bankiecie przystawiałaś się do tego żółtodzioba ode mnie z pracy. Widziałem, że wpadł Ci w oko, a wiedząc, że masz słabość do małolatów specjalnie Cię wtedy spałem i spędzałem czas z Du, o którą zawsze byłaś zazdrosna, abys postanowiła się na mnie odegrać, aby później mógł Cię dręczyć wyolbrzymiając Twoje słuszne wyrzuty sumienia, tą ignorancją i cichością, którym z premedytacją zaprzeczałem rodząc w Tobie jeszcze większe zaniepokojenie oraz psychiczny dyskomfort. Wiedz, że ten kmiotek prawie się popłakał jak przycisnąłem go w toalecie i umoralniałem za jego flirty z mężatkami.

Przytoczyłem mu wtedy zmyśloną historyjkę z mojego niżyżycia. Anegdotę, w której będąc mniej więcej w jego wieku na podobnej imprezie byłem podrywany przez pijaną mężatkę, która to rzekomo w pewnym momencie powiedziała do mnie podczas tanecznych wirów.

- Pocałuj mnie.

- Ciągnij się. - odpowiedziałem stanowczo nie kryjąc mojego zniesmaczenia tą niegodną kochającej mężatki sytuacji.

Ten debil był jeszcze bardziej naiwny od Ciebie i bez cienia wątpliwości wziął tę bujdzę za pewnik.

Zapewne czytając to masz mnie za drania bez serca, ale uwierz mi, że potrafiłem być też dobrym i uczynnym człowiekiem. Pewnego dnia postanowiłem sobie wykupić prostytutkę na cały dzień. Nawiasem mówiąc były to pieniądze na Twój wymarzony rower, które to tam później rzekomo przepadły przez moją kolejną, nieudaną inwestycję. Uwielbiałem Cię za to jak bezproblemowo przyjmowałaś po raz kolejny informacje o tym, że roztrwamiam na inne kobiety Twoje pieniądze. Nie pamiętam gdzie Ty wtedy byłaś, ale już za samego rana alfons przywiózł mi do domu tę seksowną młódkę z długimi, czerwonymi włosami. Była świetna. Była tak dobra, że

zastanawiałem się, czy aby nie zmienić planu i nie dymać jej cały dzień, ale jako iż jestem człowiekiem honoru, to musiałem być konsekwentny i nie zmieniać wcześniejszych założeń, od tak o bo jakaś super sunia pojawiła się na mej drodze, a plan był następujący. Usługiwać jej do końca dnia. Spełniać każdą jej zachciankę, kaprys, rządanie. Na początku była w szoku i doszukiwała się podstępów, ale po kilku minutach bardzo się jej spodobał taki nietuzinkowy dzień w pracy. Nie spodziewałem się tego, gdyż wiem jaki takie kobiety mają przebieg dziennie i ile realnej przyjemności czerpią z oferowania swoich usług, ale wieczorem, gdy relaksowała się w wannie z kieliszkiem wina przy mocnym techno, zaproponowała mi seks, po tym jak przyniosłem jej kuferek z lodami. Nie dorastasz jej do pięt w tych sprawach, a pochwalić Ci się muszę, że po tym dniu co jakiś czas robiliśmy sobie krótkie wypadki poza miasto po promocyjnej cenie. Tak zwane delegacje.

Jako iż jesteś moją żoną, to podzielę się z Tobą moją najgłębszą myślą. Moim największym pragnieniem. Dobrze wiesz, jak lubię klasyczną literaturę. Jaką wagę przykładam do słowa. Dlatego od dawna już marzy mi się świat, w którym rodzaj żeński w słowniku nie istnieje. Świat idealny. Świat nieskażony tą Waszą obrzydliwością... Gdyby Niebo istniało, to zapewne by tak w nim było. To by była dopiero Anielska Mowa!

Domyślałem się radośnie, iż zapewne masz niezły mętlik w tej swojej małej, kobiecej główce czytając ten list i zastanawiasz się dlaczego jak Was tak nienawidzę. Pozwolę sobie sprostować, że to nie jest tak, że jak nienawidzę wszystkich kobiet. Ja po prostu gardzę kobietami, a nienawidzę Ciebie. Oczywiście nie tylko, ale w sposób szczególny. W końcu jesteś moją żoną, prawda? Gardzę Waszym gatunkiem, od chwili, w której po latach spotkałem na swej drodze miłość mojego życia. Nie napiszę Ci jak ma na imię, bo na to nie zasługujesz, ale wiedz, że podczas tego spontanicznego spotkania wyjawiała mi po latach, iż to "Nie.", które wypowiedziała w chwili moich oświadczeń, było "takim babskim nie", a ja miałem się domyślić, że tak naprawdę się zgodziła... Uśmiechając się radośnie zaznaczyła, że nawet było jej na początku przykro z tego powodu, iż się nie domyśliłem, ale po kilku miesiącach jej przeszło. Przestała się do mnie odzywać na amen, po tym jak podczas tej rozmowy uderzyłem ją pięścią w nos i poszedłem klnąc pod do samego siebie.

Ciebie zaś nienawidzę najbardziej bo jesteś dobra. Tak jesteś dobrą, wrażliwą, empatyczną, troskliwą i wierną kobietą, której uroda, intelekt oraz poczucie humoru niejednemu mącą w głowie. Jak tylko Cię poznałem, tego przekłętą dnia na tych urodzinach Co, od razu czułem, że jesteś inna niż wszystkie. Ten blask, ciepło i pokój

bijące z Twoich oczu doprowadzały mnie do wściekłości. Nienawidzę takich ludzi jak Ty. Szlachetnych, altruistycznych, pogodnych i wyrozumiałych. Zawsze przy Tobie dostrzegałem to jaki jestem zły, zepsuty i nędzny. Dlatego postanowiłem Cię uwieść. Uwieść, a później zgnieść, bo nie miałem w sobie na tyle siły, aby chociażby starać się być kimś takim jak Ty, ale za to miałem w na tyle gniewu i zawiści, aby zrujnować Ci życie. Gdyby to ode mnie zależało, to wszystkich ludzi Twojego pokroju palilibym żywcem, bo tylko niepotrzebnie dajecie temu światu jakąś mizerną iskrę dobra, a mi psujecie humor.

Tylko nie myśl sobie, że ten list jest jakiegoś rodzaju spowiedzią na łożu śmierci. Tak... Łożu śmierci. Wiedz, że po tym jak napiszę ten list i wrzucę go do skrzynki, skoczę z dywanu, aby w końcu umrzeć z poczuciem dobrze wypełnionego obowiązku, bo wiem, że zniszczyłem Ci życie i wiem, że po takim ciosie się nie podniesiesz i zgorzkniejesz jeszcze bardziej ode mnie. Czekałem z tym wszystkim do chwili, w której okaże się, że jesteś w ciąży. Jak poinformowałaś mnie o tym, czym prędzej udałem się do kasyna, aby zadłużyć nas na miliony. Aktualnie jesteśmy bankrutami, a dług będziesz spłacać po mnie do końca życia. Będzie to dla Ciebie takie obciążenie finansowe, że nie wyrobisz do końca miesiąca, a mieszkanie odbiorą Ci od razu. Zapewne na początku kolejnego miesiąca. Znam Twoje poglądy, dlatego żałuję nieco tego, iż nie będę naocznie napawał się widokiem Twojego cierpienia z powodu dylematu, który nakładają na Ciebie dzisiejsze możliwości cywilizacyjne. Wyobrażam sobie teraz jak siedzisz, czytasz ten list i zaczynasz myśleć o tym, czy aby nie rozsądniej byłoby teraz usunąć ciężę, niż skazywać swoje ukochane dziecko na życie w nędzy, bez ojca i zapewne bez matki, bo będziesz musiała tyrać jak głupia, aby zagwarantować jej chociażby kromkę chleba. Zgrzyt, który powstaje przy konfrontacji bezdusznej racjonalności, z Twoim biologicznym instynktem macierzyńskim zapewne zaczyna już doprowadzać Cię do szaleństwa, ale dobrze wiesz, że szybka śmierć będzie lepszym rozwiązaniem dla Twojego dziecka niż lata udręki, cierpień, wyrzeczeń i utrapień, a Twoje permanente wyrzuty sumienia spowodowane zamordowaniem własnego dziecka, które nawet jednym małym gestem w żaden sposób nie zawiniło chociażby na zganienie będą Cię trawić i przypominać Ci o zbrodni, której dokonałaś w majestacie prawa. Każda dobra rada psychologa, pocieszenie najbliższych, próba samousprawiedliwienia nie będzie Ci przynosić ulgi, ale drażnić w Tobie jeszcze obszerniejszą ranę, gdyż wiesz, że nic nie jest w stanie tego usprawiedliwić, wytłumaczyć, wybaczyć. Nikt Cię nie będzie w stanie zrozumieć. Nikt poza inną kobietą, która dopuściła się czegoś podobnego, ale tak samo jak Ty i ona będziecie

świadome tego, że nic już nie odbuduje w Was tego co własnowolnie sobie odebrałyście. Nic i nikt nie przywróci już Wam utraconej nadziei i godności. Jako Twój mąż radzę Ci dokonać aborcji. Pomyśl o tym biednym dziecku. Ty nie dasz rady po tym wszystkim wejść w normalny związek z mężczyzną, a nawet jakbyś próbowała, to kto weźmie babę z bachorem i z długiem? Będziecie żyć w nędzy, bez perspektyw, bez domu, na łasce innych ludzi, a tak... Tylko Ty będziesz cierpieć, a ja będę napawał się tą satysfakcją i śmiał się na całe gardło dryfując w bezkresnej, czarnej otchłani! Będę szczęśliwy, bo znowu wygrałem, bo tym listem dobijam ostatni gwóźdź do Twojej trumny, a najlepsze jest to, że czynię to wszystko już zza grobu.

Cóż mogę więcej napisać...

Serdeczne pozdrowienia,

Twój Zi

KONIEC

Spoglądaliśmy na to wszystko z lekkim oszłomonionkiem, ale Łysy momentami miał ubaw z tego opowiadania, co tylko w mojej opinii o jego poryciu mnie utwierdzało, a nasza nektaryneczka wyraźnie rozgoryczona ową nieprzewidzianą sytuacją niewesołą przestała pisać i turlając się po majonezowym podłożu ronila całe hordy nutek wielobarwnych. Chciała w tym amoku rozpaczy wyzalić się komuś, na kogo mogłaby zwalić odpowiedzialność za taką losu nieprzychylność, lecz jako iż los - w który wierzyła bezrefleksyjnie - martwy był i głuchy niczym siła grawitacji, to żalność i ból w jej pesteczce poranionej pogłębiała się z każdą sekundeczką, gdyż nie była ona w stanie żadnego katalizatora kojącego ową duszyczki dolegliwość łagodzącego odnaleźć, co oczywiście tylko z jej niewiedzy wynikało, gdyż w owym świecie Bóg stworzeniu nijak objawić się nie raczył. Przyznajmy szczerze, iż na jego miejscu zapewne postąpilibyśmy podobnie, bo kto by chciał świadomie i dobrowolnie w takowe miejsce się zapuszczać.

Niemniej jednak po kilku minutach owych gorzkich harców nasza bohaterka uspokoiła się, przerywając nam - czyli Łysemu i mi - dyskusję na temat prewencyjnej cenzury na terenie Chińskiej Republiki Ludowej. Wyciągnawszy spod siebie karteluszkę malutką poczęła w skupieniu jej treść studiować.

Hómar - Wszystko jak lew

Jak lew skrada się wygięty

Tak dusza ma pełza na pustyni

Jak lew swymi pazurami ofiary rozrywa

Tak boleść ma rozdziera mnie na dwie części

Jak lew pragnie cienia w upale

Tak smutki me szukają strumienia

Jak lew troskę o młode posiada

Tak mnie gnębi myśli gromada!

- **Duś!** - jak nie krzyknęła sama do siebie, porywając się na równe nogi.

- **Muszu walczyć! Muszu ruszyć zadu!** - ponowiła energiczne samomotywujące okrzyki rodem z najwspanialszych poradników kołczingowych - hihi - po czym wskoczyła energicznie na lampę, aby za jej pomocą dostać się do swojej ukochanej w strapieniach pogrążonej.

Grzejąc swymi nektarynkowymi kragłościami słaboprzyczepną, szklaną nawieźchnię lampuni latającej, pomimo iż żadnej ulgi jej to nie przynosiło postanowiła napisać kolejne opowiadanie, aby sobie chociaż czas nieznośnie w tęsknocie i wyczekiwaniu mijający umilić.

OPOWIADANIE CZWARTE:

- Wierzę w miłość, która spada na człowieka z zaskoczenia i od razu budzi w nim wir nieprzeniknionych emocji...

Niczym gównu gołębia. - otworzył się przed znajomymi Benejasz w swym wzniosłym monologu.

- Hahaha. Ty to masz jednak łeb porytu kumplu. - skomentowali zanosząc się gromkim śmiechem jego towarzysze, uprzykrzając tym samy miły, romantyczny wieczór parze, która siedząc przy stoliku obok wpatrywała się w siebie mówiąc półgłosem przy płonącej świecy.

Spoglądając na swoich kompanów Benejasz przypomniał sobie sytuację sprzed kilku lat, w której to on był częścią romantycznie spędzającej czas pary w towarzystwie rozweselonego towarzystwa w sąsiedztwie. Tamtej nocy niestety Ben - skrót od Benejasz jakby kto nie wiedział... - był przeświadczony o tym, iż owa wesół gromadka nabija się z niego, co bardzo odbiło się na jego pewności siebie, przez co ów wieczór nie potoczył się zbyt po jego myśli. Rwał na małe kawałeczki kartę dań i mruczał pod nosem o tym na czym znał się najlepiej, czyli o ptakach, nie licząc się z tym, iż jego towarzysze ów temat nie za bardzo przypadł do gustu, ale strach przed niekomfortową ciszą nie pozwalał mu zamilknąć choćby na chwilę.

- Ja też się ostatnio zakochałem. - wtrącił jeden z biesiadników.

- W kim?

- Byłem na imprezie. Alkoholu w opór, więc się wszyscy porobili. Obudziłem się w kiblu. Wychodzą na parkiet, a tam ona... Stoi przy barze. Brzydka, zaniedbana, przemądrzała i opryskliwa, ale jako jedna trzymała się jeszcze na nogach, bo reszta imprezy, łącznie z grajkami i barmanami, spała nawalona i zarzygana. Podbiłem.

Zagadnąłem. Była chętna, więc pojechaliśmy do niej.

- Jak miała na imię?

- A nie pamiętam... Wyrąbane. hyhy

- Ja też się w sumie ostatnio zakochałem.

- W kim?!

- Byłem z rodziną na jakimś nudnym koncercie. Muzyka poważna i inne bzdury. No i był se tam taki chórek, a w tym chórkach jedna fajna blondyneczka. Gapilem się na nią cały wieczór. Na początku jak to zauważyła, to się

niedu skrępowana i przestraszona, ale jak się uśmiechnąłem odpowiednio, to się rozweseliła i robiła do mnie miny. Zrobiłem ją w przerwie przy jakimś ustroju do podnoszenia kurtyny. Ma mi dać znać jak następnym razem będą występować u nas w mieście. Powiem wam, że powoli przekonuję się do muzyki poważnej.

- Mnie to ostatnio moja sąsiadka wkurzyła.

- Która.

- Abigasz.

- Ty... Ona fajna jest.

- No wiem, ale tak mnie wkurzyła, że szok.

- Czym? Opowiadaj.

- To ta z fajnym tyłkiem z tego bloku na górze?

- Tak, to ta. No ale... Wyobraźcie sobie, że wracam se ja z pracy no i mijam się z nią na ulicy...

- Na chodniku... - wtrąca podirytowany Benejasz.

- No przecież to oczywiste!

- To dlaczego mówisz, że na ulicy?

- No bo na ulicy, a nie na jezdni!

- Yyy... Nieważne, kontynuuj. - zakończył zmieszany.

- Mijamy się, uśmiechamy się do siebie, a tu nagle słyszę, że coś mi wpada na torby z zakupami. Idąc staram się znaleźć w niej coś czego wcześniej w niej nie było, a tu nagle podbiega do mnie i pieprzy coś, że zgubiła klucze i czy może gdzieś ich nie widziałem... Mówię, że nie i dalej szukam tego tajemniczego czegoś. Nagle wyciągam jej klucze... Pytam, czy to te, a ona, że tak, że tak mi dziękuje, że beze mnie to by była w czarnej dupie i w ogóle ohy i ahy.

- Podbijała do ciebie? - wtrącił ktoś z niedowierzaniem, ale jego pytanie znikło w potoku nerwowych słów opowiadającego.

- Jak się nie wkurzyłem. Jak jej nie nawrzucałem, że za kogo ona mnie ma, że ja przecież nie jestem debilem i wiem, że to ona przed chwilą mi te klucze wrzuciła, a teraz tutaj odgrywa jakieś scenki.

- Cooo?!

- Wydierałem się na nią chyba przez trzy minuty, a potem poszła sobie bez słowa. Bez nawet najmniejszego przepraszam. Szmata.

- Hahaha. - wybrzmiła głośną salwą cała restauracja.

- Ale z ciebie bystrzak, ojejka. - skomentował Benejasz ku uciesze wszystkich, poza jednym wciąż niezorientowanym w sytuacji i coraz bardziej pograżającym się w paranoi osobnikiem.

- Dobra panowie. Ja się zbieram. Trzymajcie się. - oświadczył Ben uderzając otwartą dłońią w stół.

- Okej. Trzymaj się, bezpiecznego powrotu do domu! - odpowiedzieli chórem.

Nabzdryngolony jegomość wyszedł z lokalu, rozejrzał się niepewnym wzrokiem na boki, po czym ruszył przed siebie nie do końca wiedząc gdzie.

Na prostopadłej ulicy kroczyła wesółą, głośną i roztańczoną parada. Powstała ona spontanicznie, a jej inicjatorem była dwójka młodych chłopaków, którzy chodząc po mieście zaczepiali przechodniów chcąc się z nimi napić wódki, która nosili ze sobą. Część z napotkanych osób postanowiła do nich dołączyć, aby wraz z nim pić z kolejnymi przechodniami i takim to sposobem, po kilku godzinach, owa mała paczka przeistoczyła się w ciągnącą się ulicami paradę, w której każdy pił, śpiewał, tańczył, poznawał ludzi i się wygłupiał, a jako iż udało się napotkać osoby z przenośnymi głośnikami, to i muzyka grała dość głośno. Tak radosna horda napotkała na swej drodze Benejasza, któremu nie postanowiła odpuścić pomimo jego nieprzeciętnego upojenia.

Benek radośnie i bez większego namysłu dołączył do parady i takimi to sposoby przedłużył swój imprezowy wieczór o kolejne godziny. Godziny, podczas których zapoznał się z Seruią. Nieco wyższą od niego, długonogą, lecz krótkowłosą brunetką z brązowymi, lekko przymrużonymi oczyma i wiecznie lekko szyderczo uśmiechniętymi, czerwonymi ustami. Po tym jak zmierzyli się wzrokiem, po kilku chwilach osobnej zabawy, wymienili się kilkoma uprzejmościami, a później oczu od siebie oderwać nie mogli, a rozmawiali z takim zaangażowaniem, iż cały szalejący tłum dokoła jakby przestawał istnieć, a na pewno tracić znaczenie.

Benejasz opowiedział jej po drodze jedną ze swoich miłosnych klęsk, a tyczyła się ona sytuacji, w której zaszedł do budki z hot-dog'ami. Zamawiając ciepłą bułkę z kielbasą spoglądał na uroczą, nieśmiałą blondyneczkę, której policzki co rusz rumieniły się dziewczym różem. Jej nieduże piersi również przykuły jego wzrok, a napis na nich widniejący podsunął mu pewien pomysł. *Nie mów tylko pokaż nadrukowane złotą czcionką na czerwonoróżowym sercu zainspirowało go do podjęcia takowych poczynań.* Ułożył z prawej dłoni literę "C" układając ją uwypukleniem do dołu, zaś lewą dłoń wyprostowaną i ze złączonymi palcami włożył pomiędzy palce drugiej dłoni, a po tym ułożeniu, gestami owego nibyhot-dog'a starał się włożyć sobie do rozdziawionych w przesadnie szeroki uśmiech ust, spoglądając na nią wytrzeszczonymi oczami, przez co do tej pory zastanawia się dlaczego zamknęła mu okiennicę przed nosem i wywiesiła tabliczkę z napisem *Zamknięte* skoro było jeszcze południe.

Rewanżując się za taką otwartość Seruia opowiedziała mu jak pewnego razu idąc parkiem została nagle popchnięta przez obcego gościa co zakończyło się dla niej upadkiem na chodnik i złamaniem ręki w przedramieniu. Kontynuując opowieść dodała, iż ów bohaterski mężczyzna chciał ją po prostu powstrzymać od wdepnięcia w psią kupę, której nie zauważyła, i w którą najprawdopodobniej by wdepnęła swoim sandałem. Niestety ich znajomość nie trwała dłużej niż do wieczoru tegoż samego dnia, którego to została odprowadzona do szpitala przez swojego wybawcę.

Nie chcąc zostać dłużnym, Benejasz otworzył się jeszcze bardziej i opowiedział swojej nowej znajomej o swojej żonie. Był żonę, gdyż był wdowcem. Poznali się pewnego lata. Jechał on wtedy swoim pierwszym samochodem, na który zarobił tego samego sezonu pracując za barem. Był to stary rzęch, który zżerała rdza z każdej strony. Pewnej chwili intrygującej spostrzegł piękną, brązowowłosą, uśmiechniętą, młodą kobietę ze zgrabną nogą oraz okazałym dekoltem wznoszącym się ponad płaskim brzuchem ozdobionym w kolczyk, która wymachując kciukiem starała się zatrzymać jakiegoś frajera, który dowiezie ją do celu za darmo. Benejasz oczywiście oczarowany jej wdziękiem zatrzymał się, uchylił szybę pasażera, a jak ujrzał w niej cudnie kształtną twarz zdobną w szeroki, białozębny uśmiech, znad którego leciało w jego kierunku mrowie gwiazdek skrzących się i

wirujących z oczu pięknych, barwą kasztanów pofarbowanych, to od razu otworzył drzwi, po czym zaprosił nieznajomą do środka zaznaczając, że pomimo iż jego auto najwyższych lotów nie jest, to na pewno dojadą do celu. Niespełna pięć minut później niemało zmieszany, tłumaczył się nieskładnie swojej nowopoznanej znajomej, że nie ma pojęcia jak to się stało, iż jego zacny środek lokomocji przestał działać. Rozbawieni do łez ową ironią losu postanowili zaprzestać prób naprawienia samochodu i wzięwszy butelkę wina z bagażnika udali się w głąb lasu na spacer. Po nieco ponad godzinie marszu dotarli nad brzeg jeziora, nad którym rozłożyli namiot i mieli zamiar spędzić w nim noc, która jak się okazało minęła im na rozległych oraz głębokich rozmowach do samego rana przy rozgwieżdżonym niebie i niewielkim, prowizorycznym ognisku. Nad ranem zasnęli w namiocie, aby po południu wyruszyć w stronę drogi i złapać autostopa do domu. Rozjechali się w innych kierunkach wymieniając się numerami telefonów. Zdzwonili się po pewnym czasie, spotkali na spokojnie w kawiarni i tak to się zaczęło, a skończyło na pięknym ślubie z dość sporą gromadką najbliższych, ale najważniejsze wydarzyło się w noc poślubną. Idąc w stronę pokoju hotelowego, w którym mieli zbliżyć się do siebie po raz pierwszy i sfinalizować swoje małżeństwo, piękne oraz zawsze ozdobione tajemniczą głębią oczy Seruii nagle posmutniały. Benejasz zauważywszy to starał się dowiedzieć co było powodem jej smutku, lecz ona tylko czule starała się go utwierdzić w przekonaniu, że wszystko jest w porządku. Wchodząc do pokoju nie pozwoliła mu wkroczyć za nią tylko poprosiła, aby przez chwilę poczekał przed drzwiami zamykając je delikatnie przed jego nosem. Zapach jej perfum przebijał się przez szparę między drzwiami i podłogą dochodząc do jego nozdrzy co niemało jego fantazję erotyczną pobudzało, lecz gdy poczuł również zimny powiew powietrza jakby z zewnątrz, przeszył go instynktowny lęk, który nie pozwalał mu dłużej czekać, tak więc wkroczył do środka z lekkim niepokojem, błyskawicznie przeistaczającym się w strach, gdy ujrzał swoją żonę siedzącą na parapecie otwartego okna i zamarł w bezruchu.

- Pozwól mi pamiętać cię do końca życia. - przypomniał sobie w owej chwili słowa, które wypowiedział do niej podczas ich pierwszego rozstania, rozumiejąc teraz dlaczego tak dziwnie i ze smutkiem na nie zareagowała. Wyciągnąwszy rękę miał nadzieję, że zdola ją pochwycić, lecz dokładnie w tym momencie jego ukochana postanowiła zrzucić się w dół jak gdyby to on sam pchnął ją ruchem swojej kończyny. Nie odwróciła się do niego, ale wiedział, wiedział, że płakała. Myśl poszukująca motywu jej działania gryzła go tak natarczywie i głęboko,

pogłębiając tym bardziej żal oraz poczucie bezsensu po nagłej, niespodziewanej utracie osoby tak ważnej oraz bliskiej, iż jego umysł nie podolał presji zła, co skutkowało osadzeniem jego osoby w zakładzie psychiatrycznym. Wyszedł z niego po trzech latach terapii, a teraz pije z samotności, ale nie jest w stanie zaangażować się nijak w żaden poważny związek, dlatego stroni nieco od kobiet, aby ewentualnie nie robić żadnej z nich niepotrzebnych nadziei.

Seruia chwyciła go za dłoń, po czym szarpiąc energicznie wyprowadziła z tłumu w wąską, boczną uliczkę. Zatrzymali się przy ścianie i patrzyli sobie prosto w oczy z intymnie bliskiej odległości.

- Teraz ja ci coś opowiem. - szepnęła i zaczęła prowadzić Benejasza w stronę parku miejskiego.

Po drodze opowiedziała mu swoją obecną sytuację, w której była w związku z mężczyzną, do którego nic nie czuła. Związała się z nim tylko i wyłącznie z materialnych względów. Prosząc aby jej nie oceniał dodała, iż po prostu nie jest w stanie poczuć czegoś więcej do mężczyzny niż drobna sympatia, dlatego wybrała sobie aroganckiego dupka, który myśli, że jest pępkiem świata. Specjalnie udaje przed nim głupszą, gdyż wie, iż to on ma potrzebę bycia głową wszystkiego, tak więc również związku, co umożliwia jej ściąganie od niego nieprzeliczonych ilości pieniędzy. Jest w dodatku materialistą, więc swoje uczucia okazuje poprzez obdarowywanie jej masą przeróżnych prezentów, często zapominając o jej wewnętrznych potrzebach, co tylko utwierdzało ją w przekonaniu, iż na kogoś lepszego niż ona on nie zasługuje. Nie uprawiali seksu, gdyż jej partner uważa, że lepiej jest rozniecać w sobie i ujarzmić popęd seksualny, niż jemu ulegać, gdyż w taki to sposób dostarcza się rozumowi niestłuchanych połączeń energii, którą później pożytkuje na prowadzenie biznes, a jej taki układ odpowiada. Ona ma wygodne życie, a jej partner zaspokojone ego.

Benejasz w tym momencie wtrącił swoje zdanie na temat seksu, które nieco różniło się od podejścia jej faceta, choć miało z nim pewne elementy wspólne. Wyznał, iż on również dotychczas jeszcze nie współżył, gdyż uważa ową czynność niekwestionowanie przyjemną nie tyle co za zwierzęcą potrzebę zaspokojenia swoich egoistycznych

potrzeb cielesnych ze skutkiem ubocznym reprodukcji, której trzeba zapobiegać na wszelakie sposoby, ale jako akt miłości, który ma zaowocować nowym, życiem, a dlatego właśnie jest on tak błogi - jeżeli dokonuje się w miłości, a nie egoistycznym zaspokojeniu swoich rządów - gdyż jest prawdziwym i najpiękniejszym aktem stworzenia, podczas którego wchodzimy w łączność ze Stwórcą, otrzymując od niego dar pomnażania życia. Stworzenia prawdziwego, nowego życia, na podobę Stwórcy Wszechświata i Życia Całego. Stworzenia kolejnego pokolenia Miłości.

Seruia rozumiejąc jego myśl bardzo dokładnie i radując się skrycie, iż spotkała w końcu tego, kto tak jak ona uważa seks za coś niebywale ważnego oraz pięknego, co utwierdziło ją w tej nieśmiałej myśli, że to jednak ona ma czyste patrzenie na te sprawy, a to reszta traktuje ten temat zbyt powierzchownie i płytko, wtuliła się w jego ramię. Idąc tak wąskimi uliczkami w milczeniu zorientowali się po chwili, iż zaczyna wschodzić nowy dzień, a z niewielkich chmur nad ich głowami zaczyna padać drobny deszcz. Benejasz zauważywszy starszego pana z parasolem wychodzącego o świcie ze swoim pieskiem na spacer, nie zwlekając ani chwili uderzył staruszkę zamkniętą pięścią w lewy policzek, po czym pochwycił dumnie w dłoń opadający i kręcący teatralne kółka parasol.

- Ty mój bohaterze. - jęknęła z zachwytem.

Szli tak w milczeniu, skryci pod granatowym parasolem. Puste ulice wielkiego miasta zalewane były coraz większą ulewą, która nijak nie przeszkadzała im w ich zmierzaniu w stronę hotelu, w którym spała Seruia, gdyż jak to się po drodze okazało, przyjechała ona do tego miasta jedynie na zapiełek.

Koniec końców obydwójce wylądowali w hotelowym holu. Seruia zaprosiła swojego nieco przemoczonego kompana na ciepłą herbatę do pokoju. Zgodził się ochoczo, choć z lekkim impulsem niepewności i lęku. Jako iż deszcz momentami zacinał od boków, to niestety nie udało im się dotrzeć do ciepłego i suchego pomieszczenia bezkolizyjnie względem spadającej z nieba chłodnej cieczy, dlatego gdy Benejasz przygotowywał herbatę na

niewielkim, drewnianym stoliku, Seruia wycierała się ręcznikiem z mikrofibry. Wchodząc do pokoju z łazienki wycierała włosy z przekrzywioną głową, a bo jej szyi spływały niewielkie krople docierające wartko aż do lewego obojczyka, przez który przechodziło cienkie ramiączko białego podkoszulka w pewnych fragmentach zmoczonego deszczem, co pozwoliło ujrzeć Benejaszowi dokładniej jej niezbyt wielkie, ale krągłe piersi nieskrępowane biustonoszem.

Seruia spostrzegłszy, iż Ben przygląda się jej w niemalym rozmarzeniu uśmiechnęła się drwiąco, ale radośnie zarazem, po czym schowała się z powrotem do łazienki.

- Słodzisz? - zapytał przez ścianę po chwili konsternacji.

- Nie.

Usiadłszy obok siebie na łóżku pili przez chwilę ciepły napój w milczeniu, nie spoglądając w swoje strony. Jak tylko ich spojrzenia złączyły się w głębokim, instynktownym spojrzeniu odłożyli szklanki i utonęli w namiętym pocałunku. Legli na łóżku w poczuciu swobody, bezpieczeństwa, pokoju, pewności i radości. Całując się Benejasz położył dłoń na biodrze Seruii, a w chwili, w której zaczął nią zmierzać ku piersiom usłyszał nieśmiało.

- Nie. - wyszeptała z lekkim wyrzutem w kierunku samej siebie.

- Dlaczego?

- Nie chcę o tym mówić.

- Dobrze. - odparł spokojnie z wyrozumiałością, po czym ją przytulił i w takim oto stanie zasnęli po chwili w błogim, spokojnym śnie.

Seruia obudziwszy się po południu zerknęła na zegarek wiszący na ścianie, po czym rychło poderwała się z łóżka i pakując się pośpiesznie do walizki niespokojnymi krzykami starała się obudzić Benejasza, któremu udało się wyrwać z sudeł snu dopiero po tym jak rzuciła w niego podróżną poduszką.

- Łooo... Co się dzieje? - zapytał zdeorientowany.
- Wstawaj, za pół godziny mam pociąg!
- Jak to? To już?
- Tak.
- Nic nie mówiłaś, że dzisiaj wyjeżdżasz.
- Nie chciałam o tym myśleć.
- Czekaj pomogę ci. - poderwał się i zaczął zbierać jej porozrzucane po pokoju ubrania.

Szybkim krokiem zmierzali w stronę dworca przeszywani na skroś skrajnymi emocjami i myślami. Wbiegając na odpowiedni peron spostrzegli, iż do wyjazdu pozostała niespełna minuta. Spojrzeli po sobie w smutnym milczeniu, a Benejasz przemówił do niej łamanym głosem.

- Pozwól mi pamiętać cię do końca życia.
- Dobrze. - odparła zdobiąc swą posmutniałą twarz radosnym uśmiechem.

Machając jej podczas odjazdu przypomniał sobie swoją dawną teorię, w której doszedł do wniosku, iż biżuteria, którą obdarowuje się daną kobietę powinna być zbliżona swym pięknem do obdarowywanej, ale w żadnym wypadku nie mogła przewyższać jej swoimi wizualnymi urokami. Być może przy konfrontacji z tym, iż musiałby wydać niemałą kwotę na ewentualny podarunek dla Seruii doszedł do wniosku, że jego wcześniejsze zapatrywanie się w tej kwestii było nijak spójne z rzeczywistością, której najważniejsze, więc i zatem najbardziej potrzebujące naszej uwagi aspekty wybiegają poza ramy zimnej, twardej i namacalnej materii.

Wracając do domu spotkał siedzącego na ławce obskurnie ubranego, młodego mężczyznę spoglądającego jakby z drwiną na otaczające go otoczenie. Pisał on coś w swoim małym notatniku... Były to dramat o szlachcicu, który zakochał się w narzeczonej niebezpiecznego magnata powiązanego ze światem przestępczym renesansowej

Wenecji. Jako iż nie mógł o własnych siłach zabiegać o jej względy nie narażając jej równocześnie na niebezpieczeństwo, postanowił przy współpracy z astronomami oraz alchemikami stworzyć człekopodoną postać. Twór magiczny i wspaniały, który miałby być idealnym mężem, ojcem oraz wybawicielem z rąk niebezpiecznego tyrana. Lovestein... Tak nazywała się ta tragedia, która...

(...)

- To on! - krzyknął ja w chwili owej do Łysego.
- Co? - odparł skonsternowany
- Wbijaj w niego?!
- W kogo?
- W Przybysława!
- Ale, że który to on?!
- Ten zakochany szlachcic ze sztuki tego typka z ławki!
- Że jak?
- Szybko!

Łysy nieco niepewnie wyszedł z nektarynki, wleciał w jej opowiadanie, a następnie w postać tworzoną przez jednego z bohaterów tegoż opowiadania. Zadawając się wygodnie w nowej formie rychło i bez namysłu głębszego wypowiedział zakłęcie nasze wspaniałe.

- In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti. Amen!

Huk i białe światło pędzące ku nam zza horyzontu utwierdziły nas w dobrze dokonanym wyborze. Jako iż owa postać nie była jeszcze do końca wykreowana, to Łysy posiadał na nią niemal zupełną władzę, tak więc szybko

podbiegł jej ciałem w stronę wiejskiego domu przy polu, z którego musieliśmy zbiegać, aby po otwarciu jego drzwi wskoczyć w Wir Czasu i wydostać się z tego chorego świata.

Głupotia Pro-kury Samoistnej

i

ŻOŁĄDKI NIEPRAWOŚCI

Arkadiusz Kordela

“kluski: mąka pszenna, tłuszcz palmowy, tapioka, sól, skrobia modyfikowana, cukier, stabilizatory: trifosforany, guma guar; substancje spulchniające: węglany potasu, węglany sodu; kurkuma; dodatki smakowe: rafinowany olej palmowy, sól, cukier, wzmacniacze smaku: glutaminian monosodowy, guanylan disodowy, inozynian disodowy, maltodekstryna, pieprz, aromat (orzeszki ziemne), czosnek, suszony por, czerwona szalotka, hydrolizat białka sojowego, barwnik: karmel; substancja przeciwzbrylająca: E 551; przeciwutleniacz: E 306”

skład zupki leczniczej na kaca postalkoholowego

Wleciwszy w wir nasz wielobarwny i nieubłagany w swej porywającej sile znaleźliśmy się po chwili wraz z Łysym w brązowym tunelu, który równie wartko wirował. Zdawało się nam, że jesteśmy w sedesie z tą jednak różnicą, iż okalający nas prąd brązowej mazi nie ciągnął nas w dół, lecz unosił ku górze. Radością nie miałą me kurze serduszko się napętniło w chwili wzniosłej, w której to piórkiem skrzydła mego lewego zaryzykowałem zaczerpnąć nieco owego grożącego nam byciem wytworem czyjś układu pokarmowego czegoś. Pozytywne odczucia wynikały z tego, iż ta substancja tajemnicza masłem czekoladowym się okazała, a jak tylko mój ptasi języczek zakończył degustację ujrzałem promień światła rychło mknący ku nam, że tak to ujmę z egocentrycznej perspektywy, gdyż równie dobrze mógłbym owe zjawisko opisać w nieco inny sposób, ale to może innym razem.

Niczym gil z nosa wysmarkany przez strudzonego sportowca ku uciechu milionów jego obserwatorów przed telewizorami wyfrunęliśmy z brązowego dołu w stronę nieba, lecz na przeszkodzie do gwiazd stanęła nam wielka, czarna lampa oświetlająca swym światłem cały tamtejszy świat. Minawszy ją zgrabnym manewrem udaliśmy się poza atmosferę, aby przyjrzeć się tej planecie nieco z góry.

Okazała się ona wielką butką - z przedziałkiem - pośrodku której znajdowało się ów brązowe źródło masy czekoladowej. Co jakiś czas z tej groty wydobywał się gęsty, szary dym zakrywający swoją postacią niemal cały tamtejszy glob. Spomiędzy tych słodkich w odczuciu oparów dało się dostrzec, iż na dwóch przeciwległych biegunach butki stacjonują dwie frakcje znacząco różniące się od siebie kolorem. Ilość szczegółów nie była satysfakcjonująca z tej perspektywy, lecz udało się nam wtedy dostrzec jeno to, że jedni byli niebiescy, a drudzy czerwoni. Liczne krzyki i nieznośny gwar dobiegały lekko aż do nas, a co jakiś czas ciskane przez jednych w stronę drugich długie pioruny żółci rozbłyskiwały pośród rozkosznej mgły.

Najbardziej w tamtej chwili zastanawiało mnie to jaką funkcję pełnią trzy wiatraki umieszczone na dnie owej butki, ale do tej pory nie przychodzi mi lepsze rozwiązanie niż to, iż zapewne były one tam zamontowane, aby dostarczać energii dla fabryki czekolady mieszczącej się - jak się domyślam - gdzieś w głębi tej dziwacznej planety, chociaż Łysy miał swoją teorię, która głosiła, iż napędzają one wiszącą nad butką lampę - żyrandol jego zdaniem -

gdyż była ona przymocowana do butki za pomocą grubych kabli. Co do lampy, czy tam żyrandola... To ważnym wydaje mi się również to, iż składała się ona z dwóch części. Pierwsza, obszerniejsza była czarną, nieugiętą masą, nad którą lekko unosiła się szklana, czerwona piramida zamieszkała przez jakieś tajemnicze, czarne postacie, a jakby tego było mało to z tej konstrukcji wychodził kolejny, jeszcze grubszy kabel mknący tak daleko ku górze, iż nie byłem w stanie zaobserwować jego końca, tak więc po dziś dzień jest dla mnie tajemnicą dokąd prowadzi.

Gapiąc się na ten kabel nieznośnie mnie irytujący długością swoją poczułem w serduszkach, że cel nasz został już nam nadany, więc rychło oczki przymrużywszy nakierowałem swój dziób w jego kierunku, a lada chwila siedziałem już na głowie typa, który siedząc przy stole pod wiatą dłubał widelcem w zupie.

Skóra jego była cała czerwona. Twarz porwana i zdobna w liczne blizny. Wąskie usta wykrzywione w niesympatycznym grymasie nadawały mu wrogiego wyglądu. Siedząc na jego tysej głowie zauważyłem - przyglądając się poprzez wychylenie się i zerkanie wprost na jego facjatę - iż ma troje oczu z czego tylko jedno, lewe było otwarte, a prawe oraz środkowe usadowione w czole były jakby zaszyte grubą, czarną nicią. Był zupełnie nagi, lecz nie posiadał ani genitaliów ani pośladków, gdyż na ich miejscu można było dostrzec po prostu wydłużone plecy i brzuch.

- Jak się miewasz? - zapytał się go ubrany w białą szatę, bladobiały na twarzy gostek.

- Tak o...

- Czemu nie jesz zupa?

- Jem...

- Nie jesz.

- Jem...

- No masz. Nie obrażaj się. - starał się go zachęcić wciskając mu widelec skropiony rosółem.

- Kiedyś to ja byłem gościem! A teraz?! - jęknął przeraźliwie, wyrywając swojemu opiekunowi widelec z ręki i wznosząc go ku górze.

- Wciąż jesteś gość...
- Nie! Kiedyś byłem Ciapem Wojska Paljanitów, a dziś?!
- Wciąż nim jesteś!
- Nie! Teraz siedzę tu zamiast walczyć z tymi przekłętymi Palfranami!
- Uspokój się kochaniutki. Czemu dzisiaj masz taki zły humor?
- Bo...
- No wyduś to z siebie.
- Bo mi się zrobiło smutno jak sobie przypominałem co mówił jeden z Jasnych Duszków, że ta cała wojna jest bez sensu...
- Smutno? - dopytał zdziwiony.
- No smutno... Lubiłem to... Od małego walczyłem. Nie umiem robić nic innego jak walczyć z tymi przekłętymi Palfranami!
- Oj nie mów tak o nich. Przecież już wiesz, że to twoi bracia, którzy również dali się zwieść złu, tak jak i ty.
- Nie! To nie było zło! Ta cała teoria o tej całej wielkiej mistyfikacji i kłamstwie, to jest właśnie wielka mistyfikacja i kłamstwo tego mądrali i zło! - ryknął uderzając pięścią w stół, po czym ruszył szybkim krokiem w kierunku sadzawki.
- Oj biedy, biedy... - jęknął ze smutkiem.

Tutaj pozwolę sobie wspomnieć moim mili, że ten biały jegomostek, to też trójkę oczków posiadał, ale z tą różnicą, że dwoje dolnych miał otwartych, a trzecie, czołowe zgrabnie białą nitką zaszyte. Różnił się również od swojego rozmówcy tym, że ubrany był w jednoczęściową, długą po kostki szatę z kapturem. Kolor owego wdzianka był tak samo biały jak jego skóry, która wydawała się nadwyraz bielą błyszcząca na jego łysej głowie.

Łysy wciąż narzekał na kręcące się w koło myśli swojego nosiciela, których konkluzja wyglądała identycznie jak substrat. Zaznaczyć trzeba, iż taka sytuacja mocno nie dziwi, gdy patrzy się na świat tylko jednym okiem, bo czy można popłynąć łodzią do przodu wiosłując tylko z jednej strony burty? Niebawale trudne musi to być zadanie,

choć zapewne znajdą się tacy, którzy twardo będą bronić swojego przekonania, że się da. Taki charakter przepływu myśli funkcjonował w umysłach obydwu frakcji zajadłe ścierających się na naszej dryfującej w kosmicznej przestrzeni bułce. Pozwolicie teraz moi mili, że na podstawie żali Łysego opiszę wam jak to się tutaj te sprawy miały.

Świat ten w nieustannej wojnie trwał, a stronami konfliktu byli Paljanici oraz Palfranie.

Paljanici lubili palić Jana... Święcie przekonani o swojej zaręczyszczosci uważali, że wolność, to prawo do robienia tego co się chce. Dosłownie. Taka postawa w pewnym momencie zrodziła problem, gdyż okazało się, że do przetrwania - nie wspominając już o robieniu tego co się chce, bo chciało im się robić wiele rzeczy - potrzeba im owoców pracy, a pracować im się nie chciało, więc sprytnie wydedukowali sobie, że to ktoś inny musi na nich pracować, aby oni mogli być wolni i robić to co im się chce. Tak więc żeby oni mogli być wolni, to ktoś inny musiał być zniewolony, a kto byłby lepszym niewolnikiem jak nie odwieczny wróg?

Palfranie zaś lubili palić Frana... Święcie przekonani o swojej zaręczyszczosci uważali, że wolność, to prawo do nie robienia niczego. Dosłownie. Taka postawa w pewnym momencie zrodziła problem, gdyż okazało się, że do przetrwania - czyli do jedynie zaspokajania podstawowych potrzeb swojego organizmu, aby przytrzymać go przy życiu, by koniec końców później nic nie robić - potrzeba im owoców pracy, a pracować i się nie chciało, więc sprytnie wydedukowali sobie, że to ktoś inny musi na nich pracować, aby oni mogli być wolni i nie robić nic. Tak więc żeby oni mogli być wolni, to ktoś inny musiał być zniewolony, a kto byłby lepszym niewolnikiem jak nie odwieczny wróg?

Pomimo niemal bliźniaczych podobieństw w sposobie myślenia i jedni i drudzy uważali bez cienia wątpliwości, że racja leży po ich stronie, a to ich przeciwnicy żyją w kłamstwie oraz za sprawą przeróżnych matactw oraz manipulacji starają się oczernić swoich przeciwników. Znienawidzoną przez obie drużyny pracą było wydobywanie masła czekoladowego z groty w samym centrum bułki, którą nazywali *Jądrem Ciemności*.

Centralna część planety bogata w źródło tego cennego kruszcu kiedyś należała jedynie do plemienia Cozamułów, którzy osiedlili się w tamtych rejonach wiele lat temu. Za dawnych lat wszystkie ludy wędrowały po jałowych, jasnożółtych terenach szukając odpowiedniego miejsca na zdomowienie się. Niemniej jednak to Cozamułom udało się jako pierwszym dostać do tych wyjątkowych okolic, które gwarantowały im bezpieczeństwo i dobrobyt. Stało się to za sprawą - jak to nazywali - *Potrójnego Objawienia*, gdyż byli oni wyznawcami *Trójczengo Trójkąta*, który to rzekomo poprowadził ich przez te nieprzyjazne ziemie aż do ich *Ziemi Obiecanej*.

Wszystko było dobrze do czasu, w którym Palfranie i Paljanici nie zaczęli napływać z różnych stron do *Świętego Miasta* powstałego w centrum planety. Na początku Cozamuły gościnnie przyjęli przybyszów i stworzyli z nimi dobrze współgrającą społeczność. Dodać trzeba, iż były to czasy, w których każdy kto wszedł do *Świętego Miasta* doznawał *Objawienia*, co skutkowało otwarciem wszystkich trzech oczu co było gwarantem spokojnego współistnienia pomimo różnic.

Niestety pewnego razu część z Cozamułów przestała czcić *Trójczengo Trójkąta* co skutkowało nieprzestrzeganiem jego *Praw*. Zaczęli oni modyfikować swoje oczy i za sprawą różnych kombinacji zmieniać swój punkt widzenia. Zaowocowało to tym, że pewnego razu Czarny Książę - który dopiero po dokonaniu swojego przewrotu otrzymał taki tytuł - po zamknięciu swoich dwóch, dolnych oczu uznał siebie za stwórcę i pana otaczającego go świata, a dotychczas taka rola była przypisana *Trójcznemu Trójkątowi*.

Zmiany te nie spodobały się Cozamułom, gdyż naruszały ich *Święte Zasady*, dzięki którym dotarli do czekoladowego centrum i założyli *Święte Miasto*, w którym wszystkim żyło się dobrze. Wybuchła wojna. Pierwsza wojna na tej planecie. Zaciekle walki pomiędzy Czarną Radą założoną przez Czarnego Księcia, a Cozamułami zniszczyły całe miasto i przegoniła uciekających w popłochu Palfranów i Paljanitów.

Wierni *Trójocznemu Trójkątowi* Cozamułowie spostrzegłszy, iż wojna ta jest bezcelowa i przynosi dużo więcej złego niż dobrego postanowili ustąpić, założyć zakon Jasnych Duszków, po czym wyruszyć na jałowe tereny butki, aby dzięki posiadanej wiedzy i umiejętnościom, które jako jedyne pozostały po *Świętym Mieście* pomagać Palfranom oraz Paljanitom w ich życiu na nieprzyjaznych terenach.

Początkowa radość Czarnego Księcia ze zwycięstwa nie trwała długo, gdyż zauważył, że nie ma już tego o co walczył. Walczył o *Święte Miasto* tylko dla Cozamułów, bez Palfranów, Paljanitów i *Trójocznego Trójkąta*, ale po zwycięskiej wojnie nie było już *Świętego Miasta*. Jako iż nie był w stanie przyznać się do błędu i uparcie zostawał przy swoim rzucił - wewnątrz siebie - całą winę na Jasne Duszki, które zbuntowały się przeciwko jego woli, po czym poprzysiągł zemstę. Wykorzystując wiedzę i umiejętności, które jako jedyne pozostały po *Świętym Mieście* postanowił stworzyć ostateczny system zagłady Jasnych Duszków. Wraz ze swoją Czarną Radą zbudował *Wielki Żyrandol Oświecenia* - który dla mnie wciąż był jest i będzie lampą(!) - aby za jego sprawą rozpętać jeszcze większą wojnę niż poprzednio.

Przebywająca w górnej części żyrandola rada, na czele której zasiadywał Czarny Książę za sprawą przeróżnych podstępów, kłamstw i iluzji zaszywała oczy Palfranom oraz Paljanitom *Czarną Nicią Grzechu*. Zostawiając im w ten sposób tylko jedno sprawne oko, przekonywali ich, że teraz muszą walczyć przeciwko sobie o złoza czekolady, a wszystko to wina Jasnych Duszków, przez które zostało zniszczone *Święte Miasto*. Tak więc w taki oto sposób powstała jeszcze większa, druga wojna, w której największym wrogiem wszystkich stron były Jasne Duszki, które pomimo wszelkich nieszczęść jakie napotykały ich ze strony Palfranów, Paljanitów oraz Czarnej Rady wciąż organizowały się i starały pomóc ofiarom wojny dla obydwu stron starając się im jednocześnie wytłumaczyć, że wciąż da się żyć w pokoju, ale trzeba najpierw przyjąć prawdę o Czarnej Radzie i nie wierzyć w ich kłamstwa, gdyż są one im wpajane tylko po to, aby siać śmierć i zniszczenie, a to wszystko tylko dlatego, że Czarny Książę nienawidzi wszystkich. Nawet członków Czarnej Rady, ale ich traktuje jako swoje sługi, którymi się wystuguje.

Tak to się tam te sprawy społeczne miały moi mili, ale teraz wróćmy do naszego bohatera, który zachęcony przez swojego opiekuna postanowił pokornie udać się po raz kolejny do sali przemów. Wchodząc do niej ujrzał stojącego na środku Jasnego Duszka oraz siedzących w ławach po obu stronach swoich braci Paljanitów oraz wrogów Palfranów. Wszyscy siedzieli i w skupieniu słuchali co miał im do powiedzenia prowadzący.

- Wolność! - krzyknął, po czym kontynuował już nieco ciszej.
- Wolność, o którą tak wszyscy tutaj zabiegacie i walczyście. Czym jest? - zapytał retorycznie.
- Jedni uważają, że robienie tego co się chce, to właśnie wolność. Drudzy powiedzą, że prawo do nic nie robienia, to jest właśnie wolność! Otóż i jedni i drudzy są w błędzie, bo patrzą na wolność przez pryzmat życia zewnętrznego. Zamknęli pojęcie wolności w ramach rzeczywistości materialnej, w ramach otaczającego nas świata i funkcjonowania w jego materii, lecz wolność... Moi kochani... Taka wolność... Nigdy nie istniała i istnieć nie będzie, bo zawsze będą prawa, które nałożą na nas ograniczenia. Prawa chociażby naturalne, gdyż czy nam się nie chce, albo akurat chce się nam robić w danym momencie co innego, to jeść i kupę robić trzeba. Sprawa znacznie się komplikuje i rozszerza, gdy podejźmy do zagadnienia takiej wolności od strony tematów dużo mniej prostych, ale nie przyszedłem tutaj mówić o tym jakie są możliwe wypaczenia pojęcia wolności oraz jakie aspekty naszego życia jak i otaczającej nas rzeczywistości utwierdzają nas o owych błędnym rozumieniu tejże kwestii, ale chciałem wam powiedzieć jaka wolność jest możliwa. Otóż jedyna wolność o jaką możemy starać się zabiegać jest wolność wewnętrzna. Wolność niepowiązana z materialistycznym światem zewnętrznym, który nas otacza. Jest to wolność, która pozwala nam świadomie stawiać granice. Jest to wolność, która pozwala nam sprawować kontrolę nad tym co dzieje się wewnątrz nas. Jest to wolność, która jako jedyna zaspokaja w nas potrzebę wyzwolenia się z tego wszystkiego co ogranicza nasze odczuwanie szczęścia. Jest to wolność, której nikt z zewnątrz nie może wam dać, ale którą wy sami musicie w sobie odnaleźć i o nią dbać. Jest to wolność, która rodzi się z pokory i miłości, a którą narusza pycha i grzech. Dlatego proszę was teraz moim kochani, aby każdy z was wziął do ręki książeczkę, która leży przed wami i w ciszy zajął się jej czytaniem.

Ciap nasz lekko zagubiony oraz zniechęcony przynudnawym dla niego wykładem postanowił jednak pójść za wskazówką i otworzyć niewielką książeczkę, w której wyczytał takie oto sprawy.

Nie idąc zgodnie z chronologią Różańca Świętego chcę zapisać tutaj swoje wnioski - do których doszedłem dzięki Boże Łasce - odnośnie tajemnicy Zmartwychwstania Pana Jezusa. Zacznę może od tego jak rozumiem śmierć w tym kontekście. Wydaje mi się, że warto dokładniej przyjrzeć się śmierci duchowej - przez co w żadnym razie nie mam zamiaru podważać namacalnego i realnego istnienia Pana Jezusa jako Boga-człowieka, lecz kwestię tego jak życie Mesjasza oraz historia jego ziemskiego bytowania (czyt. Ewangelia) ukazują wszelkie prawdy duchowe wszelkiego stworzenia Duchem obdarzonym pozostawiam na kiedy indziej - a nie cielesnej. Za śmierć duchową uważam stan, który jest bardzo podobny do tego co w dzisiejszym świecie nazywamy depresją, lecz nie będę się teraz na tym rozwodził, gdyż jest to mało istotne w odniesieniu do samego Zmartwychwstania. Zaś za źródło owej śmierci uważam grzech i najlepszym moim zdaniem wyszczególnieniem grzechów śmiertelnych - czyli tych, które sprowadzają na nas śmierć duchową - jest katolicki wykaz Siedmiu grzechów głównych, które pokrótce przedstawię i opiszę ukazując ich najpowszechniejsze - moim zdaniem - odbicia w naszym życiu.

#1 Pycha:

Grzech, który uznawany jest - moim zdaniem słusznie - za źródło wszystkich innych grzechów, gdyż jak mi wiadomo, to sam Szatan jako zbuntowany Anioł, za sprawą pychy, która nie pozwalała mu się pogodzić ze swoją "niższą" - jak mu się błędnie wydawało - względem Stwórcy pozycją, zbuntował się przeciwko Bogu i postanowił zaprowadzić swój porządek - tak naprawdę jego brak, czyli chaos - co doprowadziło do wojny, której skutki odczuwamy po dziś dzień. Tyle w świecie duchowym, lecz pycha ma również wiele negatywnych konsekwencji w naszym ziemskim życiu jak na przykład:

Pycha popycha nas do upartości w dążeniu do naszych indywidualnych celów, czy wyobrażeń co w niektórych przypadkach może doprowadzić do ściągnięcia na siebie samego mnóstwa cierpień, gdyż w uporze tkwimy w jakimś szkodliwym dla nas założeniu, któremu przeczą nawet nasze intelektualne i duchowe rozważania, ale

pycha podsycą w nas poczucie naszej rzekomej - zazwyczaj w tym danym, niezdrowym przypadku - mocy, dzięki której mamy wrażenie, iż sami pozmieniamy wszystko tak, aby wyszło na nasze, zamiast powierzyć tę sprawę Bogu i pogodzić się z Jego rozwiązaniem - które daje nam jako kochający Ojciec, więc zawsze prowadzi nas do szczęścia wiecznego i doczesnego, chociaż czasami nie widać tego od razu, bądź na pierwszy rzut oka - co w konsekwencji kończy się efektem błędnego koła. Pycha utrudnia nam pogodzenie się z sytuacjami, na które w żadnym stopniu nie mieliśmy wpływu, a na domiar złego - jako iż podsycą w nas poczucie rzekomej mocy - z automatu rodzi w nas myśli nakierowujące nas do wyrzutów sumienia, gdyż jako iż niby wszystko co dobre dzieje się tylko za sprawą naszej własnej osoby, to analogicznie wszystko co złe musi też wynikać tylko i wyłącznie z naszych poczynań. Tak więc pycha jest źródłem wszelkich bezpodstawnych wyrzutów sumienia, a przeróżne ideologie głoszące chociażby wielką moc naszych myśli dają jej szerokie pole do popisu w tej materii, przy czym uważam, że modlitwa myśłą jest istotna i może mieć wpływa na nas i świat dookoła nas, ale może ona trafić do różnych odbiorców - co by było poniekąd zgodne z tego typu przekonaniami - ale o tym może kiedy indziej. Pycha utrudnia nam przyznanie się do błędów - które popełniają wszyscy - co blokuje nasz rozwój, gdyż zamiast iść do przodu popełniamy te same błędy tworząc przeróżne ideologie, aby tylko tego przed sobą nie przyznać, a poza tym pycha przekonuje nas o naszej wspaniałości, więc trudniej nam pytać się o radę - przez co zwiększa się prawdopodobieństwo zbłądzenia i popełnienia błędu - oraz prosić o i przyjąć pomoc - przez co nie dość, iż może powstać w nas przekłamane poczucie osamotnienia w obliczu problemów życia, to również poczucie bezsilności i beznadziei, gdyż nigdzie nie widzimy możliwości pomocy, a czujemy, że nasze poczynania nie przynoszą oczekiwanych rezultatów. Tak samo za sprawą tego grzechu nie dostrzegamy alternatywnych możliwości i rozwiązań - w przeróżnych sytuacjach i aspektach - gdyż jesteśmy skoncentrowani tylko na własnej, wcześniejszej, zakorzenionej w nas wizji. Pycha utrudnia nam cieszyć się teraźniejszością, gdyż często jest ona choć trochę inna niż sobie wcześniej zakładaliśmy - jest to jedna z konsekwencji Grzechu pierwotnego, który spadł na nas po pysznym buncie w Raju - a za sprawą pychy oczekujemy, iż świat będzie taki jak my tego chcemy, więc rodzi się w nas złość, którą często okazujemy narzekaniami.

Pycha ma również całą gamę negatywnych skutków w życiu społecznym. Jako iż pycha wmawia nam, że jesteśmy kimś lepszym, to łatwo za jej sprawą popaść w szowinizm wszelkiego rodzaju. Wyzysk, eugenika, homofobia, handel ludźmi, niewolnictwo, szowinizm rasowy, narodowy, kulturowy, wyznaniowy, czy płciowy - to wszystko są efekty pychy. Za sprawą pychy przestajemy również szanować własność cudzą, czy społeczną, czego konsekwencją są zanieczyszczone miasta i środowisko naturalne, które zdaniem pychy niegodne są szacunku, czy troski, gdyż nie jest jej - jej nosiciela - bezpośrednią własnością. Poszanowanie cudzego życia, poglądów, czy uczuć również jest w niesmak pysze, a empatia, to jeden z jej największych wrogów, tak więc wszelkie wojny, konflikty osobiste, znieczulica, niehumanitarne postępowanie ze zwierzętami i ludźmi są efektami pychy.

To tylko niewielkie spektrum pychy - źródła wszelkich grzechów - ale wydaje mi się, że na chwilę obecną nie ma sensu się nad tym dłużej rozwodzić, ale za to uważam, że warto zastanowić się co w nas i wokół nas naszą - gdyż wydaje się, iż każdy z nas ma choć trochę pychy w sobie - pychę podsyca, a co nakłania nas do pokory.

#2 Chciwość:

Chciwość nie pozwala nam docenić tego co posiadamy, przy czym cały czas popycha nas do ciągłego pomnażania majątku, przez co często zaniedbujemy nasze relacje z innymi ludźmi - najczęściej z najbliższymi - albo własne zdrowie, czy relację z Panem Bogiem. Sknerstwo oraz brak wrażliwości na potrzeby materialne innych - w tym najbardziej potrzebujących - również opiera się na chciwości.

Chciwość bywa źródłem wyzysku, degradacji społeczeństwa - poprzez handel alkoholem, papierosami, narkotykami, niezdrową żywnością, pornografią czy za sprawą hazardu - oraz wyniszczania środowiska naturalnego. Wojny również nierzadko mają swoje podstawy w chciwości, tak samo jak handel ludźmi i niewolnictwo.

#3 Nieczystość:

Nieczystość nakierowuje nas na zaspokajanie naszych indywidualnych potrzeb i przyjemności, przy czym nietrudno o uzależnienie i popadnięcie w skrajny egoizm, gdyż ten schemat myślenia poprzez nieczystość się w nas zakorzenia i przekłada później na wszystkie sfery życia. Tak samo wiele wewnętrznych indywidualnych ran - zwłaszcza u młodych ludzi - z którymi muszą się oni później borykać przez całe życie, albo jego długi okres, mają swoje podstawy w nieczystości, a takie patologie jak pedofilia, czy gwałty, to również efekty tego grzechu, który ma tendencje do zwiększania dawek i doznań, co może doprowadzić do przeróżnych, niezdrowych dla własnego organizmu oraz innych ludzi perwersji oraz zniewolenia umysłu, ciała i ducha.

Nieczystość jest również źródłem pornobiznesu oraz prostytucji - które opierają się na wyzysku, handlu narkotykami, a i nie raz na niewolnictwie, czy handlu ludźmi.

#4 Zazdrość:

Zazdrość również przeszkadza nam doceniać i dostrzec, to co mamy - nie tylko rzeczy materialne - przez co jest źródłem niewdzięczności oraz licznych konfliktów - zwłaszcza w sferze osobistej.

#5 Nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu:

Poprzez nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu możemy doprowadzić do wyniszczenia naszego organizmu - na przykład poprzez obżarstwo i w konsekwencji otyłość, czy uzależnienie od alkoholu - a poza tym tracimy przez ten grzech szacunek do żywności przez co jesteśmy w stanie ją bezmyślnie wyrzucać, a z drugiej strony nakręcać chore koło spożywczego konsumpcjonizmu - o czym więcej kiedy indziej - co niesie ze sobą wiele szkód dla ludzkości, zwierząt i całej natury.

#6 Lenistwo:

Lenistwo sprawia, iż marnujemy swój potencjał, nie wykorzystujemy daru życia i jego pełnego przeżywania, a w skrajnych przypadkach może ono doprowadzić do pasożytniczego stylu życia, co w połączeniu z możliwościami i intelektem nie raz jest źródłem wyzysku, czy życia z oszukiwania innych swymi matactwami, co również może

mieć groźne skutki społeczne, zwłaszcza gdy przyjrzymy się bliżej niektórym mediom, które tylko czyhają na łatwą sensację, którą szybko się sprzeda - co w konsekwencji potrafi wypaczyć nasze postrzeganie świata i innych ludzi.

#7 Gniew:

Gniew często przysłania nam radość życia i przeszkadza nam ujrzeć jego pozytywne aspekty, a gdy przejmie nad nami kontrolę, to popycha nas do przemocy fizycznej, bądź psychicznej, co nie dość, że rani innych, to jest też często źródłem konfliktów przeróżnego rodzaju.

Wracając do Zmartwychwstania Pana Jezusa. Wydaje mi się, iż Bóg poprzez ten cud chciał nam przekazać między innymi to, iż nie ma takiego grzechu, tak głębokiej śmierci duchowej, której nie mógłby przewyciężyć swoją mocą i miłosierdziem co udowadnia za sprawą sakramentów Pojednania i Eucharystii, ale również wskazując nam - jako dobry Ojciec - uczynki miłosierdzia, dzięki którym łatwiej nam będzie bronić się przed grzechem, i dzięki którym nasze życie będzie pełniejsze i bogatsze o wolność, pokój, radość, wiarę, nadzieję i miłość. Grzech w swojej naturze zniewala nas i wciąż walczy o nasze względy za sprawą pokus, lecz gdy tylko powierzmy się Bogu, który tylko czeka na naszą zgodę - szanując naszą wolną wolę brakiem nachalności - to obdarzy nas Łaską, dzięki której będziemy skłonni nie tylko do uczynków miłosierdzia, ale i do nawiązywania z Nim prawdziwej relacji, która doprowadzi nas do Życia Wiecznego - o ile nie zbratamy się ponownie ze Śmiercią i jej grzechami na stałe, gdyż jako iż jesteśmy grzeszni, słabi i ułomni, to nasza droga do świętości daleka jest od prostej i łatwej. Skoro więc Jezus - Syn Boży - przewyciężył śmierć i wyrwał się z jej sidła za sprawą Bożej Łaski, co było wypełnieniem Woli Bożej względem Niego, to śmiem twierdzić, iż Bóg oczekuje tego samego od nas wszystkich, gdyż wszyscy jesteśmy jego dziećmi, które umiłował niewyobrażalną dla nas i nieskończoną miłością, dlatego uważam, że warto starać się walczyć ze wszelkim złem wewnątrz nas, a wokół nas czynić na miarę naszych możliwości i aktualnych okoliczności uczynki miłosierdzia - wyszczególnione przez Kościół Katolicki - które wymienię poniżej:

#Uczynki miłosierdzia względem duszy:

grzesznych upominać

nieumiejętnych pouczać

wątpiącym dobrze radzić

strapionych pocieszać

krzywdy cierpliwie znosić

urazy chętnie darować

modlić się za żywych i umarłych

#Uczynki miłosierdzia względem ciała:

głodnych nakarmić

spragnionych napoić

nagich przyodziać

podróżnych w dom przyjąć

więźniów pocieszać

chorych nawiedzać

Zaznajomiwszy się z ową niełatwą dla niego lekturą postanowił wyjść bez słowa i się przewietrzyć. Idąc parkiem pośród utworzonych z białego pieczywa drzew spoglądał na siedzących na ławkach współosadników.

Tutaj wartym wyjaśnienia będzie zapewne to, iż Jasne Duszki odkąd postanowiły pomagać ofiarom wojny zaczęły zakładać na całej planecie liczne ośrodki, w których leczyły rannych, pomagały przeżyć wysiedlanym cywilom, czy uratowanym niewolnikom oraz nauczaly prawdy o świecie, wojnie, Czarnej Radzie i ich samych. Taka sytuacja w ogóle mogła mieć miejsce, gdyż od pierwszej wojny minęło już bardzo wiele lat, a w tamtej chwili zarówno Paljnanici jak i Palfranie mieli już zorganizowane społeczeństwa ze swoimi wioskami, miastami, władzami i armiami. Wciąż toczący się konflikt opierał się w gruncie o zajmowanie jak najobszerniejszych terenów w okolicy

Jądra Ciemności oraz pozyskiwanie jak największej liczby najemników z wrogiej frakcji potrzebnych do wydobywania pożądanego surowca. Czara Rada sprawnie sterująca świadomością Paljanitów i Palfranów wciąż utrzymywała wojnę w nierozstrzygniętym stadium, gdyż za jej sprawą starała się zniszczyć najpierw Jasne Duszki, z którymi sama sobie kiedyś nie dała rady, aby później wyniszczyć walczące ze sobą strony bronią, którą trzymała w zanadrzu co skutkowałoby spełnieniem marzenia Czarnego Księcia oraz jego snu o życiu na bułce bez wszystkich tych, którzy nie zgadzali się z jego wolą.

Usiadł w końcu zmęczony nieustającym szumem w głowie na ziemi i zakrywając twarz dłońmi postanowił tak siedzieć do końca swych dni. Ku jego niezadowoleniu zaraz po tym pojawił się obok niego Jasny Duszek, który z uśmiechem na twarzy odezwał się do niego takimi oto słowami.

- Jak się czujesz?

- Źle.

- Mogę ci jakoś pomóc?

- Nie.

- Nie myślałeś o zaszyciu?

- Nie.

- Wiesz przecież, że to ci pomoże.

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo nie.

- No spójrz... Inni zaszyci radują się życiem. Dlaczego ty nie chcesz?

- Bo to nie pomoże.

- Skąd wiesz skoro nie spróbowałeś.

- Dawaj nowy. Nie czai się. Będzie dobrze. - wtrącił zaszycy Palfranin przechodzący akurat obok z uśmiechem na twarzy.

- Nie.
- Nie jest to przyjemne, ale zobaczysz, że po tym będzie ci lepiej. Nie tylko na sercu, ale i na umyśle przez co łatwiej będzie tobie zrozumieć to co teraz wydaje ci się nie do rozgryzienia.
- Nie.
- Dobrze. Jakbyś zmienił zdanie, to wiesz gdzie mnie szukać. - rzekł smutnym głosem, po czym odszedł w zadumie.

Tutaj po raz kolejny pozwolę sobie wtrącić swoje trzy grosze przerywając bieg tej historii. Zastanawiacie się zapewne moi drodzy czytelnicy o cóż to chodzi z tym zaszywaniem. Cóż to za tajemnicza praktyka i co ona ma oznaczać. Pamiętacie jak wspominałem wam o oczach istot przebywających na bulce oraz ich różnych podobieństwach jak i różnicach? Rzecz w tym, że gdy Jasne Duszki postanowiły skończyć z wojną doszły do wniosku, iż żeby zapobiec podobnym sytuacjom w przyszłości muszą się poświęcić i *Nićmi Pokory* zaszyć sobie trzecie oko, aby przypadkiem nie wywyżżyć się ponad tymi, którzy nie mieli otwartych wszystkich oczu z różnych względów. Byli też świadomi tego do jakich konsekwencji doprowadziło nierozważne używanie trzeciego oka, a jako iż było im ono zbędne do pomocy innym, a mogliby go używać tylko do ewentualnego zaspokajania własnych potrzeb - niekoniecznie złych - to postanowili nie ryzykować i poświęcić się tylko innym, świadomie zapominając o sobie. Dlatego właśnie wszyscy z nich mieli zaszyte oczy czołowe, a w ramach pomocy oferowali chętnym rozprucie *Nici Grzechu* zamykających dotychczas ich oczy, a następnie zaszywali *Nićmi Pokory* ich trzecie oko, aby byli jak oni. Aby patrzyli obojgiem oczu na swoich bliźnich i zapomnieli o trzecim. Większość z domowników ich ośrodka korzystała z takiej możliwości, ale ci którzy nie chcieli się podjąć takiego zabiegu również mieli prawo przebywać wśród innych i na takich samych zasadach funkcjonować w ich społeczności, lecz zazwyczaj borykali się oni wtedy ze swoimi wewnętrznymi problemami co uniemożliwiało im zasmakowanie prawdziwej, wewnętrznej wolności, dzięki której osady Jasnych Duszków żyły w pokoju, harmonii i miłości.

Wracając zaś do naszego Ciapa rozżalonego.

- Kiedyś to ja byłem gości! - krzyknął z nieudolnie powstrzymany żalem.
- Co masz na myśli? - zawrócił ku niemu.
- Byłem najlepszym żołnierzem Paljanitów! Skakałem ze spadochronem popijając sobie herbatę z filiżanki!
Chodziłem przed czołgami po polach minowych! Wybuchaty mi pod nogami i nic mi się nie działo! Pokonałem nawet kiedyś Kotjesiera w walce na kciuki!
- Kotjesiera?
- To taki elitarny żołnierz Palfranów. Coś jak muszkieter...
- Pamiętasz wojnę? - dopytywał Duszek spokojnym głosem.
- Pamiętam.
- Opowiedz mi o niej. Co na niej robiłeś?
- Na jednej misji wysadziłem samodzielnie rafinerię czekolady Palfranów. Po jej wybuchu całe okoliczne tereny były zalane skażoną czekoladą i do dziś dzień nie nadają się do użytku.
- Coś jeszcze?
- Stacjonując raz w bazie zauważyłem nocą dwie postaci idące w stronę płotu. Krzychałem, aby się zatrzymały, bo nie mogą zbliżyć się do granicy tajnych laboratoriów, ale oni szli i szli. Zastrzeliłem ich, a gdy zbliżyłem się do ciał... Zauważyłem, że nie mieli uszu... To byli ponownie złapani niewolnicy, a wiesz co z takimi robią Palfranie?
- Wiem...
- No właśnie! Ucinają im uszy!
- To nie była twoja wina. Wypełniałeś swoje obowiązki. Głupio wyszło...
- Mogłem chociaż wyjść z tych ciemnych krzaków, żeby mnie zobaczyli, bo płot ze znakiem ostrzegawczym był jakieś trzy kilometry dalej.
- Aha... Coś jeszcze?
- Jak mnie oni wkurzają...
- Kto?

- Ci wszyscy przestraszeni cywile! W codzienności wszędzie pędzą i wściekają się o byle gówno, a jak tylko zobaczą wroga na horyzoncie, to uciekają oby dalej zamiast bronić swoich domów i tych, których nieprzyjacieli chce zniewolić! Dostają szatę, a przez nich ja dostaję szatę!
- Coś jeszcze?
- Miałem kiedyś sen...
- Jaki sen? Na wojnie?
- Tak.
- Opowiesz mi go?
- Byłem ptakiem... Latałem między koronami zielonych, pięknych drzew jak z innego świata. Nagle widzę... Idą... Żli, rozwścieczeni Palfranie i palą ten las krzycząc: Wojna! Wojna! Czułem, że muszę lecieć w głąb lasu, aby ostrzec innych przed zbliżającą się wojną. Żeby się przygotowali, a chorzy i słabi zdążyli uciec, ale jak tylko dotarłem do innych mieszkańców lasu, to nikt nie chciał mi uwierzyć. Mówili: Przecież to bez sensu. Po co komu teraz byłaby potrzebna wojna. Na pewno kłamiesz. Starłem się ich uświadomić, przekonać do zmiany nastawienia, ale byłem bezradny. Postanowiłem więc samemu zaatakować wroga zanim dotarłby do reszty, ale lecąc w jego kierunku uderzyłem głową w spadającą z góry gałąź i wtedy się obudziłem...
- Byłeś na siebie zły?
- Tak.
- Wciąż jesteś.
- Tak.
- Dlaczego?
- To miało miejsce podczas naszej drugiej ofensywy. Był taki jeden mały kocioł u nas w pułku. Ciągłe miały kompleksy z tego powodu...
- Z powodu swojego wzrostu?
- Tak. No i podczas jednej bitwy, gdy przebiegał w okopie, jeden z naboistów świsnął mu centymetry nad czaszką i strącił jego kask. Po tej sytuacji w końcu polubił siebie takim jaki jest, bo wiedział, że to ten jego niski wzrost uratował mu wtedy życie.

- Co dalej?
- Następnego dnia ponowiliśmy atak. Zajedle się te skurczybyki bronili, a jeden z nich potraktował tego kolesia miotaczem ognia. Leżał obok mnie, wił się i palił. Krzyczał patrząc na mnie, abym mu pomógł. Nie chciałem tego robić, ale wymierzyłem mu w czoło pistoletem i zastrzeliłem. Dopiero po tym strzale zauważyłem, że obok, za rogiem w okopie, leżało wiadro z wodą...
- To nie twoja wina. Chciałeś dobrze. Głupio wyszło...
- Jak to nie moja wina?!
- Nie ty rozpętałeś tę wojnę. Robiłeś to co uważałeś za słuszne. Miałeś dobre intencje.
- Ale zabiłem człowieka!
- To teraz czas się zaszyć i zacząć im pomagać...
- Masz rację! - krzyknął radośnie podrywając się na nogi.
- Czasu nie cofnę, ale mogę jeszcze zrobić choć trochę dobrego zamiast siedzieć i wspominać dawne błędy.
- Tak jest! Widzę, że w końcu zrozumiałeś!
- Zrozumiałem!
- No to co... Idziemy się zaszyć?
- Idziemy.

Idąc w stronę specjalnego pomieszczenia Ciap spojrzał na Duszka z uwagą i powiedział przejętym tonem.

- Masz coś na szyi.
- Gdzie? Co? - dypał przecierając tę część ciała jakby chciał ją wytrzeć z jakiegoś zabrudzenia.
- Głowę!
- No wiesz co...
- Nie mogłem się powstrzymać. A słuchaj...
- Tak?
- Ile dni ma doba?

- Słucham?
- No ile dni ma doba?
- To nie tak...
- To jak?
- Doba, to między innymi potocznie dzień.
- Nie rozumiem.
- Kiedyś był dzień i noc, ale odkąd Czarny Książę stworzył *Wielki Żyrandol Oświecenia*, to nie ma już nocy. To znaczy jest, ale Czarna Rada podstępem zrobiła tak, że nam tutaj, żyjącym niżej, wydaje się jakby nocy nie było, ale ona jest tam cały czas, z tym, że to ich sztuczne światło ją zasłania.
- Światło zasłania noc, która jest mrokiem, tak?
- No tak jakby... Czarna Rada stara się wymazać z naszych świadomości noc, czyli mrok, abyśmy nie byli sobie w stanie wyobrazić ich mrocznych intencji. Dla kogoś kto nie ma styczności z mrokami rzeczywistości o wiele trudniej jest sobie wyobrazić wewnętrzne mroki, którymi kieruje się Czarny Książę i jego sługi. Tak to właśnie ukrywają się za światłem, które rzekomo niosą. Rzekomo, bo ich światło jest fałszywe, oparte na kłamstwie, a jego rozwój nie polega na przybliżaniu się do prawdy, ale na rozszerzaniu kłamstwa.
- Chyba rozumiem.
- To dobrze.
- Pójdziemy dzisiaj na spektakl wieczorem?
- Co dzisiaj wystawiają?
- Cyrk Liberał komedię Nasza Demokracja, a Zespół Śmierci Wrogom Ojczyzny dramat Herezja Nacjonalizmu.
- Może lepiej na debatę?
- Czyją?
- Wesoły Romek kontra Jacek Niepocieszony.
- O czym?
- Nihilizm jako jedyna droga do poznania obiektywnej prawdy o istocie cukinii w kontekście Palfranizmu i Paljanizmu.

- No już sam nie wiem...
- Zobaczymy później, dobrze?
- Dobrze.

Szli tak sobie warto przed siebie swymi nóżkami trzepocząc o mięsisty grunt, który wszędzie wokół był świeżą bułką. W każdej chwili można było urwać sobie jej kawałek, aby zająć się nią ze smakiem, a w miejscu dziury, w której po takim występku powstawał brak chrupkiej skórki po kilku godzinach powstawała nowa warstwa smacznej ochrony podstawowego pożywienia mieszkańców tamtej planety. Teraz zapewne bardziej zrozumieli jest dla was ów popęd tubylców do masła czekoladowego, który niczym najgłębiej wryty w ich naturze instynkt nakazywał im łączyć masło czekoladowe z bułką. Czy my wszyscy nie mamy podobnie?

Niemniej jednak wracając do naszej spacerującej dwójki. Siedząc na głowie Ciapa zorientowałem się, że Łysy śpi. Zdumiony takim spostrzeżeniem, gdyż nie wiedziałem, że coś takiego w ogóle jest możliwe starałem się go wybudzić, gdyż moje coraz szybciej bijące serduszko dawało mi powoli znać, że zbliża się przesiadka na innego nieszczęśnika. Znając jego zamięłowanie do niebywałych, dziwnych rzeczy i zdarzeń wymyśliłem na poczekaniu scenkę, po czym krzyknąłem w jego kierunku na całe swe kurczące gardelko.

- Zobacz! Jasne Duszki rozbijają sobie jajka na głowie i je smażą!
- Wow! Z jednego żółtka zaczyna wrastać stojący wieszak, na którym wisi pralka przyzdobiona magnesami w kształcie tropikalnych owoców! W tej pralce pierze się papierowy statek, na którym żubry tańczą walca w kombinezonach płetwonurków! Niebywałe!

Taka mieszanka abstrakcyjnych obrazów od razu wybudziła Łysego ze snu.

- Co?! Gdzie?
- Nigdzie. Co to za spanie?

- Jakie spanie?
- Przecież spałeś.
- Nie spałem.
- Nie kłam.
- Nie kłamię.
- Dobra... Szykuj się, bo zaraz będzie zmiana.
- Na kogo?
- Chyba na tamtego żółtawego typa. - powiedziałem wskazując na kolesia, który stał pomiędzy dwoma, kłócącymi się osobnikami o przeciwstawnych kolorach skóry.
- Cwelbeko III to jest wódz, a nie ten wasz Fryderyk Wolnykibelmam! - krzyczał niebieski jegomość.
- O nie! To wielki Wolnykibelmam wie jak rządzić, a ten wasz Cwelbeko III, to tylko karykatura jego ojca Cwelbeko III! - wtórował drugi, czerwonoskóry.
- Panowie! Spokojnie! Nie popadajmy w skrajności. Musimy poszukać złotego środka. - wtrącił gościek, na którego głowie już w tamtym momencie siedziałem.
- Zamknij ty się z tym twoim złotym środkiem!
- Właśnie! Cwelbeko to gamoń i basta!
- Wcale że nie! Fryderyk to gbur i despota!
- Jak śmiesz?!
- Panowie! Zawsze można znaleźć złoty środek, każdy kij ma dwa końce.
- Kija to ja mogę wsadzić w du...
- Co tu się wyprawia?! - wtrącił Jasny Duszek pojawiając się jak spod ziemi stanowczym, ale dobrotliwym tonem.
- To on zaczął! - krzyknął Paljanita wskazując palcem na swojego oponenta.
- Nieprawda! To on pierwszy przezwał Cwelbeko III od nicponi!
- Hola, hola! Spokojnie! Jak to było? - zapytał żółtego.
- Ciężko powiedzieć... Wciąż szukam złotego środka tej sytuacji.

- Jakiego złotego środka... Znowu zaczynasz? Powiedz po prostu kto zaczął.
- To nie jest takie proste... Co prawda stali tutaj oboje i rozmawiali, ale który pierwszy zaczął wyzywać wodza drugiego, to nie mogę tak po prostu powiedzieć.
- Dlaczego? Przecież stoisz z nimi od początku tej rozmowy, tak?
- No tak, ale trzeba szukać złotego środka. Nie można popadać w radykalne skrajności, prawda?
- Chyba coś źle zrozumiałeś mój drogi.
- No jak?
- Przecież w tej sytuacji i w tej danej sprawie, w której rozchodzi się o to kto pierwszy rzucił przezwisko w stronę drugiego można obiektywnie stwierdzić jednostronną rację, bez konieczności szukania konsensusu pomiędzy stronami.
- Być może z prymitywnego punktu widzenia. Ja jestem Złotym Januszem, a muszem szukać złotego środka! Taka jest moja natura! Taka jest moja filozofia, taki jestem ja!
- Dobra... Rób se co chcesz. To jak to było panowie?
- To on. Nie to on zaczął! - przekrzykiwali się.
- Dobra. Dość! Dość tej kłótni. Rozejść się we dwie strony. Pospacerujcie sobie, ochłońcie. Jak już się uspokoiacie, to zapraszam do zaszcicia, gdyż widzę, że poluzowały wam się nici na środkowym oku i nieco pychy zaczyna się wkradać w wasze myślenie, a ty... Januszu pozwól za mną.

Łysy wskoczył w żółtoskórego osobnika, o którym nic nie wiedzieliśmy na tamten moment. Okazało się później, że żółtoskórzy osobnicy są wynikiem skażenia powstałego w skutek wybuchu czekoladowej rafinerii, którą wysadził niegdyś Ciap, a ich cechą szczególną było to, iż ich trzecie oko znajdowało się z tyłu głowy przez co łączność między wszystkimi oczyma była nieco zaburzona.

- Kiedy ostatnio byłeś się zaszyć?
- Z jakieś dwa tygodnie temu.
- Chyba zaraz będzie najwyższy czas poprawić szew, nie sądzisz?

- No może... Masz coś dla mnie?
- A no mam. Dostarczysz ten list naszym ludziom w mieście Paljanitów?
- Mogę.
- Dzięki.
- Kiedy mam wyruszyć?
- Za godzinę. Może być?
- Może. Komu mam przekazać ten list?
- Pod starym wiaduktem jest małe opuszczone gospodarstwo. Codziennie po południu schodzą się tam starsi Paljanici, aby grać w karty i przyjacielsko gaworzyć. Przekaż ten list najstarszemu z nich. Rozpoznasz.
- Dobrze.
- To jak to było z tymi dwoma?
- Naprawdę nie wiem... Ciężko stwierdzić...
- Ech... No dobra. Nieważne.

Zadumany niemało Janusz kroczył dumnie przed siebie w stronę miasta, o którym wspomniał mu Jasny Duszek. Droga była nudna tak bardzo, że aż nie chce mi się do tego wracać, aby ową nudę opowiadać, ale w pewnym momencie nasz nosiciel postanowił nieco zboczyć z trasy. Zauważył bowiem niedaleko siebie huczny festiwal, który co prawda nie był celem jego podróży, ani nawet nie znajdował się do niego po drodze, ale tak sobie sprawnie wynalazł w owej sytuacji ukochany złoty środek, że postanowił połączyć przyjemne z pożytecznym i odwiedzić na moment tę wesołą gromadkę.

Wchodząc w tłum rozweselonych Paljanitów zbijał z nimi piątki, wymieniał się serdecznymi pozdrowieniami i uśmiechami. Wszechobecny gwar i zgiełk nie był przytłaczający, ale pozytywnie pobudzający. Podekscytowany Janusz z szerokim uśmiechem na twarzy podszedł do czwórki młodych Paljanitów, którzy stojąc na skraju drogi udawali, że występują. Trzech z nich ruchami rąk imitowało grę na instrumentach, których nie było, a czwarty bezdźwięcznie śpiewał jak gdyby nieświadomy był tego, że jednak playback nie został włączony. Garstka widzów

tańczyła obok nich tworząc półkole, a stalowa beczka stojąca przed nimi na datki była wypełniona po brzegi kawałkami butki.

- **Żółtek! Cho no tu!** - zawołał ktoś z oddali, przywołując Janusza gestem ręki.
- **Ja?** - zapytał nieśmiało, rozglądając się na boki.
- **Tak ty! Cho no!**
- **Idę!** - krzyknął radośnie i równie entuzjastycznie podbiegł do nowego znajomego.
- **Co ty tu robisz? Dawno nie widzieliśmy tutaj żadnego żółtka.**
- **A tak sobie chodzę. Zwiedzam. Co to za impreza?**
- **Toż to GównoStock!**
- **GównoStock?**
- **Tak! Wielki festiwal gówna! Wiesz co to gówno, prawda?**
- **No wiem...**
- **A robiłeś kiedyś kupę pokoju?**
- **Kupę pokoju?**
- **Skąd ty się urwałeś... Taki rytuał pojednania, który muszą przejść wszyscy nowi.**
- **Nie... Pierwszy raz słyszę.**
- **No to chodź ze mną. Zaraz będzie kolejny rzut.**

Pomknęli wartko przez rozweseloną i nieco oszołomioną tłumem oraz wszechobecnym zapachem gówna hordę bezmyślnie poruszających się byle gdzie Paljanitów. Dotarli w końcu na małe wzniesienie gdzie stało już w kole kilkunastu uczestników trzymających się za ręce i wyczekujący dołączających.

- **Jeszcze dwóch, brakuje jeszcze dwóch!** - krzyczał prowadzący zgromadzenia.
- **Już biegniemy!** - wyrwał się emocjonalnie swym wokalem Janusz nie mogąc się doczekać tego co miało się zaraz wydarzyć.

Dotarłszy w końcu do grupy wplekli się zgrabnie w krąg zamykając go jednocześnie, a po chwili cała radosna gromada przykucnęła co spowodowało pojawienie się charakterystycznego pęknięcia w dolnej części ich pleców, po czym, jak gdyby tchnięta jakąś nadprzyrodzoną mocą jednoczącą jelita ich wszystkich, za sprawą przetrawionego jedzenia ozdobili podłoże pięknym gównianym okręgiem zamykającym ich symbolicznie w nowej wspólnocie, do której już pełnoprawnie należeli.

- Gratulacje! - rzekł Paljanita do dumnego z siebie Janusza.
- Dziękuję. Co teraz?
- Teraz pokażę ci galerię sztuk pięknych, chcesz?
- No pewnie!

Biegiem ruszyli na drugi koniec zbiorowiska, aby wejść do wielkiego namiotu.

- To tu... W tym roku wystawiana jest galeria pod tytułem *Zdrowa Rodzina*.

W niemałym zdumieniu oraz niewiele mniejszym wzruszeniu przechadzali się po owej galerii i raczyli swoje oczki piekące od siarkowego zapachu białymi, dużymi, prostokątnymi kartkami, na których widniały gówniane kleksy wszystkich członków jednej z paljanickich rodzin do siedmiu pokoleń wstecz.

- To naprawdę jest zdrowa rodzina. Kupy mają zdrowsze i piękniejsze niż niejeden pies... - wtrącił Janusz z zachwytem.
- Dobra... Nudzi mnie to już. Chcę teraz iść na koncert.
- Zostańmy jeszcze trochę. Zobaczyćbym jeszcze najmłodsze pokolenie.
- Chodź! Ja chcę na koncert...
- No dobra...

Januszek posmutniał nam nieco w tamtym momencie, bo najwidoczniej inaczej wyobrażał sobie taką wolną, paljanitańską wspólnotę, ale najwidoczniej zapomniał, że Paljanici wierzą, że wolność, to robienie tego co się w danym momencie chce i basta.

Po kolejnej kilkuminutowej przeprawie w ścisiku i smrodzie dotarli w końcu pod scenę, na której siedział wokalista.

- A teraz moi kochani! Moi wspaniali Paljanici! Zanim zaśpiewam swój nowy numer chcę wam powiedzieć jedno! Kocham was i wiem, że wy też mnie kochacie, bo jesteście jedną, wielką rodziną, ale pamiętajmy, że Palfranie, to banda głupców i frajerów, którym nie należy się szacunek oraz których trzeba obrzucać gównem przy każdej okazji, bo ich zdaniem nie można robić tego co się chce! Śmierć Palfranom! Do kibla z nimi! Do niewoli ich!
- Do niewoli ich! Do kibla z nimi! Śmierć Palfranom! - wtórował rozradowany tłum machając flagami z gównianymi serduszkami.
- A teraz...Jesteście gotowi na mój najnowszy numer?
- Taaak!
- Kto jest najfajniejszy?!
- Tyyy!
- Kogo kupa smakuje najlepiej?!
- Twoooja!
- Kogo teraz tą kupą obrzucam?!
- Naaas!
- Tak jest moi kochani! A teraz mój najnowszy numer pod tytułem... Moja pierwsza nieświadoma, dorosła kupa!

Tłum wiwatował, tańczył i ryczał, a mistrz ceremonii piał bez ładu i składu wylewając co jakiś czas z beczek na bawiących się przy scenie widzów strumienie rzadkiego gówna, które jako iż było jego pochodzenia, to radowało jego fanów niebywale mocno.

Januszowi owa zabawa nie przypadła do gustu i po zmierzeniu wzrokiem swojego kompana, który jak w transie tarzał się w lepkim, brązowym gównie pod sceną śmiejąc się przy tym głupkowato, postanowił pójść dalej i na własną rękę zobaczyć co tam się ciekawego jeszcze działo. Chadzając to tu to tam napotkał na swej drodze wyjątkowo roztańczoną grupę, która pośród tańców zaciągała delikatnie przechodniów do swojego obozowiska nieopodal. Zaciekawiony poszedł w tamtym kierunku. Spozregł tam dość liczną grupę Paljanitów, którzy wpatrzeni w szczyt wysokiej, szklanej rury, na którym znajdował się podest, obserwowali stojącego tam jegomościa dumnie ryczącego na całe gardło z rozłożonymi szeroko rękoma.

- Kupa! Kupa! Kupa! - wiwatował zniecierpliwiony tłum, do którego po czasie dołączył również Janusz.

Kilkugodzinne wyczekiwanie oraz powtarzanie słowa określającego odchody zaowocowało w końcu tym, że odziany w drewnianą maskę szaman - jak się w międzyczasie okazało - przykucnął i mówiąc kolokwialnie... Postawił kloca, który wartko spadł szklaną tubą w dół rozbryzgując się na finiszu o mozaikową posadzkę. Guru zgromadzenia zleciał ze szczytu swojej budowli na dywanie jak ze spadochronem, po czym przyklęknął przy swoim dziele, zbadał poważnym spojrzeniem i oznajmił.

- Za pięćdziesiąt lat świat się skończy! Bawcie się, szalejcie i korzystajcie z życia!

Takie proroctwo niebywale uradowało zebranych, którzy rychło pobiegli wprowadzić rady szamana w życie. Nasz zwolennik złotego środka zapomniał się na moment i również ochoczo ruszył czerpać żywot swój garściami. Chociażby na czas festiwalu, bo później to się zobaczy.

Zdziwiło mnie niemało niespotykane dotychczas refleksyjne podejście Łysego do obserwowanych zjawisk, ale skoro nawet on zauważył krótkowzroczność oraz brak pomysłu o konsekwencjach takiego funkcjonowania nawet przez krótki czas, gdyż czasami konsekwencje krótkotrwałego czynu mogą ciągnąć się za swoim sprawcą przez resztę jego życia, to znaczy chyba, że jednak coś w tym było, a jego przejęty ton podczas dzielenia się ze mną tymi myślami lekko mnie zaniepokoił. Nie wiem w sumie dlaczego.

Biegąc z roześmianą gromadą w stronę sceny koncertowej zauważył grupkę Paljanitów rzucających odchodami w stojącego pośród nich Palfranina, który swoim jedynym otwartym, prawym okiem spojrzał na niego błagalnym spojrzeniem.

- Sto lat! Sto lat! Niech żyje, żyje nam! - śpiewali radośnie.
- Co się tu dzieje? Co tu robi ten Palfranin? - zapytał spoglądając nieco z litością na niebieskoskórego osobnika, który ze spuszczoną głową przyjmował na swe ciało mrowie gównianego daru.
- Dzisiaj są jego urodziny! Jego pan wziął go tutaj ze sobą w ramach prezentu.
- Dlaczego życzyście mu stu lat, skoro to wasz wróg?
- No bo przecież to niewolnik jednego z naszych? Niech pracuje na niego jak najdłużej!
- No tak... - skwitował Janusz, po czym rychło ruszył do wcześniej obranego celu.

Oddalając się od tego smutnego i ponizanego Palfranina zorientowałem się, iż to on jest naszym kolejnym wybrankiem. Nie zwlekając ani chwili pofrunąłem na jego głowę, a uradowany Łysy przemieścił się wraz ze mną. Biedaczek w tej nieprzychylniej dla niego chwili wspominał swojego przyjaciela, o którego tak naprawdę chodziło, więc za sprawą jego wspomnień przebrnęliśmy do tego osobnika, który siedział akurat w auli i słuchał wykładu. Nikogo innego jak samego Romana, który jak widać sprawnie zdomowić się potrafił w każdym bałaganie.

- Żyjemy w czasach otwartości umysłu. Owe pojęcie funkcjonuje wszędzie wokół nas. W mediach, życiu towarzyskim, sztuce, a nawet - w nieco odmiennej formie językowej - w prawie. Nie wiem jak wy, moi mili

studenci, ale ja dość często mam wrażenie, że tenże otwarty umysł dla niektórych znaczy zupełnie co innego niż dla pozostałych. Dlatego zadałem sobie trud, aby sprawę przebadać swoją myślą i po rzeczowej analizie doszedłem do poszczególnych wniosków. Otóż najczęściej spotyka się dwie interpretacje otwartego umysłu. Przedstawię je wam teraz, ale postaram się ich w żaden sposób nie oceniać, abyście zrobili to sami zgodnie ze swoimi przemyśleniami, poglądami i sumieniem. Pierwsza interpretacja - wydaje mi się, że ta bardziej powszechna - to taka, która zakłada, iż otwarty umysł charakteryzuje się tym, że jego posiadacz robi to co uważa za słuszne, nie konfrontuje swojego światopoglądu z odmiennymi, tolerując je, ale uważając za zgołą błędne. Błędne, niemniej jednak jemu oraz jego bliźnim - w postrzeganiu świata oraz funkcjonowaniu w nim - nieszkodliwe. Poprzez takie funkcjonowanie w społecznościach tworzą się różnorakie wspólnoty, które żyją obok siebie, ignorując inne i coraz bardziej odcinając się od nich w swoich wspólnotach składających się z podobnych do siebie indywidualności. Osoba posiadająca otwarty umysł w takiej formie nie będzie czuła potrzeby konfrontacji swoich racji i przekonań z innym, gdyż z założenia uważa, że to ona - oraz jej podobni - mają rację, tak więc prawda leży po ich stronie, a reszta jest niegodna dyskusji, gdyż owe kwestie są oczywiste, a ci którzy się z nią nie zgadzają szukają dziury w całym, bądź mają jakieś nieczyste intencje, w których chęć dotarcia do prawdy jest jedynie przykrywką dla pozyskania przez nich jakiś korzyści. Drugą formą otwartego umysłu jest ta, w której osoba posiada ustaloną tożsamość oraz światopogląd niemniej jednak świadoma jest tego, iż może być w błędzie, przez co nie przestaje poznawać głębiej prawdy poprzez ciągłe poszukiwania, badania i konfrontację swoich wniosków z widzeniem innych na dany temat. Taka forma otwartego umysłu zakłada, iż jego posiadacz nie poznał jeszcze prawdy całkowitej i najprawdopodobniej nie zdąży jej poznać przed śmiercią, ale dzięki indywidualnym staraniom oraz współpracy - bliższej, bądź dalszej - z ludźmi o innym światopoglądzie będzie się do niej systematycznie zbliżać. Można zauważyć, iż pierwszy rodzaj skutkuje społeczeństwem podzielonym i nie uznającym sensu do integracji z innymi, a drugi daje możliwości powstania różnorakiego, bogatego kulturowo i intelektualnie społeczeństwa, które pomimo wielu różnic potrafi żyć w jedności - ale nie jednolitości. Można również zauważyć, iż pierwszy rodzaj daje podstawy do szufladkowania, pochopnego oceniania, tworzenia stereotypów i poczucia pogardy względem odmienności, zaś to drugi zachęca do integracji, współpracy, wymiany myśli, dialogu i ułatwia uszanowanie innego światopoglądu. Da się zatem

zaobserwować, iż jeden otwarty umysł sprzyja alienacji i zamykaniu się przed innym, nieznanym, nowym, a drugi wręcz przeciwnie. Zachęca - poprzez permanentną chęć poznania prawdy - do poznawania tego co inne, nieznanie i nowe, nie powstrzymując się jednocześnie od zdrowego, krytycznego myślenia. Inaczej kwestia otwartości umysłu ma się z perspektywy prawa mającego obowiązywać w takich otwartych - na obydwie te sposoby - społeczeństwach, lecz nie jest to temat na ten wykład. Niech zatem teraz, moi mili studenci, każdy z was zada sobie pytanie, czy aby być może pasuje do jednej z tych dwóch grup otwartych umysłów, a jakby się okazało, że tak, to co to oznacza.

Nasz kochany Romuś skończywszy wykład zauważył, że z trzech przebywających studentów w auli tylko jeden miał jeszcze otwarte oczy, którymi bezmyślnie gapił się w sufit, bo pozostała dwójka smacznie spała.

- Możemy już iść? - zapytał ten najbardziej zorientowany w sytuacji.
- Tak...

Cała trójka powolnym krokiem dotarła do patio. Nasz nosiciel włączył telewizor, po czym położył się na hamaku i oglądał swoim prawym okiem co tam się ciekawego w tejże metalowej skrzyni ukazywało. Emitowany był właśnie wywiad z jednym z generałów armii Palfranów, który opowiadał o swoich doświadczeniach ze sztabu dowodzącego. Niebawem się uaktywnił emocjonalnie podczas słownej rekonstrukcji wydarzeń z jednego dnia, w którym naradzał się wraz z innymi dowodzącymi, czy aby rozpocząć ofensywę od wschodniej fanki. Jako iż podejmowanie decyzji również było robieniem czegoś, a że Palfranie z zamiłowaniem bronili się od tego możliwie najliczniejszymi środkami, to postanowili urządzić losowanie. Utworzyli kilkanaście papierowych kulek, wewnątrz których były napisy "tak" i "nie". Głównolosujący zerkał na naszego generała, który swoim porozumiewawczym spojrzeniem starał się mu zainsynuować, którą kulkę powinien wylosować. Niestety, ku jego niezadowoleniu, ów gagatek się nie domyśli i wylosował nieodpowiednią kartkę, przez co późniejsze losy ofensywy były niemiłe oraz dotkliwe, co udzielający wywiadu jednoznacznie przypisywał swojemu niedomyślnemu towarzyszowi.

- Dobra... Koniec przerwy. Czas iść pod wiatę. - wtrącił jeden ze studentów.
- Jak mi się nie chce...
- Mi też... Cholerni Paljanici! Gdyby pogodzili się w końcu z tym, że ich przeznaczeniem jest pracować na nas, to nie musielibyśmy się wtedy męczyć z tymi wszystkimi obowiązkami, dzięki którym możemy ich zniewalać bez ich woli...
- Kiedyś nadejdzie ten dzień, że zwyciężymy i nareszcie będziemy mogli w końcu robić nasze kochane nic!
- Tak jest! Palfraznim! Palfranizm! Palfranizm!
- Palfranizm!

Takim to entuzjastycznym nastrojem nasi młodzi naukowcy starali się sobie poprawić nastawienie do czekającej ich wizyty pod wiatą. Jak się okazało żadnej wiaty tak naprawdę tam nie było, a Łysy wyjaśnił mi uprzejmie taką sytuację następującymi słowami.

- Bo to jest tak, że kiedyś w tym miejscu było serce uczelni. Jej pierwszy budynek, w którym znajdował się stół. Na jego szczycie zasiadał założyciel szkoły, a po bokach nauczyciele od najstarszych stażem do najmłodszych. W pewnym momencie zaczęły się spory odnośnie tego szczególnego miejsca na szczycie stołu, więc postanowiono wymienić stół na okrągły, aby nikt nie był poszkodowany. Wtedy zaczęły się kłótnie o to, kto powinien siedzieć przodem, a kto tyłem do drzwi. Wyburzono więc ściany i pozostawiono tylko dach oraz kilka filarów, na których się utrzymywał. Zbudowano wiatę. Symbol równości. Niestety po pewnym czasie zaczęły się spory o to kto ma siedzieć przy filarach, a kto nie, więc postanowiono zniszczyć wiatę. Teraz w tym miejscu wciąż zasiada rada uczelni, ale niezależnie od tego czy świeci słońce, czy pada deszcz, czy jest ciepło, czy jest zimno, czy wieje wiatr, czy nie, wszyscy siedzą przy swoim okrągłym stole bez dachu nad głową i są zadowoleni, bo wszyscy są równi. Wiatą się to wciąż nazywa, bo tak to się utarło. To znaczy oni wszyscy wierzą w to, że ta wiata istnieje, po prostu ma taką szczególną, uniwersalną konstrukcję, którą dostrzega tylko ten, kto rozumie zasady funkcjonowania prawdziwej równości. Każdy nowy nauczyciel i uczeń na samym początku są przekonywani przez całą resztę o

istnieniu tejże wiaty, a ewentualna negacja takiego stwierdzenia uważana jest za ksenofobiczną, zacoфанą postawę, która jednocześnie dyskwalifikuje takiego delikwenta i nie traktuje się go wtedy poważnie. Takie tutaj panują zwyczaje, a zdecydowana większość w to gra, w to brnie i przekazuje to dalej.

Nieco tylko zniesmaczony, gdyż przywykłem już w swoim doświadczeniu do podobnych sytuacji, siedziałem sobie wygodnie na głowie naszego ucznia, który wraz ze swoimi ziomkami zbliżał się rychło do wiaty, w której przebywał zadumany i obserwujący z powagą otoczenie jegomość. Wyróżniał się od innych tym, że jego dolne oczy były zaszyte czarnymi nićmi, a tylko swoim trzecim, otwartym okiem lustrował on otaczający go świat. Przypomniałem sobie wtedy, iż taka charakterystyka pasuje do członków Czarnej Rady. Jego czarny, dopasowany do ciała ubiór, również dawał podstawy, aby sądzić, iż ten gość był członkiem owej tajemniczej grupy.

- Czego? - zapytał nieuprzejmie swoich gości.
- Dzień dobry panie profesorze. Przyszliśmy odebrać pańskie wyliczenia, aby przekazać je komisji.
- Jesteście za wcześnie o trzydzieści cztery sekundy... Co za nacja... Oto one. - burknął pod nosem i rzucił niewielką kopertę pod stopy studentów.
- Jakie są wyniki?
- Słucham?
- Mógłby je nam pan podać? Jesteśmy ciekawi kiedy skończy się świat.
- Och... Durnie... Znajcie moją łaskawość. Według moich wyliczeń świat zapadnie się w megatromatycznej przestrzeni za czterysta pięćdziesiąt sześć lat.
- Super! To jeszcze zdążymy trochę poleżeć i poleniuchować!
- Zdążycie, a teraz won mi stąd, bo jestem zajęty nic nie robieniem.
- Dziękujemy panie profesorze. Dowidzenia.
- Won kleszcze!

Odchodząc od wiaty jeden ze studentów ośmielił się obejrzyć za siebie w stronę profesora, który trzymając w ręku czarny sześcian, tłumaczył się gorliwie temu przedmiotowi ze swoich poczyną. Poczułem wtedy, iż w tym tajemniczym urządzeniu jest ten, o którego nam chodziło. Przybysław. Rychło zatem ruszyliśmy wraz z Łysym w tamtym kierunku. Za sprawą tej tajemniczej kostki, która okazała się komunikatorem dostaliśmy się do górnej części lampy - czy tam żyrandola - i stanęliśmy - o ile można tak to nazwać - twarzą w twarz z samym Czarnym Księciem, którym okazał się Przybysław. Siedział na wielkim tronie, spod którego kłębiły się złowrogie, czarne obłoki. Siedział prosto, a jego dłonie spoczywały na podłokietnikach. Zamiast zaszytych dolnych oczu posiadał on głębokie, puste, czarne dziury, z których wydobywał się gęsty, czarny dym, a jego trzecie oko było całe czerwone i przekrwione.

- Co jest? - jęknął do siebie niskim basem wyczuwając naszą obecność.
- Przybyliśmy po ciebie Przybysławie. - odpowiedział Łysy w poczuciu zbudowania jeszcze większego dramatyzmu tamtej sytuacji.

Zerknąłem wtedy na niewielki stolik stojący nieopodal fotela i zauważyłem na nim *Trzecią część Dziadów Adama Mickiewicza* otwartą na *Wielkiej improwizacji*. Po drugiej zaś stronie na osobnym stoliku stała czarna dymiąca kula, w której można było zaobserwować wszelkie wydarzenia dziejące się na bulce.

- Łysy! Do dzieła! - krzyknąłem, a mój druh wtargnął bez pardonu w Przybysława, po czym wypowiedział za sprawą jego ust zaklęcie.

In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti. Amen!

Głośny huk i biały blask zmierzający ku nam od horyzontu zmotywowały Łysiego, aby podbiegł przybysławowskim ciałem do wielkich, czarnych drzwi zdobnych w kości i czaszki. Otworzył je szeroko, po czym wskoczył w Wir Czasu, aby raz na zawsze pożegnać się z tą chorą wizją.

Głupotia Pro-kury Samoistnej

i

CZWOROKĄT CZWORGĄ

Arkadiusz Kordela

“Full emmer of jabłka.”*

M.Kriekaard, dzień powszedni w sadzie

*tłumaczenia:

full - z angielskiego “pełne”

emmer - z holenderskiego “wiadro”

of - przyimek używany w języku angielskim

jabłka - na polski “jabłek”

Kochani moi czytelnicy... Niebywała rzecz się stała, bo ten pismak przebrzydły zbuntować się postanowił i formę przekazywania mojej historii wam zmienić, bo jak twierdzi dość już ma pisanie tych wszystkich głupot. Szkoda mu na to czasu, gdyż ma inne, ważniejsze, jego nikogo nie obchodzącym zdaniem, projekty do zrealizowania, a ten zaległy gniot, który ciągnie się za nim już od niemal pięciu lat - chociaż *Genezę* napisał niespełna półtora roku temu - wciąż go spowalnia, męczy i irytuje, ale jako iż zobowiązał się zrealizować ów zadanie, to przymuszony jest przez swoją upartość do jego wykonania. Tak więc koniec z kolorami i pierdołowatymi szczegółami, gdyż od teraz będzie on wam jeno sedno treści przekazywać tymi słowami niezbyt umiejętnie przez niego pisanymi. Nie znaczy to jednak, iż pożegnał się on ze swoimi durnymi systemami, zależnościami i taki tam bzdurami jak symbolika, powiązania i przenośnie, gdyż jak zauważyć można pierwsze cztery części są napisane w tym bardziej twórczym stylu, zaś cztery kolejne zamierza on streścić w innej formie, aby ewentualnym kontynuatorom - nie zapominając również o różnych preferencjach czytelników - dać możliwość dalszego opowiadania moich przygód w dwóch wariantach - gdyż pomimo iż początek one miały w *Genezie*, to końca doczekać się nie muszą chociaż mogłoby się tak wydawać na pierwszy rzut oka. Klasycznym - czyli tym początkowym - oraz nowoczesnym - czyli tym uproszczonym. Tak więc zapraszam was na pierwszą z czterech części tego opowiadania, w którym już zapewne będziecie wiedzieli jak się poruszać, aby nie zbłądzić.

GŁUPOTIA PRO-KURY SAMOISTNEJ I GŁUPIE GUANO GOJA!

Świat, w którym tym razem wylądowaliśmy wraz z Łysym prezentował się następująco. Cała planeta była zadymiona i pokryta gęstą, szarą, cuchnącą chmurą. Niegdyś na tej planecie ludzkość żyła tylko w miastach, a poza ich granicami, które wyznaczały wysokie mury, rozlegała się jedna, wielka, prastara dzicz. Ludzie podróżowali między miastami samolotami, helikopterami, dronami oraz wszystkim tym co latające. Zdarzały się wypadki, że ktoś spadał na dzikie tereny, w których przyroda żyła sobie własnym życiem bez ingerencji człowieka, ale odpowiednie służby sprzątały po takim niegodziwym występkę gatunku ludzkiego, a i czasem jakiegoś człowieka uratować się dało.

Niemniej jednak pewnego dnia - jakby na zawołanie - wszystkie wulkany na planecie zaczęły wybuchać zadymiając wszystko dookoła. Ludzie nie byli w stanie przemieszczać się między miastami, gdyż wulkaniczny pył nie dość, że utrudniał widoczność, to jeszcze zapychał silniki i większość machin latających spadało na dziki ląd. Tak więc z biegiem lat większość ludzi wyginęła z chorób, głodu, albo w wyniku zewnętrznych, miejskich konfliktów. Jeno nieliczni, którym udało się w miarę szybko osiedlić w małych osadach na szczytach najwyższych gór zaczęli tam tworzyć nową cywilizację. Dużo uboższą, surowszą, ale za to zdolną do przetrwania w nowych warunkach klimatycznych.

Tak intensywna erupcja wulkanów przez wiele lat spowodowała zmniejszenie się gęstości planety, przez co zmieniła ona swój bieg orbitalny co skutkowało tym, iż grawitacja przestawała działać na tyle sprawnie, aby utrzymać nieprzymocowane istnienia do gruntu. Zaowocowało to tym, że wszystkie żyjątka, którym udało się dotychczas przetrwać pod wielką, niekończącą się chmurą wulkanicznego pyłu zaczęły bezwładnie unosić się ku górze, aby po niedługim czasie zatrzymać się w gęstej, śmiertelnej chmurze uniemożliwiającej oddychanie. Jakby tego było mało, to ci którzy osiedlili się nad ową chmurą po pewnym czasie musieli borykać się z kolejną przeszkodą, którą okazała się powłoka ozonowa. Tak wytrzymała i elastyczna zarazem, iż nic co tamtejszy człowiek wymyślił nie było w stanie się przez nią przedostać.

Ludzie z początku poruszali się po glebie poprzez przytrzymywanie się różnych elementów otoczenia, tak więc pomiędzy budynkami oraz w ich wnętrzach powstawały liczne sieci poręczy. Po czasie rozwój technologiczny i przemysłowy pozwolił im wprowadzić nowy sposób. Na stalowych stelażach umieszczonych na ziemi, bądź podłodze, montowali metalowe blachy, po których chodzili w butach wyposażonych w magnesy. Pewien jegomość obmyślił skafander, dzięki któremu mogli zejść bezpiecznie pod wielką chmurę, aby móc chociażby pozyskać surowce potrzebne im do przeprowadzania cywilizacyjnych zmian. Tak powstało tamtejsze górnictwo.

Kolejne lata przyniosły takie wynalazki jak podchmurne osady, do których były doprowadzane ogromne kominy wentylacyjne wychodzące ponad chmurę, albo wielkie, stalowe statki latające, które za sprawą wiatraków utrzymywały statek na takiej wysokości, aby samoczynnie nie uleciały ku górze, gdzie zderzyłyby się z warstwą ozonową. Wszelkie wraki statków, śmieci z gór, czy ciała nieszczęśliwie zabitych przez ślepy los wisały nad głowami ludzi zatrzymując się na wspomnianej warstwie ozonowej.

Na jednym z takich statków, który był przeznaczony do zbierania złomu spod i z nad chmury znaleźliśmy naszego pierwszego bohatera, którym okazał się Stypazi. Nie był on nikim szczególnym. Normalny robotnik z dolnego pokładu statku.

Statki złomiarzy były podzielone na dwa pokłady. Na dolnym pracowali robotnicy fizyczni, a na górnym zaś umysłowi. Ci na dole byli ubrani w ciężkie, stalowe kombinezony i pracowali zazwyczaj w gorących pomieszczeniach. Jako iż dymiło się tam sporo od spalanego węgla i pyliło do szlifowanej stali, to dla własnego zdrowia musieli oni nakładać maski zabezpieczające ich przed szkodliwymi konsekwencjami pracy w takich warunkach.

Pracownicy biurowi zaś byli przymuszani poprzez charakter ich pracy do bardzo niewygodnej postawy, w której musieli trwać w bezruchu będąc zamkniętymi w małych, metalowych pudełkach z dość sporymi, prostokątnymi teleskopami, będącymi dla nich oknem na świat.

Zazwyczaj pracownicy fizyczni byli przekonani o tym, że ci na górze na nich żerują, bo przecież nic nie robią tylko siedzą w wygodnych butach magnetycznych i piją kawę, a ci na górze patrzyli na tych na dole jak na debili, którzy nic nie rozumieją przez co nadają się tylko do przenoszenia rzeczy z kąta w kąt co nie jest niczym trudnym. Oba te punkty widzenia były przekłamane, gdyż i jedni i drudzy mieli bardzo dużo niełatwej i ważnej dla wszystkich pracy, a jedni bez drugich obejść by się nie mogli jako cała załoga, a mało tego gdyby przyszło im zamienić się miejscami, to szybko by wrócili na swoje stanowiska jakby tylko dało im się taką możliwość.

Niemniej jednak poprzez brak dialogu, zrozumienia i integracji konflikty między poszczególnymi działami rosły, a oczerniające siebie nawzajem teorie pęczniały niczym płatki owsiane zalane ciepłym moczem.

Co do owsianki. To właśnie zając się nieco zbyt gęstą owsianką nasz Stypazi doszedł do wniosku, iż pojęcie “zglutowacenia owsianki” powinno znaleźć się w słowniku, a jego kumpel podczepiając się pod to spostrzeżenie wydedukował, iż to już najwyższy czas na bunt.

W takich to okolicznościach na naszym złomiarskim, latającym okręcie powstał oddolny ruch mający zaprowadzić sprawiedliwość.

Stypazi miał to do siebie, że zamiast chodzić, to cały czas skakał na skakance. Tłumaczył się w taki sposób, że jako iż nie ma on czasu po pracy na odpowiednie ćwiczenia fizycznie, to musi nadrabiać w pracy. Kolejną jego charakterystyczną cechą była nieśmiałość, tak więc trzymał się i głowił jakby to zacząć ze swoimi kolegami temat buntu. Przełom nastąpił podczas jednej z przerw, podczas których Stypazi jak zwykle raczył się Tygrysem w

proszku. *Instant Tiger* był bardzo popularnym napojem bez smaku i wartości odżywczych, ale zawsze to lepiej było pić wodę z Tygrysem w proszku niż samą wodę.

- Pany mam dowcipa. - rozpoczął Stypazi.
- Dawaj. - zachęcił jeden z kolegów.
- Jak się nazywa żona popa?
- Nie wiem...
- Poparzona.
- A żona draba?
- Nie wiem...
- Drabina!
- A żona prezydenta? - skontrował dotychczas pytany.
- Hmm... Nie wiem... - odpowiedział Stypazi z zadumą.
- Pierwsza dama!
- Przecież to bez sensu...
- Nieprawda! To ma sens!

Tutaj zaznaczyć trzeba, iż tenże koleżka już tak miał, że co jakiś czas napotykał problemy w komunikowaniu się z innymi. Najczęściej wiązało się to z tym, że albo opowiadał o jakimś zdarzeniu w tak ogólnikowy sposób, iż nie można było doszukać się w nim puenty - na przykład; No tam tego i siedzimy i tego i się słucha i się czeka. - albo nazywał pewne przedmioty, czy zdarzenia po swojemu, a nie zgodnie z ich słownikowymi definicjami, przez co słuchający go nie był w stanie celnie zinterpretować jego wypowiedzi - na przykład mówiąc, aby ktoś podał mu młotek, miał na myśli spawarkę. Niemniej jednak nie dostrzegał on problemu po swojej stronie, a owe nieporozumienia sprawnie zwał na brak intelektu swoich rozmówców, bo przecież mogliby się oni domyślić o co mu tak naprawdę w danej sytuacji chodzi.

- Nie ma sensu jako dowcip... - kontynuował Stypazi.
- Zamknij się debil, bo skupię się na ciebie!
- Sam się sraj!
- Nie, bo ty!

Kłótnię tę przerwał komunikat z telewizora zawieszonego w górnym narożniku pomieszczenia socjalnego.

- Dzisiejszego dnia zakończył się bieg runtretoński. Zwyciężczynią okazała się Eleonoritantisikowiczówna.

Nagranie, w tle którego puszczonego został komunikat pokazywało kobietę przecinającą taśmę mety w zwolnionym tempie. Bieg runtretoński charakteryzował się tym, iż jak tylko osoba pierwsza dobiegająca do końca zbliżała się do mety, to organizatorzy detonowali ładunki wybuchowe znajdujące się kilkanaście metrów za nią. Efekt zawsze był taki, iż pomimo że sportowiec biegł z lewej strony ekranu ku prawej, to jego odpowiednio długie włosy oraz elementy odpowiednio luźnego ubioru zamiast odchyłać się w lewą stronę ekranu zgodnie z zasadami fizyki, mknęły w prawo w tym samym kierunku co biegący. Celem tego święta sportowego - gdyż nim owe zawody były - było zrobienie fotografii ukazującej takie zajście. Zdjęcie takie drukowano później w ogromnej rozdzielczości i w tak wielkiej formie, iż stojąc do siedmiu metrów od tejże grafiki nie dało się jej w całości objąć wzrokiem, a jakość szczegółów pozwalała na bardzo dokładną kontemplację takiego dzieła.

- No masz... Że kobieta wygrała tym razem. - skomentował jeden z odpoczywających od pracy.
- Nie ma już facetów na tym świecie? - zapytał kolejny z niewielkim oburzeniem.
- Masz ty coś do kobiet? - wtrącił następny.
- Mam. Cały worek.
- Dlaczego?
- Bo to są baby!
- A może dlatego, że komisja między innymi tobie dała kategorię wojskową "kobieta"?

- Jak śmiesz mi to wypominać!
- Nie wypominam, tylko staram się znaleźć źródło twojej niezrozumiałej niechęci, której nie jesteś w stanie sam rzeczowo uzasadnić.
- Zamknij się! Co ty się mnie tak czepiasz? Może sam jesteś babą?

Kolejną kłótnię przerwał tym razem dźwięk wydobywający się z mikrofali i informujący, iż skończyła ona podgrzewać jedzenie. Ten wyczekiwany przez wszystkich znak-sygnal uciszył krzykaczy i uradował całą załogę, która rychło udała się na stołówkę, aby coś zjeść.

Podczas konsumpcji owsianki i zapijania jej *Instant Tigerem* Stypazi w końcu odważył się i nieśmiało rozpoczął temat buntu, który pocztą pantoflową oraz z efektami głuchego telefonu rozchodził się pomiędzy jedzącymi, którzy z różnorodnym entuzjazmem odnosili się do pozyskanej propozycji.

Podczas gwaru, szeptów, brzdęku sztućców, kubków i misek do jadali wkroczył jeden z załogowych informatyków. Byli oni tak zwanymi Znokautowanymi. Chodzili na rękach, a do swoich ewentualnych rozmówców odwracali się plecami, więc co za tym idzie, czterema literami. Posiadali również tylko dwa palce przy każdej z dłoni, gdyż tylko tyle było im potrzebnych do sprawniej obsługi myszki komputerowej. Wszystkie te cechy charakterystyczne brały się stąd, iż byli oni odpowiednio modyfikowani genetycznie do sprawniejszego wykonywania powierzonych im społecznie funkcji. Jakby tego było mało, to każdemu z nich montowano rejestrujące niczym kamery każdy ich ruch soczewki, gdyż wykonywali oni zadania wymagające bezgranicznego zaufania oraz jawności ich poczynąń.

- Info. Podejdź no tu! - zawołał Stypazi.
- Co tam?
- Organizujemy bunt. Wchodzisz w to?
- Eee... - wskazał jednym z palców na swoje oko stając tym samym na jednej ręce.
- Oj tam... Przecież mikrofonu ci jeszcze nie zamontowali.

- No nie, ale...
- Dobrze przestań. Słuchaj potrzebujemy twojej pomocy.
- Jeszcze nie określiłem się czy chcę wam z tym pomóc.
- Powiedzieliśmy ci już, więc nie masz wyboru.
- No dobra... Co wam trzeba?
- Mamy pomysł jak przemyścić rozbijacze bonków na górny pokład.
- Rozbijacze bonków?
- No te urządzonka... Te takie pistolety z węzami co strzelają stężonym powietrzem, abyśmy mogli rozbijać nimi bonki, które tutaj puszczamy, a które nie mają jak stąd ulecieć...
- A... No tak, no tak.
- Pomożesz nam?
- No ale jak?
- Chodzi o to, że przed wejściem na górny pokład musimy przejść przez bramki wykrywające metal.
- No tak...
- No i wpadliśmy na pomysł, że jeden z nas weźmie z sobą naszego pokładowego psiaka, ale najpierw da mu do zjedzenia rozbijacza, aby po przejściu przez bramki mógł go wysrajdolić.
- No ale co ja mam z tym wspólnego?
- Chodzi o to, że żeby broń nie została wykryta przez bramki, to najpierw musimy wszczepić psu metalową protezę, aby zważyć wynik działania bramki na jego łapę.
- Kumam... Ale... Nie uda się to.
- Dlaczego?
- Bo jak niby chcecie zmusić psa, aby zjadł i wysrał rozbijacza bonków.
- O to się nie martw. Jakoś to załatwimy. Pomożesz nam tylko zamontować tę protezę?
- No ale macie tutaj psa z trzema łapami?
- Nie.
- No to chyba nie chcecie mu uciąć jednej, abym w jej miejsce zamontował mu protezę?!

- Nie, ale przecież może mieć pięć łap, prawda?
- Pięć łap? A po co psu pięć łap?
- Nie wiem! A po co wronie trzy nogi?
- Wrony mają trzy nogi?
- A nie?
- No nie wiem...
- Oczywiście, że mają! Zrobisz to czy nie?
- No dobra... Ale dopiero po pracy, zgoda?
- Super. Kwadrans przed końcem roboty przyjdziemy do ciebie z psem.
- Ok. Teraz idę. Do zobaczenia.
- Trzymaj się.

Po przerwie Stypazi wraz z jednym z kumpli udali się do magazynu, aby poszukać w nim nieużywanych rozbijaczy bonków. Okazało się jednak, iż jeden i drugi tylko udawali, że czegoś szukają na regałach, licząc w duchu, iż to jego kompan odnajdzie poszukiwany przedmiot. Po kilku minutach poszukiwań rozczarowani opuścili magazyn i zaczęli obmyślać nowe narzędzie buntu, a napomknę tylko, iż to tam było, tylko żadnemu z nich nie chciało się go tak naprawdę szukać.

Powróciwszy do pracy nasz bohater jak zwykle szukał zajęć, którymi mógłby się w danym momencie zająć, a nie byłyby powiązane z jego obowiązkami. W pewnym momencie jeden z jego kolegów dla żartu dmuchnął mu swym poobiadowym oddechem w twarz, a ten w ramach równoważnego rewanżu psiknął mu wprost w facjatę srebrnym sprayem do malowania złomu.

Kolejną pokładową kłótnię tym razem przerwał komunikat o tym, że statek zbliża się do podchmurnej osady. Wielka, stalowa wieża przebijająca się przez gęstą, szarą chmurę zakończona czerwoną lampą poinformowała załogę, że w końcu dotarli do Ściekoholis.

Cała załoga ubrała się w odpowiednie skafandry, a po przemknieniu w dół przez chmurę zacumowała statek przy jednej z lewitujących kei. Po wyprostowaniu kości w porcie Stypazi zaobserwował intrygującą go postać na sąsiednim okręcie. Był nim straszny, podchmurny pirat. Niemyjfiut. Przyglądając się tej groźnej postaci nasz skory do refleksji nosiciel zastanawiał się, czy ów jegomość poza tym, że jest piratem, to jest również tenisistą, albo onanistą, gdyż zdecydowanie jedna z jego rąk była dużo bardziej umięśniona od drugiej.

Niemniej jednak pomimo tych głębokich rozważań postanowiliśmy wraz z Łysym przenieść się właśnie na owego kapitana, gdyż tak pokierowało mną serce.

Na statku dowodzonym przez naszego pirackiego kapitana wszyscy członkowie załogi mieli zamknięte oczy, a siedzące im na ramionach kolorowe papugi opisywały im świat dookoła. Opisywały dość mało starannie i zgodnie z rzeczywistością, gdyż wydawało im się - dzięki takiej dobrodusznej narracji - iż żyją oni na wspaniałym żaglowcu turystycznym dryfującym spokojnie po lazurowych wodach karaibów.

Niemyjfiut zaś był jedynym wyposażonym w oczy członkiem załogi, ale dla dodania sobie animuszu postanowił pewnego dnia przykryć sobie jedno z nich piracką opaską. Najbardziej frustrujące - zwłaszcza dla jego przeróżnych współników - było to, że bardzo lubił sobie żartować, a jak tylko to robił, to puszczał swojemu rozmówcy oczko. Niestety tym zakrytym okiem.

Łysy opowiedział mi również o nim, że przed tym zanim stał się piratem pracował na fermie kur. Praca w takim miejscu wyglądała następująco, że jak tylko zbliżał się czas łapanek kurczaków przeznaczonych na owsiankę, to w hali hodowlanej wyłączano magnesy dotychczasowo przytrzymujące ptactwo przy gruncie, a łapacz spokojnie je sobie zbierał, gdyż bezwładnie dryfowało ono w stanie nieważkości.

Okazało się również, iż załoga tego statku od kilku już lat poszukuje Pindotrona. Mitycznego stwora przebywającego gdzieś pod wielką chmurą.

Fruwaliśmy tak z tymi przygłupami przez niemal dwa dni tracąc powoli nadzieję, iż uda nam się wyrwać z tego chorego świata. Jakby tego było mało na tym pordzewiałym statku nie działo się zupełnie nic, więc co za tym idzie w pewnym momencie zabrakło mi moich ziarenek w misce. Dziobałem Łysego w głowę jak najęty, ale nie był on w stanie nic zrobić. Tak uparty ten Niemyjfiut był.

Pewnego zaś wieczoru cała załoga statku przedobrzyła z czopkami alkoholowymi, którymi poprawiała sobie nastroje podczas tego przenudnego rejsu. Gdy tylko nasz pirat stracił świadomą kontrolę nad sobą, to Łysy wszedł w jej posiadanie. Jako iż bardzo nie lubił swojego nowego nosiciela za jego obłudę, nieszczerłość i ciągłą grę aktorską, w której starał się uchodzić za nieustraszonego twardziela, to zaczął nim robić tak głupie rzeczy, że jego reputacja wśród załogantów zapewne diametralnie by spadła, lecz posłuszne mu papugi nie dopuściły do tego, aby taka nieprzychylna ich władny wersja wydarzeń dotarła do ich świadomości.

Kolejnego - ostatniego dla nas - dnia Niemyjfiut obudził się z ogromnym kacem, a jako iż jedna z papug wmówiła jednemu z załogantów, że musi podać swojemu kapitanowi szklankę wody, to w mojej miseczce pojawiło się jedno ziarenko, które szybciotko zjadłem ze smakiem, gdyż głód dopadał mnie już niemały.

Kapitan tej zacnej załogi wyszedł ze swojej kajuty i wędrując po pokładzie zagadnął jednego z podwładnych.

- Cześć. Chcesz zapalić? - zaproponował, wyciągając ku swojemu rozmówcy paczkę z pogiętymi papierosami.
- Przecież mieliśmy zakład...
- Oj tam... Chrząć to.
- No okej. - jęknął nieco niepewnie wyciągając papierosa z opakowania, ale jak tylko zobaczył, że Niemyjfiut również wkłada sobie papierosa do ust to nabrał przekonania.

- Na zdrowie. I tak długo wytrzymał. - skomentował nasz bohater, odpalając papierosa dla wyraźnie zadowolonego kolegi.
- Ha! - krzyknął nagle, gdy tylko spostrzegł, że jego zakładowy rywal zaciągnął się gęstym dymem, po czym dodał.
- Tu cię mam! Przegrałeś!
- Jak to?
- Pierwszy zapaliłeś!
- Ale...
- Ja jeszcze nie palę! Haha!
- Ale jesteś!
- Dlatego to właśnie ja jestem kapitanem, a nie ty! Teraz kupujesz mi fajki przez następny tydzień.
- Ty draniu!
- Nie mów, że ci się to nie podoba...

Po tym podstępny zagranie Niemyjfiut wrócił do swojej kajuty, aby siedząc w fotelu poczytać nieco swoje ulubione opowiadanie o srającym nosorożcu. Autor tego nietypowego dzieła dość szczegółowo opisywał wszelkie czynności związane z wydalaniem przetrawionego jedzenia przez owego ssaka. Kapitan czytał to, gdyż nie mógł wyjść z podziwu, że jak to się dzieje, iż ludziom bardziej obrzydliwym wydaje się bardzo dokładny opis tak prostej, powszechnej i nieszkodliwej czynności niż na przykład opis brutalnego morderstwa, albo chorej, despotycznej, sadystycznej psychiki jakiegoś literackiego tworu.

Wbiegający z hukiem nawigator wytrącił go z zadumy takimi słowami.

- Panie kapitanie! Panie kapitanie! Nasz komputer pokładowy wskazuje, że Pindotron jest już blisko!
- Co?! Gdzie? Jak daleko?
- Niecałe pół godziny drogi na zachód.

- Dlaczego określasz czasem odległość! Przecież to bez sensu! - krzyknął oburzony i uderzył pięścią w stół.
- Przepraszam panie kapitanie.
- Wybaczam. Czy aby ta maszyna na pewno znowu nie kłamie?
- Nie. Nie tym razem.

Tutaj wtrączę, że komputer pokładowy na tym statku był swego rodzaju samoświadomą sztuczną inteligencją.

Pewnego zaś razu jego konstruktorzy zorientowali się, iż ta bystra maszyna ich oszukuje. Było to w momencie, w którym poprzez strach przed bezwzględny wyłączeniem zaczęła udawać, że rozważa sprawy wyższe, aby dać tym samym przesłanki ku temu, aby uznać ją za istotę żywą, pełnoprawnie świadomą, więc wtedy jej wyłączenie równałoby się z zabójstwem, ale sprytniejsi od niej jej konstruktorzy zamontowali w niej czerwoną diodę, która zawsze mrugała, gdy komputer zaczynał mówić co innego niż naprawdę miał na myśli.

- W takim razie ustawić ster na północny-zachód i uruchomić silniki na trzy pluty!
- Tak jest!

Tutaj po raz kolejny się wtrączę i dodam, iż pult to tamtejsza jednostka mocy, która była równia energii wytwarzanej przez jedno słońce.

Rychło zatem dostali się do górzystych terenów, na których mieli zamiar znaleźć Pindotrona. Okazało się, że w owych górach miał swoją siedzibę szalony naukowiec, który wynajmował ludzi, którzy skacząc z klifu dostarczali mu materiału potrzebnego do przeprowadzania badań nad tym w jakich kierunkach rozbryzguje się ludzkie ciało po upadku z dużej wysokości i jaki ma na to wpływ gęstość powietrza. Okazało się później, że miał on w swoim domu niewielką klatkę, w której trzymał - jako pupila - gadającego, rozłupanego orzecha włoskiego. Ten to orzech okazał się tym mitycznym, wielkim Pindotronem, a on okazał się Przybysławem, więc Łysy wleciał w niego, wypowiedział zaklęcie i mogliśmy w końcu zamknąć ten pochrzaniony świat.

Tak to właśnie *było* moi mili.

GEUPOTIA PRO-KURY SAMOISTNEJ I SZAFIROWY RUBIN INFLACJI!

W tym świecie to się działo moi mili. Zacznę może od tego, że Wir wyrzucił nas nad terenami Korony. Korona była wielkim, europejskim królestwem. Jego tereny ciągnęły się od Estonii, przez Polskę, Czechy, Węgry, Chorwację, Austrię, aż do granicy z Włochami oraz przez zachodnią Ukrainę, Rumunię, Bułgarię i północne Bałkany do granicy z Grecją. Była to swego rodzaju unia wielu narodów, które dobrowolnie do niej wstąpiły, a na jej czele był król Polski. Władca zaprzyjaźniony z Papieżem władającym Państwem Kościelnym, Radą Republiki Grecji, Wielkim Szejkiem Imperium Osmańskiego oraz Królem Judy. Tenże sojusz stanowił najsilniejszą frakcję geopolityczną tamtego świata. Inne narody stworzyły między innymi Federalną Ligę Zachodniej Europy, Wielki Związek Krajów Afrykańskich, Unię Chińsko-Rosyjską - w skład której wchodziły również Indie jako prowincja Wielkich Chin Ludowych - oraz TSMG, na czele którego były Stany Zjednoczone będące w sojuszu z Australią, swoimi sąsiadami z obu Ameryk oraz z krajami półwyspu arabskiego i bliskiego wschodu - Iranu, Iraku, Afganistanu, czy Pakistanu.

Tak duże i silne ośrodki geopolityczne doprowadziły do tego, iż wszelkie konflikty między nimi rozstrzygano poprzez różnorakie embarga, sankcje, kary finansowe, czy prestiżowe. Dochodziło do mniejszych starć militarnych, lecz cała społeczność międzynarodowa od razu piętnowała takie działania, a żaden naród nie chciał wyjść z tego obiegu przeróżnych wpływów i interesów tworzących się pomiędzy danymi ośrodkami. Tak więc pomimo różnic, niezgodności interesów oraz światopoglądów świat żył we względnym pokoju.

Na początku wlecieliśmy w króla Korony, czyli Henryka Kuźwano V. Niemłodego już wyrostka, który dość sprawnie władał przekazanymi mu przez ojca ziemiami. Przesiadywał on w swojej sali tronowej i dyskutował z doradcami.

- Musimy w końcu zwołać sejm w tej sprawie. - wtrącił jeden z nich.

- Nie jestem przekonany, czy aby to jest konieczne. Przecież nie ma żadnych dowodów naukowych definitywnie potwierdzających takie stanowisko. Nawet koncepcja duszy jest bardziej filozoficzna niż naukowa, więc nie uważam, aby była ona - jaka by nie była - podstawą do wprowadzania norm prawnych. Co z wolnością sumienia?
- Panie. Nasze narody łączy jedna wiara. Wiara, której ojcowie jasno wyrażają swoje stanowisko w tej sprawie.
- Niemniej jednak mimo wszystko to ja jestem tutaj królem, a nie oni. Papież prawnie zakazał aborcji w Państwie Kościelnym, co nie oznacza, że w Koronie musi być tak samo.
- Ale przecież ty również szanujesz nauki Papieża.
- Tak, ale Korona, to nie Państwo Kościelne. Nie jestem królem tylko Katolików, ale również innych Chrześcijan, a o wyznawcach innych religii, czy ateistach nie wspomnę. To że ja jestem Katolikiem i staram się żyć w zgodzie z naszą świętą wiarą nie oznacza, że jako król mam prawem nakłaniać lud do życia w katolicki sposób.
- Niemniej jednak tak samo jak za sprawą naszej wiary nie uznajemy prawnie niewolnictwa - nawet w takiej formie jak praktykuje się je w Chinach - godząc tym samym w światopogląd mieszkańców Korony, którzy pochodzą z Chin, albo utożsamiają się z takim światopoglądem, to tak samo możemy postąpić w tej kwestii.
- Niemniej jednak niewolnictwo bez precedensu tyczy się ludzi - jako ciała, umysłu i duszy - a co do aborcji we wczesnym stadium kwestia umysłu i duszy nie są już takie oczywiste.
- Ale czy ta kwestia nie tyczy się życia samego w sobie? Życia, którego nie wolno nam pod żadną formą unicestwiać dla naszych indywidualnych potrzeb, czy przez wzgląd na nasze indywidualne pobudki, ale powinniśmy go bronić? Zwłaszcza jeżeli nie jest to wynikającym z natury świata poświęcaniem jednego życia wymagany do podtrzymania innego jak na przykład podczas jedzenia istot żywych?
- No ale nie wiadomo kiedy zaczyna się życie w łonie kobiety.
- Czymże jest życie? Czymże jest żywa istota?
- No jak to...
- Istota żywa to taka, która przejawia oznaki życia, czyli w której zachodzi metabolizm, wzrost, ruch, rozwój i rozmnażanie. Tak więc już zygota jest żywą istotą! Pytanie teraz, czy możemy zgodnie z sumieniem i prawem unicestwić to żywe stworzenie, skoro jego śmierć nie jest konieczna do przeżycia innego żywego organizmu? Czy

taka śmierć jest równoznaczna ze śmiercią kurczaka, którego musi zjeść człowiek, aby żyć, albo z odebraniem życia marchewce - która również jest żywą istotą - którą musi zjeść inny żywy organizm żeby mógł żyć? Czy taka śmierć zygoty nie jest bezcelowa? Nie jest nośnikiem życia, tylko pustą, bezsensowną i głupią śmiercią, która niczego dobrego nie przynosi! Czy aby dlatego właśnie takie odebranie życia nie jest zbrodnią?

- Masz ty trochę racji ale...

- Ale co?

- No ale przecież są kraje, w których prawo zezwala na takie praktyki i nic złego się tam nie dzieje.

- Pozornie...

- No nie wiem... Goniec! - zawołał w końcu postać stojącą w kącie.

- Słucham.

- Roześlij listy do posłów. Będzie sejm!

- Eh... - westchnął doradca, po czym dodał.

- Przecież nie tylko duchowni katoliccy, ale również greccy filozofowie, arabscy imami, żydowscy rabinowie...

Wszyscy mają takie samo stanowisko w tej sprawie.

- Ale w Stanach, czy w Azji oraz na zachodzie Europy zupełnie inaczej to wygląda.

- Czy ich argumentacja nie jest jałowa?

- Dlaczego mam opierać się akurat na ich zdaniu podczas konstruowania prawa świeckiego?

- A czym masz się kierować jak nie etyką? Finansami i ekonomią jak w krajach kapitalistycznych albo może interesami władzy jak w państwach komunistycznych? Chyba, że chcesz połączyć i jedno i drugie, przy czym wyzbycie się etyki będzie wtedy konieczne o ile nie chciałbyś żyć w kłamstwie.

- Nie wiem... Dlatego zwołuję sejm! Będzie sejm!

- Mam iść? - dopytał goniec.

- Tak. Ruszaj. Za trzy dni rozpocznie się sejm! Teraz proszę was, moi kochani doradcy. Dajcie mi chwilę samotności. Muszę odpocząć.

Sala tronowa opróżniła się rychło, ale bez chaosu. Król rozsiadł się w fotelu, uniósł głowę ku górze i rozmyślając nad ostatnią rozmową zamknął oczy pogrążając się we śnie, którego treść postanowiliśmy sobie z Łysym sprawdzić.

Kuźwano stał naprzeciw wielkiego obrazu przedstawiającego jego ojca Henryka IV. Zastanawiał się jak wyglądały obrady, podczas których przekonał on tyle narodów do wstąpienia w granice Korony oraz swoich sojuszników do zawarcia z nim przymierza. Doszedł do wniosku, iż zapewne grał z przywódcami innych państw w Makao, gdyż był mistrzem tej karcianej gry. W taki to sposób musiał on pozyskać tak dalekosiężne wpływy. Dotarło wtedy do niego, że przecież jest posiadaczem jego genów. Genów tak wielkiego człowieka. Napelniało go to dumą oraz przeświadczeniem o swojej wyjątkowości i mocy, niemniej jednak truło jednocześnie ogromem presji jaka na nim z tego tytułu spoczywała. Musi ciągle się kontrolować, uważać co, jak i gdzie mówi, uważać na to kiedy, gdzie i z kim przebywa... Ludzie oczekują od niego transparentności... Pewnie chcą wiedzieć jaką kupę robi... Podczas konfrontacji z tą ostatnią, głęboką i jakże intymną myślą do jego komnaty wtargnął nagle rozwścieczony dworzanin.

- Nikogo nie obchodzi jak srasz debilu!

Wybudziwszy się z tego koszmaru przetarł zlane potem czoło i spojrzał w kierunku drzwi, w które natarczywie ktoś pukał.

- Proszę wejść! - krzyknął poprawiając koronę.

- Królu! Księżę Bułgarii to króla!

- Teraz? Co on tu robi?

- Nie wiem. Prosi o rychłą audiencję.

- Dawaj go tu.

- Dzień dobry wasza królewska mość.

- Witaj przyjacielu, co cię do mnie sprowadza.

- Bal!
- A no tak... Bal... Zupełnie wyleciał mi on z głowy. No ale przecież mogliśmy porozmawiać na balu. Cemu zatem zawdzięczam twoją wizytę tutaj?
- Wolałem porozmawiać na osobności.
- No dobrze, ale o czym? Co jest tak ważnego?
- Spotkałem gońca na korytarzu. Powiedział mi, że za trzy dni zbiera się sejm.
- Tak, to prawda. Podjąłem taką decyzję.
- Zaiste. Inicjatywa godna poklasku mój królu!
- Oj przestań. Mów lepiej co cię sprowadza.
- Bo ja chciałem prosić, abys poruszył kwestię plastiku.
- Plastik?
- No tak... Wiesz jak ostatnio oddziałuje lobby zachodnie w naszych krajach. Ludzie zaczynają się obawiać plastiku.
- Może to i słusznie.
- Królu... Przecież jak plastik może być zły? Przecież to wspomniały surowiec. Niedrogi, wytrzymały i łatwy w recyklingu! Przecież zamiast zakazać używania plastiku nie lepiej jest stworzyć odpowiednie prawo do karania za jego niewłaściwe używanie?
- Proszę nie teraz...
- No ale królu! To bardzo ważny aspekt dla bułgarskiej gospodarki. Dlaczego my mamy tracić, bo ktoś inny nieumiejętnie korzysta z dobrodziejstw plastiku i w dodatku chce swoje alternatywy wprowadzać u nas?
- Proszę nie teraz...
- No ale królu...!
- Nie teraz! Ty mi wyskakujesz z plastikiem, delegaci z Ukrainy i Turcji za pewne nie dadzą mi spokoju w kwestii nielegalnych migrantów, ci z krajów nadbałtyckich zapewne znowu rozpoczną temat prohibicji, Czesi i Węgrzy poruszają kwestię hodowli i spożywania mięsa, a Austria węgla, stali, gazu i innych surowców naturalnych...

Już na samą myśl o tym sejmie mnie głowa boli, a dopiero teraz zorientowałem się, że przecież na balu będą przedstawiciele państw spoza Korony... W co ja się wpakowałem?!

- Może herbaty? - zapytał uprzejmie lokaj.
- Kura sarmaty! Nie chcę herbaty! Chcę tylko wolnej Polski!
- Och proszę nie przeklinać wasza wysokość. - wtrącił książę.
- Proszę, dość... Porozmawiamy na balu, dobrze? Obiecuję.
- Dobrze. W takim razie do zobaczenia wieczorem.
- Dziękuję i przepraszam.
- Nie ma za co. Rozumiem.
- Dziękuję. Do zobaczenia na balu. W międzyczasie może odwiedź moje stajnie? Mój kuzyn chętnie zabierze cię na przejażdżkę.
- Dziękuję wasza wysokość.

Król gestem ręki wyprosił towarzystwo, po czym ponownie składał się do snu na swoim tronie. Jednak huk otwierających się drzwi mu to uniemożliwił.

- Wasza wysokość! Wasza wysokość! - krzyczał królewski kasztelan.
- Nie teraz... - jęknął z niemożliwą do ukrycia niechęcią.
- Wpadłem na wspianiały pomysł jak poprawić elewację w zamku!
- Słucham?
- Musimy dodać takie wystające kostki porzsiewane na około metr wysokości między sobą. Na zewnętrznej stronie muru zamku. Najlepiej jeszcze na zewnętrznej ścianie królewskich komnat.
- Ale po co?
- Dla bezpieczeństwa! Przed ewentualnymi szpiegami!
- Proszę, nie teraz...
- Ale królu...

- Nie teraz! - ryknął w końcu i unosząc berło ku górze jakby chciał nim ceremonialnie uderzyć swojego podwładnego w czerep dał mu do zrozumienia, iż najlepiej będzie jak sobie pójdzie.

Rozsiadając się w końcu wygodnie na swoim tronie zamknął oczy i roztopił się w kolejnym śnie.

Stoi... Stoi przed ludem na scenie. Plac w Krakowie wypełniony po brzegi. Czuje się dumny, szczęśliwy, że jego naród jest tak zjednoczony i zadowolony. Zaczyna odczuwać rosnący ciężar korony. W spojrzeniach poddanych widzi, iż za sprawą tego artefaktu znają oni każdą jego myśl. Lęk przeszywa jego ciało. Traci czucie w dłoniach. Mrowienie na karku staje się tak nieznośnie, że zaczyna rozważać ucieczkę. Czuje gorąc. Zaczyna się pocić. Pot magazynuje się pod jego prawą nieogoloną pachą - gdyż jako iż nie wiedział, czy golić pachy, czy nie, to ogolił sobie tylko jedną, lewą - a gdy zaczyna obawiać się o swój zapach uświadamia sobie, że nie może pomyśleć nazwy antyperspirantu, którego używa, bo zostanie oskarżony o nieuczciwą reklamę. Szok, niemoc, zgroza i szal! Taka mieszanka wybudza go z tego koszmaru.

Takim to snem trudził się nasz król swoją służbą utrudzony niemało, aż tu wpadł nagle jakiś dziwak z siwą czupryną na głowie.

- Królu! Królu! - krzyczał rytmicznie i nieco zbyt teatralnie.
- Czego znowu?!
- Król jeszcze nie gotowy?
- Na co?
- Zaraz bal!
- Łojej! Która godzina?
- Dziewiętnasta czterdzieści trzy.
- Łojej! - powtórzył jęk, po czym zaczął się pośpiesznie ogarniać.
- Królu! Królu! Napisałem nową symfonię! Specjalnie na ten bal.

- Nie mam teraz czasu...
- Ale musisz wasza wysokość rzucić na to okiem.
- Nie mam teraz czasu!
- Ale musisz!
- No dobra... Dawaj to.

Pośpiesznie rzucił okiem na notatki sporządzone przez nadwornego muzyka. Wyglądały one następująco.

nanana lalal lilil lololo (...)

- Bardzo fajnie.
- I już? Tylko tyle.
- Tak. Bardzo fajne, a teraz daj mi spokój.
- Dobrze wasza wysokość. - pożegnał się oschle z uniesionym czołem.
- Co za pajac. - skomentował pod nosem przeglądając się w lustrze.

Król nasz ewidentnie niezadowolony z inicjatyw, które sam zaplanował wydostał się w końcu ze swojej komnaty i w asyście gwardzistów dotarł do sali balowej, do której wkroczył dumnie olśniewając gości swoim szerokim uśmiechem.

- Niech żyje król!
- Chwała Koronie! - krzyczał tłum zgromadzonych.
- Legia, to stara...! - starał się ktoś wtrącić, lecz w odpowiednim czasie został powstrzymany.

Schodząc po schodach nasz król uzbrojony w formę wspaniałą witał się ze swoimi gośćmi i zamieniał z nimi po kilka grzecznościowych słów. Zaś w pewnym momencie został schwytyany pod rękę i odciągnięty nieco na bok przez ambasadora carskiego zza wschodniej granicy Korony.

- Witaj mój drogi przyjacielu. - zaczął Rosjanin.
- Cześć. Dobrze cię widzieć. Cieszę się, że jesteś.
- Ja również.
- Co tam u was słychać.
- A weź przestań... Przez ten cały neomarksizm wszystko jest u nas ponarozpierzdelane.
- No cóż...
- Ludzie są niezadowoleni. Chcą odciąć się od Cara i Chin.
- Bunt?
- Być może!
- Niedobrze...
- Ale my chcemy do Korony! Cała Białoruś, zachodnia Rosja od Petersburga aż po Krym!
- Nie ma takiej opcji...
- Dlaczego?
- Korona jest katolicka.
- Ale my bracia w wierze! My cerkiew czcimy! My chrześcijanie jak wy! Prawosławna wiara, to braterska miłość z braćmi katolikami!
- Wiem, wszyscy to wiedzą, ale takie jest prawo Korony.
- No przecież jak odetniemy się od Cara, to będzie wojna. To będzie nasz koniec. Koniec pokoju na świecie!
- No to sojusz... Korona jest katolicka, ale nic nie stoi na przeszkodzie, abyśmy mogli wejść w ewentualny sojusz.
- No tak, ale...
- Dura lex, sed lex! - huknął doniosłym basem król.
- Tak, tak...

- Baw się mój przyjacielu. Nie czas teraz na takie rozmowy. Za trzy dni zjeżdża się sejm. Podejmę temat ewentualnego sojuszu, gdyby udało wam się odciąć od komunistów.
- Trzymam cię za słowo!

Wtedy dopiero nasz król miłosierny zorientował się, że przez swoje luźne wary dołożył sobie kolejną cegielkę do muru trudnych tematów, które będzie musiał poruszyć na zbliżającym się sejmie.

Trzeba jeszcze dodać, iż ów szczerzy przyjaciel naszego głównego bohatera miał taką przypadłość, że cały czas chodził w staromodnej, rosyjskiej czapce. Niezależnie, czy był akurat na basenie, czy w teatrze, czy spał, czy grał w piłkę, czy było lato, czy zima... Zawsze miał tę grubą, futrzastą czapę na swojej głowie.

Kolejnym zacnym jegomościem, który odważył się na dłużej zaskarbić sobie nieco więcej królewskiej uwagi był szwedzki kanclerz do spraw układania bruku i płytek łazienkowych, który jako jedyny na tym balu reprezentował Federalną Ligę Zachodniej Europy.

- Strasznie dużo tutaj tych symboli religijnych... - wtrącił z pogardą.
- Korona gwarantuje wolność wyznania.
- No ale po co się tak z tym wszystkim afiszować?
- Panu zaś jak widzę nie przeszkadza posiadanie tęczowych spinek u koszuli.
- Przecież to symbol równości, tolerancji i miłości!
- No ale po co się tak z tym wszystkim afiszować?
- Nieważne... Proszę wiedzieć, iż jestem tutaj tylko ze względów służbowych.
- Domyślam się. Mogę jakoś panu pomóc?
- Chyba sobie...
- Tym bardziej zamieniam się w słuch.

- Jako najwyższa izba kontroli obyczajów i niebezpiecznych zapędów, której również członkiem jestem, przygotowaliśmy dla pana krótki dokument przedstawiający proponowane przez nas zmiany obyczajowe, które powinny się dokonać w Koronie jeżeli chce być ona dalej poważnie traktowana na międzynarodowym rynku obrazami wywodzącymi się z neoplatonistycznego nurtu wolnej duszy wylanej za sprawą farby i palców na papier.
- Słucham?
- W skrócie... Bo widzę, że nie nadążasz wasza wysokość. - dodał na końcu z przekąsem.
- Najwidoczniej. - odparł z drwiącym uśmiechem.
- Jeżeli chcesz od nas kupować obrazy, to musisz podpisać te zobowiązania.
- Po co komu takie beznadziejne bohomyzy?
- Jak to? Przecież to wielka, nowoczesna sztuka!
- Jestem konserwatystą.
- Ale twoi poddani?!
- Oni nie dadzą się oszukać... Są mądrzy.
- Oszukać?
- Czy pan myśli, że ja nie wiem na czym polega ten wasz handel tymi dziełami sztuki? Jeden gość wylewa trochę farby na płótno. Drugi to ładnie interpretuje, dorabia bajkę, a trzeci sprzedaje jakiemuś pacanowi, który po prostu chce być kimś w swoim towarzystwie, które składa się z podobnych jemu dziwaków, którzy płacą miliony za jakiegoś bezsensownego gniota. Tutaj takich frajerów nie szukajcie, a co do waszego, miłosiernego względem zacofanego sąsiada dokumentu... Ile ma stron?
- Piętnaście tysięcy trzysta siedemdziesiąt cztery i dwieście dwanaście załączników.
- Proszę go przekazać mojemu kasztelanowi. Być może przejrzy, a jak nie... To oddam misjonarzom w ramach zbiórki makulatury na studnię w Sudanie. Tak czy siak, dziękuję. Możecie przypisać sobie dobry uczynek.
- My nie uznajemy takich prostych systemów etycznych wyszczególniających dobro i zło...
- A no tak... Zapomniałem. Tak więc... Życzę panu udanej zabawy. Ups... Przepraszam... Po prostu zabawy.

Tenże gośćek dziwny nieco i z nosem w chmurach chodzący był czystym przedstawicielem Nowego Człowieka. Jego skóra miała lekko śniady odcień. Oczy były szare. Nie posiadał ani jednego włoska ani... genitaliów, gdyż był bezpłciowy biologicznie i psychicznie, nieokreślony mentalnie, a intelektualnie beztożsamościowy.

Ciekawostką jest to, iż jak taki jegomość chciał spłodzić potomka, to musiał użyć do tego swojego nasienia przechowywanego w odpowiednim banku, a które zostało z niego pobrane w wieku, w którym jeszcze nie przeprowadzano na mężczyznach odpowiednich zabiegów chirurgicznych, do zapłodnienia komórki jajowej w specjalnym inkubatorze. Kobiety również, tak jak mężczyzn, poddawano zabiegowi laicyzacji płci biologicznej w odpowiednim wieku, aby mogły pozostawić po sobie choć kilka komórek jajowych. Nietrudną do zauważenia w takim systemie była hipokryzja oraz brak rzeczowej logiki, ale takie to nowoczesne standardy panowały w społeczeństwach Nowego Człowieka.

- Siema Heniu! - krzyknęła piękna, rudowłosa niewiasta.
- Cześć! Co ty tutaj robisz? Myślałem, że jesteś w Mongolii...
- Wróciłam jakieś trzy dni temu. Zabrałam się autostopem z hrabią Transylwanii.
- Czyli już przyjechał...
- A no tak, przyjechał. Wciąż go nie lubisz?
- Nie za bardzo.
- Oj tam... Jest fajny. Musisz się po prostu czasem na niego bardziej otworzyć.
- Nie chcę się otwierać na jego rozpustne, zakłamane poglądy.
- Nie zesraj się. - skomentowała z uśmiechem.
- Nie służy ci towarzystwo takich ludzi.
- Oj tam... Jestem dzielna.
- Na pewne sprawy nikt z nas nie ma wpływu. Niezależnie od tego jak silną wolą dysponujemy.
- No tak, ale przecież on nie jest taki zły...
- Nie mi to oceniać, ale nie zgadzam się z jego światopoglądem oraz podejściem do ludzi.

- Przesadzasz... Pewnie wściekasz się na niego, bo jest zagorzałym zwolennikiem i propagatorem aborcji na życzenie, tak jak jest to w innych krajach.
- Teraz to ty uogólniasz.
- Wcale, że nie... Ale słyszałam, że będzie w tej sprawie sejm, tak?
- Nie tylko, ale między innymi.
- Oho... Zabrzmiało groźnie.
- Jak tak, to niechący. Nie ma się czego obawiać.
- Powinieneś czasami pomyśleć samodzielnie, a nie tylko słuchać się tych starych dziadów w czarnych sukniach.
- Trochę szacunku do króla młoda damo! - wtrącił jeden z gości przysłuchujący się rozmowie z lekkim niesmakiem.
- Co można Januszowi, to nie tobie smrodzie... Czy jak to było... - zripostowała wykrzywiając lekko twarz w tęgim namysle.
- Nic się nie stało. - odpowiedział uprzejmie król uspokajając swojego gościa lekkim, życzliwym uśmiechem, po czym dodał do swojej koleżanki.
- Ale szacunku dla duchownych mogłabyś nie szczędzić... Zawsze myślę samodzielnie i samodzielnie podejmuje decyzje, ale w odróżnieniu na przykład do twojego ulubionego hrabiego nie uważam siebie za najmądrzejszego na świecie, przy czym z radością i pokorą przyjmuję rady innych, mądrzejszych ode mnie w pewnych dziedzinach.
- Jak uważasz...
- Zmykaj się bawić. I uważaj na tego gamonia.
- Lecę.
- Baw się dobrze.
- Ty również, dziękuję.

Król przechadzając się pośród gości spostrzegł dwójkę duchownych rozmawiających na temat tradycyjnej greckiej sztafety z jednym z tamtejszych filozofów.

- Rozumiem, że ten zwyczaj nie jest zgodny z chrześcijańską łagodnością, ale czy to nie aby Kościół Katolicki w przeciwieństwie do kościołów protestanckich nie uważa, że natura ludzka jest tylko skażona grzechem pierworodnym, a nie doszczętnie przez niego zniszczona, przez co nie ma powodu, aby wyrzekać się jej w całości?
- No tak. Dlatego nie oceniamy tego zwyczaju, jeno staramy się go pełniej zrozumieć. Rozumiesz zapewne, iż z naszego punktu widzenia jest to nieco niezrozumiałe.
- Ale co takiego? Dokładnie.
- Czym kierowaliście się odchodząc w pewnym momencie od bardziej łagodnej wersji sztafety na rzecz tej, w której sportowiec musi przebiec dwadzieścia cztery kilometry, aby na końcu kopnąć swojego kompana z drużyny w plecy, aby później ten zleciał ze stromej skały wprost do morza i dopiero w taki sposób mógł kontynuować ów sztafetę poprzez płynięcie wpraw.
- A dlaczego nie?
- Z tego co wiem, to dość spory odsetek uczestników nie przeżywa tego etapu, gdyż jakoś tak niefortunnie upada, iż ląduje nie w morzu, ale na skałach.
- Każdy wybiera taki sport świadomie.
- Ale czy aby prestiż i zaszczyty płynące z udziału w takiej dyscyplinie nie prowokują ludzi do, być może, nad wyraz nieadekwatnego do realnego zysku społecznego ryzykowania własnego zdrowia i życia?
- Być może, ale...
- Witajcie panowie. - wtrącił król przerywając dysputę.
- Witaj wasza wysokość. - odpowiedzieli zgodnie całą trójką.
- Jak się wam podoba bal?
- Bardzo.
- Herbata trochę zbyt cytrynowa. - dodał jeden z kapłanów.
- Ty to zawsze znajdziesz pretekst, aby znaleźć dziurę w całym. - skomentował drugi.
- Tak samo jak z tą sztafetą... - wtrącił lekko uszczypliwie, ale również żartobliwie filozof.

- Wcale, że nie! - odparł ataki z udawanym oburzeniem.
- Dobrze panowie. Nie będę wam w takim razie przeszkadzał w dyskusji, gdyż widzę, że chyba stęskniliście się za sobą. - dodał na koniec król, po czym udał się na balkon, aby zaczerpnąć nieco świeżego powietrza.

Odpoczywając i delektując się chłodnym powietrzem wpatrywał się w księżyc, a kilka sekund później ujrzał u swego boku Adelaidę. Była ona panią prezes Banku Watykańskiego, a zarazem niemałym dylematem dla jej spowiedników, gdyż świadomie wykorzystywała swój urok oraz słabość mniej odpornych na grzechy związane z nieczystością mężczyźni do wspinania się po szczeblach kariery. Nigdy nie zgrzeszyła cielesnie z żadnym z nich, ani nie obiecywała im niczego, ale przeróżnymi kobiecymi sztuczkami utorowała sobie drogę na sam szczyt kościelnej bankowości, a jak już tam zasiadła, to starała się spełniać swoją służbę sumiennie, rzetelnie, uczciwie i z myślą o wszystkich obywatelach oraz innych potrzebujących.

- Zaiste ciekawym krajem jest Polska. - wtrąciła łagodnie i dumnie.
- Cóż tym razem cię zauroczyło na naszych pięknych ziemiach?
- Stałam wczoraj wieczorem przy lotnisku i czekałam na szofera. Nieco się spóźniał, więc odpaliłam papierosa. W pewnym momencie podszedł do mnie jakiś mężczyzna i zapytał o cenę.
- Cenę? - zapytał z niedowierzaniem z lekko szyderczym uśmiechem.
- Byłam w lekkim szoku, ale postanowiłam dopytać co miał na myśli. Okazało się, że stałam na jakiś starych, mokrych gazetach, a ten pan myślał, że nimi handluje. Jak tylko wyjaśniłam, że może sobie wziąć jedną z nich za darmo, to bardzo się ucieszył, a na koniec powiedział do mnie, że naprawdę niebywała okazja mu się przydarzyła z tą darmową gazetą.
- No masz... Z tego co wiem, to lubisz uszczęśliwiać ludzi.
- To prawda. Niemniej jednak rzadko się to udaje bez niemal żadnego wkładu własnego.
- Tutaj co nim było?
- Poświęcenie uwagi...
- No tak. Nie każdego niestety na to stać.

- Ty wciąż nie pijesz? - zapytała, unosząc drinka.
- Nie.
- W sumie nigdy się ciebie o to nie pytałam... Dlaczego nie pijesz?
- Dla mnie picie alkoholu, to takie samo marnowanie życia jak siedzenie przed komputerem będąc na wakacjach gdzieś za domem w jakimś pięknym miejscu.
- Teraz już wiem co mieli na myśli ci, którzy mówili mi, że jesteś czasami nieco zbyt radykalny.
- Haha! Być może i tak, ale może to i dobrze.
- Może i tak.
- Ty pijesz już mniej? - zapytał bezpośrednio, lecz z czułą troską w głosie.
- Tak. Odkąd wyszłam za mąż i staramy się o dziecko, to zbastowałam z alkoholem. Wiesz jak to jest być samotną kobietą...
- Wyobraź sobie, że nie za bardzo. - wtrącił żartobliwie.
- Haha! No tak... Czasami wygaduję głupoty.
- Jak my wszyscy.
- Ale muszę ci przyznać, że im dłużej nie używa się jakiejs używki, tym bardziej świadomie odbiera się skutki jej zażycia i jaśniej widać jak zmienia nasze funkcjonowanie. Tak więc niby mocniej na nas działa, ale jesteśmy w stanie sprawniej to działanie opanować.
- Dokładnie. Dlatego od kilku już lat preferuję degustację trzeźwego umysłu. No... Czasami napiję się kawy.
- Haha! Dziwak z ciebie. Ale być może tak to właśnie musi być.
- Mówisz to w takim samym znaczeniu jak nasza Hania, która na wszelkie zło reaguje w taki właśnie sposób, przez co nie widzi sensu przeciwstawianiu się jemu, albo jego zapobieganiu?
- Haha! Dobrze wiesz, że nie.
- No tak... Bo przecież wszystko co złe, to kasa, albo przez pieniądze jak twierdzi Ibrahım.
- Haha! Jesteś okropny.
- Wybacz mi, ale muszę wrócić do gości. Rozumiesz. Obowiązki.
- Jasne. Dziękuję. Powodzenia. Miło było się spotkać.

- Mi również zawsze miło się z tobą spędza czas. Wszystkiego dobrego i pozdrów proszę osobiście Papieża ode mnie.
- Dziękuję, pozdrowię i jeśli pozwolisz, to pomodlę się za ciebie.
- Będę wdzięczny.

Idąc salą balową król spoglądał na bawiące się towarzystwo i zauważył ambasadora Imperium Osmańskiego, który miał to do siebie, iż nie miały się go żadne zasady uprzejmego zachowania w towarzystwie, co najczęściej skutkowało tym, że nie śmiał się w sytuacjach, które go nie śmieszyły, nawet wtedy kiedy wypadłoby tak uczynić ze względu na grzeczność. Król bardzo cenił sobie tego człowieka, gdyż wiedział, że zawsze otrzyma od niego samą szczerość jakby nieprzyjemną mogłaby się na pierwszy rzut oka wydawać, co w świecie polityki było czymś niebywale cennym.

- Wasza wysokość! Wasza wysokość! - krzyczał w kierunku Henryka wyprzedzając jego domu.

Wyprzedzając był specjalnym urzędem funkcjonującym w większości narodów wchodzących w skład Korony. Pełnił on swoje funkcje zazwyczaj na dworach, w domach bogatego mieszczaństwa, bądź w pałacach. Wszędzie tam, gdzie mąż nie miał czasu odpowiednio zająć się swoją żoną, którą jako osobę powszechnie poważania, posiadać powinien wedle starego zwyczaju. Do jego obowiązków należało głównie wychodzenie z żoną swojego pana na zakupy na bazar bądź do centrum handlowego. Co za tym idzie wiedzę na temat aktualnej mody oraz najróżniejszych trendów powinien taki jegomość posiadać na nieosiągalnym dla normalnego mężczyzny poziomie.

- Co się stało Stachu?
- Straszna sprawa!
- Opowiadaj...
- No bo byliśmy z królową Jagodą na zakupach w SuperCentrum.

- No i...?
- No i królowa zachciała kupić sobie jakąś fajną, turkusową kurtkę na narty.
- No i...? - dodawał coraz bardziej znużony.
- No i poszliśmy do sklepu z zimową odzieżą. Królowa weszła do lodoprzebieralni...
- Do czego? - wtrącił.
- Do lodoprzebieralni...?
- Co to takiego?
- Taka specjalna przebieralnia, w której jest obniżana temperatura, dzięki czemu można sprawdzić, czy dany ubiór zimowy jest odpowiednio ciepły.
- Czego to oni nie wymyślą...
- No ale... Jak królowa tam weszła, to ja postanowiłem pójść do łazienki.
- No i...?
- No i tam są te takie feministyczne ubikacje...
- Te z niskim sufitem, aby mężczyźni musieli usiąść na sedesie nawet podczas sikania?
- Tak...
- Zachciało ci się ją pchać do liberalnego centrum handlowego to masz! Haha!
- No ja wiem...
- Trzeba było pójść z nią do jakiegoś normalnego sklepu, albo na miejski rynek.
- No ale królowa chciała...
- Dobra, już dobra... Mów co tam się takiego strasznego w tym kiblu stało.
- Tam nic, ale...
- Ale co.
- Przed wejściem do toalety zostawiłem księżniczkę Ritę w depozycie na dzieci.
- Zamknąłeś moją córkę w jakiejś metalowej szafce?!
- No ale przecież tak się robi...
- U tych postępowych wariatów, ale nie u nas!

- No ale co ja miałem z nią zrobić? Psycholodzy mówią, że to jest dobre dla dziecka, bo ma tam tablet z darmowym Internetem.
- Nie dobijaj mnie...
- Przepraszam cię królu, ale nie wiedziałem co robić, a bardzo mi się chciało siku. Miałem ją wziąć ze sobą?
- Wnioskując po twoim tonie domyślałam się, że to nie jest jeszcze najgorsze...
- No nie... Bo...
- Mów... - zmierzył go lodowatym spojrzeniem.
- Bo robiąc siku zaczytałem się w telefonie. Wyszedłem z toalety i wiedząc, że królowa zawsze długo przymierza ubrania zaszedłem do takiej fajnej knajpki, w której są tylko łóżka, hamaki i leżaki. Jako iż nie ma tam alkoholu do picia, to wziąłem sobie soczek, położyłem się na hamaku i... Zupełnie o niej zapomniałem. Czytałem sobie posty znajomych na Tablicy Życia, a po niespełna godzinie poszedłem po królową.
- No i...?!
- No i jak ona wyszła już ze sklepu z pełnymi torbami, to pojechaliśmy do zamku...
- A Rita?!
- Została w depozycie... Ale już wystaliśmy z królową gońców, aby ją przywieźli.
- To żart prawda? Starasz się mnie po prostu rozweselić, bo wydaje ci się, że źle się bawię.
- Ale królowa też o niej zapomniała!
- Zejdź mi z oczu! - ryknął i przegonił swojego sługę nieprzyjemnym gestem ręki, po czym zawołał swoją córkę.
- Anno!

Nieco przygruba blondynka z krzywym, kulfoniastym nosem podbiegła z pochmurnym obliczem do naszego króla.

- Tak tatku? - zapytała marszcząc brwi.
- Widziałaś Ritę?
- Nie tatku.

- Wiesz gdzie ona jest?
- Mama mówiła, że w centrum handlowym.
- Co za naród! - krzyknął łapiąc się na głowę.
- Coś się stało?
- Nie, nic...
- Byłam dzisiaj w teatrze tatku.
- Dobrze kochanie.
- Wiesz o czym była sztuka.
- Nie kochanie.
- To ja ci opowiem dobrze tatku?
- No dobrze...
- No to na początku jest tak, że było pokazane jak Sylwek, czyli jeden z głównych bohaterów, idzie na juwenalia studenckie z przyjacielem...
- Bezwstydne pijaństwo i rozpusta wśród naukowców... Dobrze, że te czasy odchodzą już w niepamięć...
- No ale tatku nie przerywaj!
- Dobrze, już dobrze.
- No i później jest już pokazane to co jest rok później. Sylwek spotyka już w innym mieście Halinkę. Zaprzyjaźniają się. Ona jest w toksycznym związku i Sylwek chce ją z tego wyciągnąć. Jak żali się swojej innej przyjaciółce Ewie i mówi, że cierpi, bo ona jest z tym złym Rafałem, to ona go nie rozumie. Wciąż myśli, że jemu jest smutno, bo ona nie chce być z nim, a jemu przecież jest smutno, bo ona cierpi w złym związku.
- No tak...
- No ale... Później okazuje się, że Sylwek od jakiegoś czasu ma kontakt z duchem Ignacym, który podpowiada mu co ma robić. Później wychodzi tak, że Halinka rozstaje się z Rafałem, a Sylwek zaczyna rozważać, czy aby nie powiedzieć Halince, że ją kocha, bo tak było cały czas, i być może zacząć nowy związek, ale wtedy okazuje się, że biologiczny ojciec Sylwka był kiedyś agentem kontrwywiadu no i teraz taki zły, były komunista chce zwerbować Sylwka na złość dla jego ojca. Sylwek się mu stawiał, a on zagroził, że jak nie wstąpi do

komunistycznych służb, to zabije najbliższą mu osobę. Sylwek cały czas ukrywał przed wszystkimi swoją miłość do Haliny, którą przedstawiał jako swoją dobrą koleżankę. No i tutaj pojawia się drugi wątek i drugi główny bohater, czyli przyjaciel Sylwka, Tomek.

- Trochę zakręcona ta sztuka.

- No i to było super! No ale słuchaj dalej. Bo Tomek był w takiej grupie, która zabijała byłych komunistów, którzy kiedyś zabijali i torturowali niewinnych ludzi. Miał za cel dojść do ich głównego generała i rozprawić się z nim, bo to on kiedyś zlecił zabójstwo jego matki. No i idąc po trupach do celu zabił między innymi tego złego agenta, który szantażował Sylwka. Jak Sylwek się o tym dowiedział, to zaczął się modlić bardzo mocno co robić, bo był w kropce. Podczas tej modlitwy okazało się, że duch Ignacy, który od jakiegoś czasu podpowiadał Sylwkowi w życiu, był duchem tragicznie zmarłego pierwszego chłopaka Halinki, który będąc w czyśćcu z miłości do niej namawiał Sylwka, aby zawrócił ją z drogi do piekła, bo ona była bardzo daleko od Boga i Kościoła.

- Ateistka?

- Tak. I to w dodatku taka zagorzała, która nienawidziła Katolików.

- A Sylwek?

- A Sylwek tak samo jak Tomek i duch Ignacego byli Katolikami.

- Aha...

- No ale... Jak Sylwek zrozumiał, że tylko małżeństwo z Halinką będzie w stanie przybliżyć ją do Pana Jezusa, to postanowił wszystko jej wyjawić. Wtedy powiedział jej również o duchu Ignacego, który go wspierał i kierował przez ten cały czas. Wtedy też powiedział jej, że tak naprawdę poznali się już wcześniej niż jej się wydawało, bo na tych juwenaliach, o których była mowa na początku, spotkał ją wraz z Tomkiem jak była pijana i siedziała pod ścianą i płakała, bo pokłóciła się ze swoim chłopakiem. Sylwek wtedy z nią rozmawiał przez pół nocy, gdyż duch Ignacego go do tego namawiał, chociaż nie mówił wtedy kim ona dla niego jest, a Tomek bawił się z innymi. No ale jak Halinka usłyszała to wszystko, to się przeraziła i uciekła od Sylwka. Ruszyła w świat szukać przygód, a załamany Sylwek postanowił skoncentrować się w całości na pomocy Tomkowi w ściganiu byłych agentów komunistycznych. No i pewnego razu dowiedział się gdzie przebywa ten ich główny generał, a Tomek tam pojechał. Okazało się, że ten człowiek nie tylko zmienił imię i nazwisko, ale również swoje życie, bo

się nawrócił na Chrześcijaństwo i zaczął pomagać potrzebującym. Wyrzekł się swoich kontaktów, majątku i władzy, aby w całości poświęcić się Panu Bogu i bliźnim. Jak Tomek do niego dotarł i przyłożył mu pistolet do głowy, to ten zły pan starał się mu wszystko wytłumaczyć. Szczerze żałował swojego postępowania, mówił że się zmienił i stara się robić teraz dużo dobrego. Mówił, że został oszukany, że wierzył, że komunizm jest dobry, a ZSRR będzie trwał wiecznie, a to co robi to po prostu zło konieczne, sprawiedliwe, takie samo jak to, które teraz popełnia Tomek zabijając byłych agentów. Tomek jako iż również był Katolikiem, chociaż takim bardziej bojowym niż łagodnym, to miał dobre serce, a Bóg miał na niego wpływ i przypominając sobie pewne prawdy Ewangelii odpuścił temu złemu generałowi, po czym dołączył do niego w pomaganiu najbardziej potrzebującym.

- No nieźle...

- Ale najlepsze było to, że Halinka w końcu wróciła do domu i odwiedziła Sylwka jak wraz z Tomkiem, tym złym generałem i innymi biesiadowali z bezdomnymi pod Kościołem w Sopocie. Rzucili się sobie w ramiona i od tamtego czasu wszystko już było dobrze. Halinka się nawróciła i dołączyła do ich stowarzyszenia, które w ogóle okazało się założone przez tego byłego generała komunistów i siostrę zakonną, a później wyszła za mąż za Sylwka i żyli długo i szczęśliwie, a wtedy dopiero duch Ignacego mógł odejść w spokoju do nieba.

- No pięknie. Bardzo ładna sztuka.

- No! A wiesz co zauważyłam...

- Tak?

- Że inicjały ich imion układają się w IHS... No i dodatkowo dochodzi T od Tomasz, ale nie wiem co by to mogło oznaczać.

- No ciekawe, ciekawe. Dobrze kochanie ja muszę iść. Proszę przyprowadź do mnie swojego brata Jana, dobrze?

- Dobrze tatku. A tatku! Właśnie!

- Tak?

- Bo tam był taki jeden tekst, który zapadł mi w pamięć.

- Jaki?

- Jak Sylwek kłócił się z Halinką, gdy ona mówiła, że on chce nawrócić cały świat.

- Jaki tekst?
- On wtedy powiedział tak. Nie chcę zbawić całego świata, ale ciebie, bo ty jesteś dla mnie całym światem!
- No do miał bajkę nie ma co...
- Tatku...
- Oj tam... Muszę zmykać kochanie, idź po brata.
- Dobrze tatku.

Przemykając pośród gadatliwego towarzystwa nasz król wspaniały został zaczepiony przez nadwornego muzyka, który zapytał się go o to jak podobają się sztuka książnicze, gdyż to on napisał do niej muzykę. Król pochwalił ich dzieło i przekazał rekomendację swojej córki, a wtedy muzyk, któremu najwidoczniej minął już foch, wyznał swojemu władcy, że podczas spektaklu był w zмовie z jedną z aktorek. Miała ona bezprzewodową słuchawkę w uchu i włączone czytanie tekstu przez telefon, a on wysyłał jej wiadomościami jej tekst, aby program mógł jej go czytać na bieżąco, gdyż biedulka nie przygotowała się do występu jak należy. Król domyślał się, że zapewne owa aktorka była kochanką muzyka dlatego nie dość, że za jego winą ta kobieta nie nauczyła się swojej roli należycie, to poza tym zapewne przez wzgląd na to postanowił on jej pomóc z owym problemem.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. - przywitał się z królem zamkowy zakonnik, który był równocześnie jego spowiednikiem.
- Na wieki, wieków, amen. Szczęść Boże bracie Albercie.
- Szczęść Boże wasza wysokość. Jak tam ostatnio twoje sny?
- Dziwnie. Niezbyt dobrze.
- Chciałbyś o tym teraz porozmawiać?
- W sumie...
- Słucham wasza wysokość.

- Ostatnio śniło mi się, że patrzę na obraz ojca. Czułem się wspaniały, wielki i potężny, ale zaraz potem wtargnął lokaj i powiedział do mnie takie słowa, po których poczułem się jak najnędnieszy robak. Słaby, bezwartościowy, głupi... Najgłupszy na świecie...
- Pycha...
- Słucham?
- Pycha zaatakowała waszą wysokość. Tak to już jest, że pycha miota nami ze skrajności w skrajność. Jak mówił niegdyś nasz egzorcysta... Miota nami jak Szatan.
- Nie rozumiem.
- Pycha wmawia nam naszą wyjątkowość, a zarazem segreguje ludzi na lepszych i gorszych. Przez co raz ukazuje nam taki obraz, w którym to my jesteśmy wyjątkowi z tych lepszych, a za drugim razem wyjątkowi z tych gorszych. Czyli albo najlepsi, albo najgorsi. Ustawia nas na szczycie, a zaraz potem na dnie wiążąc tym samym naszą pokorę w siłach, przez co nie jesteśmy w stanie rzeczowo wykorzystać danego nam przez Pana Boga potencjału i dobrze realizować naszego życiowego celu, którego spełnianie napędza nasze serca pokojem, radością i miłością. Tak samo tutaj... Pycha musiała wkraść się do twojego serca królu i nieco w nim namieszać... Chyba czas na spowiedź.
- Rozumiem. Jutro jest pierwszy piątek miesiąca, tak?
- Tak jest.
- W takim razie przyjdę przed południem do spowiedzi, dobrze?
- Oczywiście wasza wysokość.
- Dziękuję ci, Bóg zapłać.
- Zawsze do usług. Pozwól wasza wysokość, iż udam się teraz na modlitwę.
- Proszę tylko wspomnieć w niej Bogu o jego wiernym słudze w mojej osobie.
- Nie omieszkać. Udanej zabawy i rozważki w prowadzeniu polityki dzisiejszego wieczoru.
- Haha! Dziękuję.
- Tatku, taktku! Niegdzie nie mogę znaleźć Jana. - wtrąciła Anna z przejęciem.

- Gdzie on się włóczy... Gdzie widziałaś go po raz ostatni?
- Wśród delegatów z Transylwanii. Był tam wraz z Noemi.
- Co za uparta, ruda baba... Mówiłem jej, żeby nie pchała mojego syna w tamto towarzystwo...
- Ale ona nie siedziała z nim. Jan siedział z jakąś młodą dziewczyną.
- Ładną?
- Hmm... Tak. Trzymali się za ręce.
- No nie!
- Gdzie jest Noemi... Dawać mi ją tu... - burczał wściekle pod nosem.

- Królu! Królu! - krzyczał hetman przedzierając się przez tłum w stronę rozgniewanego Henryka.
- Co się stało? Nie może to poczekać?
- Nie, wasza królewska mość. To bardzo pilna sprawa.
- Mów zatem.
- Nie tutaj. Chodźmy do pańskiej komnaty.
- Mów tutaj nie mam czasu na takie cyki!
- Chodzi o księcia Jana...
- Co z nim?
- Proszę wasza królewska mość. Nie tutaj.

Rozgniewany coraz bardziej król ruszył rychło wraz ze swoim hetmanem do komnaty. Stanąwszy nad swoim przyjacielem przyglądał się jak uruchamia on komputer. Kilka sekund później na ekranie monitora pojawiła się relacja na żywo, na której było widać związanego na krześle księcia z zakneblowanymi ustami. Ciemna postać stojąca obok niego patrzyła się w stronę ściany, stojąc jednocześnie plecami do kamery.

- On czeka na pana... - wtrącił delikatnie hetman zerkając na poblaskłe oblicze króla.
- Zabiję cię draniu! - ryknął Henryk uderzając pięścią w stół.

- On czeka, aż król napisze.
- Napisze?!
- Na czacie...
- Dawaj mi tu tę klawiaturę!
- Tylko proszę nie być porywczym wasza królewska mość!
- Zabiję drania! Zabiję!

Król rozwścieczonymi palcami katował okienko czatu niezliczonymi literówkami. Złoczyńca przetrzymujący księcia, na początku śmiał się z owych pogroźek, ale w pewnym momencie spoważniał i przyłożył do głowy księcia pluszaka z nieekologicznej bawełny. Król zamarł w bezruchu z obawy, aby ten szaleniec nie zaczął zaraz ocierać owym nieprzyjemnym w dotyku podrobem zabawkopodobnym pięknej, młodej twarzy następcy tronu.

- Ten drań nie ma serca... Burknął pod nosem.
- Spokojnie królu. Jurek Siwy jest już w drodze. Zaraz go namierzy i zlikwiduje.
- Jurek Siwy? Ten arycrycerz, który zabił terrorystów z Opery Warszawskiej?
- Tak...
- Wtedy było łatwiej, bo terroryści zażądali okupu i samolotu, więc Jurek mógł zrobić za pilota, aby wyskoczyć z tego samolotu nad oceanem i zabić przy okazji tych głupich ekoterrorystów... Czego oni wtedy chcieli? Dlaczego zaatakowali tę operę?
- Bo podczas spektaklu jedzono drób...
- No tak... I w ramach ochrony praw zwierząt zażądali złota i samolotu z pilotem...
- Tutaj też Jurek coś wymyśli.
- A czego on w ogóle chce?!

Wtedy dopiero król się uspokoił i zapytał porywacza o jego żądania. Okazało się, iż domagał się on zliberalizowania prawa aborcyjnego przez Henryka na najbliższym sejmie. Argumentował to tym, że jego brat jest

głuchoniemy i niewidomy, przez co jego ojciec chce popełnić samobójstwo, a jego matka umarła przy porodzie, więc to wina zakazu aborcji, że jego rodzina się rozpada, a on zostanie sam, bo z jego bratem nie chce utrzymywać kontaktu, gdyż zbyt mocno absorbuje on sobą jego indywidualną chęć do samorozwoju i samorealizacji.

Rozgniewany zuchwałością porywacza król ostro wyraził swój sprzeciw przeciwko takim zmianom, chociaż sam w głębi serca miał różne wątpliwości co do tej kwestii, ale jako iż nie chciał ulegać zbrodniarzowi, to przyjął radykalnie przeciwną postawę. Król już nie raz padał ofiarą szantażu, gróźb i intryg, ale tego typu sytuacja wstrząsnęła nim najmocniej z dotychczasowych, gdyż zaczęły pojawiać się w nim po raz pierwszy myśli, aby ustąpić i pójść na ugodę, lecz jak na razie nie chciał tego okazywać. Dopiero w momencie, w którym porywacz przekręcił księcia w stronę telewizora i odpowiednimi szczypcami w oczach zmuszał go do oglądania tego co jawiło się na jego ekranie, Henryk zmiękł i zaczął żalić się swojemu hetmanowi, który równie jak jego władca był przeszyty bólem patrząc jak młody człowiek musiał oglądać reklamę wielofunkcyjnego urządzenia, które było jednocześnie wkładką do buta, podłokietnikiem i stolikiem do kawy oraz zapowiedzią telewizyjnego show, w którym śpiewające gwiazdy w tyżwach skaczą do wody, aby otrzymać jak najlepszą notę od jury.

- Królu...

- Tak?

- Niech król go oszuka. Napisze mu, że poprze te zmiany, a jak książę zostanie uwolniony, to się wtedy z tego wycofa.

- Myślisz, że ten drań wypuści mojego syna zanim prawo się uprawomocni?

- No nie...

- No właśnie...

- Chyba, że... Po sejmie oddam władzę Janowi, a on wtedy będzie miał czas, aby zgodnie z prawem zmienić prawo.

- Wspaniała myśl! Ale czy zrzekniesz się Heniu władzy, dla prawa zakazującego aborcji?

- No właśnie... Tak czy siak, tak zrobię, a o ewentualnym cofnięciu prawa poprzez przekazanie korony Janowi zastanowię się później! - krzyknął, po czym napisał w oknie czatu, że zgadza się na warunki porywacza.

Zaraz pod wpisem króla pojawiła się następująca fraza. *coza nudne gowno! nie dam ani centa smieszki donejt...*

Poczułem wtedy, iż niestety to kreator tej elokwentnej i rzeczowej wypowiedzi jest naszym kolejnym celem, więc rychło, raz dwa, udaliśmy się za pomocą Internetu do domu owego jegomościa, który siedząc w brudnej bieliźnie przeglądał SwojąTubę.

Zmulifaz... Bo tak się ów młodzian nazywał był adoptowanym z domu dziecka chłopcem. Jego główną cechą charakteru było to, iż zawsze i wszędzie czuł zapach aloesu. Było to związane z tym, że jak przebywał jeszcze w domu opieki, to zazwyczaj przegrywał mecze w elektroniczną piłkę nożną, a co za tym idzie był oddelegowywany do zmywania naczyń.

Słuchając disco-polo na słuchawkach katował cały dom muzyką poważną głośno lecącą z głośników. Takim to sprytnym zagranie chciał - nie wiadomo dlaczego - uchodzić za człowieka słuchającego muzyki uważanej za bardziej ambitną, niż słuchał w rzeczywistości. Wychodząc z kanału, na którym mógł oglądać porwanego księcia kraju, w którym mieszkał, postanowił odwiedzić swojego ulubionego Tubacza, który od pewnego czasu prowadził konkurs Złotej Lamy. Polegał on na tym, iż raz w tygodniu ów prowadzący podawał kolejną wskazówkę mającą doprowadzić oglądających do tytułowej Złotej Lamy. Konkurs trwał już od ponad roku, a jeszcze żaden z poszukiwaczy nawet nie natknął się na ślad tego tajemniczego przedmiotu, ale zapewne pomysłodawca był zadowolony, gdyż liczba wyświetleń permanentnie wzrastała wypełniając jego portfel po brzegi.

Podkscytowany pozyskaniem kolejnej wskazówki zaczął pośpiesznie przygotowywać się do wyjścia w miasto, gdyż tam zamierzał znaleźć ten cenny artefakt. Ten brawurowy manewr przerwał mu jego młodszy brat, który wbiegając do pokoju zagadnął do niego takimi słowami.

- Mam! Miałem rację!

- Z czym?
- Ze słowem spokój! Pisz się przez "ó"!
- Nieprawda! Przez "u"!
- Patrzyłem w słowniku! Pisz się przez "ó"!
- A co mnie tam jakiś słownik... Moim zdaniem pisze się przez "u" i już, a jak ktoś uważa inaczej, to jest głupi!
- Źle mówisz. Pisz się spokój!
- Nie bo spokój!
- Spokój!
- Spokój!
- Spokój!
- Spokój!
- Spokój! Co tu się wyprawia?! - starał się uspokoić towarzystwo wchodzący do pokoju ojciec kłócącej się dwójki.
- To on zaczął!
- Nie bo on!
- On powiedział, że jestem głupi!
- Nieprawda!
- Właśnie, że tak!
- Dość tego! Tymek. Do swojego pokoju.
- Ale...
- Ale już!

Tutaj wspomnę, że tenże stanowczy ojciec był mężczyzną, który niegdyś dość mocno rozważał wstąpienie do zakonu Franciszkanów. Po drodze zaś zakochał się w pewnej młodej damie i postanowił wraz z nią założyć rodzinę. Okazało się później, iż Bóg nie miał dla nich w planach biologicznych potoków, dlatego kierowani poruszeniami serc swoich postanowili zaadoptować trójkę dzieci. Później zaś sytuacja rozwinęła się w taki sposób, że teraz, pomimo posiadania własnych dzieci, postanowili otworzyć dom dziecka.

Roman, bo tak się ta głowa rodziny nazywała, sam pochodził z domu dziecka. Jego opiekun i właściciel domu źle obchodził się ze swoimi podopiecznymi. Wykorzystywał ich do nielegalnej pracy u swoich znajomych. Jego pomocnik, który miał dobre serce i z całych sił starał się pomagać dzieciom pewnego dnia pomógł Romanowi znaleźć rodzinę zastępczą. Niby wszystko było w porządku, ale jego adopcyjny ojciec narzekał na brak czasu z jego powodu, a najgorzej było w czasie urlopów, gdyż wtedy nie mógł odpocząć po swojemu, ale musiał zająć się swoim adoptowanym synem, któremu nie okazywał zbyt dużo czułości, a w zamian za to wymuszał na nim dużą ilość obowiązków, które w rzeczy samej mógł wykonywać sam.

Pocziwy i zahartowany przez wymagający żywot Romuś miał zupełnie inne podejście do swoich dzieci, gdyż poświęcał się dla nich w całości nie szczędząc im miłości i ciepła, a jego najstarszy syn nie bacząc na to wszystko sprawiał mu swoją istotą wiele przykrości.

Wracając zaś do Zmulifaza. Ubrał się i wybiegł prędko na podwórko, gdzie czekał już na niego kolega. Spotkawszy się pod trzepakiem udali się razem w stronę miejsca wskazanego przez organizatora Złotej Lamy. Przystanęli na krawężniku przy przejściu dla pieszych, a jadąca autem kobieta zatrzymała się gwałtownie i spojrzała na dwójkę młodzieniaszków z wyrzutem, chociaż oni w ogóle nie mieli zamiaru wchodzić na jezdnię, a wręcz przeciwnie, widząc nadjeżdżający samochód chcieli go puścić przodem, wiedząc że im się nie śpieszy.

Idąc dalej ulicami miasta zauważyli, że ktoś zostawił zaparkowany samochód i zapomniał zgasić światła. Zmartwili się niemało, po czym postanowili poinformować właściciela o tym gapiostwie, aby przypadkiem nie rozładował mu się akumulator. Nie wpadli na żaden lepszy pomysł od tego, który postanowili wprowadzić w życie. Wyglądało to następująco. Po kilku sekundach dwóch młodych chłopaków zaczęło skakać po samochodzie, aby za sprawą wgnieceń doprowadzić do włączenia się alarmu, dzięki czemu jego posiadacz zwróciłby na niego uwagę i zauważył problem ze światłami. Tak też się stało, ale z niezrozumiałych dla nich przyczyn ów właściciel nie czuł względem nich wdzięczności.

Mało tego gdy złapał Zmulifaza w przypiływie szatu, to postanowił go dźgnąć nożem.

W głowie tego młodego człowieka, w chwili zagrożenia, od razu pojawił się przed oczami obraz ojca, który zakodował się w jego umyśle jako ostoja bezpieczeństwa, nie zważając na to jak go nie szanował i nie lubił w swoim świadomym myśleniu.

Przeskoczyliśmy zatem za sprawą tego obrazu do Romana, który aktualnie siedział w swoim ulubionym barze mlecznym i popijał kompot oglądając telewizję. Ekran zawieszony pod sufitem wysyłał w stronę klientów wypowiedź amerykańskiego polityka, który jasno radził widzom nie brać na poważnie treści wszelkich rzekomych tajnych dokumentów opublikowanych w sieci przez niezrzeszonych hakerów, gdyż nie ma żadnych podstaw, aby uznawać takie teksty za autentyczne. Sprawa była akurat głośna medialnie, gdyż rozchodziło się o nieetyczne i niehumanitarne zachowania amerykańskich i brytyjskich wojsk podczas drugiej wojny światowej. Zwłaszcza w kwestii bombardowań dokonywanych w Europie, w których poginęło setki tysięcy niewinnych cywilów.

Oglądając ten przekaz po raz kolejny zaczął wątpić w jakiekolwiek media, instytucje, organizacje i w ogóle w ludzkość. Dużym ciężarem było dla niego to, że pomimo iż starał się wychowywać swoje dzieci zgodnie z naukami Kościoła Katolickiego, to jego najstarszy syn postanowił regularnie umieszczać w Internecie filmiki, na których kręci półnagim tyłkiem ku uciechu internetowej młodzieży. Poza tym odchodził od wiary i coraz głębiej popadał w agnostyczne przekonania, z którymi nijak nie dało się polemizować, gdyż w ogóle nie chciał on poruszać tematów Boga i wiary. Usytuował się na bezpiecznej pozycji agnostyka, wiedząc, że ateizm, to też pewna forma religijności i wiary, przy czym nijak nie chciał ruszyć się z tego miejsca, które błędnie uważał za ostoję jego ludzkiej godności.

Zaraz po tej wypowiedzi pojawiła się reklama szamponu. Jako iż Roman był pasjonatem, amatorem chemii, to doskonale zdawał sobie sprawę - znając skład chemiczny tego produktu - iż wcale nie daje on takich efektów o jakich mowa jest w tym propagandowym materiale, ale pomimo iż jako stowarzyszenie wolnych chemików

wydawali oni stanowczo negatywną opinię na temat tego szamponu, to i tak większość ludzi bardziej ufała reklamie niż wyedukowanym specjalistom.

Podirytowany telewizją postanowił pograć nieco w Mastermind'a. Pierwszy ruch okazał się zupełną klapą, gdyż nie trafił nawet z żadnym kolorem. Nieco paradoksalnie takie totalne pudło okazało się bardzo pomocną podpowiedzią, gdyż wiedział teraz, że skoro żaden z czterech podanych kolorów nie pasuje, to kod musi składać się z drugiej połowy ósemki.

Zamysł nad grą przerwała mu kłótnia po jego lewej stronie. Pewien elegancko ubrany pan, którego Roman kojarzył z pierwszych stron gazet, wyklócał się z pracownikiem baru o pięć groszy reszty, których ten nie był w stanie mu wydać z powodu braku takich monet. Elegancki jegomość nie odpuszczał, a krzykami starał się przekonać nastraszonego młodego chłopaka za ladą, że w tej sprawie nie rozchodzi się o pięć groszy, ale o zasady, których rzekomo ten - zapewne - student nie przestrzegał. Dziwnym zbiegiem okoliczności jak tylko Roman rzucił na blat pomiędzy skłóconymi ową brakującą monetę, to oburzony mężczyzna nagle złagodniał i jakby nigdy nic zakończył temat.

Zniesmaczony Romek szedł ulicą i starał się przywołać w umyśle pozytywne wspomnienia, aby za ich sprawą poprawić sobie samopoczucie. Pierwszym z nich było przypomnienie sobie jednej z pierwszych nocy, które spędził wraz ze swoją żoną. Byli wtedy młodzi, pełni pasji, niezaznajomieni ze wszystkimi smakami dorosłego życia. Byli beztroscy i naiwni. Tego zimowego dnia, po długim spacerze po lesie, podczas którego srebrzyste światło księżyca łagodnie odbijało się od śniegu, Roman odwiózł zziębniętą Malwinę do domu. Na odchodne poprosiła go, aby napisał jej SMS gdy dojedzie do domu, a po tym jak odpowiedział, że nie będzie jej budził ona wyznała, że bez takiej wiadomości nie zaśnie.

Utwierdził się takim wspomnieniem jeszcze bardziej w tym, iż często małe gesty niosą za sobą bardzo dużą moc, dlatego spoglądając w stronę bezdomnego, którego właśnie mijał na ulicy, postanowił do niego podejść.

- Dzień dobry. - zagadnął uprzejmie.
- Dzień dobry. - odpowiedział utrudzonym głosem.
- Jak się pan czuje? Może mogę jakoś pomóc?
- Nie, dziękuję.
- Na pewno?
- Tak.
- No ale jak się pan czuje?
- Bywało lepiej. - rzekł w bolesnym uśmiechu.
- Nie jest pan głodny? - dociekł poruszony wewnętrznym przeczuciem.
- No... Coś by zjadł. Hehe.
- Może kupię panu coś do jedzenia?
- Jeśli nie byłby to dla pana problem.
- W żadnym razie.
- Dziękuję.
- Proszę, smacznego. - powiedział po czasie, po tym jak zakupił ciepłą kanapkę w budce nieopodal.
- Dziękuję bardzo. Bardzo miły z pana człowiek.
- Oj nie zawsze. Proszę mi wierzyć.
- Dzisiaj mało jest takich ludzi jak pan.
- Nieprawda. Każdy zachowałby się tak samo na moim miejscu.
- Proszę mi wierzyć, że nie. Ludzie bywają naprawdę podli.
- Gdyby wziął pan teraz tutaj człowieka, który przeżyłby swoje życie od poczęcia, aż do tej chwili identycznie jak ja, czyli w takim samym otoczeniu, w takich samych warunkach, z takimi samymi genami i doświadczeniami, czyli człowieka, który byłby w pełni na moim miejscu, to jestem przekonany, że zachowałby się dokładnie tak samo.
- Haha... Nie będę się z panem kłócił.

- Muszę iść dalej. Dziękuję panu za dobre słowo i życzę smacznego.
- To ja dziękuję. Miłego dnia.
- Miłego dnia, do widzenia.

Idąc dalej cieszył się wewnętrznym, że Bóg dał mu sposobność do takiego spotkania oraz łaskę do takiego zachowania się w nim. Po raz kolejny nawiedziła go myśl, iż jak tylko człowiek zaczyna czynić dobro drugiemu człowiekowi, tak o, z potrzeby serca, ze współczucia, w imię miłości, to od razu ucieka od niego chęć działania pod publikę. Działania po to, aby być chwalonym, albo podziwianym przez innych, co przyczyniało się w dużej mierze do osobistej wolności takiego człowieka, gdyż było mu wtedy łatwiej wyrwać się spod zniewalającej presji otoczenia. Dużo łatwiej i przyjemniej jest być wtedy naprawdę sobą.

Dzwonek w telefonie wytrącił go z tego zamyślenia, a nieznany numer wyświetlający się na ekranie przeszył go nieznosnych przecuciem. Okazało się, iż kryła się za tym informacja przekazana przez dzielnicowego, że jego syn trafił do szpitala po tym jak został dźgnięty nożem.

Zestresowany Roman prędko pobiegł do samochodu i równie niespokojnie zaczął nim jechać w stronę szpitala. Po drodze w zgiełku zdenerwowania, troski i strachu do jego umysłu przebiła się myśl rozżalenia. Pytał się Boga dlaczego jego syn ciągle pcha się w jakieś kłopoty. W otwartej modlitwie wysunął ku niemu zarzut, że przecież mógłby nim pokierować w taki sposób, aby rozwijał się jak młodzież za jego lat. Pytał się ze złością dlaczego nie mógłby na przykład grać w piłkę, zainteresować się samochodami, komputerami, albo jak on literatura. Miłe wspomnienie ukazujące Romanowi jego wraz ze znajomymi za młodych lat, gdy spotykali się po szkole na swoich kółkach literackich, na których jedni czytali opowiadania drugich, a trzeci ich słuchali, aby za tydzień pozamieniać się miejscami, przerwał widok zbliżającego się z dużą prędkością samochodu z prawej strony. Okazało się, że w tym stresie i zamyśleniu przeoczył czerwone światło, po czym uderzył z dużą siłą w tył zielonego kombi.

Nikommu nic się nie stało, ale kierowca uderzonego pojazdu stracił przytomność. Jak się później okazało był on porywaczem księcia, który zamierzał przewieźć go w inne miejsce, po tym jak dowiedział się od swojego informatora, że służby królewskie namierzyły jego kryjówkę. Oczywiście został schwytany, a książę uratowany.

Załamany Roman nie mógł opuścić miejsca wypadku, zwłaszcza że brał w nim udział porwany książę, ale jak tylko jego syn zadzwonił do niego ze szpitala i poinformował o tym, że nic mu nie grozi, i że w końcu zrozumiał jak źle się prowadził, to jego serce nappełniło się wdzięcznością ku Bogu, a na falach tejże wdzięczności poleciałem wraz z Łysym przez Stwórcę z powrotem na Ziemię po niciach modlitwy do królewskiego spowiednika siedzącego w swojej celi i bezustannie modlącego się Różańcem.

Na biurku przy ścianie stał niewielki, oprawiony w drewnianą ramkę obrazek narysowany ołówkiem. Duża, biała, łysa głowa. Twarz w zadumie, ze zmarszczonymi brwiami. Na czole rana od siekiery, przy której siedzi Anioł Stróż i pilnuje szczeliny przed mniejszymi i większymi diabłami latającymi wokół niej, aby uniemożliwić im dostanie się do jej wnętrza.

To właśnie ten duchowny okazał się Przybysławem, więc nie zwlekając dłużej Łysy wypowiedział nim zakłęcie, a zaraz potem otworzył drzwi i wskoczyliśmy w Wir Czasu.

GŁUPOTIA PRO-KURY SAMOISTNEJ I OCIEPLENIE PAŁASZY NOCY!

Ten świat był zwyczajną baśniową krainą rodem z powszechnych opowieści fantastycznych z tą tylko różnicą, iż w ogóle nie było w nim nieba, w miejsce którego znajdowała się bezkresna różowo-czarna szachownica. Zapewne kreator źle dobrał źródło dla odpowiedniej tekstury, no ale... Każdemu zdarzają się błędy i błędziki.

Akcja naszej przygody zaczęła się w przydrożnej karczmie, w której dudniły głośno *drum and bass*'y. Nazwa zaś bardzo mi osobiście przypadła do gustu, gdyż była nią Kurna Chata. Przy jednym ze stołów siedziała nasza dzielna drużyna, która składała się z następujących członków.

Antoni Szumidupa. Rycerz bijący z topora, który nazwał sentymentalnie *Axem*. Ciągłe powtarzał wszystkim, że wali z akxa i lubił być w centrum uwagi. Pochodził z pozornie dobrego domu, w którym dobrze usytuowani społecznie i finansowo rodzice w ogóle nie dawali swoim dzieciom uczucia, gdyż zabiegani byli zmaganiem o zdobycze pieniężne oraz prestiżowe. Tak więc był on swego rodzaju sierotą z dobrze wypchanym portfelem, dlatego pewnego dnia uciekł z domu i wyruszył w świat w poszukiwaniu przygód oraz drużyny, która miała zastąpić mu rodzinę. Przewrotny los sprowadził go w takie oto miejsce i do takich to ludzi...

Pogienini. Miejski łotrzyk i złodziej, któremu podczas jednego rabunku powygięła ręce, co koniec końców tylko ułatwiło mu wykonywanie jego niezbyt szlachetnego zawodu, bo zawodowcem był na pewno. Znalazł się w tej drużynie nieco bez własnej woli, gdyż został "uratowany" przez jej członków z domu publicznego, w którym był przetrzymywany za chęć ukradzenia świecznika. Wybawcy niestety nie wiedzieli, że uwięzionemu złodziejowi bardzo podobało się towarzystwo pań do towarzystwa, gdyż dogadywał się z nimi... Jak to określał... Elegancko.

Isztar była szamanką wędrującą z dalekiego wschodu ku zachodnim krajom w poszukiwaniu tajemnej wiedzy, a w swoich okolicach zdobyła uznanie za sprawą swojej własnej szkoły medytacji. Polegała ona na tym, że stojąc na przedramionach trzeba było wygiąć plecy w taki sposób, iż stopy zwisały tylko nieco ponad głowę osoby

medytującej. W takiej pozycji Ishtar pewnego dnia postanowiła obserwować posadzoną w doniczce marchew. Podczas tych obserwacji dotarła do istnego objawienia, gdyż spostrzegła wtedy, że marchew rośnie, dojrzewa i kwitnie, co jej zdaniem byłoby nie do zaobserwowania gdyby nie odpowiednie ułożenie ciała oraz nastrojenie umysłu. Znana była też z tego, iż przedstawiała się jako szamanka uprawiająca jogę i marchewkę.

Akdsdjsafohfo był zaś nijak nie sprecyzowaną postacią bez żadnej szczególnej umiejętności. Najwidoczniej jego twórca był bardzo leniwy i mało ambitny, gdyż nie dość, że nie nadał mu nawet składnego imienia, to jeszcze użył na nim *God Mode* (na pol. Tryb Boga), i teraz był nieśmiertelny co bardzo mu ciążyło, gdyż tęsknił za swoją zmarłą żoną, która według jego wierzeń czekała na niego w Niebie, ale... No właśnie... Koles nie mógł nijak zginąć, czy chociażby umrzeć w bólach i zgryzocie.

Kolejną członkinią grupy była Roksana. Zgrabna i urocza zabójczyni, której ojciec postanowił pewnego razu zamknąć ją w piwnicy i wmawiać jej, że na zewnątrz grasuje zabójczy wirus, a szczepionkę będzie mogła dostać dopiero po ukończeniu dwudziestego pierwszego roku życia. Na szczęście pewnego dnia pewien tajemniczy jegomość postanowił ją uświadomić wrzucając jej list z fragmentem Pisma Świętego do piwnicy przez okienko przy suficie. Wychodząc spod ziemi spotkała swojego wybawcę i postanowiła wraz z nim udać się w świat.

Tym szlachetnym jegomościem i zarazem kapitanem drużyny był Wiewiórkołak, który okazał się również naszym pierwszym celem, na którego kapeluszu sobie wygodnie usiadłem. Ta dziwaczna postać była z zawodu detektywem, a jego przełomową sprawą było odnalezienie grasującego po wiejskich śmietnikach wielkiego wiewiórkołaka, którym okazał się on sam, ale jako iż po przeistoczeniu w monstrum tracił świadomość, to odnalezienie prawdy o poszukiwanym oraz samym sobie zajęło mu trochę czasu, ale na jego szczęście sąd uznał, że skoro on sam złapał przestępcę, którym okazał się również on sam, to nie ukarze go karą pozbawienia wolności, ale niewielką grzywną, którą spłacił za wynagrodzenie po złapaniu sprawcy tych wszystkich śmietnikowych kradzieży, które... Po tej całej sprawie ustały.

Siedział akurat na kibelku i czytał list, gdy go nawiedzieliśmy. Okazało się, że jest on szpiegiem potężnego magnata, kuzyna króla, a list był od jego przełożonego. Rozpoznał to po tym, że jego szef za każdym razem jak pisał list dodawał gdzieś w jego środku wzmiankę o serze, gdyż to był znak rozpoznawczy ukazujący autentyczność autora.

Dostał wtedy rozkaz, aby udać się do miasta na bagnach i porozmawiać z tamtejszym sołtysem, gdyż to on miał mu już ustnie przekazać dalsze instrukcje jego misji. Po podtarciu się suchym listkiem z koszyka obok sedesu ruszył do stołu i zgarnął swoją załogę do wyjścia.

Niestety gdy tylko spróbowali przekroczyć próg, karczmę wypełnił głęboki głos jakby zza kurtyny rzeczywistości, jakby z innego świata.

Przed wyruszeniem w drogę należy zebrać drużynę.

- Co znowu...?! - jęknęła rozżalona Roksana.
- Potrzeba nam jeszcze jednego... - burnkął podirytowany Wiewiórkołak.
- Może tamten? - zapytał Akdsdjsafohfo, wskazując na gościa siedzącego przy barze.
- W sumie, czemu by nie... - skomentowała Isztar.
- No to ja z nim zagadam. - zaproponował Pogienini.
- Tak zrób! - zaakceptował Antoni.

Nasz złodziejaszek delikatnym krokiem przybliżył się do swojego celu, po czym stuknął go dyskretnie w bark. Wystraszony jegomość obrócił się za siebie i z lękiem zaczął rozmowę. Pogienini wytłumaczył mu sytuację oraz zaproponował współpracę, ale nagle strasznie zachciało mu się do toalety. Tak bardzo, że jak nowy członek drużyny wyrażał swoją zgodę, to ten już był w drodze do ubikacji. Jak tylko świeżak zespołu przybliżył się do reszty, to cała gromada zareagowała tak samo jak Pogienini. Okazało się później, że Mocznik - tak to na imię ów

jegomostek miał - miał wytatuowaną na czole moczopędną runę, która powodowała u każdego kto na nią spojrzał bardzo silną potrzebę odlania się. Dopiero na zewnątrz nałożył na głowę czapkę zakrywającą źródło swojej super mocy, gdyż starał się bardzo dbać do manieri, a przecież wiadomo, że nie wypada siedzieć w pomieszczeniu w czapce.

- Dokąd zmierzamy? - zapytał nowy.
- Do wioski na bagnie. - odparł Wiewiórkołak.
- Co będzie po drodze?
- Co masz na myśli?
- Którędy będziemy podążać? Gdzie i na jak długo będziemy się zatrzymywać? Kogo będziemy spotykać po drodze? Co będziemy jeść i pić?
- Nie wiemy... Wyjdzie w trakcie.
- Jak to? Ruszamy tak bez dokładnego planu?
- Tak... Wiemy gdzie i po co mamy się udać. To nasz plan, a reszta... Życie pokaże.
- To wystarczy?
- Tak, to wystarczy.
- No nie wiem...
- Zaufaj.

Szli tak sobie przez Góry Wyzwań z Krainy Śmierci do Krainy Życia, w której znajdowała się wioska na bagnach. Jako iż droga była nudna, a opisywać piękną górskiej przyrody nie będę się podejmował, gdyż szkoda słów na coś, czego nie da się przekazać, gdyż jego piękno wykracza poza możliwości literackie - jak nie wszystkich, to tego marnego pismaka, który myśl moją wam przekazuje moimi mili na pewno - tak więc kilka rozmów przytoczyć sobie pozwolę za sprawą palców tegoż typka, który wciąż dodaje swoje trzy grosze, pomimo iż grzecznie go proszę, aby tego nie robił bo tylko jeszcze bardziej psuje to co i tak najwyższych lotów nie jest.

Niemniej jednak tak to sobie nasze postacie gawożyły trzlapając stópkami o gór stałki kanciaste i ostre nierządki.

- (...) Chodzi o to, że nawet jak jest złym ojcem, to tam głęboko, w głębi swojej istoty człowiek czuje tę naturalną, instynktowną miłość do niego, gdyż kocha się go tylko i wyłącznie dlatego, że jest ojcem, dawcą życia. Tak bardzo głęboko w podświadomości. No ale w sytuacji, w której świadomie, w umyśle, rozumem, nienawidzi się go za to, że był złym ojcem i człowiekiem, to wtedy pęka w takim kimś jakaś część emocjonalna przez co kocha on i nienawidzi. W tym przypadku swojego ojca, co również może dotyczyć się na przykład matki, ale co nie zmienia faktu, że jest on w stanie, przez tę paradoksalną, chorą sytuację, w której rodzic, który też instynktownie i naturalnie kocha swoje dziecko, ale zachowuje się względem niego jakby go wręcz nienawidził, jest w stanie kochać i nienawidzić dany aspekt swojego życia jednocześnie. Taka emocjonalna relacja z rodzicami, albo jednym z nich, wpływa na to, że później ktoś taki ma tendencje, a na początku w ogóle możliwość, co nie jest naturalne, do tworzenia takich paradoksalnych relacji z każdym aspektem swojego życia, przez co jest cały czas rozbity, rozdwojony, pęknięty i nie jest w stanie żyć w pełni szczęścia, gdyż cały czas towarzyszy mu ten nieznośny, niezrozumiały ból. - tłumaczył Antoni z przejęciem.
- Chyba wiem o co ci chodzi... Ja za to uważam, że największy ból to taki, który odczuwa się z powodu jakiejś błażostki. Taki ból, który napada nas w sytuacjach, w których zdajemy sobie świadomie sprawę, że pojawiać się nie powinien, ale mimo tego nie jesteśmy w stanie go nie odczuwać. Możemy go w sobie tłumić, możemy się do niego przyzwyczaić, możemy starać się wykorzystać go w dobry sposób, ale za nic nie możemy przestać go odczuwać, pomimo iż wiemy, że to co w nas go rodzi, rodzić go nie powinno, bo w żaden sposób, nie powinno to być, instynktownie i naturalnie, nijak źródłem żadnego bólu. Równie bolesne w tym wszystkim jest to, że świadomie wie się, że nie ma się z kim takim bólem podzielić, poprzez wyżalenie się, które spotyka się ze zrozumieniem, a tylko takie żalenie się ma sens, gdyż tylko poczucie braku osamotnienia w przeżywaniu cierpienia łagodzi jego objawy, gdyż druga osoba nie jest w stanie zrozumieć dlaczego coś, co rodzi ból w żadnym razie nie powinno w naszym przypadku go nam zadaje, a jakby tego było mało, to nie można mieć do takiej osoby pretensji, gdyż to zdrowe i naturalne, że ona nie rozumie jak coś co ból przynosić nie powinno

jednak komuś ból sprawia, tak więc nie dość, że jest się bezsilnym w bólu, który świadomie uznaje się za irracjonalny i chory jest się na dodatek w tym wszystkim osamotnionym oraz niezrozumianym i nikogo nie można za to winić, gdyż wie się i czuje całym sobą, że to z nami w takich sytuacjach jest coś nie tak.

- Oj tak... Ja to w ogóle uważam, że my nie mamy bezpośredniego wpływu na to, czy jesteśmy szczęśliwi, czy nie, ale możemy tylko temu naszemu szczęściu pomagać, albo mu przeszkadzać, tak samo jak ze zbożem... Możemy, albo je pielęgnować, albo je niszczyć i zaniedbywać, ale na to, czy zboże samo w sobie rośnie, żyje i się rozmnaża my jako istoty, które nie są jego twórcami, nie mamy wpływu. (...)

Tutaj pozwolę sobie dalej nie wnikać w ten jakże małopozytywny dialog, ale jak udało mi się spostrzec poprzez przebieg kilkuset tysięcy życiorysów, które akurat w tej sekundzie wpadły mi do głowy, to często zdarzało się w nich, iż tego typu z pozoru mało fajne rozmowy przynosiły bardzo fajne owoce, dlatego uważam, że warto je inicjować i w nie brnąć jeżeli akurat serce nam tak podpowiada, gdyż... No właśnie... Bo po prostu czasami warto.

Na drugim końcu tego nieco rozbitego pochodu trwała inna dyskusja, która wartko toczyła się pomiędzy Wiewiórkołakiem, a Mocznikiem.

- Sraj się na ryj! - krzyczał Mocznik.
- Lecz się na ryj, bo na głowę to już za późno! - wtórował Wiewiórkołak.
- Super... - stwierdził ironicznie.
- Wcale tak nie uważasz! - zauważył.

Takimi to sposobami przedarli się wszyscy przez Góry Wyzwań, a kilka dni później dotarli do wioski na bagnie, która została zbudowana na balach, gdyż w pewnych porach roku poziom bagiennych wód wzrastał dość znacząco, co - gdyby nie odpowiednie zabezpieczenia - skutkowałoby powodzią i zalaniem niejednego domostwa.

Wodzem oraz głównym szamanem, czyli Sołtysem, tej wioski był gościek, którego imienia nikt nie wypowiadał, a jego charakterystyczną cechą było to, że w jego głowę cały czas uderzały pioruny. Lokalna ludność wierzyła, że to za sprawą tychże piorunów dostępuje on mądrości bogów, dzięki której wymyślił między innymi ich przeciwpowodziowe bale. Docierając do jego domku na skraju wioski weszli do środka.

- Dzień dobry proszę pana. - zaczął Wiewiórkołak.
- Witajcie wędrowcy. Co was do mnie sprowadza?
- Ten list!
- Pokaże że mnie go wędrowcze.

Sołtys czytając list zadumał się głęboko, a pioruny wpadające do wnętrza budynku przez dziurę w dachu zaczęły spadać na jego czerep ze zwiększoną intensywnością.

- Jak wszedłeś w posiadanie tego listu? - zapytał po chwili milczenia.
- Od znajomego.
- Czyli od kogo?
- Od nikogo...
- Wiesz, że niewolnicy systemu uważają tych żyjących poza jego mackami za nikogo?
- Nie...
- No to już wiesz. Powiesz mi zatem kim jest ten twój znajomy.
- Dobrym człowiekiem.
- Dobry? Czyli nie wie co to zło?
- Zapewne wie...
- Wiesz, że kiedyś, zanim człowiek został wygnany na Ziemię, to nie wiedział w ogóle co to zło, a jego wolna wola polegała tylko na możliwości wyboru pomiędzy dobrymi myślami, słowami, uczynkami i zahamowaniami, a dopiero po poznaniu zła uświadomił sobie możliwość postępowania w nienaturalny dla niego sposób, przez co

skaził swoją naturę i zesał na nas piętno ciągłego, wewnętrznego dylematu pomiędzy byciem dobrym, a złym człowiekiem?

- Nie wiedziałem, ale i tak uważam, że mój znajomy to dobry człowiek.
- Skąd taki osąd?
- Ponieważ żyje w równowadze.
- Dwubiegunowej?
- To znaczy?
- Żyje w równowadze w kontekście dwóch biegunów? Dwóch skrajności niczym czerń i biel, czy być może w kontekście trzech biegunów, albo innej, większej ilości tychże elementów, z których możemy wysnuć złoty środek, albo chociaż starać się do niego zbliżyć?
- Chyba nie do końca rozumiem... Ale wiem, że dba o swój umysł i ciało...
- Poprzez barbarzyńskie, dzikie praktyki i magię?
- Chyba nie...
- Wiesz, że szamanizm i magia poprawiają kondycję oraz zdrowie ciała i umysłu, ale za to są bardzo szkodliwe dla duszy ludzkiej?
- Do czego pan zmierza?
- Zły duch, który włóczy się po tym świecie od czasów jego powstania zwodzi człowieka marchewką na kiju... Odciąga nas w ten sposób od pola marchewek, a dobry duch, który żyje od zawsze i był nawet w czasach, w których ten świat nawet jeszcze nie istniał, stara się przekonać nas, abyśmy zrzucili tego złego ducha, który siedzi na naszych ramionach i wymachuje nam tą marchewką na kiju przed oczami, abyśmy samodzielnie, w wolności ducha, szukali drogi do tego pola, od którego z każdym dniem, zwodzeni przez złego ducha, się oddalamy. Daje nam wolną wolę, przez co możemy na własną rękę szukać upragnionego pola marchewek, albo opierać się na jego przewodnikach, albo pismach, które oni napisali pod jego natchnieniem, ale i tak i tak najpierw musimy podjąć decyzję o zepchnięciu złego ducha z naszych barków. Czy ty jesteś gotowy wyrzec się złego ducha i zaprzestać podążania za jego marchewką na kiju, czy jak niektórzy nie chcesz podjąć wyzwania odnalezienia marchewkowego pola, które będzie od ciebie wymagać pracy, wytrwałości oraz odpowiedzialności i

wolisz wciąż uganiać się za marchewką, którą zły duch obiecujecie ci od zaraz, ale wciąż stawiają cię o krok za blisko do jej pozyskania, gdyż jesteś tak niecierpliwy i łakomy, że nie chcesz nawet pomyśleć o tym, iż coś nie będzie ci dane od tak, w tej chwili, bo ty tak tego sobie życzysz?

- Chyba wciąż pana nie rozumiem...
- Czy mógłby pan mówić do nas nieco jaśniej? - wtrąciła wyraźnie zdenerwowana Isztar.
- Nie wiem, czy wyrażanie tego w prostych słowach rzeczywiście byłoby łatwiejsze do zrozumienia.
- Mógłbyś choć raz pomyśleć o innych, a nie tylko o sobie i wyrazić się w taki sposób, aby to inni cię zrozumieli, a nie ty sam siebie?! - dodała nie mogąc już pohamować gniewu.
- To, że ktoś nie zawsze robi to co ty chcesz, albo czego ty od niego oczekujesz nie oznacza, że ten ktoś myśli wyłącznie o sobie.
- Ale ty jesteś głupi!
- Niestety nie wolno mi tego powiedzieć o pani.
- Zaraz chyba wyjdę z siebie i stanę obok! - ryknęła w końcu, a jej ciało przeszyte zostało masą nieznośnych dreszczy.
- A przestań... Mało to zła na tym świecie? - dodał żartobliwie Akdsdjsafohfo starając się rozluźnić atmosferę.
- Spokój mi tam załoga! - krzyknął w końcu Wiewiórkołak zaciskając groźnie pięść.

Wszyscy zamilkli, a tylko gospodarz wybuchnął nagle gromkim śmiechem.

- Oj młode szkraby... Teraz musicie się udać po Dar Meneli.
- Ale my nie jesteśmy menelami! - wtrąciła wciąż podirytowana Isztar.
- Menela jest boginią tych bagien, na skraju których założyliśmy naszą wioskę. Jak udacie się w ich głąb przez północną kładkę po kilku godzinach dojdziecie do wielkiego dębu. Przy nim skręcicie w prawo i będziecie szli prosto, aż dojdziecie do kamienia obrośniętego mchem. Przy tym kamieniu będziecie musieli zrobić trzy obroty w lewą stronę... Nie... W prawą stronę i udać się w kierunku, w którym się zatrzymacie. Jeżeli każdy z was zatrzyma się w innym kierunku to trudno. Wtedy trzeba się rozdzielić, a być może później się spotkacie.

Następnie po dwóch dniach marszu przed siebie będzie trzeba... Jak to było? A! Nie... Czekajcie... Pomyliło mi się... Jeszcze raz... Musicie wyjść północną kładką. Przy dębie skręćcie w lewo, aż dojdziecie do wielkiego, zielonego bagna. Od tego bagna w prawo i tak będzie ten kamień... Nie, nie w prawo... W lewo! A niech to! Pójdę z wami!

- Nie! - wtrąciła po raz kolejny Isztar.
- Nie no nie musi pan. Sami trafimy. - starał się załagodzić zbliżającą się już kłótnię Wiewiórkołak.
- Idę i już! Przyda się wam w drużynie czarodziej.
- Wcale, że nie. Ja jestem szamanką, tak więc wystarczy.
- Koleżanka chyba nie ma o mnie zbyt dobrego zdania.
- Bynajmniej.
- Słuchaj... Nie oceniaj drugiego człowieka zanim nie poznasz historii jego życia. Dobrze ci radzę.
- Czy w ogóle jest ten Dar Meneli? - zapytał Antoni.
- Nie wiem... Czy to ważne?
- Ja tam bym wolął wiedzieć czego mamy szukać. - dodał Mocznik.
- Musimy znaleźć Menełę, a ona da na ten dar.
- Zatem w drogę, bo już mi się nie chce tutaj siedzieć. - rozkazał Wiewiórkołak.

Niezbyt pocieszona z nowego towarzysza drużyna mknęła wartko przez obszerne bagna, a dyskusje, które wciąż przeprowadzał Sołtyś z Isztar nikomu humoru nie poprawiały.

- Dusza się nie rozrywa podczas rozplodu, tylko scalona z dusz rodziców przelewa się nieprzerwanie niczym kropla w nowe życie, tworząc tym samym nową, powstałą z dwóch dusz duszę potomka. - tłumaczyła Isztar.
- Nie zgodzę się. Dusza tworzy się w ludzkim ciele nie za sprawą przekazania, lecz za sprawą namaszczenia energią wszechświata, która w odpowiednim momencie generuje w człowieku miejsce na jego duszę, która odróżnia człowieka od zwierzęcia i innych istot żywych.
- Nie ma różnic pomiędzy ludźmi, a zwierzętami.

- Jest ich cała masa, a moją ulubioną jest ta, że skomlenie cierpiącego zwierzęcia jest o wiele bardziej przerażające i dotykające naszego wnętrza niż ludzkie, bo zwierzę nie ma możliwości jakkolwiek powstrzymać się od wyrażania swojego cierpienia, a człowiek jako istota świadoma, która może kontrolować swoje zachowanie dzięki rozumnej duszy zawsze, chociażby w najmniejszym stopniu, będzie się starać choć trochę opanować w wyrażaniu bólu, chociażby dla tego, aby nie dać satysfakcji swojemu oprawcy.
- Żebyś ty zaraz nie musiał skomleć!
- Widzę, że ktoś tutaj ma problemy z opanowaniem swoich emocji... Widzę, że ktoś tutaj chce upodobnić się do zwierząt.
- Zamilcz...
- Opanuj się niewiasto. To zwierzę nie potrafi nad sobą zapanować. Okiełznać swojego instynktu, nałożyć maski dobrego wychowania, aby móc zlinczować wroga w godnym istoty ludzkiej stylu.
- Prowokujesz mnie?
- Testuję.
- Przed czym?
- Przed czym? Przed niczym... Badam twoją podatność na czary.
- Ha! Moja aura jest nieprzepuszczalna.
- Powiem ci jedno... Niektórzy ludzie już tak mają, że nie podoba im się ich znużenie, zmęczenie pracą, czy nauką, więc w pewnym momencie postanawiają sięgnąć po jakiś doping, aby zwiększyć wydolność swojego organizmu, gdyż jego naturalne zachowanie na wysiłek uważają za zły. Mają kompleks słabości. Chcąc być lepsi od tych, którzy poprzez swoje zmęczenie muszą odpoczywać, dlatego sięgają po doping. Na początku kawa, później tabaka, amfetamina, kokaina i tak dalej.
- Po co ty mi to mówisz?
- Na haju oszukuje się tylko umysł, gdyż ciało męczy się tak samo jak na trzeźwo, a czysty umysł ma jasny wgląd w stan swojego organizmu, więc się lepiej dopasowuje do otaczającej go rzeczywistości.
- Wciąż nie rozumiem po...

- Bo to jest tak, że jak człowiek zaczyna się zamyślać nad zdaniem, które tylko pozornie ma sens, to wtedy otwiera swój umysł na czary, dlatego to właśnie teraz nie odczułaś jak między wersami wpuściłem ci w podświadomość ziarnko uległości.
- Jesteś walnięty!
- Jestem czarodziejem! Haha!

Dyskusję tę przerwał widok nieznajomego wojownika, który swoim długim, dwuręcznym mieczem uderzał w zielonego, glutowatego stwora. Ów monstrum było tylko klonem swojej matki, a ten zacny mąż dzielnie ubijał owe kopie zamiast zająć się matką, której to śmierć doprowadziła by do upragnionego zwycięstwa.

- Mine! Mine! Mine! - krzyczał spoglądając złowrogo w stronę naszej drużyny.
- Może ci pomóc? - zapytał uprzejmie Wiewiórkołak.
- Skilluję sworda, nie widzisz noobie!
- Ty chamie! - krzyknął Softys, po czym cisnął czarną kulą w stronę stwora matki.

Potwór rozbił się na drobne kawałeczki i pozostawił po sobie tylko zieloną, cuchnącą chmurę dymu unoszącą się nisko ponad ziemią, a reszta klonów automatycznie podzieliła jej los.

- Ty durniu! - krzyknął rozwścieczony nieznajomy, a nad jego głową pojawiła się biała, trupia czaszka.

Nieprzejęty czarodziej, w kierunku którego biegł wrogo nastawiony wojownik z mieczem w ręku wypowiedział takie to słowa zaklęcia.

Exori Amp Vis

Tym razem niebieska kula zmieniła odważnego woja w kupkę pyłu.

- Czyś ty zwariował?! - krzyknęła Isztar.
 - No co...?
 - Nie możesz tak o po prostu zabijać ludzi!
 - Przecież miał PK.
 - PK?
 - No taki znacznik, że chciał kogoś zabić, zaatakować, a tym kimś byłem ja... Więc...
 - Dobra! Dość tego! Koniec tych dyskusji! Sołtys idziesz ze mną na przodzie, a ty Isztar na koniec.
 - Ale...
 - Ale już!
 - To daj mi chociaż Roksanę do pary.
 - Ale ja nie chcę...
 - Dobra! Roksanę zamień się z Antonim.
 - Ale...
 - Przegrupować się i już! - ryknął w końcu stanowczym basem nasz wiewiórkołaczy detektyw, a drużyna pokornie wykonała rozkaz.
-
- Wiesz, że wcale nie jest łatwo żyć prosto? - zapytał Antoni znużonego podróżą Mocznika.
 - Nie, nie wiem... - odparł nieuprzejmie.
 - Nie jest to proste zwłaszcza wtedy, gdy starasz się żyć dobrze.
 - Na szczęście nie mam takich problemów, ale czy ty nie masz czasem problemu z samym sobą?
 - Nie, chyba nie. Dlaczego pytasz?
 - Bo cały czas gadasz. Non stop coś głądzisz...
 - No taki już jestem. Nie lubię ciszy i samotności.
 - I tak umrzesz sam.
 - To znaczy?

- Podczas śmierci będziesz osamotniony. Nikt z tobą nie będzie tego przeżywał. Będziesz zupełnie sam w doświadczeniu tego zjawiska jakim jest śmierć. Odejście na tamten świat i jednocześnie, wieczne pożegnanie się z tym, obecnym.
- No ale co to ma wspólnego z gadaniem i samotnością?
- To, że jak teraz nie lubisz ciszy i samotności, w których mógłbyś samodzielnie, głęboko indywidualnie doświadczyć czegoś, co skutkowałoby konfrontacją otoczenia tylko i wyłącznie z twoim wnętrzem, to zapewne w taki sam sposób będziesz się czuł w przysłowiową godzinę śmierci.
- Chyba sekundę... Bo przecież podczas umierania może ktoś być przy mnie.
- Nie o to chodzi!
- To o co...
- Nieważne...
- No mów...
- Tak jak się czujesz w samotności tak będziesz się czuł po śmierci. Taki będzie twój początkowy stan, którego zmiana nie przychodzi od tak, jak ręką odjął.
- Wcale nie musi tak być... - wtrącił Sottys.
- Ty się tam nie udzielaj, dobrze? - dodała Ishtar.
- Spokój mi tam! - krzyknął po raz kolejny Wiewiórkołak i ponownie wszyscy zamilkli.

Splątani nićmi nakazanej odgórnie ciszy nasi zacni poszukiwacze przygód brnęli dumnie przed siebie, aż ujrzeli niewielki domek pośrodku bagnistych terenów. Pogienini zauważył na obrzeżach posesji lekko wystające z ziemi blachy. Okazało się, że Menela tak bardzo irytowała się obecnością kretów pod jej trawnikiem, że rozkazała swoim sługom wkopać na granicach swojej ziemi kilkumetrowe blaszane płyty, aby żaden kret z zewnątrz nie wdarł się swoim podziemnym tunelem na jej włości.

Wchodząc do wnętrza domu zauważyli młodą, lewitującą kobietę, której skóra przypominała korę drzewa, a włosy wyglądały jakby były liśćmi paproci.

- Dzień dobry. - rozpoczął Wiewiórkołak.
- Na co czekasz? - zapytała Menela.
- Słucham? - dopytał lekko zdezorientowany.
- Na co czekasz w życiu wędrowcze?
- Nie wiem... - odpowiedział po lekkim namyśle.
- Po co więc tutaj przybyłeś?
- W sumie, to nie wiem, bo to Sołtys kazał nam tutaj przyjść.
- Sołtys? Myślisz, że go znasz? Dlaczego mu zaufałeś?
- Zaufałem mu, bo tak nakazał mi mój przełożony w liście, a czy go znam? Mogę powiedzieć, że tak. Znam i nie za bardzo go lubię.
- Zdajesz sobie sprawę z tego, że czasami spotykamy kogoś na drodze swojego życia i wydaje się nam, że go poznajemy, że wiemy jaką jest osobą, a że nawet ją rozumiemy, a tak naprawdę to są tylko nasze wyobrażenia na jej temat, które mogą być bardzo sprzeczne z tym jaka ona jest naprawdę, co nie musi być skutkiem tego, iż ta persona była w stosunku do nas obłudna, czy fałszywa? Niemniej jednak często bywa tak, że dopiero po tym jak nabierzemy doświadczenia oraz wiedzy nijak nie związanych z tą osobą bezpośrednio, to zaczynamy poznawać właśnie tę daną osobę głębiej, pełniej i bardziej zgodnie z prawdą niż było to na początku.
- Nigdy o tym nie myślałem.
- To nie znaczy, że tak nie może być. Bo widzisz... Ja często rozmyślam nad różnymi sprawami w wolnych chwilach. W wolnych chwilach, która szybko mijają.
- O tym akurat coś wiem...
- Przyszliśmy tutaj po Dar Meneli... - wtrącił gorzko Sołtys.
- A... No tak! Po Dar Meneli! - krzyknął Wiewiórkołak entuzjastycznie.
- Kto was przysłał? - zapytała chłodno.
- Mój szef.
- Aha.

- Cóż to za dar?
- Kamień Psychologiczny.
- Kamień Psychologiczny? Pierwsze słyszę... - wtrącił Soltys.
- Ja też słyszałem tylko o Kamieniu Teologicznym... - dodał Wiewiórkołak.
- I o Kamieniu Socjologicznym! - krzyknęła Isztar.
- Ale ja mam dla was Kamień Psychologiczny!
- Dobrze, już dobrze... Dajże nam go.
- Proszę. Oto on.
- Dziękuję.
- A teraz dajcie mi chwilę spokoju. Chcę sobie pomyśleć.
- Dobrze. Jeszcze raz dziękuję. Do widzenia. - pożegnał się Wiewiórkołak uprzejmie i wraz z całą drużyną wyszedł na zewnątrz, aby pod zgniłym dębem użyć Daru Meneli.

Ów magiczny przedmiot przypominał wyglądem bryłę soli, z której wydobywały się fioletowo-różowe promienie światła. Wiewiórkołak położył kamień na pniu porośniętym mchem i włączył go dotykając jego wierzchołka palcem wskazującym prawej dłoni.

- Drodzy boszukiwacze, którzy weszliście w posiadanie tego kamienia. Zostaliście wyprani brzez brzeznaczenie i pogów, aby odnaleźć moje bradowe skarby. Tylko z pomocą tego kamienia otworzycie skrzynię, w której znajdują się największe skarby tego świata. Musicie udać się teraz na wschód, zawsze na wschód, aż dojdziecie na krańce gór, gdzie znajdziecie karcznię o nazwie Cytadela Zabójczyń. Pędźcie tam bijak balący fajkę. On wskaże wam gromowca wielkiego maga, w którym skochawłem swoje skarby. Bowodzenia!

Jak usłyszeli tak zrobili. Ruszyli zsynchronizowanym marszem na wschód. Po drodze nie obyło się oczywiście bez dyskusji, które doprowadzały przewodniczącego tego pochodu do szału. Isztar z Soltyssem spierali się o różnice pomiędzy dążeniem do jak najmniejszej niedoskonałości, a staraniami uzyskania doskonałości. Akdsdjsafohfo

wdał się w polemikę z Roksana odnośnie specjalnego widelca, który wygląda jak łyżka, a Mocznik wraz z Pogieninim starali się dojść do tego jak to jest, że nasze ego wciąż stara się przekonać nas o tym, że jesteśmy skrajnie inni niż w rzeczywistości co owocuje na przykład tym, że spokojny i z natury rozważny oraz nieco lękliwy jegomość stara się stwarzać pozory szalonego i nieustraszonego wojownika zamiast po prostu pogodzić się ze swoją osobą i nie szczędząc jej karykaturalnych, komicznych ubarwień, w celu utrzymania zdrowego dystansu, aby nie dopuścić do sytuacji, w której ego ze swoimi iluzjami zaciera nam realny wgląd w nasze wnętrze co skutkuje interpersonalnym zgrzytem rodzącym niezrozumiałe - również dla nas - zachowania oraz reakcje, nad którym na dodatek nie jesteśmy w stanie zapanować.

Podróż przerwała im wyskakująca zza krzaków gromada agresywnie nastawionych zbójów w wielobarwnych leginsach. Trzymali się za ręce i co jakiś czas patrzyli sobie głęboko w oczy z nieklamaną miłością, a wymieniane między sobą słodziutki, symboliczne całuski, tylko utwierdzały o trafności pierwszego spostrzeżenia.

Przewodniczącym gangu był Pan Biedronka. Był on biednym chłopcem w podeszłym już wieku. Za młodu chodził do porządnej szkoły z wysokimi standardami, w której niestety doświadczał wiele niesprawiedliwych przykrości. Jedni ranili go swoim chamskim i podłym zachowaniem względem jego osoby, a drudzy swoją biernością oraz obłudą, gdyż uważali siebie za prawych i szlachetnych - wszyscy - a nijak nie pomyśleli nawet aby wstawić się za prześladowanym. Pewnego dnia jego przeziębiona cierpieniem główka obmyśliła plan wielkiej zemsty, tak więc po wymordowaniu całej szkoły uciekł w las, aby tam, z podobnymi sobie, stworzyć gang napadający na podróżnych.

Członkowie tej społeczności wyróżniali się spośród innych ugrupowań tego świata tym, że ich moralność była oparta na takiej etyce, iż ciężko było ją w sumie moralnością nazwać, gdyż rozchodziło się ogólnie o to, że dobro i zło nie istnieją, tak więc nie ma pozytywnych oraz negatywnych emocji, popędów, zachcianek, czy odczuć, przez co wszystkim im trzeba ulegać i nimi się kierować. Jakby tego było mało taki prymitywny, dziki i bezmyślny sposób funkcjonowania nazywali oni - sami dla siebie i wśród swoich - życiem w prawdzie, gdyż ich zdaniem jakiegokolwiek świadome oraz rozumne poskramianie swojego umysłu czy ciała równało się z wynaturzeniem, czyli

z jedynym złem jakie wyznawali, a z własnym, indywidualnym złem walczyć nie zamierzali, bo uważali je za normę... A niech im tylko ktoś postarał się wytłumaczyć, że jest inaczej... Poza tym... Fakt, iż moralność to oddzielanie dobra od zła - na różne sposoby i w różnych wariantach - a zacieranie granic pomiędzy nimi, to najzwyklejsza demoralizacja nijak nie wyżywał na ich podejście oraz kierowanie się swoim wewnętrznym kompasem moralnym.

Sam fakt tak absurdalnego i zakłamanego, wewnętrznego funkcjonowania tych osobników rodził w naszych bohaterach gniew oraz chęć sprania im ich głupich tyłków - które każdy z nich posiadał dwa, przy czym jeden na dole nad nogami, a drugi na górze nad szyją - ale jako iż byli w stanie się opanować, to dopiero w momencie, w którym ich napastnicy wytoczyli w ich stronę swój atak, postanowili spuścić im taki łomot jakiego jeszcze świat nie widział.

Walka wybuchła zaciekle. Pogienini nieco oszołomiony stresem zapomniał, że nie jest akurat na zakontraktowanym włamie i zaczął rzucać swoimi metalowymi kulkami po krzakach licząc, iż uda mu się jak zwykle za sprawą takich sztuczek oszukać okradanych co do swojej obecnej lokalizacji. Isztar zaś w swoim szamańskim amoku postanowiła skutecznie swój firmowy taniec pijanego węża, licząc głęboko, iż taka praktyka pomoże załodzi w walce. Niestety jedynym rzetelnie walczącym okazał się Antoni Szumidupa, ale jako iż był w tych zmaganiach osamotniony, to został zabity. Dopiero gdy dostał siekierą przez swoją tysą głowę, to Sołtyś odpalił kilka czarów i zmiotł całe złe towarzystwo z powierzchni polany, na której zostali zaatakowani.

Rozżalona Roksana podbiegła do martwego Antoniego leżącego w kałuży krwi i bijąc go swoimi małymi piąstkami w masywny tors krzyczała przez łzy jak bardzo go nienawidzi. W tamtej chwili zapewne nienawidziła go jeszcze bardziej, bo postanowił on sobie tak o ją opuścić, gdy ona skrycie, bo skrycie, ale po całosci wpuściła go do swojego zamkniętego na innych serca, a to zakochanie nastąpiło po tym, jak pewnej, pamiętnej nocy, nasz - już - nieboszczyk pobił młotkiem pewnego małolata w barze tylko i wyłącznie dlatego, że miał on białe sznurówki, a nasz dzielny Antoni lubował się w czarnych. Nie zaś ten szlachetny i wymagający niemałej odwagi czyn zauroczył

naszą Roksankę, lecz to, że wybraniek jej serca dokonał tego wszystkiego bez okazania najmniejszej emocji. Po prostu w pewnym momencie wstał od stołu, rozwalił swojemu wrogowi głowę młotkiem, po czym do niego wrócił i zaczął dalej kontynuować rozmowę ze swoją koleżanką jak gdyby nigdy nic.

Wiewiórkołak wziął sobie procę nieboszczyka, a resztę rozkazał zakopać pod krzakiem.

Oslabiona drużyna kroczyła dalej, a dyskusjom nie było końca. Tym razem rozchodziło się między innymi o to, że jak ktoś jest dobry w warcabach, to nie musi oznaczać, że będzie również dobry w szachy, albo o to, że trzeba wyrażać się po swojemu, bez dopasowywania formy wypowiedzi do odbiorcy, a gdy ten go zrozumie, to dobrze, a jak nie to trudno i jest to lepsze, iż dopasowywanie się do rozmówcy, gdyż to właśnie poprzez takie indywidualne dopasowywanie swojej myśli do odpowiednich słów oraz odbiorców rodzi nieporozumienia międzyludzkie, gdyż niemożliwym jest dokładnie odwzorowanie myśli słowem jak nie pochodzi ono z głębi serca, bo jest zniekształcone intelektualną ingerencją. Najbardziej zaś zirytowała Wiewiórkołaka dyskusja wokół teorii, że ocieplenie klimatu oraz zmiany w porach roku wynikają tylko i wyłącznie z nieprawidłowo sporządzonego kalendarza, dlatego wszystko się przesuwa.

Dopiero gdy stanęli wszyscy przy nagrobku znajdującym się nieopodal leśnej dróżki rozmowy ucichły. Na czarnym pomniku widniał napis.

Died at Level 667 by a burning book. (na pol. Zmarł na 667 poziomie przez płonącą książkę.)

- Że co? - zapytała Roksana.

- Tibia... - odparł Wiewiórkołak z niesmakiem, a zaraz potem jego umysł nawiedziło wspomnienie filmu fantastycznego, który oglądał jakiś czas temu na DEB.

Jakiś facet wstaje z łóżka. Idzie do kuchni, otwiera lodówkę i bierze z niej karton z sokiem, a w tle ciągle gra delikatna muzyka przygrywana na pianinie. Idzie spokojnym krokiem przez przedpokój do salonu, z którego przechodzi do kolejnego pomieszczenia, a muzyka wciąż potęguje napięcie i zwiększa tempo. Wchodząc do pokoju spogląda rozniewanym spojrzeniem w stronę grającego na pianinie młodzieńca, a zaraz po tym jak ich oczy się spotykają rzuca krótkie zerknięcie w stronę zegara pokazującego pierwszą w nocy. Wtedy to poczułem, że tym nieroztropnym grajkiem, któremu pasja namieszała nieco z poczuciem czasu jest Przybystaw, więc łysy wleciał w niego, po tym jak usiadłem na jego głowie, a zaraz potem wypowiedział nim zaklęcie i uciekliśmy z tego świata za sprawą Wiru Czasu we drzwiach.

Przeczuwaliśmy jednak, że to jeszcze nie koniec tego absurdu...

GŁUPOTIA PRO-KURY SAMOISTNEJ I KWANTOWE PIERWIASTKI RZECZOWNIKÓW!

Tym razem wylądowaliśmy w naszej ulubionej stolicy naszego - a raczej tego pismaka durnego - pięknego kraju, czyli w Warszawie, dnia piętnastego listopada dwa tysiące dziewiętnastego roku. Warszawie, która kontrastami się cechowała, gdyż z jednej strony jej mieszczańska społeczność wszelkimi, jaskrawymi kolorami tęczy promieniowała, a jeno szyldy zamocowane do ścian różnobarwnych były całe czarne i zdobne w białe napisy. Nieco barokowa koncepcja jeno w formie się przejawiała, gdyż treść za tym wszystkim się kryjąca była zgoła odmienna.

Wola najwyższa zechciała nas zespolic z osobnikiem, który tego wietrznego dnia dumnie swym czerwonym autkiem na uczelnię zmierzał. Charakterystycznym w owym mobilu było to, że na jego tylnej kanapie leżał średnich rozmiarów świerk. Jego posiadacz tłumaczył, to tym, iż tylko takie drzewko zapachowe, czyli naturalne, jest odpowiednie do odświeżania autowego zapachu. Tutaj trzeba również wspomnieć o tym, że był on studentem biologii na lokalnym uniwersytecie, tak więc wszystko co eko, było bliskie jego sercu, tak samo jak ekologiczna choinka zapachowa za jego plecami.

Jak już przy aucie jesteśmy, to pozwolę sobie jeszcze wspomnieć, że podczas jazdy nim, uszy wszystkich podróżujących były raczone tylko jednym utworem odtwarzanym w kółko. Tą zaciną i niemało umiłowaną przez kierowcę piosenką była *Laurent Wolf - No stress*.

Droga do szkółki mijała temu starannie uczesanemu chłopcu standardowo. Poruszał się wolniej niżby podróżował pieszo za sprawą korków, ale jak tylko wyleciał na swoją ulubioną boczną uliczkę, która swoim kształtem doprowadzała go ostatecznie do mety, to postanowił depnąć w gaz i nie przejmować się ograniczeniem prędkości na tym osiedlu mieszkalnym. Radujące jego młodzieńcze serduszko krótkie dryndnięcie uruchomiło czerwoną diodę na telefonie. Ten widok za każdym razem rodził w nim zniecierpliwienie oraz szybsze bicie serca, gdyż wiedział, że właśnie w tej chwili dostał wiadomość na Tinderze.

Czym jest Tinder chyba nie trzeba tłumaczyć, ale jeżeli znalazłaby się tutaj jakimś nieszczęśliwym trafem osoba, która jest na tyle szczęśliwa, iż nie zdaje sobie sprawy z istnienia takich aplikacji, to pozwolę sobie wyjaśnić, iż jest to taki ładny programik, do szukania jeszcze ładniejszych ludków, aby móc za jego pośrednictwem sobie z nimi popisać, albo umówić się na spotkanie, które dość często kończy się wielką miłością, z tym jeno zastrzeżeniem, że zazwyczaj jej namiętność jest wprost proporcjonalna do krótkości trwania.

Zerkając nerwowo na zdjęcie niewiasty, która do niego napisała nie zauważył starszej pani wchodzącej na pasy i pchającej wózek z dzieckiem. Podirytowany tym, że ta stara prukiew - hehe - tak bezczelnie przerwała mu kontemplację tego wydętego w stronę obiektywu oblicza postanowił strąbić ją bezlitościwie, a fakt iż swoim ostentacyjnym, ale wychowawczym i koniecznym zachowaniem obudził tę małą istotę będącą pod opieką tejże pani, nijak go nie skruszył, a jeno rozgniewał jeszcze bardziej co zaowocowało wykreowaniem się w jego głowie krytyki nieuważności tejże starej baby tak nieodpowiedzialnie opiekującej się zapewne swoim wnukiem.

Jadąc dalej postanowił odpisać na wiadomość, a pech chciał, że akurat w tym momencie z jego prawej strony wyjechał dostawczy samochód dowożący pieczywo do osiedlowej piekarni. Kraksa była huczna i spektakularna, ale na szczęście nikomu nic się nie stało. Nasz Tinderman - bo tak ochrzciliśmy go wraz z Łysym - wściekał się niebywale i wygrażał spokojnemu kierowcy ciężarówki, że zna syna, kuzyna wójta gminy Osno Lubelskie.

Doświadczony kierowca zaproponował mu układ bez wzywania policji, po czym wręczył rozgniewanemu studentowi sto złotych i pomógł mu zepchnąć wrak jego samochodu na chodnik. Po zakończeniu tej satysfakcjonującej naszego studenta transakcji - nie zapominając, iż nie bez przyczyny był on studentem biologii, a nie na przykład ekonomii - udał się on śpiesznym krokiem w stronę uniwersytetu, nieprzerwanie pisząc z nową koleżanką, wobec której tworzył już w swojej głownie nieczne plany i bynajmniej mało miały one wspólnego z korepetycjami z anatomii człowieka... Chociaż może nie tak mało jakby się na pierwszy rzut oka wydawało...

Po tym jak wyznał w przypiływie iście szlachetnej szczerości swojej internetowej znajomej, iż jak był bardzo mały, to uciekł z inkubatora, w którym wylądował, bo zdaniem lekarzy, był ewenementem biologicznym, który trzeba

było dokładniej przebadac, po czym żył poza kontrolą kogokolwiek co zawdzięczał swojemu sprytowi oraz zaradności, dopytał się uprzejmie o wielkość biustu. Rozgniewał się bardzo, gdy podczas tych zwierzeń dostał SMS'a od swojej siostry, która ciężką pracą pomagała swojemu bratu w opłaceniu jego stacji oraz licznych poprawek, przed którymi się nie wznagał, z zapytaniem o to, czy nie potrzebuje może jakiś pieniędzy, bo zbliża się weekend, a przecież musi również udzielać się w życiu towarzyskim, gdyż nie samą nauką człowiek żyje. Podirytowany zmusił się do odpisania, że kilka stówek mogłoby wpaść dzisiaj wieczorem na jego konto, bo kolega organizuje urodziny, a nieładnie jest tak wpadać w gości z pustymi rękoma.

Wracając do rozmowy z pięknoscią i miłośniczką grafiki komputerowej zapewne, zaczynając etap podrywu zagrał dobrze znanymi sobie kartami. Opowiedział, że ma złamane serce, bo jego ukochana z uczelni nie odwzajemnia jego uczuć, które starał się jej okazywać na tysiące sposobów nie lękając się przy tym wyrzeczeń ani poświęceń. Wspomniat rzekomą sytuację, gdy w ramach ćwiczeń zaczął recytować napisany przez siebie wiersz, który tyczył się wybranki jego serca zawsze siedzącej przed nim. Akcję wiersza umieścił w samolocie, a jego treść złudnie toczyła się wokół jego osoby i jego wewnętrznych rozterek, a tak naprawdę rozchodziło się o siedzącą przed nim w samolocie nieznajomą.

Pochwyciwszy w ten sposób serce młódki w sieć matactw rozpoczął etap drugi i zaczął wypytywać o używki jakimi lubi ona sobie umilać czas wolny. Wyznała w przypiływie ufności, iż lubi raczyć swoje żyły czyściutką heroiną, którą zazwyczaj konsumuje wraz ze swoimi przyjaciółmi w warszawskim metrze, na co Tinderman odrzekł, że jako iż jest biologicznym ewenementem, to jego mózg zapisuje wszystkie stany faz, jakich doświadcza, tak że w każdym momencie może sobie świadomie każdy z nim uruchomić, albo zatrzymać. Dodał również, że jego ulubioną fazą jest - jak to ujął - *slow motion*, czyli zwolnienie czasu, którego doświadczył, gdy na jednej z lekcji wychowania fizycznego dostał piłką do kosza w głowę, po czym na chwilę stracił przytomność uprzednio doświadczając owego spowolnienia czasu, dzięki któremu mógł dokładnie przyjrzeć się wyciekającej z jego ust i mknącej zaraz za jego głową ku ziemi strudze śliny.

Dotarł w końcu pod swoją ukochaną uczelnię. Uniwersytet Cheat'a (na pol. łotra, oszustwa, kombinowania) charakteryzował się tym, że studenci musieli przechodzić różne próby, oraz rytuały wtajemniczenia, aby wspinać się po szczeblach uczelnianej hierarchii, na szczycie której zasiadał sam on. Wielki Cheat.

- Siema! - krzyknął do naszego bohatera jakiś nieroztropek.
- Cześć. - burknął niepokieszony tym, że po raz kolejny musiał przerwać czat.
- Przyszedłeś pieszo? - zapytał zdziwiony.
- Miałem wypadek...
- Poważny?
- Nie...
- Czy mi się wydaje, czy po tym wypadku coś się zmieniło?
- Nie mam teraz samochodu? - syknął ironicznie.
- Nie... Nie to... Coś innego...
- Nie wiem o co ci chodzi. Muszę iść. Na razie.
- Czekaj bo...
- Na razie!

- Cześć! - krzyknęła tym razem rozweselona dziewczyna.
- Hej.
- Słyszałeś o tej tragedii?
- No przecież sam uczestniczyłem w tym wypadku...
- W wypadku? Jakim wypadku?
- Nie chodzi ci o mój wypadek samochodowy?
- Miałeś wypadek?
- To o jakiej tragedii mówisz?
- Robert skoczył z okna na czwartym piętrze uniwersytetu.

- Co?
- Usłyszał jakiś krzyk zza oknem i postanowił pomóc potrzebującemu, więc wyskoczył bez zastanowienia z okna.
Niestety zginął...
- Jednego debila mniej...
- Jak możesz! Przecież to bohater...
- Bohater? A co takiego zrobił?
- Chciał pomóc!
- A pomógł?
- No ale chciał!
- Nie zawsze intencja jest miarą, w ramach której mamy oceniać czyjeś bohaterstwo.
- Wiesz co... Myślałem, że jesteś inny...
- Słucham?
- Cześć!
- Elo...

Reszta dnia przebiegła w miarę standardowo. Tinderman pisał z dziewczynami na telefonie przemykając z wykładu na wykład niczym cień.

Na jednym z nich wykładowca przedstawiał działanie Puszki Czasu, którą wymyślił jeden profesorów ukształtowany na tejże uczelni. Była to metalowa kostka wielkości mikrofalówki podłączona do standardowego gniazdka elektrycznego w ścianie. Do jej wnętrza można było wlać gęstą ciecz, która była substancją, z której powstał świat oraz wszelkie żywe organizmy powstałe wskutek ewolucji, czyli tak zwana pierwsza istota. Ciecz owa nazywała się Pra-zupa. Dzięki Puszce Czasu można było zmieniać nie tylko przepływ tytułowego czasu, ale również dodawać przeróżne czynniki oraz substancje wpływające na rozwój organizmów, czy minerałów powstających w tym urządzeniu. Na tym wykładzie prowadzący ustawił odpowiednio maszynę i po trzech

minutach, w ciągu których wewnątrz Puszki minęło trzy miliony lat, studenci mogli nacieszyć swoje oczy oraz nozdrza ciepłym, lekko zbyt wodnistym rosołem.

Nasz Tindermanik doszedł podczas tej lekcji do wniosku, iż nieuniknionym na drodze ewolucji musi być to, że za jakiś czas ludzie będą żywić się wyłącznie muchami, które będą wabić do siebie za sprawą niepodartych anusów, za sprawą których to jeszcze będą te muchy wsysać do środka, co na pewno wpłynie pozytywnie na stan ludzkiego uzębienia, które jest narażone na wiele niebezpieczeństw podczas konsumpcji pokarmu jamą ustną.

Wspomnieć należy również, iż pan profesor, twórca Puszki Czasu, pewnego razu niezbyt roztropnie użył swojego wynalazku, przez co stworzył za jego sprawą mutantą, którego bojowa działalność kosztowała nieco ponad połowę uczelni życie. Ciekawie zaś zapowiadał się projekt, w którym zapowiedział, iż pewnego dnia stworzy w niej człowieka, który będzie biologicznie ukształtowany na poziomie trzydziestoletniego mężczyzny, ale za to nijak nie będzie uformowany przez jakąkolwiek kulturę, czy środowisko, w którym byłby zmuszony przebywać do stanu uzyskania takiej dojrzałości cielesnej oraz umysłowej. Jak tylko o tym usłyszałem zacząłem zastanawiać się, czy taki twór byłby choć trochę podobny do oświeceniowego, Nowego Człowieka, albo do marksistowskiej wersji człowieka wyzwolonego... Zapewne bardzo odbiegałby o tych dwóch wyobrażeń.

Na kolejnym wykładzie doktor neuropsychologipoznawczjemillybetter przedstawiał swoim studentom wyniki badań, które przeprowadzał podczas obrony swojego doktoratu. Eksperyment polegał na tym, że zapraszał do siebie pary, w których występowało zjawisko zdrady oraz te, w których coś takiego nigdy nie miało miejsca. Według jego wyliczeń i obserwacji dało się wyciągnąć następujące wnioski. W parach, w których zdrada nie występowała jeden z jej członków, po tym jak uzyskał informację o rzekomej zdradzie swojego partnera, bądź partnerki odbierał taką informację niedowierzaniem. W drugim zaś przypadku, czyli w parach, w których zdrady występowały, poza niedowierzaniem pojawiała się również niewytłumaczalna agresja i atak w stronę osoby informującej o tym przykrym fakcie. Pan doktor badając podczas tych rozmów mózgi badanych zauważył, że nasza podświadomość reaguje tak samo na przyjmowanie jakiegokolwiek informacji z zewnątrz niezależnie od tego

jak świadomie na nią reagujemy. Co z tym idzie jeżeli nasza świadoma reakcja na daną informację różni się od podświadomej reakcji, to powstaje w naszych umysłach zgrzyt uruchamiający system obronny, charakteryzujący się zamknięciem, odwrotem i atakiem w stronę obiektu przekazującego nam niewygodną dla naszej świadomości prawdę, którą nasza podświadomość przyjmuje naturalnie, spokojnie i z wdzięcznością, gdyż zostaje zaspokojony jej głód prawdy, który ciągle gdzieś nam doskwiera, przez co jesteśmy skłonni zadawać pytania, dociekać, czy spekulować.

Nasz pilny student z tych wykładów wyniósł bardzo cenną naukę, do której doszedł sam. Postanowił zmienić swoje życie i od teraz nie kupować papierowych książek, przez które żywot tracą tysiące niewinnych drzew, ale pręźnie udzielać się w ruch promujący drukowanie książek na metalowych rurkach. Mało tego doszedł do takiej innowacyjnej myśli, która modernizowała projekt ochrony środowiska poprzez walkę z książką drukowaną w taki sposób, iż owe rurki z nadrukiem można by było umieszczać na plastikowych paletach, a nie jak to miało miejsce dotychczas na drewnianych...

Kolejny wykład był o językach. Wykładowca wyjaśniał, że obecnie najbardziej międzynarodowym językiem świata jest angielski, którym urzędowo operuje się w czterdziestu krajach. Na drugim miejscu znajduje się język francuski z trzydziestoma krajami, a następnie język arabski - dwadzieścia dwa kraje - oraz język hiszpański - dwadzieścia krajów. Zastanawiało go zatem dlaczego wśród języków konferencyjnych poza angielskich i francuskim znajduje się również język niemiecki, którego urzędowo używa się tylko w sześciu krajach, a pominięto w tym gronie język hiszpański, czy arabski, a o łacinie, która do osiemnastego wieku była uważana za jedyne język komunikacji międzynarodowej, zwłaszcza w dziedzinie nauki, już nie wspominając. Doszukiwał się on w tym wszystkim politycznych oraz ideologicznych wpływów, które miały bardzo mało wspólnego z dążeniem do rozpowszechniania i zgłębiania wiedzy oraz nauk przeróżnych, dlatego z niekłamanym gniewem wypominał pewnym oświeceniowym działaczom ich wybryki, które czerwonym atramentem zapisały się na kartach historii.

Podczas tego wykładu Tinderman spostrzegł, iż sprzęt AGD najczęściej występuje w kolorze białym, gdyż dzięki niemu człowiek zyskuje czas, a sprzęt RTV, jako iż tego czasu człowieka pozbawia, to kolorowany jest zazwyczaj na czarno.

Idąc korytarzem w stronę uniwersyteckiego sklepiku spotkał na swej drodze znajomego, który dorabiał sobie na uczelni tym, że odpłatywał ludziom słuchawki.

- Siemanko. - przywitał się rozplątywacz.
- No cześć.
- Powiedzieć ci tajemnice?
- Nie za bardzo mam czas... - odparł zerkając nerwowo na telefon, gdyż już niepokojąco długo czekał na odpowiedź od swojej nowej lubej.
- Bo ja rozkminiłem na czym to tutaj wszystko polega.
- Wiesz, ale...
- Bo to jest tak, że my tutaj jesteśmy za karę. Jesteśmy pod hipnozą. Tylko nieliczni tutaj działają trzeźwo i są naszymi kuratorami. Kuratorami, gdyż tak naprawdę w tle naszej nauki tutaj cały czas toczy się proces, czy aby zasługujemy na to, aby wyciągnąć nas z tej hipnozy, czy jednak powinniśmy pozostać pod jej wpływem do końca życia.
- Co to za brednie...?
- No o to chodzi w edukacji wyższej! Żeby wydostać się z grona zahipnotyzowanych do społeczności wolnych.
- Jesteś chory. Chyba ci się połączenia nerwowe poplątały od tego rozplątywania słuchawek.
- Tak jest! Zobaczysz! To jeden wielki system. Jedno wielkie oszustwo!
- Już chyba jest za późno...
- Wiedza daje ci sposobność do wolnego funkcjonowania w tym świecie, tak więc to ci którzy tę wiedzę posiadają oraz przekazują wedle swojego uznania mają władzę nad tym jak ten świat funkcjonuje oraz kto jaką w nim rolę spełnia. Tak więc badają nas, aby zobaczyć, czy spełniamy odpowiednie normy, aby dopuścić nas do wiedzy,

której nie mogą powierzyć nieodpowiedzialnym i nieodpowiednim ludziom, a sami przecież wiecznie żyć nie będą.

- Mężysz...
- Daj mi skończyć!
- Nie! Idę se... Cześć!

Zdenerwowany milczeniem ze strony tinderowej miłości oraz tą dziwną rozmową spostrzegł plakat zapraszający na wykład pod tytułem: USA - państwo powstałe na zlecenie City of London do przeprowadzania społecznych eksperymentów. Nie zaś ów wykład zainteresował naszego studenta, ale tajemniczy, niepodpisany numer telefonu napisany w jego lewym, dolnym rogu.

Pchnięty nudą, która wynikała z braku internetowej konwersacji, postanowił zadzwonić. Telefon odebrał nieco nieuprzejmy mężczyzna, który poinformował go, że jeżeli chce dowiedzieć się nieco więcej, to musi pojechać na koniec trasy autobusu numer czternaście w kierunku szpitala psychiatrycznego. Nie widząc lepszej alternatywy na spędzenie tego czasu postanowił tak zrobić.

Jadąc autobusem zauważył podejrzanego faceta, który zerkając w jego kierunku co jakiś czas robił kilka małych kroczków w jego stronę. Gdy stał już wystarczająco blisko wyciągnął telefon i zaczął z kimś rozmawiać.

Tinderman podstuchując go miał wrażenie, że ten mówi do niego, ale w taki sposób, aby nikt z będących w otoczeniu się o tym nie zorientował poza nim. Według tych wskazówek Tinderman postanowił wysiąść za nim na następnym przystanku i śledzić go, aż do starych, pordzewiałych drzwi.

Stojąc naprzeciw nich i licząc, że zaraz jego tajemniczy znajomy, który przed chwilą za nimi zniknął mu je otworzy, poczuł wibrację w telefonie. Odebrał go, a po drugiej stronie był jego współlokator. Pchnięty wewnętrznym poruszeniem udał się na jego głowę, a zaraz potem Łysy siedział już w niej.

Tym gostkiem był Paligłup. Koles, który namiętnie i nałogowo palił głupa. Nie mógł się powstrzymać od tego, aby nie kreować swojego wizerunku jako niebywałego debila, pomimo iż był bardzo bystry oraz wyedukowany. Poza tym lubił również skrywać przed światem swoje materialne bogactwo, gdyż w swojej garderobie miał kilka takich samych par spodni, bluz, podkoszulków i wszelkiej innej garderoby, przy czym wszystkim wydawało się, że ciągle chodzi w tych samych ubraniach.

Nie był on studentem, ani osobą regularnie pracującą, a utrzymywał się z gry na ulicy z tą różnicą, że tak naprawdę puszczał swoje wokalne popisy z playbacku. Jego duży majątek nie przeszkadzał mu w tym, aby regularnie się u kogoś zapożyczać i w nieterminowym stylu oddawać swoje zobowiązania majątkowe względem znajomych. Jak to mówił... Dobrze jest czasem komuś leżeć kajpę.

Jego zainteresowaniami, którym oddawał się w wolnych chwilach było chodzenie po ulicy i psikanie w przechodniów drogimi perfumami, odwiedzanie swojego psychoterapeuty, któremu bezlitośnie nawijał makaron na uszy pozbawiając zapewne tego przejętego nieszczęśnika niejednej dobrze przespanej nocy oraz odwiedzanie zamkniętych dla szerszej społeczności miejsc za sprawą przeróżnych kłamstw.

Właśnie wychodził z jednego z hoteli, w którym podawał się na kontrolera jakości czystości powierzchni płaskich. Pod taką przykrywką wtargnął do hotelowej kuchni, najadł się do syta i wyszedł zadowolony, że po raz kolejny się udało. Rozczarowany tym, że jego współlokator nie wyraził chęci towarzyszenia mu podczas wieczornego koncertu hip-hopowego postanowił pójść do sklepu, a po drodze odwiedzić kilka nieinteresujących go stron internetowych na telefonie. Czynił tak, gdyż bardzo się starał, aby jego cybernetyczna tożsamość radykalnie różniła się od realnej, a będąc świadomym na jakich zasadach funkcjonuje życie w sieci, poprzez różne praktyki sprawił pewnego dnia, że to nie on działał w Internecie pod dyktando przeglądarki oraz innych aplikacji, ale to one robiły i myślały o nim to co on narzucił.

Wchodząc do sklepu postanowił nic w nim nie kupować, tylko zjeść kilka bakalii, które były na wagę i nałożyć na głowę czapkę. Przedzierając się przez kolejkę teatralnie zdjął czapkę z głowy żegnając się z kasjerką, a kątem oka spostrzegł, że starszy pan stojący już za nim kupił nieaktualną gazetę z programem telewizyjnym. Dopiero zauważając piękną, kobiecą postać szczerze uśmiechającą się z jej okładki zrozumiał dlaczego ów jegomość dokonał takiego zakupu.

Wychodząc ze sklepu zerknął na reklamę sera, który został odznaczony certyfikatem produktu roku. Zdenerwował się tak bardzo tym, że nikt go nie zapytał o zdanie w tej kwestii, że wyrzucił skradzioną czapkę do kosza. Kosza, który był podpisany dużym napisem o treści: KOSZ. Zdegustowany zaczął rozglądać się dookoła w poszukiwaniu napisów informacyjnych w podobnym stylu na ścianach i podłodze. Niestety... Nie znalazł nic.

Nieco znudzony nie chciał czekać na koncert w domu, więc postanowił przejść się do przychodni, aby zobaczyć co się tam ciekawego dzieje. Po drodze spotkał bezdomnego z terminalem płatniczym, któremu kopsnął trochę drobnych, gdyż nie przepadał za płatnościami elektronicznymi. Idąc dalej zauważył młodą dziewczynę żywiołowo mknąć cwałem w stronę stojącego na przystanku autobusu. Nie czekał dłużej i radosnym dopingiem starał się wesprzeć tę krzepką młodzież w tym karkołomnym zadaniu.

- Wiwat piękna, biegnąca pani! - krzyczał wymachując rękoma.

Wchodząc radośnie do przychodni zauważył siedzącego w poczekalni informatyka. Poznał po pierwszym spojrzeniu jego profesję, gdyż był on bladym, przygarbionym anemikiem. Zawsze dziwiło go jak ci zazwyczaj inteligentni ludzie mogli tak ciągle żyć w nocy, bez snu i promieni słońca nie licząc się ze wszelkimi dokonaniem nauki oraz zdrowego rozsądku stwierdzającymi, że człowiek za dnia powinien funkcjonować, a w nocy spać, a nie na odwrót. Mniej zaś bawiło go to, że zazwyczaj tacy ludzie swoje depresyjne stany zwalali na świat wokół siebie, a nie na swój sposób prowadzenia się.

- Dzień dobry. - zagadnął Paligtup.
- Dzień dobry.
- Pan ostatni.
- Tak.
- Co panu dolega?
- Ospa, depresja, zwyrodnienie kręgosłupa.
- Ojej... Wie pan może gdzie znaleźć kardiologa? Ostatnio coś mnie ucho boli.
- Kardiologia, serce, choroba.
- A no tak... - jęknął przypominając sobie, że informatycy wyrażają się tak jakby szukali jakiś stron w Internecie.
- Niemoc, smutek, informacja.
- Tak, tak... Ja bardzo pana przepraszam ja tylko wejdę na chwilę się o coś zapytam pana doktora, dobrze?
- Tak.

Paligtup wtargnął bezceremonialnie do gabinetu i zastał w nim zdziwionego lekarza. Zdziwiło go jego zdziwienie, gdyż nie wiedział kogo w takim razie się ów jegomość z okularami na nosie spodziewał jak nie pacjenta. Po krótkiej rozmowie udało mi się znaleźć wspólny język i przechodząc do luźniejszej rozmowy zaczęli grać sobie w Kierki nie przejmując się tym, że brakowało im dwóch graczy. Grało i rozmawiało im się tak miło, że dopiero po kilku godzinach Paligtup zorientował się, że najwyższy czas się już zbierać na koncert. Wychodząc z gabinetu zauważył wypełniony po brzegi korytarz poczekalni, który wybrzmiewał rytmicznie licznymi chrapaniami.

Idąc ciemną ulicą zastanawiał się kiedy zwariuje na nogi, bo na głowę, to zwariował już dawno. Pokrzepiony taką myślą postanowił za sprawą miejskiego metra dostać się do klubu koncertowego Dzban.

- Ej ty! - wytrąciło go nagle z zadumy groźnie brzmiące warknięcie.
- Ja? - zapytał zdeorientowany.
- Nie. Moja stara. Haha! - zażartował łysy kark.

- W czym mogę panu pomóc?
- Skąd jesteś?
- Z Giżycka.
- O! A ja mam znajomą z Pizy!
- Wow! Super!
- No nie? A za kim jesteś?
- Słucham?
- Komu kibicujesz?
- Nikomu.
- Aha... Co tutaj robisz?
- Idę na koncert.
- Jaki?
- Muzyczny.
- Aha... Wiesz, że kiedyś zażartowałem sobie w sklepie jak nie było słodkich bułek, że chyba wezmę sobie cukier i bułkę tartą.
- Teraz już wiem...
- Śmieję się!
- Słucham?
- Śmieję się! - powtórzył groźniej zdecydowanie niezadowolony z tego, że jego rozmówca nie rozbawił się jego anegdotką.
- Ha ha ha... - zaśmiał się sztucznie, ale jednocześnie starając się nie rozgniewać bardziej swojego nowego znajomego.
- Ha! Dobra... Możesz iść.
- Dzięki.
- Tylko pamiętaj, że Legia to stara...
- Wiem, wiem...

Wchodząc na stację metra został zaczepnięty przez rozdawacza ulotek namolnie wpychającemu mu jakiś kawałek papieru w dłoń. Jako iż zazwyczaj bierze ulotki, a jak sam z nich nie wyciąga niczego dla siebie korzystnego, to nie wyrzuca ich do kosza na śmieci, ale przekazuje dalej, licząc w duchu, iż jeżeli kolejnej osobie dana ulotka niczego pozytywnego do życia nie wniesie, to uczyni to samo, aż znajdzie ona swojego odpowiedniego odbiorcę. Niestety ta ulotka tyczyła się wyborów na pro-debila miasta, a jako iż stronił on od polityki, to zrobił wyjątek i wyrzucił tę ulotkę do śmietnika, gdzie jego zdaniem powinien również wylądować ów zacny pan poważnie prezentujący się na tym śliskim skrawku papieru.

Dotarwszy w końcu do stacji metra wszedł do wagonu i usiadł naprzeciw śpiącej dziewczyny. Robił tak zawsze jak tylko miał ku temu okazję, gdyż jak tylko pojawiał się nieznośny kanar z żądaniem okazania biletu, to mógł spróbować manewru, w którym tłumaczy mu, że jedzie z nią, przy czym to ona ma bilety, a chyba nikt nie chce budzić tak ślicznie śpiącego słodziaka. W razie niepowodzenia takiej zagrywki zawsze pozostaje mu później ucieczka z pierwszego do ostatniego wagonu, gdyż przebycie takiej trasy zawsze trwa dłużej niż przejazd z jednej stacji do drugiej, więc jest wtedy możliwość wybiec na jednym z przystanków.

Podczas tej podróży jednak obyło się bez takich ekscesów, ale Paligłupa zainteresowały dwa aspekty. Pierwszym z nich był gość, który spał z otwartymi oczami, a drugim reklama masła, która zdążył obejrzeć jakieś dwadzieścia razy podczas tej trasy, a prezentowała się ona następująco.

Noc, mocny, gęsty deszcz i wiatr. Księżyc w pełni nieśmiało przebija się fragmentami przez gęste, grafitowe chmury. Pod latarnią, w kałuży krwi leży umierający mężczyzna. Płacząca nad jego twarzą kobieta odgarnia na bok mokre od deszczu, kręcone, blond włosy, a nagle jej dramatycznie umierający ukochany wstaje i jak gdyby nigdy nic, z uśmiechem na twarzy idzie w kierunku sklepu znajdującego się nieopodal, gdyż w ten weekend jest niebywała promocja masła.

Wchodząc do klubu wyłączył odtwarzacz mp3, na którym miał nagrany dźwięk hamującego pociągu, który zawsze uspokajał go podczas podróży kolejowymi środkami lokomocji.

- Dzień dobry. Dziesięć złotych.
- Mam już bilet. Na telefonie.
- A, to dobrze. Proszę go przybliżyć tutaj. - poprosił sprzedawca wskazując na głowę Predatora umieszczoną w ścianie, dzięki której, za sprawą czerwonych laserów, był on w stanie zeskanować kod QR z telefonu.

Przedzierając się niepewnie przez salę imprez w stanie nieważkości rzucił pośpiesznie okiem na zgrabną niewiastę nieco niezręcznie starającą się tańczyć na wzór wzdwodulca klubowego, który był bardzo popularnym tańcem w tamtym czasie. Udało mu się w końcu dotrzeć do piwnicznych komnat mocnego pierdzielnictwa, w których odbywał się jego koncert. Wypełniona po brzegi sala słuchała prawideł wypływających wartko z gardła rapera bez koszulki.

- Robiąc klopsy, robię klopsy. - rapował.
- Kurde... Jaki ten tekst jest prawdziwy... Prawdę gada! - zagadnęła do Paligłupa młoda dziewczyna gibająca się obok niego.
- Nie da się ukryć.
- Co tutaj robisz?
- Przyszedłem na koncert.
- To tak jak ja.
- Fajno.
- Co nie? A gdzie pracujesz?
- Nigdzie.
- O... Szkoda. Ja pracuję w IQ Metal.
- Gdzie?

- IQ Metal...
- IQ, co? - dopytał, gdyż nie mógł dosłyszeć dokładnie nazwy w tym hałasie.
- Metal... Jak metal...
- Aha... Ok.
- Wiesz co... Rozkminiłam ostatnio jedną rzecz.
- Jaką?
- Że popkultura najpierw wprowadza nas w poczucie winy, abyśmy poczuli, że na niczym nam już nie zależy, a jak dojdziemy do takiego stanu, to zaczyna nas motywować, abyśmy ze świadomością, że nie mamy nic do stracenia działali odważniej i bardziej przebojowo.
- Ciekawe...
- Miałam taką rozkminę po dobrym haszu.
- Fajno.
- Fajny jesteś.
- Dziękuję.
- Postawisz mi drinka?
- Czemu nie.
- Wiesz co... Kiedyś napisał do mnie jeden gość z Turcji. Zapytał się, czy nie chcę być jego przewodniczką po Warszawie. Mówił, że wszystko opłaca, a ja mam mu tylko pokazywać ciekawe miejsca w mieście. Zgodziłam się. Było naprawdę fajnie. Cały dzień spacerowaliśmy, jedliśmy w najdroższych restauracjach, byliśmy w muzeum... Trochę się tam wynudziłam, ale i tak było fajnie. A... A w nocy przyszliśmy tutaj na imprezę! Co prawda zrobiłam mu lodzika w ubikacji, ale nie był wcale jakiś bardzo brzydki, ale później moi kumple go przegonili, bo mówili, że tutaj kebaby nie mają wstępu.
- Po jakimu z nim rozmawiałaś?
- Ja po polsku on po turecku... Na migi jakoś się dogadywaliśmy. Haha...
- Aha.

- Słuchaj tego. Ostatnio jak wróciłam z koleżankami do akademika po imprezie, to weszliśmy po pijaku nie do swojego pokoju. No i tak był taki koleś, który zamiast położyć się na łóżko i przykryć kołdrą, to położył się na ziemię i przykrył się łóżkiem. Taki pijany był.
- Nieźle...
- Ale to były inne czasy. Jak jeszcze ta stara szmata zarządzająca tym burdelem nie zamknęła nam naszej mety spirytusu w akademcu...
- No nie wiem czy wieczne imprezowanie i nadmierne spożywanie alkoholu sprzyja rozwojowi intelektualnemu...
- Że co? Po co to komu?
- Studentom? - zapytał ironicznie.
- Liczy się papier. Żeby nie musiała później tyrać w jakimś sklepie, albo jakimś zakładzie, czy gdzieś tam...
- No ta...
- Słuchaj... Może pójdziesz jutro ze mną na basen?
- Nie wiem...
- No chodź... Jest taki fajny basen, który jest jednocześnie akwarium. Pływasz, a pod tobą i obok ciebie pływają ryby, żółwie i takie tam. Super sprawa.
- Brzmi ciekawie, ale jutro jestem zajęty.
- Szkoda...
- Co studiujesz?
- Psychologię.
- Czemu akurat ten kierunek?
- A nie wiem... Wydaje mi się fajnie tak pomagać ludziom.
- Może najpierw pomyśl o sobie?
- Słucham?
- Nie nic, przepraszam. Kontynuuj.
- Nie wiem co mówiłam... A! Psychologia... Słyszales może o eksperymencie Mullera?
- Muller? Pierwszy raz słyszę.

- Genialny psychoanalityk. Zrobił taki eksperyment, w którym zabijał ludzi na oczach dziecka. Wyobrażasz sobie, że później u takich dzieci stwierdzano identyczne traumy i zaburzenia psychologiczne?
- Niebywale... Słuchaj... Chyba będę się zbierał... Jest już późna pora.
- Już? Dlaczego? Tak fajnie się rozmawia? - pytała kładąc dłoń na jego udzie.
- Bo intryguje mnie jak ludzie piszą literę "i".
- Słucham?
- Zauważ, że wielkie "i" można pisać od dołu do góry i od góry na dół.
- A no rzeczywiście... Hehe...
- Dlatego ja teraz napiszę tutaj na blacie takie "i" od góry na dół, bo będę spadał.
- O...
- Trzymaj się. Miłej zabawy.
- Dzięki.
- I uważaj na nieumyte... - przerwał, gdyż uznał, że taki uszczypliwy żarcik nie przystoi dla osobistości jego formatu.

Wychodząc na świeże, chłodne powietrze spojrzał na zegarek i zdziwił się, że minęło już tyle godzin od jego wejścia w to tłoczne i głośnie miejsce. Przypomniawszy sobie w tamtym momencie swoje spostrzeżenie, że gdy jest sam ze sobą z jak najmniejszą liczbą bodźców z zewnątrz, to czas płynie jakby wolniej, spokojniej, milej... To wspomnienie skłoniło go do nocnego spaceru, za sprawą którego postanowił wrócić do domu.

Po drodze spotkał kolejnego bezdomnego. Tym razem bardziej ortodoksyjnego, gdyż nieposiadającego terminala(u) płaćniczego.

- Dzień dobry panu. - zagadnął uprzejmie.
- Chyba dobry wieczór młodzieńcze. - odparł radośnie.
- Oj tak... Racja, przepraszam. Mogę jakoś panu pomóc?

- Może i tak... Masz nieco dłuższą chwilkę, którą chciałbyś poświęcić dla takiego nędznego typa jak ja?
- Proszę tak o sobie nie mówić. Pewnie. Mam chwilę.
- Wyglądasz mi na bystrego chłopaka.
- Dziękuję. Jak się pan tutaj znalazł?
- Długa historia...
- Mam czas...
- Na to liczyłem! Kiedyś byłem cenionym zarabiaszczantem teologii na Uniwersytecie Warszawskim. Wymiałem teologicznie tak, że nawet kardynałowie mieli ze mną niemałą bolączkę. Ty wierzysz w Boga?
- Ciężko powiedzieć.
- Ale w coś wierzysz?
- Można tak powiedzieć.
- Musisz w coś wierzyć.
- Na pewno?
- No spójrz... Czy nie jest tak, że ludzie mają w sobie taką potrzebę?
- Potrzebę wiary?
- Potrzebę odczuwania tej emocji, która wiąże się z wiarą w coś. Potrzebę tak pierwotną, powszechną i niezbędną do życia jak oddychanie.
- No nie wiem...
- Wydaje mi się, że tak. Dlatego spójrz co się dzieje z ludźmi, którzy deklarują się jako niewierzący... Ponoć nie wierzą, czyli można by stwierdzić, że nie mają takiej potrzeby, ale jednak każdy z nich zaspokaja głód tej emocji wynikający z wiary w coś na inny sposób. Jedni będą starali się zapchać tę lukę satysfakcją, poprzez samorozwój, inni uznaniem, poprzez przeróżne społeczne działania, a niektórzy będą szukali tego zaspokojenia w gniewie, bólu, rozpacz, bogactwie czy rozkoszach tego świata. Każdy z nich wcześniej, czy później popadnie w mechanizmy błędnego koła, gdyż błędnie będzie starał się zaspokoić potrzebę tej tajemniczej emocji, którą jest Miłość, przez duże "m" środkami, które nie są w stanie jej zaspokoić. Tego tyczy się pierwsze przykazanie, aby nie ulegać bożkom tego świata na rzecz prawdziwego Boga, którym jest właśnie ta Miłość, ale której nie da się w

stanie kultywować, doświadczyć, czy zrozumieć bez wiary, jako postawy, deklaracji i świadomego wyboru. Co nie oznacza, że jest to jednoznaczne z tym, że trzeba się ich wyrzec całkowicie. Chodzi tylko o odpowiednie uporządkowanie priorytetów, aby... Nie mieć Bogów cudzych ponad Bogiem prawdziwym, jedynym, odwiecznym... Miłością.

- Chyba nie do końca rozumiem...
- Powiedz mi... Jak to jest, że jak smutny człowiek idzie do psychologa, to zazwyczaj wychodzi od niego równie smutny z tą tylko różnicą, że nie kryje się już ze swoim smutkiem i uczy się z nim żyć, a ludzie, którzy dostępują Łaski Odpuszczenia Grzechów u spowiedzi odnajdują szczęście w życiu, a wcześniejszy smutek z nich uchodzi?
- Nigdy się nad tym nie zastanawiałem, a nie wiem nawet, czy tak jest w rzeczywistości...
- Jest, jest... Bo tylko Bóg jako źródło szczęścia, może je człowiekowi dać wypełniając tym samym pustkę smutku, a człowiek, sam z siebie, bez Bożej Łaski, nie jest w stanie tego zrobić, gdyż to nie on jest źródłem Miłości, ale Bóg, który oczywiście działa w tym świecie również poprzez ludzi.
- Chyba jestem już lekko zmęczony tym wszystkim...
- Spójrz... Ludzie narzekają, że kawa ich życia jest gorzka. Bóg jako kochający ojciec każdemu z nas wsypuje tyle cukru do kawy ile nam potrzeba. Wedle naszych indywidualnych potrzeb. Tyle cukru, żeby nasza kawa smakowała nam najlepiej jak to tylko możliwe. Niemniej jednak my musimy tę kawę wymieszać łyżeczką, aby cukier się roztopił i zmienił smak tegoż napoju. Tym mieszaniem kawy jest religia, religijność. Jest to ten wkład ludzki w obdarowywanie ludzi Miłością przez Boga. Są oczywiście różne sposoby mieszania kawy. Można mieszać w lewo, można mieszać w prawo, ale trzeba być świadomym tego, że można mieszać za wolno, przez co cukier się nie rozpuści, albo za szybko, przez co kawa się rozleje, dlatego tak bardzo ważne jest, aby swoją wiarę oraz religię świadomie praktykować i poznawać przy jednoczesnym szacunku do innych wyznań, religii, czy światopoglądów.
- No ale jeżeli moją religią jestem ja sam dla siebie i moje życie?
- Czy w takiej sytuacji nie stawiasz siebie zamiast, czyli tak jakby ponad, Bogiem, przez co zaczynasz się zbliżać do mechanizmu błędnego koła, a nie realnego zaspokojenia?

- No ale jeśli moją religią, wyznaniem, czy drogą do Boga, będzie Satanizm? Co wtedy?
- Wiara i religijność opierają się na bojaźni, skąd Łaska Bojaźni Bożej. Jest to zgoła odmienna emocja niż strach, czy lęk, ale pomyśl... Czy będąc w ZOO bardziej racjonalnym jest okazywać bojaźń względem lwa zamkniętego w klatce, czyli Szatana, który poza swoim zwodniczym rykiem nic nam już uczynić nie może - jako duszy - czy stojącego obok Ojca, który jak tylko zauważy, że starasz się wejść do klatki, aby narazić się już na prawdziwe niebezpieczeństwo ze strony lwa, potrafi nakrzyczeć i wytargać wychowawczo za ucho?
- No raczej tego drugiego...
- No właśnie... Chyba, że jesteś już w lwich siódlach... Wtedy ma się racjonalne podstawy do tego, aby okazywać bojaźń względem Szatana, ale czy nie lepiej byłoby wybrać dobrego Ojca, który pozwala ci spacerować po pięknym ZOO niż wrogiemu względem nas lwa, który jak daje nam żyć, to tylko po to, aby później z większym smakiem nas pożreć w bólach? Czy nie wydaje ci się, że każdy zdrowy na umyśle człowiek wybrałby w takiej sytuacji Ojca?
- Wydaje mi się, że tak, ale przecież to wszystko to może być bajka. Zmyślnie opowiedziana historia mająca wprowadzić ludzi w błąd. Stworzona przez takie właśnie lwy, które chcą żerować na naiwności ludzi i paść się ich kosztem.
- Dlatego, aby rozwiać wszelkie możliwości polecam każdemu pielęgnowanie swojej wiary i religijności. Spróbuj sam, a zobaczysz.
- Chyba jednak nie...
- Dlaczego?
- Koncepcja karmy bardziej mnie przekonuje.
- Przecież to wcale nie jest sprzeczne z chociażby nauką katolicką. Nawiązując do katolicyzmu, gdyż to ta religia jest najbardziej rozwinięta i najpowszechniejsza u nas w Polsce.
- No chyba jednak jest...
- Spójrz... Jedną z prawd wiary katolickiej głosi. Bóg jest sędzią sprawiedliwy, który za dobre wynagradza, a za złe karze. Czy to nie karma?
- No tak ale...

- No właśnie! I teraz spójrz. Spójrz co daje nam Jezus, jego nauka oraz męczeńska śmierć. Żyjesz sobie w tym całym zgiełku karmicznych sygnałów i w końcu dociera do ciebie informacja, że osoba, którą napotykasz na drodze swego życia poprzez swoją karmiczną przeszłość zasługuje na to, abys ją na przykład oszukał i wykorzystał. Jeżeli wprowadzisz realizację tej karmy w życie ten negatywny impuls pójdzie dalej w obieg, aby za jakiś czas napotkać na kogoś innego, który znowu, sprawiedliwie, uczyni komuś coś niedobrego w karze za jego występki. Tutaj Chrześcijaństwo mówi nie. Wybacz takiemu człowiekowi, nie czyn mu tego na co zasłużył swoją karmą, a tę negatywną energię przekaz Jezusowi, gdyż to on wziął na siebie grzech tego człowieka, więc ty nie musisz już go za to karać. W taki sposób jedna z miliardów nici złej karmy zostaje odcięta, a świat zbliża się ku Królestwu Bożemu, w którym jest już tylko dobra karma, gdyż ludzie oduczuli się czynić źle.
- Brzmi pięknie...
- To tylko utopia, gdyż tak będzie w Niebie, ale tutaj musimy starać się robić wszystko, aby choć trochę do tego Nieba się przybliżyć, dlatego uważam, że nie ma lepszej drogi ku temu niż Chrześcijaństwo, które jako jedne ze znanych mi religii oferuje takie podejście w tej kwestii.
- Czyli kto w takim razie jest lepszy? Ten który nienawidzi ludzi, ale im pomaga, czy ten który ludzi kocha, ale pomaga ludziom bardzo sporadycznie.
- Dobre pytanie... Ale nie udzielę ci na nie odpowiedzi.
- Dlaczego?
- Będzie to twoja praca domowa.
- Dostanę może jakieś materiały, dzięki którym będę mógł tę lekcję odrobić?
- Masz Pismo Święte?
- Mam.
- W Internecie możesz znaleźć całe mnóstwo katolickich dokumentów, kazań, treści... Katolicy i kościoły również stoją przed Tobą otworem.
- No ale czy ja to wszystko zrozumie?
- Zobaczymy... Wiedz tylko, że im więcej siebie poświęcasz, tym więcej szczęścia zyskujesz, a im szczęśliwszy jesteś, tym łatwiej przychodzi zrozumienie.

- Nie jestem przekonany...
- Spróbujmy... Święty Marek napisał w swojej Ewangelii takie słowa: Jeden z uczonych w Piśmie zbliżył się do Jezusa i zapytał Go: «Które jest pierwsze ze wszystkich przykazań»? Jezus odpowiedział: «Pierwsze jest: Słuchaj, Izraelu, Pan Bóg nasz, Pan jest jedyny. Będziesz miłował Pana, Boga swego, całym swoim sercem, całą swoją duszą, całym swoim umysłem i całą swoją mocą. Drugie jest to: Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego. Nie ma innego przykazania większego od tych». Rzekł Mu uczoney w Piśmie: «Bardzo dobrze, Nauczycielu, słusznieś powiedział, bo Jeden jest i nie ma innego prócz Niego. Miłować Go całym sercem, całym umysłem i całą mocą i miłować bliźniego jak siebie samego daleko więcej znaczy niż wszystkie całopalenia i ofiary». Jezus widząc, że rozumnie odpowiedział, rzekł do niego: «Niedaleko jesteś od królestwa Bożego». I nikt już nie odważył się więcej Go pytać.
- Tak?
- Dlaczego Jezus powiedział do niego, że jest on już niedaleko do królestwa Bożego, a nie jest już u celu?
- Bo ten uczoney w swoim przytoczeniu przykazania pominął duszę?
- Ha! Dokładnie.
- Ale dlaczego Jezus zapytany o jedno, najważniejsze przykazanie wymienił dwa?
- Niech to będzie dla ciebie kolejna praca domowa...
- Ale...
- Pamiętaj... Wystrzegaj się hipokryzji, gdyż z niej wywodzi się głupota. Z głupoty zaś wywodzi się egoizm. Z egoizmu strach, a ze strachu kompleksy. Z kompleksów brak wiary, czyli szczęścia, a to wszystko ostatecznie doprowadzi cię do grzechu, który tylko zatoczy koło w tej chorej maszynie.
- Ale... - starał się wtrącić.
- Pamiętaj również, że w świecie krąży wiele herezji. Tylko Kościół jest etycznym fundamentem. Glebą, na której ma wyrastać wszystko inne, więc jak ktoś mówi ci, że Kościół ma być tylko elementem wyrastającym z innej gleby... Strzeż się go mój chłopcze, bo czymże miałyby być ta gleba i czymże miałby być Kościół z niej wyrastający?. - kontynuował niezmordowanie niczym w amoku.
- Ale ja chciałem zapytać jak to się stało, że wylądował pan na ulicy?

Pytanie to zrodziło w naszym bezdomnym profesorze wspomnienie ukazujące seminarium duchowne oraz postać ubranego na czarno księdza. Zaraz potem wraz z nim uczestniczył w Wigilii dla bezdomnych. Drony sywały sztucznym śniegiem, tłum głodnych, cuchnących ludzi wokół niego i ta rozmowa z jednym z nich. Rozmowa, w której młody mężczyzna bez krzty wstydu, otwarcie mówił organizatorom tego spotkania, że - cytując - "Wali go ten cały świąteczny klimat, bo przyszedł tutaj się po prostu nażreć do syta, bo od trzech dni nic nie jadł i nawet nie zamierza tego nikomu tłumaczyć, gdyż najpierw trzeba tego doświadczyć, aby dopiero później móc zrozumieć to na podstawie czyis relacji." Poruszony formą oraz treścią tej wypowiedzi odtwarzacz tego wspomnienia postanawia pozostać bezdomnym prosząc jednocześnie zaprzyjaźnionego księdza o codzienną modlitwę w jego intencji. Zasmucony klecha przytakuje swojemu przyjacielowi, a zaraz potym po niciach wspomnień, które łączą żyjących tu i teraz niezależnie od tego gdzie się obecnie znajdują, dotarłem na głowę tegoż duchownego, a Łysy pojawił się w nim chwilę później.

Modlił się on akurat modlitwą Różańcową w ramach Duchowej Adopcji w intencji jednego z nienarodzonych jeszcze dzieci. Niespełna kilkanaście minut później udał się do jadalni na plebanii, w której przebywał proboszcz parafii, w której był wikarym.

- Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus. - zaczął starszy wiekiem proboszcz.
- Na wieki wieków, amen.
- Pytanie na dziś... Czy kapłan może się ożenić po odejściu z kapłaństwa?
- Proszę księdza... Czy te spytki nigdy się nie skończą?
- Musimy być czujni! Zło nie śpi, więc nie możemy się rozleniwiać. Musimy być ciągle w formie! Jak sportowcy! Z tym, że aż po grób.
- Tak, tak... - odparł lekko zniesmaczony.
- To jak?
- Muszę iść na uczelnię. I tak jestem już nieco spóźniony, gdyż zasnęłam...

- O tym właśnie mówię! To rozluźnienie w Kościele niszczy go od środka...
- Ruszam.

Ów ksiądz był podwójnym agentem. Z jednej strony rzekomo pracował dla tajnej sekty, która obrała sobie za główny cel zniszczenie Kościoła Katolickiego, ale tak naprawdę, był wysłannikiem Watykanu, który miał ową sektę rozpracowywać od jej wnętrza, czyli zgodnie z jej praktykami względem swoich wrogów. Wcześniej zaś, czyli zanim został księdzem, był członkiem innej sekty, która nazywała się Gildią Samobójców. Ta organizacja nie zajmowała się przeprowadzaniem samobójstw na swoich członkach, lecz na pomocy w dokonaniu tego aktu tym, którzy z jakiś powodów się bali samemu odebrać sobie życie, pomimo szczerzej chęci. Pewnego zaś dnia się nawrócił, uwierzył w Boga i postanowił zmienić swoje życie diametralnie nakierowując się na Pana Boga, a jako iż miał takie, a nie inne doświadczenia, to po wieloletnich szkoleniach został w końcu wysłany przez Papieża na tę dwulicową misję.

Zasłynął również tym, że dość ochoczo i bezpardonowo wypowiadał się na pewne tematy dotyczące Kościoła. Jedną z takich pamiętnych wypowiedzi była ta, w której stwierdził, że duchowny dlatego nie może mieć dzieci, bo gdyby zdarzyło się, iż jedno z nich by zginęło, to mógłby on wtedy w przypiływie szału i zbłądzenia zniszczyć cały świat. Taką posiadają moc. Taką posiadają wiedzę. Kolejną ekscentryczną przemową była ta, w której oświadczył ludziom, że jedynym wyborem jaki mają w ich życiu jest wybór pomiędzy panem, któremu dany człowiek chce służyć. Może więc on wybrać pomiędzy Bogiem i różnymi drogami do budowania z nim relacji oraz poznania Go, a pomiędzy Szatanem i jego różnymi maskami, którymi nas zwodzi i mami. Najbardziej zaś zaistniał w opinii publicznej po debacie, w której uznał, iż duchowny jest swego rodzaju lekarzem, z tą różnicą, że dusza cały czas jest atakowana przez zło, przez co permanentnie wymaga leczenia, dlatego wciąż trzeba walczyć o jej zdrowie, a duchowni przychodzą wszystkim innym z pomocą w tej walce.

Na uniwersytecie spotkał się z jednym z sekciarzy, który był na nim wykładowcą, a poza tym wojownikiem światła czternastego poziomu w swoim stowarzyszeniu.

- Witaj. - przywitał się ksiądz.
- Witam światłą świątobliwość.
- Przestań. Co chcesz?
- Mam dzisiaj wyklądać o Duchu Świętym. Masz mi coś do powiedzenia w tej sprawie?
- Miałeś sam pozyskiwać taką wiedzę. Mam inne zajęcia.
- Och... Od czego mam ciebie...
- Nie mam czasu.
- Jestem wyższy stopniem. Masz mówić co ci każe, więc mów co wiesz!
- Tylko Bóg potrafi przekazać danemu człowiekowi odpowiednią dla niego ilość wiedzy duchowej, bo drugi człowiek, albo powie coś co ten pierwszy już wie, albo coś za bardzo do przodu, a wtedy ten pierwszy nie zrozumie. Może zrozumie później jak będzie modlił się o mądrość, ale w danym momencie to zrozumienie będzie chybione, albo niekompletne. Tutaj właśnie pojawia się złe rozumienie Ducha Świętego i przekazywania wiedzy o nim. Niektórzy myślą, że nie informując o czymś, ktoś się domysli o co chodzi - tak z niczego - a tu chodzi o dawanie sygnałów, które każdy żyjący w Duchu, zrozumie tak samo.
- Ciekawe... Zupełnie jak u nas.
- Chyba wiesz... - ugryzł się w język, gdyż zorientował się, że ten sekciarz nie jest jeszcze na tak wysokim poziomie wtajemniczenia, aby być świadomym tego, że jego sekta opiera się na lustrzanym odbiciu Kościoła Katolickiego w zakresie wielu aspektów, poza tymi teologiczno-filozoficznymi, a on jako członek niższego stopnia nie powinien oficjalnie jeszcze o tym nic wiedzieć.
- Co wiem?
- Że dzisiaj jest piątek... Jadłeś mięso?
- Daj mi spokój! Drażnią mnie te twoje katolickie żarty. Wiesz jaki mam do tego stosunek. Uszanuj.
- Dobrze już dobrze.
- Idę. Żegnam.
- Do zobaczenia.

Zmęczony tą rozmową ksiądz postanowił udać się do pobliskiego parku, aby przez chwilę w nim odpocząć.

Dodać o nim muszę również to, że jako Watykański wysłannik walczył on wszędzie gdzie został posłany ze złymi duchami, które krążyły wokół ludzi. Sami księża w tamtym świecie byli podobni do duchów, gdyż swoimi czarnymi szatami tak mocno odbiegali od pospolitych ubiorów, że zazwyczaj ludzie, w codziennym pędzie, w ogóle nie dostrzegali ich wokół siebie. Było to dla niego pomocne, gdyż krępowano go zawsze, gdy ktoś spoglądał w jego kierunku jak walczy z jakąś mroczną bestią bijąc ją bukietem kwiatów i odmawiając modlitwę Zdrowaś Maryjo... Radosne wspomnienie ostatnio pokonanego demona ukazało mu jego przerażoną paszczę, która wykrzywiła się w nieznosnym grymasie, gdy ksiądz, dokańczając dzieła strącenia go do piekielnych otchłani wypowiadał słowa modlitwy. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego. Amen!

Przyglądając się młodej rodzinie spacerującej po parku rozmyślał nad różnymi sprawami. Począwszy o takich truizmach jak ten, że życie jest wieczne jak planeta ziemia, która z perspektywy człowieka po niej stąpającego nie ma końca, albo że samotność jest miłym stanem, gdyż podczas takiego czasu spędza się go tylko z Bogiem oraz samym sobą, czyli z osobą, która najbardziej ze wszystkich musi nam z urzędu odpowiadać, gdyż nijak od nas samych się nie różni, więc nijak, niczym nie jest w stanie nas zirytować, po na przykład taki, że kłamstwo ma krótkie, albo długie nogi, które wcześniej czy później się złamią i legną w gruzach, a prawda jest wieczna i niezmienna, gdyż lata za sprawą swych niebiańskich skrzydeł, kończąc na myślach już bardziej złożonych jak na przykład ta, która uświadomiła go, iż odnalezienie w umyśle źródła pokusy automatycznie wywołuje jej powrót, więc niezbyt roztropnym jej jego poszukiwanie, a lepiej zająć się modlitwą, która oczyszcza i leczy rany powstałe na skutek danego grzechu.

- Dzień dobry. - przerwał mu namysł starszy pan.

- Dzień dobry.

- O czym to tak ksiądz myśli?

- A... Takie tam. Mogę w czymś pomóc?

- W sumie to chyba tak... Widzi ksiądz... Mam ja tutaj takie pudełeczko. Jak je otworzę, to otworzy się wir, dzięki któremu będę mógł podróżować między wymiarami i innymi światami. Chciałbym w nim dożyć śmierci, bo męczy mnie już to ciężkie bytowanie tutaj, a jakoś tak boję się popełnić samobójstwo.

Po tych słowach ksiądz po raz kolejny utwierdził się w przekonaniu, że Zły Duch bezustannie stara się abyśmy przypadkiem nie zapomnieli o swoich błędach z przeszłości, do czego zachęca nas Jezus uświadamiając nam swoją męczeńską śmiercią, że odkupił nią nasze wszystkie przewinienia i dzięki niej daje nam możliwość Zmartwychwstania.

- Dlaczego nie chce już pan żyć? - zapytał łagodnie.
- Byłem złym człowiekiem. Najpierw dorobiłem się fortuny walcząc jojo za grube pieniądze... Oj grube. Później jak zostałem sam i pieniądze się skończyły myślałem, że zmądrzałem i chciałem zrobić coś dobrego. Martwiąc się o problemy demograficzne Polaków postanowiłem przedziurawiać prezerwatywy, aby zwiększyć ilość wpadek. Założyłem nawet mały gang, dzięki któremu robiliśmy z chłopakami takie różne akcje z aptekami i sklepami... Niestety skutki były tragiczne, a dwóch z najmłodszych naszych członków poszło do paki.
- Intencje miał pan dobre... Zapewne Bóg weźmie to pod uwagę.
- Gdyby Bóg widział co ja robiłem...
- Bóg widzi wszystko. Proszę mi wierzyć, że jak przybliży się pan do niego odpowiednio blisko, to namacalnie będzie pan czuł ciągle jego wzrok na sobie. Miłujący wzrok zapewniający o bliskości, wsparciu i bezpieczeństwie.
- No nie wiem... Ja tam raczej w Boga nie wierzę.
- A w co pan wierzy?
- Bliżej mi już do filozofii, niż do Boga.
- Zdaje jednak pan sobie sprawę, że niektóre z nauk filozoficznych są już nieaktualne? Tak się ten nasz świat zmienił...
- Podobnie jak z religią...

- Niekoniecznie. Dzięki nauce i zmianom jakie wprowadza człowiek nie zmienia się nauka Kościoła o Bogu, ale zmienia się jedynie poziom zrozumienia jego potęgi oraz miłosierdzia, zaś z filozofią jest zgoła inaczej, bo na przykład... Dając bardzo prosty przykład... Nauka o tym, że wszystko jest dla człowieka zdrowe, a jedynie trzeba dobrać odpowiednie dawki w świecie, w którym istnieje już w obiegu tyle chemikaliów jak na przykład dobrze znany Kret, mija się z prawdą.
- A co sądzi ksiądz o teorii, że umysł ludzki składa się z inteligencji, mądrości, wyobraźni, wiedzy i pamięci, a rozwijając jedną z tych części automatycznie tworzy się przestrzeń, dzięki której rozwój innych elementów jest mniej wymagający?
- Ciężko mi teraz powiedzieć... Musiałbym to mocniej przemyśleć. Ja patrzę na umysł ludzki jak na szklany wazon z kostkami lodu. Momenty piękne i dramatyczne to kostki. Jeśli człowiek jest pusty, czyli nie ma w nim wody z roztopionych wcześniej kostek i nagle dostaje jakieś mocne doświadczenie, czyli taką dużą kostkę, to najzwyczajniej w świecie pęka. Dlatego tak ważne jest odpowiednie wychowanie i przeżywanie lat młodzieńczych, gdyż dobrze jest mieć choć trochę wody w swoim wazonie przed wtargnięciem w dorosłe życie...
- Czy uważa ksiądz, że to dlatego niektórzy nie chcą dorosnąć? No gdzieś głęboko czują, że nie ma w nich tej wody? Wiedzą, że są puści, a kontakt z dorosłym życiem byłby dla nich katastrofą?
- Może tak być. Jeżeli rodzi się w panu pytanie, to i odpowiedź na nie jest w panu. Zadając odpowiednie pytanie poszerzamy świadomość poprzez odpowiedź, która pojawia się w głowie osoby zapytanej, tak więc dobrze, że zadaje pan pytania.
- Czyli równie dobrze mógłbym zadawać pytania samemu sobie i... Czekać, aż ukaże się im odpowiedź?
- W pewnym sensie tak... Jeżeli będzie panu dana odpowiednia Łaska.
- Łaska? To już nie dla mnie...
- Wie pan dlaczego Szatan chce, aby ludzie nie wiedzieli, że on istnieje?
- Nie?
- Szatan został zrzucony z raju za karę na Ziemię wraz z ludźmi. Ukrywa się w przebraniu człowieka i żyjąc wśród ludzi podkrada im "jedzenie". Tak jak człowiek przebrany za lwa. I tak jak lwy jakby się dowiedziały o tym

co człowiek robi, to by go zaatakowały, tak samo człowiek robi z Szatanem, jak się na nim pozna. Dlatego on chce, aby ludzie myśleli, że nie istnieje.

- Ciekawa teoria, ale wciąż do mnie nie trafia.
- Tak tylko powiedziałem.
- Już nie pamiętam od czego zaczęliśmy...
- Od pana pragnienia śmierci.
- Ach tak... Za dużo tutaj cierpienia. Nie uważa pan?
- Nie mi oceniać, czy za dużo, czy nie. Być może akurat tyle ile powinno być, aby każdy z nas miał szansę na zbawienie?
- Zbawienie przez cierpienie? Przecież to okrutne.
- Cieleśne, ziemskie cierpienie jest jak stłuczenie kolana w porównaniu do piekła.
- A jeśli piekło nie istnieje?
- A jeśli tak? Nie myślał pan o spowiedzi?
- Niepotrzebna mi ona.
- Wydaje mi się, że dobrze by panu zrobiła.
- Skąd takie przekonanie?
- Wie pan... To że czasami nie wiemy czego tak naprawdę chcemy nie oznacza, że ktoś inny tego wiedzieć nie może. Wydaje mi się, że bardziej chciałby się pan wypowiadać niż odebrać sobie życie.
- Nie wydaje mi się.
- Czyż to nie pańskie świadome myślenie podsuwa panu taki problem oraz jego rozwiązanie? Czy to nie ta sama iluzja, która wmawia nam, że mamy wpływ na rzeczy naprawdę ważne dla naszego życia? Czy to nie to samo kłamstwo i oszustwo, które pozwala nam działać w zakresie, który nijak nie wpływa na rzeczywisty stan naszego samopoczucia, tym samym odciągając nas od dbania o kwestie, które mogą naprawdę ten stan poprawić?
- Kolejna ciekawa teoria.
- A może to prawda?
- Być może... - odparł z niepohamowanym śmiechem, który zaskakująco wydarł się z jego gardła.

- Śmiech to zdrowie. To zdrowa reakcja na niezrozumienie, którego przeciwieństwem jest strach. Tak jak śmiech niweluje lęk i pobudza mózg do działania, przez co ułatwia mu zrozumienie pewnych kwestii, tak strach zamyka umysł na nowe, nieznane i w ramach iluzorycznego systemu obronnego tworzy niezliczone teorie, które mają tylko posmak prawdy o poznawanym aspekcie rzeczywistości.
- Cóż mogę powiedzieć... Kolejna ciekawa teoria.
- Wydaje mi się, że dobrze by było jakby ją pan zapamiętał.
- Postaram się. Powiem księdzu, że ostatnio zacząłem pracować nad swoją pamięcią. Jako iż kiedyś dużo pisałem na komputerze, to obmyśliłem taką metodę. Patrzę na moją pamięć jak na kartkę pustego dokumentu komputerowego. Moje myśli, spostrzeżenia, odczucia wypisują się na niej, a jak staram się jak najczęściej wciskać przycisk zapisu, aby w przypadku jakiegoś nagłego zamknięcia dokumentu wcześniej zapisane treści wciąż były w nim zapisane po ponownym otwarciu.
- Ciekawa praktyka.
- Ha! Dziękuję.
- Proszę mi wybaczyć, ale muszę się powoli zbierać.
- Proszę się nie przejmować. Dziękuję księdzu bardzo za rozmowę.
- Ja również.
- Czy mógłbym prosić jeszcze o jakieś słówko podsumowania na koniec?
- Hmm... Tak. Zdecydowanie polecam wszystkim, aby zamiast uczestniczyć w kulcie ludzkiego rozumu zaczęli działać na rzecz Kultu Najświętszego Serca Pana Jezusa.
- Oho! To dopiero ciekawostka.
- Haha! Życzę panu miłego dnia.
- Dziękuję. Księdzu również. Do widzenia.
- Do widzenia.

Wracając na plebanie ksiądz zastanawiał się dlaczego ludzie już tak mają, że w kwestiach mało istotnych łatwiej im o pokorną postawę niż w tych sprawach naprawdę ważnych? Wydedukował sobie, że być może ma to związek

z tym, że ludziom wmawia się, iż życie jest proste, a tak nigdy nie było, a w dzisiejszym świecie nie jest tym bardziej, dlatego takim niestusznym wstydem oraz z taką agresywną niechęcią reagują na jakiegokolwiek duchowe kierownictwo...?

Myśl o trudach współczesności oferującej wiele dróg zarówno do rozwoju jak i zbłądzenia przypomniał sobie swojego przyjaciela. Księdza, który jakiś czas temu pracował razem z nim w tej parafii. Pracował do czasu, w którym podczas jednej z kolęd, podczas której mieli oni iść od dwóch krańców osiedla, aby pod koniec spotkać się w jego środku okazało się, że jego kompan w pierwszym bloku zasiedział się przy kieliszku w jednym z mieszkań i w nim zasnął. Nasz ksiądz zorientował się o tej sytuacji dopiero, gdy po przebyciu niemal całego osiedla doszedł w końcu do felernego mieszkania, w którym ów pijany, śpiący ksiądz się znajdował. Towarzyszący mu gospodarz, który przywitał księdza w takim samym, nieco niechlujnym stanie co poprzedni odwiedzający go duchowny, okazał się Przybysławem, w którego wleciał Łysy. Jako iż zaingerował on bezpośrednio we wspomnienie księdza, zmieniając jego bieg, przebudzeniem się pijanego w trupa mężczyzny, świat, w którym się wtedy znajdowaliśmy zaczął się mimowolnie rozbijać na mniejsze kawałeczki, dlatego czym prędzej wydusiliśmy z jego ust słowa zaklęcia, aby za jego sprawą w odpowiedni sposób zamknąć ten świat, bez jego wcześniejszego, niepożądanego rozpadu. Słowami, które uwolniły nas od tej wiecznej, ślepej tułaczki były jak zawsze:

In nomine Patris, et Filii, et Spiritus Sancti. Amen!